

**KLASYKA
KRYMINAŁU
Z JOHNEM
REBUSEM**

**NOWOŚĆ
2022**

IAN RANKIN



**MARTWA PIĘKNOŚĆ, ŻŁOTA ERA ROCKA
I REBUS, BEZCZELNY JAK ZAWSZE, W DRODZE
DO PIEKŁA, BY ROZWIĄZAĆ TĘ SPRAWĘ.**

WSZYSCY DIABLI

ALBATROS

**IAN
RANKIN**

**WSZYSCY
DIABLI**

**Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ
ŁUKASZ PRASKI**



ALBATROS
Wydanie elektroniczne

RYWALIZACJA PRZYWÓDCÓW SZKOCKICH GANGÓW.
PRANIE BRUDNYCH PIENIĘDZY.

NIEWYJAŚNIONE ZABÓJSTWO PIĘKNEJ ŻONY WPŁYWOWEGO BANKIERA.

KTO INNY ZDOŁAŁBY POWIĄZAĆ TE WĄTKI, JEŚLI NIE JOHN REBUS? ZWŁASZCZA ŻE BYŁY INSPEKTOR MA
WŁASNE PROBLEMY, OD KTÓRYCH CHCIAŁBY UCIEC JAK NAJDALEJ...

Od zamordowania znanej z licznych romansów Marii Turquand – w noc, kiedy w tym samym hotelu zatrzymał się sławny muzyk – minęło już wiele lat. Zabójcy nie odnaleziono, co wciąż nie daje Rebusowi spokoju. W dodatku dzień po spotkaniu z nim w tajemniczych okolicznościach ginie były detektyw, który kiedyś prowadził dochodzenie w tej sprawie...

Tymczasem w mrocznym świątku Edynburga znów wrze jak w ulu. Kto odważył się napaść na pnącego się w hierarchii młodego gangstera? Czy to przypadek, czy kolejny etap walki o kontrolę nad miastem? I czy stary znajomy Rebusa, Duży Ger Cafferty, złoży broń i odda władzę?

Rebus i Cafferty – ekspolicjant i eksprzestępca – znów zakopią, przynajmniej na chwilę, topór wojenny i postanowią sobie pomóc. Bo obaj chcą udowodnić, że to „eks” to tylko pozory.

IAN RANKIN

(ur. 1960) – szkocki pisarz, absolwent uniwersytetu w Edynburgu. Zanim odniósł sukces wydawniczy, pracował przy zbiorach winogron, był poborcą podatkowym, świniopasem, dziennikarzem i muzykiem punkowym. Wydana w 1987 roku pierwsza powieść kryminalna z inspektorem Rebusem – **Supelki i krzyżyki** – przyniosła mu niesłabnącą do dziś sławę. Kolejne książki – m.in. **Mętna woda**, **Miecz i tarcza**, **Święci Biblii**, **Cienia**, **Sprawy wewnętrzne** i **Nawet zdziczałe psy** – trafiły na najwyższe pozycje list bestsellerów w Wielkiej Brytanii i zostały przetłumaczone na kilkanaście języków.

Od wielu lat Ian Rankin znajduje się w ścisłej czołówce najpopularniejszych brytyjskich pisarzy. Jest dwukrotnym zdobywcą prestiżowej nagrody Dagger, a także laureatem Edgar Allan Poe Award i kilkunastu innych nagród.

Rankin od wielu lat jest stałym gościem (bądź gospodarzem) licznych programów telewizyjnych o tematyce kryminalnej.

ianrankin.net

Tego autora

OTWARTE DRZWI
SPRAWY WEWNĘTRZNE
NA KRAWĘDZI CIEMNOŚCI

John Rebus

SUPEŁKI I KRZYŻYKI
MĘTNA WODA
KIEŁ I PAZUR
CZARNA KSIĘGA
MIECZ I TARCZA
PRÓBA KRWI
ZAUŁEK SZKIELETÓW
MEMENTO MORI
POŻEGNALNY BLUES
STOJĄC W CUDZYM GROBIE
ŚWIĘCI BIBLI I CIENIA
NAWET ZDZICZAŁE PSY
WSZYSCY DIABLI

Tytuł oryginału:
HIDE AND SEEK

Copyright © John Rebus Ltd. 1990
All rights reserved
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022
Polish translation copyright © Magda Zubrycka-Wernerowska, Storytel 2022

Redakcja: Agnieszka Zygmunt
Projekt graficzny serii i okładki: Agnieszka Drabek
Zdjęcia i ilustracje na okładce: Zackry Stetler/Shutterstock (okno);
evenfh/Shutterstock (panorama na froncie);
Kostiantyn L/Shutterstock (mapka);
Igitrator/Shutterstock (panorama na tyle)

ISBN 978-83-8215-983-7



ALBATROS

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
tel: 691962519

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI
Katarzyna Rek

woblink

woblink.com

SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dzień pierwszy.

Rozdział 1

Dzień drugi

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Dzień trzeci

Rozdział 5

Rozdział 6

Dzień czwarty.

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Dzień piąty.

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Dzień szósty.

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Dzień siódmy.

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Dzień ósmy.

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Dzień dziewiąty

Rozdział 27

DETEKTYW EDYNBURSKIEJ POLICJI

John Rebus

Szkocki twardziel, który podczas konfliktu irlandzkiego służył w brytyjskiej armii i przeszedł szkolenie w elitarniej jednostce SAS.

Słucha muzyki klasycznej, jazzu, ale też rocka: Rolling Stonesów, The Who czy Jethro Tull. Ma imponującą kolekcję płyt – winylowy gość w zdigitalizowanym świecie.

Jeździ kultowym Saabem 900.

Powiedzieć, że nie stroni od alkoholu, to niedomówienie: pije piwo (głównie IPA) i whisky (jego ulubiona to Bell's), najchętniej w edynburskim Oxford Bar. I pali, o wiele za dużo.

Ma córkę i jest rozwiedziony. Jeśli chodzi o kobiety, raczej brakuje mu szczęścia.

Nieufny wobec autorytetów, postrzega świat w czarno-białych kolorach, a ludzi dzieli na dobrych i złych.

Szlachetny samotnik, trochę nieokrzesany, który dobre serce maskuje szorstkim usposobieniem i złośliwym poczuciem humoru.

I za to go kochamy!

DZIEŃ PIERWSZY

ROZDZIAŁ I

REBUS ODŁOŻYŁ NÓŻ I widelec na pusty talerz, po czym odchylił się na oparcie krzesła i obserwował gości w restauracji.

– Kiedyś ktoś został tu zamordowany – powiedział.

– A mówią, że prawdziwych romantyków już nie ma. – Deborah Quant zastępyła nad stekiem.

Rebus miał na końcu języka uwagę, że kroi mięso z takim samym skupieniem, z jakim traktuje skalpelem zwłoki. Ale wtedy przypomniał sobie o tamtym zabójstwie i uznał je za lepszy temat na początek rozmowy.

– Przepraszam. – Wypił łyk czerwonego wina. Mieli tu piwo; widział, jak kelnerzy przynosili je do kilku stolików, ale starał się je ograniczać.

Nowy początek: przede wszystkim dlatego jedli na mieście, by uczcić tydzień bez papierosów.

Całe siedem dni.

Sto sześćdziesiąt osiem godzin.

(Nie musiała wiedzieć o papierosie, którego trzy dni temu wyżebrał od palacza pod biurkiem. I tak kosztowało go to sporo nerwów).

– Wyraźniej czuć smak potraw, prawda? – spytała, zresztą nie po raz pierwszy.

– Och, tak – przyznał, tłumiąc kaszel.

Najwyraźniej dała sobie spokój ze stekiem, bo ocierała serwetką usta. Byli w Galvin Brasserie Deluxe, restauracji przy hotelu Caledonian – choć teraz nazywał się Waldorf Astoria Caledonian. Ale każdy, kto wychował się w Edynburgu, znał go jako Caledonian albo po prostu Caley. W barze przed kolacją Rebus sypał jak z rękawa historiami o tym miejscu: o dworcu kolejowym obok hotelu, rozebrany w latach sześćdziesiątych; o wizycie Roya Rogersa, który prowadził głównymi schodami swojego konia Triggera, by fotograf zrobił im zdjęcie. Quant z grzeczności słuchała, ale w końcu poradziła mu, żeby rozpiął górny guzik koszuli, bo Rebus cały czas przesuwiał palec po wewnętrznej stronie kołnierzyka, jakby chciał rozciągnąć materiał.

– Spostrzegawcza jesteś – zauważył.

– Po rzuceniu palenia może przybyć parę kilo.

– Naprawdę? – Nabrał następną garść orzeszków z miseczki.

Teraz ściągnęła wzrokiem kelnera i ten zaczął zbierać talerze ze stołu. Nie skorzystali z propozycji deseru.

– Poprosimy tylko kawę. Jeżeli można, to bez kofeiny.

– Dwie bez kofeiny? – Kelner patrzył na niego, czekając na wskazówki.

– Oczywiście – potwierdził Rebus.

Siedząca naprzeciwko Quant odgarnęła z oka kosmyk rudych włosów i uśmiechnęła się.

– Świetnie ci idzie – pochwaliła go.

– Dzięki, mamó.

Znowu się uśmiechnęła.

– No dobrze, opowiedz mi o tym zabójstwie.

Sięgnął po kieliszek, ale znowu zaczął kaszleć.

– Muszę tylko... – Wskazał w stronę toalet. Odsunął krzesło i wstał, masując sobie klatkę piersiową. Gdy tylko znalazł się w toalecie, przypadł do umywalki i odkrztusił część mazi z płuc. Jak zwykle dostrzegł w niej kropelki krwi. Zapewniono go, że nie ma powodu do paniki. Trochę więcej kaszlu, trochę więcej śluzu. Nazwali to POChP. Przewlekła obturacyjna choroba płuc. Kiedy Deborah Quant to usłyszała, zacisnęła usta w wąską kreskę.

– To chyba żadna niespodzianka, prawda?

Już następnego dnia przyniosła mu pochodzący sprzed nie wiadomo ilu lat słój z formaliną, który zawierał fragment płuca z widocznymi oskrzelami.

– Żebyś wiedział – rzuciła, wskazując mu to, co widział wcześniej na ekranie komputera. Zostawiła mu słój.

– Pożyczasz czy dajesz mi na zawsze?

– Na tak długo, jak będziesz potrzebował, John.

Gdy splukiwał umywalkę, za plecami usłyszał szcęk otwieranych drzwi.

– Zostawiłeś w domu inhalator?

Odwrócił się. Deborah stała oparta o drzwi, ze skrzyżowanymi stopami, z rękami założonymi na piersi i przechyloną na bok głową.

– Człowiek nigdzie nie jest bezpieczny? – mruknął.

Jej jasnoniebieskie oczy zlustrowały pomieszczenie.

– Nie ma tu nic, czego bym wcześniej nie widziała. Dobrze się czujesz?

– Jak nigdy. – Ochlapał twarz wodą i wytarł ręcznikiem.

– Następnym krokiem to program ćwiczeń.

– Od dzisiaj?

Uśmiechnęła się szerzej.

– Jeżeli obiecasz, że nie umrzesz mi na rękach.

– Ale najpierw wypijemy nasz przepyszny bezkofeinowy napar, prawda?

– A ty będziesz mnie uwodził opowiadaniem.

– Masz na myśli historię tego zabójstwa? Doszło do niego tu, na górze, w jednym z pokoi. Żona bankiera, która lubiła sobie od czasu do czasu poflirtować.

– Zamordowana przez kochanka?

– Taka była jedna z hipotez.

Strzepnęła niewidoczne okruchy z klap jego marynarki.

– Długo potrwa ta opowieść?

– To zależy, w jakim skrócie chcesz ją usłyszeć.

Zastanawiała się przez chwilę.

– W takim, żeby zajęła nam drogę taksówką do mnie albo do ciebie.

– Czyli tylko najlepsze kawałki.

Za drzwiami rozległo się chrząknięcie gościa restauracji, który nie był pewien, co w takiej sytuacji nakazuje etykieta. Przeprasząc pod nosem, zdecydował się na bezpieczne wnętrze kabiny i precyzyjnie

obok nich. Rebus i Quant z uśmiechem wrócili do stolika, gdzie czekały już na nich dwie filiżanki bezkofeinowej kawy.

KIEDY ZADZWONIŁ TELEFON, detektyw inspektor Siobhan Clarke siedziała w domu z książką, przy resztkach dania z mikrofalówki. Dzwoniła Tess, koleżanka, która była dyspozytorką w Bilston Glen.

– Normalnie nie zwracałabym ci głowy, Siobhan, ale kiedy usłyszałam nazwisko ofiary...

Dlatego Clarke siedziała teraz za kierownicą vauxhalla astry i jechała do Szpitala Królewskiego. Znajdował się na południowym obrzeżu miasta i o tej porze na parkingu było sporo miejsca. Kiedy wylegitymowała się w recepcji oddziału ratunkowego, pokazano jej, w którą stronę ma się skierować. Mijała stanowiska i zagłądała za każdą zasłonę, która była zasunięta. Starsza kobieta z niemal przezroczystą skórą posłała jej promienny uśmiech z nosy na kółkach. Pacjenci i ich rodziny spoglądali na Clarke z nadzieją w oczach. Dwóch pielęgniarzy uspokajało pijanego chłopaka, któremu z głowy wciąż sączyła się krew. Kobieta w średnim wieku wymiotowała do jednorazowej miski. Nastolatka z kolanami podciągniętymi pod brodę wydawała ciche, miarowe jęki.

Clarke najpierw rozpoznała jego matkę. Gail McKie pochylała się nad leżącym synem i gładziła go po czole i włosach. Zamknięte oczy Darryla Christiego były sine i obrzmiałe, nozdrza spuchniętego nosa wypełniała zakrzepła krew. Jego głowę unieruchomiono piankowym stabilizatorem, podparto też kark. Miał na sobie garnitur, ale koszula była rozpięta aż do pasa. Na piersi i brzuchu widać było ślady stłuczenia, ale oddychał. Do palca przypięto mu klips podłączony do maszyny monitorującej parametry życiowe.

Gail McKie, która usłyszała, że ktoś się pojawił, odwróciła się. W grubej warstwie makijażu na jej twarzy lży wyzłobiły wyraźne smugi. Włosy ufarbowane na słomkowy blond nosiła wysoko upięte. Na obu nadgarstkach pobrzękiwała biżuteria.

– Znam panią – rzuciła. – Pani jest z policji.

– Przykro mi z powodu tego, co spotkało pani syna – powiedziała Clarke, robiąc parę kroków. – Ale nic poważnego się nie stało?

– Niech pani tylko popatrzy! – Gail McKie podniosła głos. – Niech pani zobaczy, co ci dranie mu zrobili! Najpierw Annette, a teraz to...

Annette. Kiedy została zamordowana, była jeszcze dzieckiem, a jej zabójcę złapano i zapuszkowano, choć niedługo potem też zginął, pchnięty nożem w serce przez współwięźnia, którego – najprawdopodobniej – namówił do tego brat Annette, Darryl.

– Wie pani, co się stało? – spytała Clarke.

– Leżał na podjeździe. Usłyszałam samochód i zdziwiłam się, czemu to tak długo trwa. Światła przed domem zapaliły się i zgasły, a on się nie pojawiał, chociaż na kuchence czekała kolacja.

– To pani go znalazła?

– Na ziemi obok samochodu. Musieli się na niego rzucić, ledwie wysiadł.

– Niczego pani nie widziała?

Matka Christiego wolno pokręciła głową, skupiając całą uwagę na synu.

– Co mówią lekarze? – pytała dalej Clarke.

– Na razie nic nie powiedzieli.

– Darryl nie odzyskał przytomności? Mógł mówić?

– A co pani chce od niego usłyszeć? Przecież równie dobrze jak my wie pani, że to sprawka Cafferty’ego.

– Lepiej nie wyciągać pochopnych wniosków.

Gail McKie prychnęła drwiąco, ale szybko się wyprostowała, bo ocierając się o policjantkę, zbliżyły się do niej dwie osoby w białych kitlach, kobieta i mężczyzna.

– Sugerowałabym tomografię i prześwietlenie klatki piersiowej. O ile wiemy, najbardziej ucierpiał tułów, więc... – Lekarka urwała, gdy jej wzrok spoczął na policjantce.

– Wydział dochodzeniowy – rzuciła Clarke.

– To nie jest teraz najpilniejsza sprawa. – Lekarka dała znak swojemu koledze, by zasunął zasłony.

Kiedy Clarke znalazła się po ich drugiej stronie, przez chwilę nie dawała za wygraną i próbowała nasłuchiwać, ale zewsząd dochodziło za dużo krzyków i jęków. Z westchnieniem wycofała się do poczekalni. Dwaj mundurowi wypytywali o szczegóły parę ratowników. Pokazała im legitymację i upewniła się, że rozmawiają o Christiem.

– Leżał na ziemi po stronie kierowcy między range roverem a ścianą – relacjonował jeden z mundurowych. – Zdążył zamknąć samochód i ciągle miał w ręce pilota. Brama jest sterowana elektrycznie i najwyraźniej zamknął ją, kiedy wjechał na podjazd.

– O jakim adresie dokładnie mówimy? – przerwała mu.

– Inverleith Place. Okna domu wychodzą na park Inverleith, zaraz przy ogrodzie botanicznym. Wolno stojący dom.

– Jacyś sąsiedzi?

– Jeszcze z nimi nie rozmawialiśmy. Zgłoszenie było od matki. Leżał tam najwyżej kilka minut...

– Zawiadomiła policję?

Posterunkowy pokręcił głową.

– Wezwała nas – odpowiedział ratownik. Był w zielonym uniformie i wyglądał na wyczerpanego, podobnie jak jego koleżanka. – Kiedy go zobaczyliśmy, daliśmy znać policji.

– Ciężki dzień? – Clarke przyglądała się, jak przeciera oczy.

– Nie bardziej niż zwykle.

– Czyli mieszka z nim matka. Ktoś jeszcze?

– Dwaj młodszy bracia. Matka stawiała na głowie, żeby nie zobaczyli go z bliska.

Odwróciła się do mundurowych.

– Rozmawialiście już z braćmi?

Obaj pokręcili głowami.

– Myśli pani, że to robota zawodowców? – zapytała ratowniczką. I nie czekając na odpowiedź, dodała: – No bo zaczęli się... rąbnęli go kijem baseballowym, może łomem albo młotkiem, a potem zwiali, zanim ktokolwiek się zorientował.

Clarke zignorowała jej uwagę.

– Są tam jakieś kamery? – spytała.

– Na rogach domu – potwierdził drugi policjant.

– No, to już coś.

– Ale i tak wszyscy wiemy, prawda?

– Co takiego wiemy? – rzuciła Clarke, patrząc na ratowniczkę.

– To miał być śmiertelny atak albo ostrzeżenie, ale w jednym i drugim przypadku...

- Tak?
- Duży Ger Cafferty. – Ratowniczką wzruszyła ramionami.
- Ciągłe słyszę to nazwisko.
- Matka ofiary wydawała się prawie pewna, że to on – wtrącił ratownik. – Obwieszczała to całemu światu. Dorzucając parę przekleństw.
- Na tym etapie to tylko spekulacje – ostrzegła ich Clarke.
- Kto nie spekuluje, ten nie zyskuje – odparła ratowniczką, ale uśmiech spełził jej z twarzy, gdy dostrzegła spojrzenie, jakim uraczyła ją detektyw inspektor.

REBUS SIEDZIAŁ NA ŁÓŻKU w pokoju gościnnym. W dawnych dobrych czasach mieszkała tu jego córka Sammy, zanim żona mu ją zabrała. Sammy dziś sama była matką, a Rebus dziadkiem. Rzadko ich jednak widywał. Z pokoju zniknęła galeria plakatów, choć poza tym niewiele się tu zmieniło. Ta sama tapeta, goły materac, kołdra razem z małą poduszką złożone w szafie, zawsze pod ręką, gdyby jakiś gość chciał przenocować. Rebus nie pamiętał jednak, kiedy coś takiego zdarzyło się ostatni raz, zresztą chyba lepiej, bo pokój był równie przytulny jak składzik. Na łóżku i pod nim stały pudła, inne piętrzyły się na szafie i po jej obu stronach. Sięgały nawet połowy okna, co uniemożliwiało mu zamknięcie drewnianych okiennic. Wiedział, że coś powinien zrobić z tymi kartonami, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że to nigdy nie nastąpi. Ktoś inny będzie musiał się tym zająć po jego śmierci – prawdopodobnie Sammy.

W końcu znalazł pudło, o które mu chodziło, i siedział z jego zawartością na rogu łóżka, ze swoim psem Brilllem u stóp. *Październik 1978 roku. Maria Turquand. Uduszona w pokoju numer 316 w hotelu Caledonian.* Rebus krótko prowadził tę sprawę, aż do starcia z przełożonym. Gdy odstawiono go na boczny tor, nadal się nią interesował; zbierał wycinki z gazet i notował różne informacje, głównie plotki i pogłoski przekazywane przez kolegów. Jeden z powodów, dla którego ją zapamiętał: prawie dokładnie rok wcześniej zamordowano dwie nastolatki, które spędziły wieczór w pubie World's End. Ich sprawa niemal w ogóle nie posunęła się do przodu i śledztwo odkładano już na półkę, ale w siedemdziesiątym ósmym podjęto ostatnią rozpaczliwą próbę sprawdzenia, czy rocznica zabójstwa odświeży czyjąś pamięć albo poruszy czyjeś sumienie. Rebusa za niesubordynację ukarano długim samotnym dyżurem przy telefonie. Dzwoniły tylko świry. Tymczasem koledzy włączyli się po hotelu Caledonian, robiąc sobie przerwy na herbatkę i ciasteczka między kolejnymi przesłuchaniami.

Maria Turquand urodziła się jako Maria Frazer. Zamożni rodzice, prywatne szkoły. Wyszła za młodego człowieka z przyszłością. Nazywał się John Turquand i pracował w prywatnym banku Brough's, w którym ulokowano sporo starych szkockich pieniędzy, a konta miały w nim tylko osoby z grubymi i zaufanymi portfelami. Tajemnicza sprawa, choć zagadka z wolna zaczęła się wyjaśniać, w miarę jak bank wypełniał skarbiec i szukał możliwości zainwestowania swoich zasobów. Okazało się, że rozważał nawet przejęcie Królewskiego Banku Szkocji, co byłoby równoznaczne z nokautującym ciosem zadany przez Dawida potężniejszemu i bardziej krzepkiemu bratu Goliata. Z powodu zabójstwa Marii Turquand Brough's trafił na pierwsze strony ogólnokrajowej prasy i pozostał tam za sprawą kolejnych artykułów na temat burzliwego życia prywatnego ofiary. Przewijał się przez nie długi korowód kochanków, których Turquand zazwyczaj przyjmowała w wynajmowanym na stałe pokoju w Caley. W zapiskach Rebusa pojawiały się zasłyszane nazwiska – niepotwierdzone, choć znalazł się wśród nich poseł z Partii Konserwatywnej.

Czy jej mąż o wszystkim wiedział? Nic na to nie wskazywało. W każdym razie miał alibi, ponieważ cały dzień spędził na spotkaniu z prezesem banku, sir Magnusem Broughem. Ostatni kochanek Marii, niejaki Peter Attwood, playboy i kombinator – notabene, znajomy jej męża – przez pewien czas był w poważnych tarapatkach, bo nie potrafił wytłumaczyć, co robił tamtego popołudnia, dopóki nie ujawniła się jego nowa kochanka, mężatka, którą starał się chronić.

Przyzwicie się zachował, pomyślał Rebus.

To wszystko wystarczyłoby, by dać historii jakiś punkt zaczepienia, nawet bez udziału gwiazdy muzyki, która wystąpiła w drugoplanowej roli. Ale tak się złożyło, że w Caley zatrzymał się wtedy Bruce Collier z zespołem, menedżerem i całą świtą, ponieważ hotel znajdował się niedaleko Usher Hall, gdzie zaplanowano koncert. Na początku lat siedemdziesiątych Collier należał do grupy rockowej Blacksmith. Rebus poszedł kiedyś na występ tego zespołu i był prawie pewien, że do dziś ma ich trzy albumy. To był szok, gdy Collier rozstał się z Blacksmith, by rozpocząć karierę solową. Wybrał łagodniejsze brzmienie i z coraz większym powodzeniem wykonywał covery przebojów popowych z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Koncert w jego rodzinnym mieście z okazji comebacku, rozpoczynający brytyjską trasę, na którą sprzedano wszystkie bilety, zwabił dziennikarzy i ekipy telewizyjne z całego kraju i zagranicy.

Przeczucząc wycinki prasowe, Rebus znalazł mnóstwo zdjęć. Collier z burzą włosów, w wążiutkich dżinsach, z szyją przystrojoną jedwabnymi apaszkami, przyłapany w blasku flesza na schodach prowadzących do hotelu. Potem sfotografowany na spacerze po swojej dawnej dzielnicy, kiedy przystanął przed domem szeregowym, w którym się wychował. Wypytywany przez prasę, przyznał, że będzie go przesłuchiwać policja. Artykuł ilustrowało zdjęcie Marii Turquand zrobione na jakimś przyjęciu, które często wykorzystywano przez parę tygodni po jej śmierci. Miała na sobie krótką sukienkę z bardzo głębokim dekoltem i patrzyła w obiektyw z ustami ułożonymi w dziubek, trzymając w jednej ręce papierosa, a w drugiej drinka. Gazety poświęcały sporo miejsca jej „barwnemu stylowi życia”, armii kochanków i wielbicieli, wakacjom w kurortach narciarskich i na Karaibach. Niewiele wspominało o jej końcu, o strachu, jaki musiał ją paraliżować, o palącym bólu, gdy dłonie zabójcy miażdżyły jej drogi oddechowe.

Według raportu z sekcji zwłok były to silne męskie dłonie.

– Co robisz?

Rebus uniósł wzrok. W drzwiach stała Deborah Quant, w długim białym T-shircie, który zostawiła kiedyś w szufladzie w jego sypialni z myślą o spędzanych tu od czasu do czasu nocach. Spotykali się od prawie roku, ale oboje wykluczali możliwość zamieszkania razem – mieli swoje nawyki, za bardzo przyzwyczaili się do własnego towarzystwa i codziennej rutyny.

– Nie mogłem spać – odparł.

– Przez kaszel? – Odgarnęła do tyłu długie włosy.

W odpowiedzi wzruszył ramionami. Jak mógł jej wytłumaczyć, że marzył o papierosach i obudził go głód nikotynowy, głód, którego nie mogła zaspokoić żadna liczba plasterów, gum do żucia ani elektronicznych zamienników?

– Co to za rzeczy? – Trąciła bosą stopą jeden z kartonów.

– Nigdy tu nie wchodziłaś? To po prostu... dawne sprawy. Rzeczy, które mnie kiedyś interesowały.

– Myślałam, że jesteś emerytem.

– Jestem emerytem.

– Ale ciągle nie dają ci spokoju?

Znowu wzruszył ramionami.

– Myślałem o Marii Turquand. Kiedy zaczęłam ci o niej opowiadać, uświadomiłem sobie, że nie pamiętam wielu szczegółów.

– Powinieneś spróbować zasnąć.

– Nie muszę rano wstawać do pracy jak niektórzy. To ty powinnaś spać.

– Moi klienci raczej nie narzekają, kiedy spóźniam się parę minut. To zaleta pracy z nieboszczykami. – Umiłła. – Napiłabym się wody. Chcesz coś? – Pokręcił głową. – Nie siedź za długo.

Patrzył, jak wycofuje się na korytarz i skręca do kuchni. Jeden wycinek zsunął się z jego kolan i spadł na podłogę. Był młodszy o kilka lat od pozostałych. Utonięcie w basenie na Wielkim Kajmanie. Ofiara spędzała wakacje z przyjaciółmi, wśród których byli Anthony i Francesca Broughowie, wnuki sir Magnusa. Zdjęcie przedstawiało elegancki dom z zewnątrz, a podpis wyjaśniał, że to własność sir Magnusa, który niedawno zmarł. Rebus nie był pewien, po co dołączył ten wycinek do historii zabójstwa Marii Turquand, prócz tego, że artykuł dał gazecie pretekst do zamieszczenia fotografii Marii, co przypomniało Rebusowi o jej urodzie i jego złości, gdy odebrano mu sprawę.

Spojrzał na zachowane numery „Scotsmana” z tygodnia, kiedy popełniono zbrodnię: przyjazd uchodźców z Wietnamu, którzy zamierzali zacząć nowe życie; występ B.B. Kinga w programie *Old Grey Whistle Test*; *Zemsta Różowej Pantery* w kinach; reklama Królewskiego Banku Szkocji ze zdjęciem bliźniaczych wież WTC; Margaret Thatcher z wizytą w East Lothian przed wyborami uzupełniającymi; góry śmieci w Edynburgu z powodu przeciągającego się strajku śmieciarzy...

A w dziale sportowym: *Szkockie kluby bez bramek w rozgrywkach europejskich*.

– Niektóre rzeczy się nie zmieniają – mruknął pod nosem Rebus.

Gdy schował wszystko w pudle z napisem *77-80*, otrzepał kurz z dłoni i siedział jeszcze przez chwilę, rozglądając się po pokoju. Większość tych papierzysk dotyczyła jego śledztw, spraw, nad którymi pracował, które w końcu zostały wyjaśnione – a wszystko to składało się... właściwie na co? Dorobek życia policjanta. Miał jednak wrażenie, że prawdziwa historia pozostaje niespisana, a jej ślady można znaleźć w różnych raportach i pospiesznie nagryzmołonych notatkach. Nagie fakty aresztowań i wyroków skazujących pokazywały tylko część prawdy. Zastanawiał się, kto mógłby to wszystko zrozumieć, lecz wątpił, by komukolwiek się chciało. Na pewno nie córce – rzuciłaby tylko okiem, a potem wywaliłaby cały majdan do kontenera na śmieci.

Ale ciągle nie dają ci spokoju...

Może to i racja. Odszedł z pracy dopiero wtedy, kiedy mu powiedzieli, że nie ma wyboru; odesłali go na emeryturę, bo uznali, że jego umiejętności nie są już istotne ani użyteczne. *Adios*. Brillo najwyraźniej wyczuł panującą w pokoju atmosferę – uniósł łeb i trzącał pyskiem nogę swojego pana, dopóki Rebus nie podrapał go uspokajająco za uchem.

– Już dobrze. Wszystko gra.

Rebus podniósł się z łóżka, zgasił światło, zaczekał, aż pies wyjdzie za nim z pokoju, i zamknął drzwi. W kuchni zaszumiał czajnik i Quant nalala wody do kubka.

– Chcesz? – spytała.

– Lepiej nie – odparł Rebus. – Będę musiał za godzinę pędzić, żeby się wysikać.

– Już mnie wtedy nie będzie, rano mam mnóstwo spraw do załatwienia. – Ruchem głowy wskazała jego telefon, który ładował się na blacie. – Brzęczał.

– Tak? – Wziął go i zerknął na ekran.

- Przypadkiem zauważyłam, że pierwsza wiadomość to przypomnienie ze szpitala.
- Rzeczywiście.
- Masz następne badania?
- Na to wygląda. – Wpatrywał się w ekran, unikając jej wzroku.
- John...
- To nic takiego, Deb. Jak powiedziałaś: następne badania.
- Ale jakie?
- Dowiem się, jak pójdę.
- Nie zamierzałeś mi o nich mówić, prawda?
- O czym tu mówić? Mam zapalenie oskrzeli, pamiętasz? – Udał, że kaszle, waląc się w pierś. – Chcą mi po prostu zrobić następne badania.

Wstukał PIN do telefonu i zobaczył, że przyszła jeszcze jedna wiadomość, wyświetlona tuż pod zawiadomieniem wysłanym przez automat służby zdrowia. Wiadomość od Siobhan Clarke. Czytając ją, lekko zmrużył oczy.

Miałeś ostatnio jakiś kontakt z Caffertym?

Quant postanowiła się nie odzywać; dmuchała na herbatę i powoli ją popijała.

– Muszę zadzwonić – mruknął Rebus. – To od Siobhan.

Poszedł do ciemnego salonu. Na stoliku stała w połowie pusta butelka wina. Nikły blask wieży hi-fi wskazywał na to, że jej nie wyłączył. Ostatni odtwarzany album: *Solid Air* Johna Martyna. Podchodząc do okna, miał wrażenie, że zamiast po miękkim dywanie stąpa jak w piosence po stężonym na kamień powietrzu. Co miał powiedzieć Deb? Na płucu mam jakiś cień, więc odtąd będę musiał używać takich strasznych słów jak „tomografia” i „biopsja”? Nawet nie chciał o tym myśleć, a tym bardziej mówić. Wypalone w ciągu całego życia papierosy ruszyły do frontalnego kontrataku. Kaszel, który nie chciał ustąpić; płucie krwią do umywalki; przepisany inhalator, przepisany nebulizator; POChP...

Rak płuc.

Wykluczone, żeby wyłączył to do swojego słownika. Nie, nie, nie. Zachowaj umysł w formie, skup się na czymś innym, nie myśl o tych wszystkich smakowitych papierosach wypalonych dokładnie w tym miejscu, często w środku nocy, przy ściszonej płycie Johna Martyna. Czekaając, aż Clarke podniesie słuchawkę, patrzył obok niewyraźnego odbicia swojej twarzy na okna po drugiej stronie ulicy, ciemne albo zasłonięte. Na chodnikach w dole nie było nikogo, ulicą nie jechał żaden samochód, na niebie jeszcze ani śladu zbliżającego się dnia.

- To mogło zaczekać – odezwała się w końcu Clarke.
- W takim razie po co piszesz do mnie o czwartej nad ranem?
- Wysłałam wiadomość bliżej północy. Byłeś zajęty?
- Owszem. Spaniem.
- Ale już nie śpisz.
- Ty też. No więc co Cafferty znowu zmalował?
- Rozmawiałeś z nim ostatnio?
- Dwa czy trzy tygodnie temu.
- Dalej w nic się nie miesza? Ciągłe bywa na salonach jako szanowany eksgangster?
- Wyduś to wreszcie.

– Zeszłej nocy Darryl Christie dostał lanie pod własnym domem. Pęknięte żebra, jedno albo trzy, i parę obruszonych zębów. Nos właściwie nie został złamany, ale tak wygląda. Matka od razu wyskoczyła z nazwiskiem Cafferty’ego.

– Cafferty jest starszy od młodego Darryla o czterdzieści parę lat.

– Jest też sporo cięższy. Ale oboje wiemy, że w razie potrzeby mógłby kogoś wynająć.

– Tylko po co?

– Nie tak dawno temu przypuszczał, że Darryl wyznaczył cenę za jego głowę.

Rebus zastanowił się nad tym. Kiedy ktoś posłał kulkę Cafferty’emu stojącemu wieczorem we własnym salonie, pierwszym podejrzanym był jego rywal Christie.

– Udowodniono mu, że się mylił – zauważył po chwili.

– Ale trochę go to ruszyło, prawda? Może sobie przypomniał, jak tęskni za czasami, gdy był królem miasta.

– Co właściwie miałby osiągnąć, spuszczać manto Darrylowi Christiemu?

– Nastraszyć go, może sprowokować do jakiegoś bezmyślnego kroku...

– Tak sądzisz?

– To po prostu... moje spekulacje – odparła Clarke.

– Zadałaś sobie trud, żeby spytać Darryla?

– Nafaszerowali go prochami i zostawili na noc w szpitalu.

– Nie było świadków?

– Będziemy wiedzieć więcej za kilka godzin.

Rebus przycisnął palec do szyby.

– Chcesz, żebym pogadał o tym z Dużym Gerem?

– Lepiej, żeby zostawić sprawę policji, nie sądzisz?

– Oj. A właśnie, skoro o tym mowa... ciągle nie rozmawiasz z Malcolmem?

– Co mówił?

– Niewiele, ale mam wrażenie, że jego awans do Gartcosh podziałał na ciebie jak płachta na byka.

– Wobec tego tym razem twoja niezwykła intuicja cię zawiodła.

– Niech ci będzie. Ale jeżeli chcesz, żebym pogadał z Caffertym, to po prostu mi powiedz.

– Dzięki. – Usłyszał, jak Clarke wzdycha. – A tak w ogóle, co u ciebie?

– Jak zwykle, mam pełne ręce roboty.

– Czym jesteś taki zajęty?

– Hobby, jakim ludzie oddają się na emeryturze. Właściwie to mogłabyś mi w tym pomóc.

– Naprawdę?

Odwrócił się od okna. Brillo siedział przy swoim panu w oczekiwaniu na dalszy ciąg piesszot. Zamiast podrapać go po łbie, Rebus z uśmiechem puścił do niego oko.

– Masz dostęp do akt spraw niewyjaśnionych? – powiedział do słuchawki.

DZIEŃ DRUGI

ROZDZIAŁ 2

MALCOM FOX NIE ZNOSIŁ dojazdów do pracy – prawie siedemdziesiąt kilometrów w każdą stronę, w tym większość autostradą M8. Bywały dni, że jazda przypominała kreskówkę *Odlotowe wyścigi*; samochody lawirowały w gęstym ruchu, posapujące ciężarówki wtaczały się na prawy pas, żeby z trudem wyprzedzić inne, na trasie czaiły się przeszkody w postaci robót drogowych, zepsutych pojazdów i porywistego wiatru z ulewnym deszczem. Nie miał się jednak komu poskarżyć, bo jego koledzy z Gartcosh, gdzie mieściła się siedziba Scottish Crime – rządowej inicjatywy, która miała zapewnić współpracę policji z różnymi agencjami w celu zwalczania przestępczości zorganizowanej i terroryzmu – uważali się za policyjną śmietankę, a dowodem na to miał być supernowoczesny budynek, jaki zajmowali. Kiedy już człowiek znalazł miejsce na parkingu i wylegitymował się przy bramie, wchodził do zamkniętego kompleksu, który ze wszystkich sił starał się przypominać nowo zbudowany uniwersytet dla elity. Mnóstwo ciepłych i jasnych otwartych przestrzeni. Części wspólne, gdzie mogli spotykać się specjaliści z różnych dziedzin, by wymienić się informacjami. Nie tylko ludzie z wielu komórek specjalnego wydziału kryminalnego, ale także z laboratorium kryminalistyki, prokuratury i pionu śledczego urzędu skarbowo-celnego. Wszyscy szczęśliwie znaleźli schronienie pod jednym dachem. Fox od nikogo nie słyszał narzekań na długi dojazd do Gartcosh i równie długi powrót do domu, a wiedział, że nie tylko on mieszka w Edynburgu.

Edynburg... Foxa przeniesiono zaledwie przed miesiącem, mimo to tęsknił za swoim dawnym biurem w dochodzeniówce. Tu jednak nikt nie miał mu za złe, że kiedyś pracował w wydziale spraw wewnętrznych, czyli był gliniarzem znieawidzonym przez innych gliniarzy. Ale czy ktoś wiedział, co naprawdę kryło się za jego przeniesieniem? Detektyw, który zszedł na manowce, zostawił go na pewną śmierć, a potem tego samego detektywa uprowadzili dwaj zawodowi przestępcy – Darryl Christie i Joe Stark – i odtąd nikt go nie widział. Szefostwo nie chciało upubliczniać tej historii. A prokurator nie miał najmniejszej ochoty postawić żadnego z dwóch gangsterów przed sądem, ponieważ nie znaleziono zwłok.

„Dobry obrońca rozerwałby nas na kawałki”, usłyszał Fox podczas jednego z kilku poufnych spotkań w tej sprawie.

Zaproponowano mu natomiast Gartcosh i była to propozycja nie do odrzucenia. I tak trafił tutaj, gdzie starał się odnaleźć w wydziale dochodzeniowym.

Ale bez powodzenia.

Przypominał sobie stare biurowe powiedzenie o awansowaniu miernoty. Nie uważał się za miernotę, choć wiedział, że nigdy nie miał szansy pokazania, jaki jest wyjątkowy. Siobhan Clarke z pewnością była wyjątkowa i pasowałaby do Gartcosh. Pamiętał jej minę, gdy przekazał jej wiadomość – próbowała ukryć osłupienie i urazę. Po chwili, już z twarzą bez wyrazu, uściśnęła go zdawkowo. Ale potem ich przyjaźń osłabła, pojawiała się coraz więcej pretekstów, by nie iść razem do kina czy restauracji.

Wszystko po to, by mógł dzień w dzień pokonywać siedemdziesiąt kilometrów do Gartcosh i siedemdziesiąt kilometrów do domu.

Weź się w garść, Malcolm, powiedział sobie, wchodząc do budynku. Poruszył ramionami, wykonując nimi szybki obrót, poprawił krawat i zapiął oba guziki marynarki – garnitur kupił specjalnie do pracy. Miał też nowe buty, które na tyle zmiękły, że nie musiał już codziennie naklejać plastrów na pięty.

– Inspektorze Fox!

Przystanął u stóp schodów i odwrócił się w stronę głosu. Czarna koszulka polo z zamkiem błyskawicznym pod szyją; naszywki na krótkich rękawach; dwie smycze z identyfikatorami ze zdjęciem. A nad tym zestawem opalona twarz, krzaczaste czarne brwi i szpakowate włosy. Zastępca naczelnika, Ben McManus. Fox instynktownie wyprężył się jak struna. W Gartcosh było dwoje wicenzelników, a McManus stał na czele wydziału zwalczania przestępczości zorganizowanej i terroryzmu. To nie był chleb powszedni dochodzeniówki – która zajmowała się zabójstwami i innymi poważnymi przestępstwami – ale sprawy, o których rozmawiało się półgłosem i za pomocą gestów, a śledztwa toczyły się za kilkorgiem zamkniętych drzwi w innej części budynku, drzwi, które otwierała jedna z kart magnetycznych zawieszonych na szyi McManusa.

– Tak jest, panie naczelniku? – odpowiedział Fox.

McManus wyciągnął do niego rękę, a gdy inspektor podał mu dłoń, uściśnął ją mocno, kładąc na niej drugą.

– Nie przedstawiliśmy się sobie jak należy. Wiem, że Jen stale znajduje panu coś do roboty...

Jennifer Lyon była drugą zastępczynią naczelnika i szefową Foxa.

– Tak jest, panie naczelniku – powtórzył Fox.

– Słyszałem, że już się pan zaadaptował. Wiem, z początku człowiek może się czuć trochę zdeprymowany... To zupełnie inny układ niż ten, do którego jest przyzwyczajony. Proszę mi wierzyć, wszyscy to przeżyliśmy. – McManus puścił jego rękę i żwawo wspinał się po schodach, a Fox starał się dotrzymać mu kroku. – Ale dobrze, że pan do nas trafił. Bardzo pochlebnie mówią o panu w wydziale szóstym.

Wydział szósty, Edynburg.

– Oczywiście pańskie akta mówią same za siebie... nawet te szczegóły, których wolimy nie pokazywać nikomu spoza policji. – McManus posłał mu uśmiech, który prawdopodobnie miał Foxowi dodać otuchy, inspektor wyczytał jednak z niego tylko tyle, że ten człowiek czegoś od niego chce i musiał go dokładnie sprawdzić. Gdy dotarli do szczytu schodów, skierowali się do jednego z dźwiękoszczelnych szklanych boksów, w których odbywały się prywatne spotkania. W razie potrzeby można było opuścić żaluzje. Przy prostokątnym stole mogło zasiąść osiem osób. Czekala na nich tylko jedna.

Kiedy weszli, wstała, zakładając za ucho pasmo blond włosów. Fox oceniał wiek kobiety na trzydzieści do trzydziestu pięciu lat. Sto sześćdziesiąt siedem, osiem centymetrów wzrostu, ubrana w ciemną spódnicę i białoniebieską bluzkę.

– O, nawet podali nam kawę – rzucił McManus na widok dzbanka i kubków. – Wprawdzie nie będziemy tu przesiadywać, ale proszę się częstować.

Fox i kobieta zrozumieli aluzję i pokręcili głowami.

– Tak na marginesie, jestem Sheila Graham.

– Przepraszam – wtrącił McManus. – To wyłącznie moja wina. Sheila, to detektyw inspektor Fox.

– Malcolm – powiedział Fox.

– Otóż Sheila – ciągnął wicenaczelnik – reprezentuje Urząd Skarbowo-Celny Jej Królewskiej Mości. Ich części budynku jeszcze pan nie zwiedzał.

– Kilka razy przechodziłem obok. Armia ludzi stuka w komputery.

– Coś w tym rodzaju – przytaknął McManus. Usiadł i dał znak Foxowi, by zrobił to samo.

– Pracujemy nad typowymi sprawami. – Graham nie odrywała wzroku od inspektora. – Alkohol, papierosy, pranie brudnych pieniędzy, cyberprzestępstwa i oszustwa. Spora część naszych zadań to prosty audyt śledczy, chociaż w tych cyfrowych czasach trudno o cokolwiek prostego. Brudne pieniądze można w mgnieniu oka przelewać z jednego końca świata na drugi, prawie tak samo szybko otwiera się i zamyka rachunki. Nie wspominam nawet o bitcoinach i Dark Webie.

– Już się pogubiłem – przyznał McManus z szerokim uśmiechem i rozłożył ręce w geście kapitulacji.

– Mam zostać przeniesiony? – spytał Fox. – Bo być może nie gorzej niż inni potrafię zrobić bilans dochodów i wydatków, ale...

– Nie brakuje nam ekspertów od cyferek – powiedziała Graham z cieniem uśmiechu. – I część z nich właśnie wzięła pod lupę człowieka, którego chyba znasz, Darryla Christiego.

– Zgadza się, znam go.

– Słyszałeś, co go spotkało wczoraj wieczorem?

– Nie.

Graham wydawała się rozczarowana jego odpowiedzią, jakby właśnie oblał u niej egzamin.

– Dostał lanie i trafił do szpitala.

– W jego branży zawsze jest jakaś cena do zapłacenia – zauważył McManus. Stał i nalewał sobie kawę, nie przejmując się tym, czy któreś z nich też ma ochotę się napić.

– Czym konkretnie interesuje się skarbowka? – zapytał Fox.

– Wiesz, że Christie jest właścicielem kilku punktów bukmacherskich?

Postanowił nie zdradzać, że to też dla niego nowa wiadomość.

– Przypuszczamy, że używa ich do prania brudnych pieniędzy, własnych i należących do innych przestępców – oznajmiła.

– Takich jak Joe Stark z Glasgow?

– Takich jak Joe Stark z Glasgow – powtórzyła tonem, który świadczył, że być może częściowo zrehabilitował się w jej oczach.

– Kilka miesięcy temu Stark i jego ludzie zrobili nalot na Edynburg – wyjaśnił Fox. – Na koniec Joe i Darryl zostali przyjaciółmi.

– Oprócz Starka są inni – wtrącił McManus między jednym łykiem kawy a drugim. – Zresztą nie tylko w Szkocji.

– Duże przedsięwzięcie – zauważył Fox.

– Prawie na pewno idzie w miliony – potwierdziła Graham.

– Potrzebny nam człowiek tam, na miejscu, Malcolm. – McManus nachylił się nad stołem w stronę inspektora. – Ktoś, kto dobrze orientuje się w terenie, ale podlega bezpośrednio nam.

– Po co?

– Możliwe, że podczas śledztwa w sprawie tej napaści wyjdą jakieś nazwiska czy informacje. Zanim Christie wróci do zdrowia, na pewno niejedyn będzie biegał jak kot z pęcherzem. Tymczasem on będzie

się zastanawiał, z kim ma do czynienia: ze współnikiem czy wrogiem?

– I być może zacznie popełniać błędy.

– Być może. – Graham kiwnęła głową.

– Czyli wracam do Edynburga?

– Jako turysta, Malcolm – przestrzegł McManus, grożąc mu palcem. – Musisz ich przekonać, że jesteś naszym człowiekiem, nie ich.

– Mam im powiedzieć, że detektywi skarbowki węszą za Christiem?

– Lepiej nie – odparła Graham.

– Będziesz pracował dla mnie. – McManus dopił kawę i podniósł się z krzesła na znak, że spotkanie jest zakończone. – A to zupełnie naturalne, że wydział zwalczania przestępczości zorganizowanej chce wiedzieć, co się dzieje.

– Tak jest. Mówicie, że wczoraj wieczorem ktoś go napadł? Czyli śledztwo dopiero się zaczyna...

– Prowadzi je... – Graham na moment zamknęła oczy, by przypomnieć sobie nazwisko. – Detektyw inspektor Clarke.

– Oczywiście. – Fox zmusił się do uśmiechu.

– Doskonale! – McManus klasnął w dłoń, wykonał błyskawiczny w tył zwrot i jednym szarpnięciem otworzył drzwi.

Fox wstał, starając się zwrócić na siebie uwagę Sheili Graham.

– Muszę wiedzieć coś jeszcze? – spytał.

– Nie sądzę. – Podała mu wizytówkę. – Najszybciej skontaktuj się ze mną przez komórkę.

Odwzajemnił się swoją wizytówką.

– Nie wiedziałeś o tych punktach bukmacherskich, prawda? – spytała z błyskiem w oczach. – Pokerowa twarz, brawo.

PARKUJĄC PRZED DOMEM Christiego, Siobhan Clarke od razu zauważyła, że budynek wielkością i stylem przypomina dom Cafferty'ego na drugim końcu miasta – dwupiętrowa wiktoriańska kamienica z dużymi wykuszowymi oknami po obu stronach drzwi wejściowych i z długim podjazdem z boku, prowadzącym do wolno stojącego garażu. Furtka w ogrodzeniu nie była zamknięta, więc Clarke podeszła do drzwi i zadzwoniła. Zauważyła już kamery monitoringu, o których poprzedniego wieczoru wspomniał jeden z mundurowych, a jeszcze jedna była wbudowana w mur obok dzwonka.

Otworzyła jej Gail McKie. Stała w przedsionku, mając za plecami przeszkłone drzwi do głównego korytarza. Jej wygląd wskazywał, że w ogóle nie spała: miała na sobie ten sam strój co w szpitalu, a włosy opadały jej na ramiona.

– Nie fatygowałabym się, gdybym wiedziała, że to pani – oznajmiła na powitanie.

Clarke pokazała na kamerę.

– Nie korzysta z niej pani?

– To atropa, tak samo jak reszta. Kiedy kupiliśmy dom, już tu były. Darryl cały czas ma zamiar zamienić je na prawdziwe.

– Jak się czuje?

– Jeszcze dzisiaj wróci do domu.

– To dobrze.

– Było już tu dzisiaj paru waszych, nękali sąsiadów.

– Nie chce pani, żeby policja badała tę sprawę?
– Co was to obchodzi?
– Niektórych z nas obchodzi.
– W takim razie idźcie do Cafferty’ego.
– Nie twierdzę, że tak się nie stanie, ale najpierw musimy odtworzyć przebieg zdarzeń, zaczynając od tego, gdzie znalazła pani syna.

– To nic nie da. Nikogo nie widziałam.
– Darryl był nieprzytomny?
– Przez chwilę myślałam, że nie żyje. – McKie opanowała dreszcz zgrozy.
– Czy pani pozostali synowie mogli coś wiedzieć albo słyszeć?

Pokręciła głową.

– Pytałam ich wczoraj wieczorem.
– Mogę z nimi porozmawiać?
– Są na uczelni.

Clarke zastanowiła się przez chwilę.

– W takim razie możemy się przyjrzeć podjazdowi?

McKie wyraźnie nie miała na to ochoty, ale cofnęła się do domu i zaraz potem wyszła z kremowym prochowcem Burberry narzuconym na ramiona. Idąc przodem, wskazała jedną z kamer.

– Ma czerwone światło i wszystko, co trzeba. Wygląda całkiem jak prawdziwa, prawda?
– W okolicy jest dużo włamań?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Kiedy ma się coś, co inni chcieliby mieć, człowiek zaczyna się niepokoić.
– Może Darryl uznał, że to mało prawdopodobne, by ktoś zaatakował ten dom... skoro jest tym, kim jest. – Clarke czekała na reakcję, ale McKie milczała. – Ładna część miasta – rzuciła.

– Trochę inna niż miejsce, w którym zaczynaliśmy.

– To Darryl wybrał ten dom?

McKie skinęła głową. Doszły do białego range rovera evoque. Samochód stał zaparkowany przy tylnym wejściu. Nad garażem i drzwiami domu zamontowano lampy z czujnikami ruchu. Clarke wskazała oświetlenie.

– Człowiek, który czekał na pani syna, musiałyby włączyć te światła, tak?

– Może. Ale w domu, przy zasuniętych zasłonach, trudno to zauważyć.

– Sąsiedzi mogliby coś zobaczyć?

– Często przyłazą tu lisy, bo obok jest ogród botaniczny. Kiedy gdzieś zapala się lampa z czujnikiem, zawsze myślę, że to one.

Na podjeździe przy drzwiach po stronie kierowcy były zaschnięte plamy krwi. McKie odwróciła od nich wzrok.

– Na pewno by nie chciał, żebym to pani mówiła – powiedziała cicho. – Ale i tak powiem.

– Słucham.

– Były sygnały ostrzegawcze.

– Tak?

– Któregoś wieczoru Darryl zostawił auto przy krawężniku. Na drugi dzień rano miało przecięte przednie opony. To było jakieś dwa tygodnie temu. A w zeszłym tygodniu spalił się kubeł.

– Jak to?

– Wystawiliśmy śmieci do zabrania i ktoś podpalił kubeł. Niech pani sama zobaczy.

Pojemnik stał po prawej stronie od tylnego wejścia do domu; jego plastikowa pokrywa była popieczniona i zdeformowana, część boku do połowy się stopiła.

– Nie zgłosiliście tego?

– Darryl powiedział, że to pewnie dzieciaki. Choć nie jestem pewna, czy sam w to wierzył. Nikogo innego na tej ulicy nic takiego nie spotkało.

– Sądzi pani, że celem był pani syn?

McKie znowu wzruszyła ramionami i przy tym ruchu jej płaszcz zsunął się na ziemię. Pochyliła się, by go podnieść, i zanim go włożyła, otrzępała z brudu.

– Rozmawiała pani z synem już po tym, co się zdarzyło?

– Nic nie widział. Ktoś uderzył go w tył głowy, kiedy zamykał samochód. Mówi, że padł jak kłoda. Sukinsyny musiały go jeszcze bić, gdy leżał nieprzytomny.

– Podejrzewa, że to był więcej niż jeden napastnik?

– Nie ma pojęcia. Ja to mówię.

– Wie pani, czy doszło do innych incydentów tego rodzaju? Może były jakieś groźby? Albo przyszedł list?

Kobieta pokręciła głową.

– Darryl na pewno się dowie, o co chodzi. – Spiorunowała policjantkę wzrokiem. – A może właśnie tego się boicie, hę?

– To byłoby nierozsądne ze strony pani syna, gdyby chciał wziąć sprawy w swoje ręce.

– Zawsze był panem samego siebie, nawet w dzieciństwie. Upierał się, żeby do szkolnego dziennika wpisywali go pod nazwiskiem ojca, mimo że drań zostawił nas i uciekł. A potem, kiedy umarła Annette... – Urwała i głęboko zaczerpnęła tchu, jak gdyby starała się opanować silne wzruszenie. – Darryl szybko dorósł. I wyrósł na silnego i bystrego człowieka. Znacznie bystrzejszego od was.

Zabrzącał telefon Clarke. Wydobyła go z kieszeni i popatrzyła na ekran.

– Jeżeli pani chce, niech pani odbierze – powiedziała McKie.

Ale Clarke pokręciła głową.

– To może zaczekać. Mogłaby pani przekazać coś Darrylowi?

– Co miałabym mu powiedzieć?

– Że chciałabym z nim porozmawiać. I że powinien się zgodzić ze mną spotkać.

– Przecież pani wie, że on nic pani nie powie.

– Mimo to chcę spróbować.

McKie zastanowiła się nad tym, po czym pokiwała głową.

– Dziękuję – rzuciła Clarke. – Zajrzę do pani jeszcze dziś wieczorem, może uda mi się spotkać z braćmi Darryla.

– Płacą pani ekstra za pracę do późna?

– Byłoby super.

W końcu na twarzy Gail McKie pojawił się uśmiech. Ujął jej sporo lat i przypomniał Clarke tamtą kobietę, którą była, pozując do kamer i odpowiadając na pytania na konferencjach prasowych, kiedy

Annette zaginęła i jej los nie był jeszcze znany. Od tamtego czasu zaszło wiele zmian, a najbardziej zmienił się Darryl.

– Około siódmej? – zaproponowała Clarke.

– Zobaczymy – odparła McKie.

Idąc do furtki, Clarke jeszcze raz zerknęła na telefon. Jedno nieodebrane połączenie. Żadnej wiadomości. Poznała ten numer.

Westchnęła i wsunęła telefon z powrotem do kieszeni.

– Cholera, czego ty chcesz, Malcolm?

ROZDZIAŁ 3

REBUS STAŁ PRZED DOMEM Cafferty'ego na zadrzewionej szerokiej ulicy w Merchiston i wpatrywał się w tabliczkę z napisem NA SPRZEDAŻ. Zdążył już okrążyć ogród, zaglądając we wszystkie okna, w których nie były zasunięte zasłony ani opuszczone żaluzje, i upewnił się, że w domu nikogo nie ma. Sąsiadka z naprzeciwka obserwowała go z okna na parterze. Rebus pomachał do niej, a gdy przeszedł przez ulicę, kobieta otworzyła drzwi.

- Kiedy się wyprowadził? – spytał Rebus.
- Jakież dziesięć dni temu.
- Wie pani dlaczego?
- Dlaczego...? – Najwyraźniej nie takiego pytania się spodziewała.
- Może zna pani jego nowy adres? – dodał.
- Ktoś mówił, że widziano go w Quatermile.

Quatermile: dawna siedziba Szpitala Królewskiego, ostatnio przebudowana.

- Mógł zostawić komuś nowy adres?
- Pan Cafferty raczej z nikim się nie zadawał.
- Sąsiedzi pewnie jednak nie byli zachwyceni, kiedy jakiś czas temu ktoś wpakował mu kulę w okno.

– Z tego, co słyszałam, upadł na szybę i ją rozbił.

– Proszę mi wierzyć, to wyglądało zupełnie inaczej. Ile chce za ten dom? – Rebus wskazał głową przeciwną stronę ulicy.

– O takich rzeczach tu nie plotkujemy.

– W takim razie chyba zadzwonię do agenta.

– Proszę zadzwonić. – Zamknęła drzwi, nie z pośpiechem, ale z uprzejmą edynburską stanowczością, więc Rebus wrócił do saaba, wsiadł i wstukał do telefonu numer agencji.

– Informację o cenie podajemy tylko tym, którzy są zainteresowani kupnem – usłyszał w końcu.

– Przecież właśnie po to dzwonię?

– Gdyby zechciał się pan umówić na obejrzenie...

Rozłączył się i pojechał do centrum. W Quatermile był podziemny parking, ale Rebus zatrzymał wóz na okresowym zakazie postoju. Okolica mogła się dziś poszczycić takimi obiektami jak sklepy, klub fitness i hotel. Do starych budynków z czerwonej cegły i szarego kamienia, w których dawniej mieścił się szpital, dołączyły wieżowce ze stali i szkła, a okna najlepszych adresów wychodziły na południe, na wzgórzu Pentland widoczne za parkiem Meadows. W biurze sprzedaży Rebus podziwił makietę całej zabudowy, wziął sobie nawet broszurkę. Kiedy kobieta za ladą poczęstowała go czekoladką z otwartej puszki, wziął ją z uśmiechem, po czym zapytał, gdzie znajdzie Cafferty'ego.

– Och, nie udzielamy tego rodzaju informacji.

– Jestem jego znajomym.

– Wobec tego na pewno potrafi go pan znaleźć.

Rebus skrzywił się i znowu wyjął telefon, by tym razem ułożyć tekst wiadomości.

Jestem przed twoim nowym domem. Wyjdź się przywitać.

Wracając do samochodu, pomyślał, że kiedyś takie przerwy w życiu wypełniał papierosem, a teraz poszedł do Sainsbury's na Middle Meadow Walk i stanął w kolejce po paczkę gumy do żucia. Gdy wracał do saaba, usłyszał piknięcie sygnalizujące nadejście esemesa.

Blefujesz.

Rebus wstukał odpowiedź: *Sainsbury's jest całkiem przyjemne, jeżeli da się znieść studentów.*

Czekał.

Minęły cztery minuty, może pięć, po których w bocznym wejściu do jednego ze starszych budynków ukazał się Cafferty. Srebrne włosy na jego wielkiej głowie były ogolone tuż przy skórze, co podkreślało kształt czaszki przypominającej kulę armatnią. Miał na sobie czarny wełniany płaszcz i czerwony szalik, a spod rozpiętej pod szyją białej koszuli wystawały kępki włosów na piersi. Jego oczy, które zawsze wydawały się za małe, spoglądały tak samo przenikliwie jak zawsze. Rebus sądził, że przez te wszystkie lata służyły Cafferty'emu nie gorzej niż jakakolwiek inna ostra i straszna broń z jego arsenału.

– Czego chcesz, do cholery? – warknął Duży Ger.

– Może zaproszenia na parapetówkę?

Cafferty wepchnął ręce do kieszeni.

– Nie wygląda mi to na towarzyską wizytę, ale o ile sobie dobrze przypominam, jesteś na emeryturze, więc co ci chodzi po głowie?

– Nasz dawny przyjaciel Darryl Christie. Pamiętam, że ostatnim razem rozmawialiśmy o nim. I stwierdziłeś wtedy, że masz w sobie jeszcze trochę ikry.

– Co z tego?

– To, że trafił do szpitala.

Usta Cafferty'ego ułożyły się w literę O. Wyjął z kieszeni dłoń i potarł nos.

– Chodzisz na kurs aktorski? – spytał Rebus.

– Pierwsze słyszę.

– I domyślam się, że masz żelazne alibi na wczorajszy wieczór?

– Czy to nie jest pytanie, które powinien zadać detektyw?

– Na pewno usłyszysz je od właściwych osób. W komunikatach przewija się twoje nazwisko.

– Darryl próbował namieszać? – Cafferty pokiwał głową. – Czemu nie? Bramka jest pusta, pewnie sam skorzystałbym z okazji i zrobił to samo.

– Przecież zrobiłeś... kiedy kulka roztrzaskała ci okno w salonie.

– Słusznie. – Duży Ger rozejrzał się, pociągając nosem. – Właśnie wybierałem się na przedpołudniową kawę. Chyba nic złego się nie stanie, jeżeli siądziesz sobie w pobliżu.

– Kawiarnie tutaj nie są zapchane ludźmi, którzy urwali się z wykładów?

– Na pewno uda się znaleźć spokojny kącik – uspokoił go Cafferty.

Nie udało się w pierwszych dwóch lokalach, szczęście uśmiechnęło się w trzecim, Starbucksie przy Forrest Road. Duży Ger wziął podwójne espresso, Rebus americano. Na nieszczęście zamówił dużą kawę, co oznaczało, że dostał kubek wielkości głowy.

Cafferty wysypał cukier do swojej małej filiżanki. Wprawdzie nie znaleźli spokojnego kącika, ale jeśli nie liczyć kilku studentów pochylonych nad książkami i laptopami, kawiarnia była cicha, a ich stolik znajdował się w całkiem ustronnym miejscu.

– Wszędzie w kawiarniach jest muzyka – zauważył Cafferty ze wzrokiem skierowanym na zamontowane na suficie głośniki. – Tak samo w restauracjach i w połowie sklepów. Doprowadza mnie do obłądu...

– To nawet nie jest prawdziwa muzyka – rzucił Rebus. – W każdym razie nie taka, jak za naszych czasów.

Spojrzeni na siebie i wymienili krzywe uśmiechy, na moment skupiając uwagę na napojach.

– Zastanawiałem się, kiedy się pokażesz – odezwał się w końcu Cafferty. – Nie w sprawie Darryla Christiego, ale w ogóle. Wyobrażałem sobie, jak regularnie jeździsz przed moim domem i liczysz, że przyłapiesz mnie na czymś, za co mógłbyś mnie postawić przed sądem.

– Tyle że nie jestem już detektywem.

– Może dokonałbyś obywatelskiego zatrzymania.

– Dlaczego wystawiłeś na sprzedaż swój stary dom?

– Tylko wiatr po nim hulał. Uznałem, że pora przyciąć metraż.

– No i jeszcze tamten strzał w okno.

Cafferty pokręcił głową.

– Nie miał z tym nic wspólnego. – Wypił następny łyk gęstego czarnego naparu. – Czyli Darryl nadepnął komuś na odcisk, tak? Ryzyko zawodowe, obaj je znamy.

– Jest ważnym graczem w mieście, prawdopodobnie najważniejszym, chyba że masz inne informacje.

– Co nie znaczy, że jest nietykalny.

– Zwłaszcza jeżeli człowiek, którego odstawił na boczny tor, decyduje się na comeback.

– Nikt nie odstawił mnie na boczny tor. – Duży Ger najeżył się i wyprostował ramiona.

– W takim razie wyniosłeś się po cichutku i jesteś zachwycony, że zostawiłeś miasto w jego rękach.

– Tak daleko raczej bym się nie posunął.

– Masz dla mnie jakieś nazwiska?

– Nazwiska?

– Przecież sam mówiłeś: nastąpił komuś na odcisk.

– To już nie twoja rzecz, Rebus. Zapomnieli ci o tym powiedzieć?

– Ciekawość mi jednak została.

– Najwyraźniej.

– Człowiek musi mieć jakieś hobby. Nie mam najmniejszego pojęcia, jakie może być twoje. – Cafferty zmierzył go wściekłym spojrzeniem i obaj umilkli; wpatrywali się w swoje kawy, dopóki Rebus nie uniośł palca. – Poznaj tę melodię.

– To Bruce Collier, zgadza się?

Rebus skinął głową.

– Widziałeś go kiedyś na żywo? – spytał.

– W Usher Hall.

– W siedemdziesiątym ósmym?

– Mniej więcej.

- Czyli pamiętasz zabójstwo Marii Turquand?
- W hotelu Caley? – Cafferty kiwał głową. – To była robota kochanka, prawda? Zmusił swoją nową flamę, żeby kłamała w żywe oczy, i dzięki temu uniknęła dożywocia.
- Tak sądzisz?
- Wszyscy tak myśleli, łącznie z wami. A wiesz, że sprowadził się w te strony?
- Kochanek?
- Nie, Bruce Collier. Chyba gdzieś czytałem.
- Ciągle gra?
- Bóg jeden raczy wiedzieć. – Cafferty dopił resztkę espresso. – Skończyliśmy czy czekasz, aż się przyznam, że spuściłem łomot Darrylowi?
- Nigdzie się nie spieszę. – Rebus pokazał na kubek. – Zostało mi jeszcze pół kadzi.
- W takim razie nie będę ci przeszkadzał. W końcu jesteś teraz próżniakiem, najwyższy czas, żebyś przyjął ten fakt do wiadomości.
- A ty? Czym ty się zajmujesz?
- Jestem biznesmenem. Robię interesy.
- W stu procentach legalne?
- O ile twoi następcy nie udowodnią, że jest inaczej. A propos, co słychać u Siobhan?
- Dawno jej nie widziałem.
- Ciągle chodzi z inspektorem Foxem?
- Tak mi chcesz zaimponować? Pokazując, że wciąż wiesz, co w trawie piszczy? Bo jeżeli tak, to chyba słuch ci się przytępił i wiesz, że piszczy, ale nie wiesz, w której trawie.
- Cafferty już stał i poprawiał szalik, otulając nim szyję.
- No dobra, detektywie amatorze. Coś ci powiem. – Pochylił się nad siedzącym Rebusem, niemal dotykając czołem jego czoła. – Szukaj Rosjanina. Podziękujesz mi później.
- Mrugnął, uśmiechnął się i zniknął.
- Co to niby ma znaczyć? – mruknął do siebie Rebus ze zmarszczonymi brwiami. Po chwili uświadomił sobie, że piosenka, którą właśnie skończył śpiewać Bruce Collier, była jego wersją *Back in the USSR* Beatlesów. – Szukaj Rosjanina – powtórzył ze wzrokiem wbitym w wielki kubek i nagle poczuł, że musi skorzystać z toalety.

KIEDYŚ, WCHODZĄC DO KOMISARIATU przy Gayfield Square, Siobhan Clarke czuła przesywający ją dreszcz emocji. Każdy dzień przynosił nowe sprawy i nowe wyzwania, czasem nawet mogło się trafić coś grubszego – zabójstwo albo poważna napaść. Teraz jednak Państwowa Policja Szkocji sformowała własną jednostkę do najważniejszych śledztw, więc miejscowemu wydziałowi dochodzeniowemu przypadła poślednia rola pomocnicza – a co w tym fajnego? Co dzień wszędzie było słycać pomruki i narzekanie; funkcjonariusze odliczali dni do emerytury albo szli na chorobowe. Dobrym źródłem plotek była dyspozytorka Tess, nawet jeśli same plotki były raczej niewesołe.

Na domiar złego Clarke musiała zostawić samochód na płatnym parkingu, ponieważ nie znalazła miejsca pod komisariatem. Wrzuciła maksymalną kwotę i wchodząc po schodach do biura dochodzeniówki, ustawiała alarm w telefonie. Za cztery godziny będzie musiała przestawić wóz albo czekał ją mandat. Mogła położyć na tablicy rozdzielczej tabliczkę POJAZD SŁUŻBOWY POLICJI. Raz tego jednak spróbowała i gdy wróciła do samochodu, cały bok karoserii był zarysowany.

Miło.

Biuro dochodzeniówki nie było duże, ale i nie tętniło pracą. Dwójka jej detektywów, Christine Esson i Ronnie Ogilvie, siedziała przy komputerach i bębniła w klawisze. Esson miała pochyloną głowę i było widać tylko jej krótkie ciemne włosy.

– Fajnie, że wpadłaś – usłyszała jej komentarz Clarke.

– Byłam w domu Darryla Christiego.

– Obiło mi się o uszy, że miał drobny wypadek. – Esson przestała stukać i przyjrzała się szefowej.

– Wszyscy wiemy, że jest szanowanym przedsiębiorcą i tak dalej – powiedziała Clarke, zdejmując żakiet i wieszając go na oparciu krzesła. – Ale mogłabyś znaleźć to, co mamy na temat jego działalności i współpracowników?

– Nie ma sprawy.

Clarke odwróciła się do Ogilviego.

– Mundurowi rozmawiają z sąsiadami. Muszę wiedzieć, co od nich usłyszą. Dopilnuj też, żeby przejrzeni wszystkie bez wyjątku zapisy z kamer monitoringu, od zmiernych do przyjazdu ratowników.

Esson uniosła wzrok znad ekranu.

– Czy Morrisa Geralda Cafferty’ego można uznać za współpracownika?

– Moim zdaniem wręcz przeciwnie, chyba że ustalimy coś innego.

– Czyli traktujemy sprawę poważnie? – spytał Ogilvie. Gładził kciukiem i palcem wskazującym włosy, które zaczął zapuszczać. Błady i tyczkowaty chłopak zawsze przypominał Clarke roślinę na długiej łodydze, która usycha z tęsknoty za słońcem.

– Jego matka twierdzi, że niedawno ktoś zniszczył ich samochód i spalił kubek na śmieci – odpowiedziała mu Clarke. – Wygląda na klasyczną eskalację.

– Czyli ten wczorajszy napad to był zamach na jego życie?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

– Szef jest w swoim schowku na miotły?

Esson pokręciła głową.

– Ale chyba słyszę jego subtelne kroki.

Owszem, Clarke też je usłyszała. Charakterystyczny odgłos skórzanych podeszew starszego inspektora Jamesa Page’a pokonujących kilka ostatnich stopni i stukających po gołej podłodze korytarza tuż przed otwartymi drzwiami.

– Dobrze, że jesteś – rzucił na widok Clarke. – Popatrz tylko, kogo spotkałem. – Odchylił się w bok, odsłaniając stojącego za nim Malcolma Foxa. Clarke poczuła, jak sztywnieje jej kręgosłup.

– Cóż to się stało, że zstąpiłeś między zwykłych śmiertelników? – zapytała.

Page ścisnął ramię Foxa.

– Zawsze ogromnie nam miło, gdy spotykamy naszych braci z Gartcosh. Zgadza się?

Esson i Ogilvie wymienili spojrzenia, ale nie potrafili sformułować odpowiedzi. Clarke skrzyżowała ręce na piersi.

– Inspektor Fox potrzebuje naszej pomocy, Siobhan – poinformował ją Page. Odwrócił się do Foxa. – Nie ująłem tego zbyt jednoznacznie, Malcolm?

– Darryl Christie – wyjaśnił wszystkim Fox.

Page pogroził palcem Clarke.

– Wyobrażasz sobie, jak się ucieszyłem, kiedy Malcolm mi powiedział, że śledztwo w sprawie napaści na pana Christiego prowadzą moi ludzie... nic o tym nie wiedziałem, Siobhan. – Spiorunował ją wzrokiem. – Porozmawiamy sobie o tym w wolnej chwili – dodał głosem, w którym nie było już śladu udawanej serdeczności.

Fox starał się opanować zmieszanie tym, że wpakował Clarke w tę sytuację. Ona miała nadzieję, że jej wzrok nie podtrzyma jej go na duchu.

– Chodźmy do mnie pogadać, dobrze? – zaproponował Page, ostatni raz klepnął Foga w ramię i ruszył przodem.

Azyl Page'a znajdował się w przebudowanym składziku bez naturalnego światła, gdzie nie mieściło się nic prócz biurka, szafki na dokumenty i dwóch krzeseł dla gości.

– Usiądźcie – polecił, lokując się wygodnie za biurkiem.

Kłopot w tym, że gdy jego goście usiedli, znaleźli się tak blisko siebie, że niemal stykali się stopami, kolanami i łokciami. Clarke poczuła, jak Fox wierci się, próbując się od niej odrobinę odsunąć.

– Dlaczego Gartcosh interesuje się bandyckim napadem? – spytała w ciszy, która zapadła w klitce.

Fox nie odrywał wzroku od biurka.

– Darryl Christie to znany gracz. Blisko powiązany z gangiem Joego Starka z Glasgow. Nic dziwnego, że mamy go na oku.

– Czyli przyjechałeś dopilnować, żebyśmy robili, co do nas należy?

– Jestem obserwatorem, Siobhan. Będę tylko zdawał relację z dochodzenia.

– Czemu sami nie możemy tego robić?

Odwrócił głowę twarzą w jej stronę. Zauważyła, że jego policzki lekko się rumienia.

– Tak to po prostu działa. Jeżeli nie będzie żadnych uchybień w śledztwie... a znając ciebie, wątpię, żeby było inaczej... nie ma problemu.

– Musisz zrozumieć, Malcolm – wtrącił Page – że to trochę przykre, kiedy bez zapowiedzi zjawia się nadzór.

– Robię tylko to, co do mnie należy, panie inspektorze. Na pewno będzie jakiś mail albo telefon od naczelnika McManusa z informacją o mojej roli w sprawie. – Fox zerknął na zamknięty laptop na biurku Page'a.

– McManus jest szefem od przestępczości zorganizowanej – zauważyła Clarke. – Myślałam, że trafiłeś do dochodzeniowego.

– Zostałem wypożyczony.

– Po co?

Wytrzymał jej spojrzenie.

– Do niedawna to był mój rewir. Może pomyśleli, że przyjmiecie mnie z otwartymi ramionami.

Usta Clarke lekko drgnęły.

– Oczywiście, że jesteś tu mile widziany, Malcolm – oznajmił Page. – I postaramy się jak najlepiej uwzględnić twoje potrzeby, a ty zdasz raport i wszyscy zdobędziemy nowe sprawności. – Odchylił się na oparcie krzesła. – Ale powiedz mi, Siobhan, czy ta sprawa rzeczywiście powinna wzbudzić czujność Gartcosh?

Clarke zastanowiła się, zanim odpowiedziała.

– obrażenia nie zagrażają jego życiu, ale matka twierdzi, że wcześniej ktoś uszkodził mu samochód i podpalił ich pojemnik na śmieci.

– Klasyczna eskalacja – zauważył Fox, co skwitowała spojrzeniem, którego nie umiał zinterpretować.

– Sądzisz, że wie, kto za tym stoi? – zapytał Page.

– Jeszcze go nie przesłuchałam. Dzisiaj wypisują go ze szpitala. Zamierzam wpaść do niego wieczorem.

Jej szef skinął głową.

– Nie ma świadków? Nikt nie widział, czy ktoś zwiął z miejsca zdarzenia?

– Właśnie pukamy do sąsiadów, chociaż przydałoby się więcej ludzi.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Zastanawiam się, czy nie powinniśmy złożyć Christiemu propozycji – ciągnęła Clarke. – Na przykład że na noc czy dwie postawimy mu pod domem radiowóz.

– Wątpię, czy ucieszyłby się z takiego prezentu.

– W takim razie nieoznakowany wóz, nie musi o nim wiedzieć.

– Nie ma ochroniarzy?

– Wygląda na to, że z nich zrezygnował.

– Co to właściwie może znaczyć?

Wzruszyła ramionami.

– Może stara się ograniczyć wydatki. Dom, w którym mieszka, na pewno nie jest tani.

– Myślisz, że krucho u niego z forszą? – Fox przymrużył oczy, rozważając taką możliwość.

– Jak on w ogóle zarabia? – zwrócił się do niego Page. – Wasi powinni o tym wiedzieć najlepiej.

– Ma hotel, parę barów i klubów nocnych, plus kilka punktów bukmacherskich.

– I trochę innych biznesów – dodała Clarke. – Chyba myjnię samochodową. I firmę, która świadczy te same usługi z dojazdem do klienta.

– Rozumiem. – Page nie odrywał wzroku od Foxa. – A jeżeli przyjrzeć się bliżej?

– Nie jestem wtajemniczony we wszystko, co Gartcosh o nim wie – przyznał Fox, znowu wierząc się na krześle. – Narkotyki... pranie brudnych pieniędzy... kto to wie?

– Poleciłam Christine, żeby to zbadala – powiedziała Clarke. – Może jeszcze dzisiaj będziemy mieli coś konkretniejszego.

– Dla dochodzeniówki to słabe karty – ostrzegł ją Page. – Cały czas ktoś gdzieś dostaje wycisk. – Zamilkł na moment. – Ale ponieważ chodzi o Darryla Christiego i sprawą zainteresowali się nasi koledzy z przestępczości zorganizowanej... dobra, rzućmy na to wszystkie siły.

– Mówimy też o obserwacji jego domu? – upewniła się Clarke.

– Jedna noc, góra dwie. Jeszcze lepiej będzie zrobić listę wszystkich, którzy mają do niego jakies pretensje. Możesz o to spytać pana Christiego, kiedy się z nim zobaczysz.

– Na pewno opowie o wszystkim szczerze i wyczerpująco.

Usta Page'a drgnęły.

– Postaraj się jak najlepiej wykorzystać swój urok osobisty, Siobhan. I informuj o postępach Malcolma...

– Z całym szacunkiem, panie inspektorze – przerwał mu Fox – potrzebuję czegoś więcej.

Page spojrział na niego, czekając na szczegóły.

– Muszę towarzyszyć inspektor Clarke na każdym kroku śledztwa – wyjaśnił Fox. – Wątpię, żeby naczelnik McManus zgodził się na mniej niż tyle.

Clarke patrzyła błagalnym wzrokiem na szefa, ale Page tylko westchnął i skinął głową.

– Możecie odejść, oboje.

– Panie inspektorze... – jęknęła Clarke.

– To jest cena za to, że nie mówisz mi o tym, co się dzieje tuż pod moim nosem. – Page otworzył laptop i zaczął stukać w klawisze.

Fox ruszył w stronę biura dochodzeniówki, Clarke pokazała jednak na korytarz, więc poszedł za nią i przystanął, gdy się do niego odwróciła.

– Pewnie myślisz, że jestem tym zachwycona – syknęła.

– Próbowałem do ciebie dzwonić...

– Mogłeś się nagrać.

– Czyli wiesz, że próbowałem?

– Byłam trochę zajęta, Malcolm.

– Nie przejechałaś dzisiaj dwa razy całej M ósemki. To ja powinienem być naburmuszony.

– Kto powiedział, że jestem naburmuszona?

– Takie mam wrażenie.

– Nie jestem naburmuszona. Jestem wściekła.

– Dlatego, że komenda nie ciebie, a mnie oddelegowała do Gartcosh?

– Co? – Udała wielkie zdumienie. – Twój awans nie ma z tym nic wspólnego.

– To dobrze, bo wygląda na to, że przez najbliższy czas będziemy na siebie skazani. Tak, wszystko w porządku, szybko przyzwyczajam się do nowej pracy, miło, że pytasz.

– Pierwszego dnia wysłałam ci wiadomość!

– Nie sądzę.

Clarke zastanowiła się przez chwilę.

– W każdym razie na pewno chciałam.

– Dzięki.

Zapadła cisza. Po chwili Clarke przerwała ją westchnieniem.

– No dobra, jak się do tego zabierzemy?

– Zostanę równoprawnym członkiem zespołu i tak mnie będziesz traktować.

– Dopóki nie pryśniesz na zachód, żeby złożyć raport. Tak przy okazji, ten układ musi działać w obie strony: jeżeli Gartcosh ma coś w swoich kartotekach, muszę to zobaczyć.

– Będziesz musiała dostać pozwolenie.

– Przecież możesz o nie poprosić... i poprosisz.

– Jeżeli to zrobię, zawrzemy rozejm? – Wyciągnął do niej rękę.

W końcu ją uściśnięła.

– Rozejm – powiedziała.

CLARKE STANĘŁA PRZED KAMIENICĄ przy Arden Street i nacisnęła przycisk domofonu, po czym cofnęła się o kilka kroków, żeby była widoczna z okna na drugim piętrze. Kiedy ukazała się w nim twarz Rebusa, pomachała do niego. Zanim cofnął się w głąb salonu, jakby się zawahał. Po kilku sekundach rozległ się brzęczyk otwierający drzwi. Pchnęła je i przytrzymała ramieniem, by podnieść z ziemi pudło.

– Mam się spodziewać ochrzantu? – warknął z góry Rebus i jego głos odbił się echem od wyłożonych płytkami ścian klatki schodowej.

– Dlaczego miałabym...? – Urwała, uświadamiając sobie, o czym mówi. – Spotkałeś się z Caffertym. No pewnie.

– Do wszystkiego się przyznał.

– Hm... jasne. W ogóle coś ci powiedział?

– A jak myślisz? – Dotarła na jego piętro i zobaczył pudło. – Co jest? Zapomniałem o Bożym Narodzeniu?

– W pewnym sensie. Chociaż skoro wyciąłeś taki numer z Dużym Gerem, powinnam to głęboko przemyśleć.

Wziął od niej karton i zaniósł do salonu. Clarke obrzuciła wzrokiem mieszkanie.

– Deborah Quant ma na ciebie dobry wpływ. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek był tu taki porządek. Ani jednej popielniczki... Nie mów, że kazała ci rzucić papierosy?

Rebus postawił pudło na stole, żeby zakryć nim list od szpitalnego specjalisty.

– Deb nie lubi bałaganu, widziałeś, jak dba o swoje prosektorium. Można jeść kolację prosto ze stołu sekcyjnego.

– Pod warunkiem że nie jest zajęty – odparowała Clarke. Z koszyka w kuchni przydreptał Brillo, więc kucnęła, by poświęcić mu trochę uwagi i podrapać po sztywnych, mocno skręconych lokach, przypominających metalowe zmywaki do szorowania garnków – to stąd jego imię.

– Dalej wychodzi na spacer dwa razy dziennie?

– Do supermarketu i do Bruntsfield Links.

– Wygląda świetnie. – Podniosła się z podłogi. – A ty? Dobrze się czujesz?

– Jestem zdrowy jak rydz.

– Deborah wspominała coś o zapaleniu oskrzeli...

– Naprawdę?

– Kiedy ostatnim razem byłam w prosektorium.

– I nie przybiegłaś stamtąd prosto do mnie?

– Uznałam, że powiesz mi, gdy będziesz chciał. – Zawahała się. – Ale znam cię i wiem, że się nie doczekam.

– Nic mi nie jest. Dostałem mikstury, inhalatory i tak dalej.

– I rzuciłeś palenie?

– To była przysłowiowa bułka z masłem. No, co masz w tym pudle? – Już podważał pokrywę.

– Świeżo wyniesione z archiwum.

Rebus przyglądał się imieniu i nazwisku wypisanym na leżącej na wierzchu żółtej teczce: *Maria Turquand*.

– To chyba nie są dokumenty całej sprawy?

– Boże, nie, są tego chyba ze trzy półki. Ale masz tu wszystkie podsumowania plus mały bonus.

Rebus otworzył pierwszą teczkę i zobaczył, co Clarke ma na myśli.

– Sprawa została wznowiona.

– Przez twoich dawnych kolegów z Wydziału Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych.

– Krótko przed tym, jak do nich dołączyłem.

– Ścisłej mówiąc, osiem lat temu.

Rebus studiował stronę tytułową załącznika do akt.

– Myślałem, że szefem wydziału był wtedy Eddie Tranter. Ale jego nazwiska tu nie ma. – Sięgnął w głąb dokumentów.

– Wystarczy, żeby cię zająć? – Clarke krążyła po pokoju, jakby to były oględziny miejsca zdarzenia.

– Przystań węszyć – burknął Rebus – i powiedz lepiej, czy jest coś nowego.

– Pytasz o Christiego? Niewiele. Od sąsiadów nie dowiedzieliśmy się kompletnie niczego. Natomiast, ciekawa rzecz...

– Jaka?

– Jego dom jest podobny jak dwie krople wody do domu Cafferty'ego... w każdym razie z zewnątrz.

– Może próbuje go naśladować?

– Albo coś chce przez to powiedzieć.

– Ciekawe, czy Darryl wie, że Cafferty zmienił adres.

– Tak?

– Na ładne i nowoczesne mieszkanie w Quatermile.

– Sądzisz, że to ma jakieś znaczenie?

– Może Dużemu Gerowi nie pochlebił gest młodego księcia.

– Mówisz o przeprowadzce do prawie identycznego domu?

Rebus pokiwał głową i zamknął pudło.

– Nie będziesz miała kłopotów przez to, że przyniosłaś mi te papiery?

– Nie, jeśli nikt inny nie zechce ich poszukać w magazynie.

– Jestem ci bardzo wdzięczny, Siobhan. Naprawdę. Gdyby nie to, pewnie siedziałbym i gapił się w ścianę.

– Pies miał ci pomóc w wychodzeniu z mieszkania.

– Zdaje się, że Brillo jest takim samym entuzjastą ruchu jak ja. – Przyglądał się, jak Clarke sprawdza telefon. – Wybierasz się gdzieś jeszcze?

– Mam nadzieję, że wieczorem uda mi się pogadać z Darrylem. – Umilkła na chwilę. – I nie będę sama. Malcolm wrócił do miasta.

– Gartcosh potrzebowało niewiele czasu, żeby go utrać.

– Przyjechał tu jako ich człowiek, ma nas pilnować na miejscu, żebyśmy nie schrzaniłi sprawy.

– Serio? – Rebus wolno pokręcił głową. – Każdy drań, któremu spuszcza lanie, może liczyć na taki sam poziom usług?

Clarke zmusiła się do uśmiechu.

– Może Darryl korzysta z nich prywatnie.

Rebus roześmiał się, ale po chwili śmiech przeszedł w kaszel. Zasłaniając usta, wyszedł z pokoju i Clarke słyszała, że atak nie ustaje. Kiedy wrócił, ocierał usta i oczy. Clarke uniosła niewielki stoik z przezroczystym płynem, w którym coś pływało.

– Czy to jest to, co mi się wydaje? – spytała.

– Nie tylko ty przynosisz mi prezenty – zdołał wykrztusić Rebus.

PO JEJ WYJŚCIU REBUS opróżnił pudło i rozłożył na stole jego zawartość. Wznowienie sprawy nadzorował detektyw inspektor Robert Chatham.

– Gruby Rab – powiedział głośno Rebus, nie przerywając lektury. Znał go ze słyszenia, ale nigdy z nim nie pracował. Chatham był funkcjonariuszem Brygady F, czyli Wydziału F z Zachodniego Lothian, który miał siedzibę w Livingston. Policja okręgu Lothian i Borders składała się z sześciu wydziałów... siedmiu, jeśli liczyć komendę główną przy Fettes Avenue. Wszystko zmieniło utworzenie Państwowej Policji Szkocji. Nie było już samodzielnej jednostki w Lothian i Borders, a policję edynburską ochrzczono „wydziałem szóstym”. Rebus nie chodził już na spotkania towarzyskie gliniarzy pracujących w różnych rejonach Lothian i Borders, ale słyszał plotki. Ludzie odchodzili na wcześniejsze emerytury, młodzi funkcjonariusze rezygnowali zaledwie po kilku latach służby.

– Ciebie to już na szczęście nie dotyczy, John. – Rebus wstał, żeby zaparzyć sobie kubek herbaty i wrzucić trochę karmy do miski Brilla. – Masz ochotę na spacer? – spytał, potrząsając smyczą. Pies, pochłonięty jedzeniem, nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. – Tak myślałem.

Rebus wrócił do stołu i zabrał się do pracy. Sprawa została wznowiona z powodu artykułu prasowego, który Rebus musiał przeoczyć. Dziennikarka przeprowadziła wywiad z menedżerem trasy Bruce’a Colliera, niejakim Vince’em Bradym. Tekst o życiu w trasie w latach siedemdziesiątych był mieszaniną smętnych seksistowskich wynurzeń i opowieści o narkotykowych maratonach. Brady oświadczył, że widział, jak Collier rozmawia z Marią Turquand w korytarzu na trzecim piętrze hotelu. Menedżer miał pokój tuż obok Turquand, natomiast Collier – jako „talent” – dostał apartament na końcu skrzydła.

Po występie miała być u niego mała impreza i chyba Bruce zaprosił tę dziewczynę. Ale zanim jeszcze zaczął się koncert, usłyszeliśmy, że się przekręciła, więc atmosfera na jakiś czas siadła.

Dziennikarka próbowała skontaktować się z Collierem i spytać go o reakcję, ale dostała odpowiedź złożoną z dwóch słów, które oznaczały mniej więcej tyle co „bez komentarza”. Chatham i jego zespół odsłuchali zapis wywiadu z Bradym, po czym osobiście przesłuchali Brady’ego i Colliera. Muzyk zapewniał ich, że jego menago musi się mylić. Nie pamiętał żadnego spotkania z Turquand, nawet przelotnego.

Po tamtej trasie musiałem zwolnić Vince’a. Robił sobie jaja z gadżetów, a zgarniał za nie forszę, jakiej w życiu nie widziałem. Teraz pewnie próbuje się trochę odegrać, jeżeli wiecie, co mam na myśli.

W dalszej części przesłuchania Collier oświadczył, że większość czasu w hotelu spędził w towarzystwie „kumpla z dawnych dobrych czasów”. Kumplem był miejscowy muzyk, Dougie Vaughan. Grali w jednym zespole w szkole średniej. Vaughan nadal od czasu do czasu brał gitarę do ręki i występował w klubach folkowych albo podczas wieczorów dla muzyków amatorów w całym Edynburgu.

Był też jednym z byłych kochanków Marii Turquand – Rebus natknął się na jego nazwisko w jednym z wycinków z kolekcji, którą miał w swoim pudle. Vaughan ujawnił to w „Edinburgh Evening News” kilka miesięcy po zabójstwie. To była krótka przygoda po tym, jak Turquand wypatrzyła go wśród muzyków na imprezie. Później próbował nawiązać z nią kontakt, ale dała mu kosza.

Naprawdę fantastyczna dziewczyna. To okropne, co się stało.

Owszem, Vaughan tamtego popołudnia był w hotelu, żeby spotkać się ze swoim dawnym kumplem ze szkoły. Owszem, został przesłuchany przez policję, ale nie potrafił jej pomóc. Nie miał pojęcia, że Maria Turquand mieszkała kilka pokoi od apartamentu Colliera. Nikt o niej nawet nie wspominał.

Kiedy Rebus skończył czytać, herbata całkiem wystygła. Przetarł dłońmi twarz, mrugając zmęczonymi oczami. Brillo wyczekująco siedział w korytarzu.

– Naprawdę? – spytał Rebus. – Hm... skoro tak twierdzisz... – Poszedł po smycz, chwycił kurtkę, klucze i telefon. Z Arden Street do parku Meadows i Bruntsfield Links miał zaledwie parę minut. Zawsze roiło się tam od ludzi spacerujących z psami. Czasem nawet przystawali, by pogawędzić, podczas gdy kundle uważnie badały się nawzajem. Rebusa pytano o wiek jego psa.

Nie miał pojęcia.

A jaka rasa?

Mieszaniec.

I przez cały czas myślał o papierosach.

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Przypuszczał, że później będzie przymrozek. Gdy Brillo ruszył pobiegać, Rebus sięgnął do kieszeni i zamiast świeżej paczki fajek wyjął telefon. Zastanawiał się, czy Gruby Rab jeszcze pracuje, więc zadzwonił do jedynej osoby, która, jak sądził, będzie mogła mu pomóc.

– No, no – usłyszał głos Christine Esson. – Dzisiaj to już drugi duch.

– Siobhan mówiła mi o Foxie.

– Przyniósł kwiaty i bombonierkę.

– Jeżeli nigdy nie dzwonię, to nie znaczy, że nie tęsknię za pani czarem i dowcipem, pani detektyw.

– Ale ten telefon ma związek z moimi innymi przymiotami, prawda?

– Jak zwykle trafiłaś w dziesiątkę, Christine.

– O co tym razem chodzi?

– Mam nadzieję, że to proste. O inspektora Roberta Chathama. Kiedy słyszałem o nim ostatni raz, pracował w Livingston. Muszę z nim pogadać.

– Daj mi piętnaście minut.

– Dziewczyno, prawdziwy z ciebie skarb. – Rebus zakończył połączenie. Dziesięć metrów od niego zaczęła działać natura. Rebus schował telefon, wyjął małą czarną torebkę z polietylenu i ruszył w kierunku Brilla.

– KTO TO BYŁ? – zapytał Fox z drugiego końca pomieszczenia.

– Nikt.

– Dziwne, rzeczywiście rozmawiałaś jak z nikim. – Fox podszedł do biurka Esson. Byli sami; Ronnie Ogilvie wyszedł po kanapki. – Jaką sprawę pojechała załatwić Siobhan?

– Powiedziała ci: to nie ma nic wspólnego z Darrylem Christiem.

– Kto to jest Robert Chatham? – dociekał Fox, zerkając na nazwisko, które Esson przed chwilą zanotowała.

– Malcolm, odczepisz się wreszcie ode mnie?

Unióś ręce w geście kapitulacji, ale wciąż kręcił się przy jej biurku, zbyt blisko jak na gust Esson.

– Siobhan w ogóle o mnie wspomina? – spytał.

Esson pokręciła głową.

– Wiesz, że Gartcosh to nie był mój pomysł – powiedział. – Ale byłbym głupi, gdybym odmówił.

– Pełna zgoda.

Przechylał głowę, by popatrzeć na ekran jej komputera. Znowu posłała mu lodowate spojrzenie.

– Przecież na pewno coś już masz – jęknął.

– Całą listę udziałów pana Christiego w różnych biznesach.

– Mogę zobaczyć?

– Wyślę ci mailem. – Wcisnęła kilka klawiszy. – Właściwie już wysłałam. Dasz mi w końcu spokój?

Fox odszedł na drugi koniec biura, patrząc w ekran telefonu. Otworzył wiadomość od Esson, ale nie znalazł w niej niczego, o czym jeszcze nie wiedział, prócz adresów dwóch punktów bukmacherskich. Co mówiła Sheila Graham? Że Christie pierze w nich pieniądze. Na czym to polegało? Fox w końcu jej nie zapytał. Zerknął na Esson, ale nie mógł jej o to pytać – i nie chciał. Mogłaby go uznać za tępaka, który w ogóle się nie zna. Poza tym miał lepszy pomysł.

– Niedługo wrócę – poinformował ją.

– A co z twoją kanapką?

– Nie zepsuje się.

– Nie wiesz, co mówisz, Malcolm. Nie widziałeś Ronniego, kiedy jest głodny.

– Zaryzykuję.

– Co mam powiedzieć Siobhan, jak ją zobaczę?

Fox zastanawiał się przez moment.

– Powiedz jej, że pojechałem załatwić swoją sprawę.

Zbiegł po schodach i przed budynkiem zaczerpnął parę haustów świeżego powietrza. Otworzył samochód, wsiadł i wyjechał z parkingu, kierując się w stronę Leith Walk.

CLARKE WIDZIAŁA, JAK ODJEŻDŻA, siedząc za kierownicą własnego wozu. Odebrała wiadomość i odczytała ją z uśmiechem na twarzy.

Malc odbił od brzegu. Droga wolna!

Ciekawe, skąd Christine wiedziała. Pewnie się domyśliła. Po chwili przyszła druga wiadomość:
Może nawet znajdzie się dla ciebie kanapka!

Clarke otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu.

ROZDZIAŁ 4

OSTATNI RAZ FOX BYŁ U bukmachera, zanim skończył dwadzieścia lat. Jego ojciec nie miał duszy hazardzisty, ale w sobotę rano czytał program gonitw i obstawiał cztery konie – nazywał to „systemem Yankee”. Jeżeli Malcolm był w domu, a ojcu nie chciało się iść, wysyłał syna do punktu bukmacherskiego przy ich ulicy, mimo protestów chłopaka, że łatwiej byłoby zadzwonić albo dla odmiany poprosić o tę przysługę jego siostrę Jude. Mitch Fox chciał jednak dostać papierowe pokwitowanie, by mieć dowód czarno na białym, że zakład naprawdę został przyjęty. Ale Malcolm nie przypominał sobie żadnych wygranych – w każdym razie takich, którymi warto było pochwalić się synowi. A Jude zawsze była gdzie indziej.

Zdziwił się, kiedy wszedł do Diamentowego Joego i nie zobaczył niechlujnych staruszków, ściskających w palcach gryzki ołówków i niedopałki papierosów. Za szybą siedziała kasjerka – jak w dawnych czasach – ale w lokalu królowały błyszczące automaty i zamontowane na ścianach telewizory. Jeden kanał pokazywał turniej golfowy, inny tenis, a dwa kolejne relacjonowały wyścigi konne. Kilku graczy skupiało jednak uwagę na automatach. Przed każdą maszyną stał wysoki stołek. Wszystkie wydawały przeróżne piskliwe dźwięki i wesoło mrugały kolorowymi światełkami. Nie były to tylko nowoczesne wcielenia jednorękich bandytów, ale także wersje ruletki i blackjacka. Mając taki wybór, Fox skierował się do jednego z modeli, które wyglądały na najprostsze. Centralne miejsce zajmowały w nim cztery walce. Wrzucił do otworu jednofuntową monetę i dotknął błyskającego przycisku. Gdy walce przestały się obracać, elektroniczne dźwięki kazały mu coś zrobić, ale co? Dotknął jednego przycisku, potem innego. Nic się nie działo, a została mu jeszcze jedna szansa. Wcisnął guzik uruchamiający grę i patrzył, jak krążki po kolei się zatrzymują. Coś wygrał? Nic. Próbował jeszcze raz puścić w ruch walce, ale maszyna nie dała się oszukać.

Piętnaście sekund i po funcie.

Nie podnosząc się ze stołka, udawał, że wstukuje wiadomość do telefonu, a w rzeczywistości próbował się zorientować, jak funkcjonuje lokal. Kasjerka wyglądała na znudzoną. Żuła gumę ze wzrokiem utkwionym w ekranie swojego telefonu. Fox podszedł do niej.

– Mogę tu obstawić wyścigi konne? – spytał.

Popatrzyła na niego, po czym uniosła oczy na rząd ekranów.

– Pytam o to, jak można to zrobić – uściślił.

– Tam są kupony – rzuciła, pokazując ręką. – Może pan też obstawić przez internet. – Pomachała telefonem. – Apka jest darmowa. Dla nowych graczy mamy nawet dychę bonusu na start.

Podziękował skinieniem głowy, podszedł do półki z kuponami zakładów, wziął jeden i obejrzał. Te wszystkie tabelki, symbole i litery, które miały mu coś mówić, przypominały trochę zadanie domowe z matematyki. Jego ojciec zwykle zapisywał imię każdego konia, obok notował porę i miejsce gonitwy, a potem oddzierał karteczkę i oddawał w kasie razem z zakładem.

Obok kuponów był mały stojak z blankietami totalizatora piłkarskiego. Ojciec również je wypełniał sumiennie w każdą sobotę, a jako kibic Heart of Midlothian nie mógł nie obstawić wygranej swojej drużyny.

Teraz Fox uśmiechnął się na to wspomnienie, gdy nagle usłyszał dźwięk przywodzący na myśl powietrze uciekające z opony. To było rozciągnięte do granic możliwości słowo „Jest!”, które wypowiedziała jedna z osób siedzących na stołkach przed automatami. Z otworu maszyny wysunęła się karteczka, a gracz zatarł dłonie i popędził z nią do kasjerki.

– Na dzisiaj mi wystarczy, Liso – oznajmił.

Dziewczyna przyjrzała się kartce, po czym włożyła ją do swojej maszyny, otworzyła szufladę i odliczyła dziesięć banknotów dwudziestofuntowych.

– Wezmę też kwitek – dorzucił klient. Kiedy go dostał, upchnął wszystko do kieszeni kurtki. – Miło robi się z tobą interesy. – Ruszył do drzwi, ale przystanął, palcami muskając już klamkę. Po chwili zawrócił i podał jeden banknot kasjerce, a ta rozmieniła go na funtowe monety. Zgarnął je, skierował się do innego automatu, usadowił się przed nim i zaczął wrzucać monety do otworu.

Fox poczuł, że jest obserwowany. Pokazał kasjerce, że bierze kupon zakładów piłkarskich, i ruszył w stronę zewnętrznego świata, gdzie zmiął blankiet i wrzucił do najbliższego kosza.

Nie był pewien, czy dowiedział się czegoś istotnego, ale nie mając nic lepszego do roboty, pojechał pod następny adres. Drugi punkt nosił szalenie oryginalną nazwę: Diamentowy Joe Dwa. Fox wszedł i pomaszerował do kasy – ten przybytek wyglądał kropka w kropkę jak jego siostrzany lokal, ale za szybko siedział czterdziestokilkuletni mężczyzna z nieufną miną. Fox podał mu dwadzieścia funtów i poprosił o rozminienie na monety.

– Słyszał pan o naszej nowej aplikacji? – zagadnął go kasjer.

– Dziesięć funtów bonusu na start – powiedział Fox. – Stale z niej korzystam.

– To nie całkiem to samo, prawda? – Kasjer ruchem głowy wskazał automaty.

– Nie ma porównania – przytaknął Fox i ruszył do stołka.

Był osiem funtów do tyłu, ale kiedy zaczynał łapać, o co chodzi, otworzyły się drzwi i do lokalu weszła kobieta. Postawiła torebkę obok automatu do blackjacka, zsunęła z ramion skórzaną kurtkę i zabrała się do dzieła, zupełnie jakby zaczynała dzień pracy przy linii produkcyjnej. Nawet nie spojrzała na innych klientów, choć jednym palcem pogładziła stojącą przed nią maszynę, jak gdyby w ten sposób chciała ją nakłonić do wielkoduszności.

Fox, powoli wrzucając monety do swojego automatu, cierpliwie czekał na odpowiedni moment. Odnotował nawet dwie drobne wygrane i zachował je na kolejne gry. Dwadzieścia funtów poszło w ciąg kwadransa. Nie był pewien, czy tutejsza etykieta pozwala obserwować przez ramię innych graczy. Groźne spojrzenie młodego człowieka, który siedział obok, szybko rozwiąło jego wątpliwości, więc podszedł do kobiety grającej w blackjacka. Przystanął obok niej, ale nadal nie odrywała wzroku od maszyny.

– Nie jestem zainteresowana – powiedziała.

– Hej, Jude.

Siostra Foxa obróciła głowę twarzą do niego. Jej cienkie, proste włosy jak zwykle były nieumyte, cienie na powiekach rozmazane. Usta układały się w wąską linię.

– Śledzisz mnie?

– Zbieg okoliczności. – Wzruszył ramionami.

– Nigdy nie sprawiałeś na mnie wrażenia hazardzisty, zawsze pan asekurant.

– A ty?

W uśmiechu ukazała zęby.

– Niebo i ziemia, braciszku. Niebo i ziemia.

– Tu zwykle przychodzisz?

– Zawsze mówiłeś, że muszę sobie coś znaleźć, żeby wyciągnęło mnie z domu.

– Jasne, a to świetny sposób spotykania ludzi.

– Po cholereę spotykać ludzi?

– Na tym ma polegać życie, Jude.

Na chwilę skupiła się na grze, po czym znowu odwróciła się do brata.

– Kurwa, obudź się, Malcolm. – Akcentowała mocno każde słowo.

– Grałaś czasem online? Może korzystasz z praktycznej aplikacji Diamentowego Joego?

– Nie twój interes.

– Tyle że ja tydzień w tydzień przelewam ci na konto trzycyfrowe kwoty.

– Jeżeli zależy ci na podziękowaniu, lepiej znajdź sobie inny dobroczynny cel.

– Myślałem, że pomagam siostrze wyjść na prostą.

Obróciła się na stołku, zwracając się do niego całym ciałem. Jej twarz wykrzywiła wściekłość.

– Nie, Malcolm, ty po prostu przelewałeś kasę, żeby uspokoić własne sumienie. Kiedy umarł tato, z całej rodziny zostałam ci tylko ja. Musiałeś komuś dać te pieniądze, żeby mieć to miłe poczucie zadowolenia z siebie, prawda?

– Na litość boską, Jude...

Zauważył, że jej twarz odrobinę łagodnieje. Ale zamiast przeprosić, wróciła do gry.

– Możecie przestać nadawać? – rzucił ostrym tonem graczy przy automacie naprzeciwko. – Próbuję się skupić.

– Wal się, Barry – warknęła Jude. – I tak za pięć minut będziesz splukany i weźmiesz dupę w troki.

– To naprawdę twoja siostra? – Facet popatrzył na Foxa. – Pewnie żałujesz, że nie jesteś pieprzonym jedynakiem.

– Oboje żałujemy – oświadczyła Jude i wrzuciła więcej pieniędzy do otworu nienasyconej maszyny.

ROBERT CHATHAM MIESZKAŁ W DOMU szeregowym przy nabrzeżu w Newhaven. Drzwi otworzyła kobieta, której Rebus wyjaśnił, że jest jego dawnym kolegą z pracy i chciałby z nim pogadać.

– Dzisiaj pracuje.

– Tak?

– Gdzieś przy Lothian Road. Jest bramkarzem w barze.

Rebus podziękował skinieniem głowy, wsiadł do saaba, wrócił do miasta i zaparkował na przystanku autobusowym w połowie Lothian Road. Szeroka ulica mogła się poszczycić kilkoma barami, których większość tak często zmieniała nazwy i wystrój, że Rebus nie mógłby nadążyć, nawet gdyby próbował. Ubrani na czarno bramkarze stojący przed pierwszym lokalem, do którego podszedł, byli za młodzi, mimo to przystanął przy nich.

– Szukam Roberta Chathama – poinformował ich, a oni w odpowiedzi ponuro pokręcili głowami. – W takim razie dziękuję za miłą rozmowę.

Wydawało się, że następny bar nie potrzebuje ochrony. Wyglądał na miły i przytulny, a gdy drzwi otworzył jeden z imprezowiczów, żeby wyjść na papierosa, buchnął zza nich śmiech.

Jedno piwo cię nie zabije, pomyślał Rebus. Mógłbyś wziąć małe. Szedł jednak dalej. W weekendy na Lothian Road bywało gorąco – wieczory kawalerskie krzyżowały się z panięskimi; snuli się odurzeni prochami, alkoholem i samym życiem młodzi ludzie, którzy niedawno zaczęli zarabiać. Ale dziś, w środku tygodnia, panował spokój, a może chodniki były wymarłe z powodu wczesnej pory i chłodu. Zbliżając się do trzeciego baru, Rebus zwrócił uwagę na samotnego bramkarza. Barczystego, w ciemnym płaszczu przed kolana, z ogoloną na zero głową i niewidoczną szyją. Przekroczył pięćdziesiątkę, ale tryskał tężyzną fizyczną. Miał identyfikator w przezroczystej plastikowej opasce założonej na biceps.

– Twarz wygląda mi znajomo – powiedział mężczyzna, gdy Rebus zatrzymał się przed nim.

– Byłem detektywem w dochodzeniówce – wyjaśnił Rebus.

– Pracowaliśmy kiedyś razem?

Rebus pokręcił głową i wyciągnął do niego rękę.

– John Rebus. – Chatham miał mocny uścisk i Rebus bardzo się starał odwzajemnić tym samym. – A ty jesteś Robert Chatham.

– Moja lepsza połowa dzwoniła i powiedziała, że mam się spodziewać gościa. Ale nie jesteś już w policji?

– Czasem pracuję dla nich jako cywil. A ty, kiedy skończyłeś służbę?

– Trzy lata temu. – Chatham przerwał, by przytrzymać drzwi dwójce nowych gości, dzięki czemu Rebus miał okazję zajrzeć do środka. Na jego gust było za ciemno i łomotała za głośna muzyka.

– To się nazywa techno? – zapytał.

– Ja to nazywam jazgotem – odparł Chatham. – Słucham, co mogę dla ciebie zrobić?

– Kierowałeś kiedyś Wydziałem Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych.

– Krótko, wtedy, kiedy Eddie Tranter chorował.

– Niedługo potem sam tam pracowałem.

– Tak?

– Grzebię teraz w jednej sprawie, Marii Turquand.

Chatham pokiwał głową, ale się nie odezwał.

– Odkurzyliście ją, kiedy Vince Brady złożył nowe zeznania – dodał Rebus.

– Zeznania? – prychnął Chatham. – Problem w tym, że można było uwierzyć albo jemu, albo Bruce’owi Collierowi. Collier z miejsca nasłał swoich prawników. Groził, że pozwie Brady’ego, policję i każdą gazetę, z którą rozmawialiśmy.

– Sądziś, że miał coś do ukrycia?

Chatham zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Nie bardzo – przyznał w końcu.

– Od początku zakładaliście, że to jej kochanek?

– Rozumiem, że widziałeś akta... Co sądzisz?

– Udałoby się pogadać o tym gdzie indziej, nie na chodniku Lothian Road?

– Kończę dopiero o północy. Potem mogę już tylko iść do domu i uderzyć w kimono.

– A jutro rano?

Bramkarz przyglądał się Rebusowi.

- Naprawdę nie przypuszczam, żebym mógł ci pomóc.
- Mimo to byłbym wdzięczny.
- Jest taka knajpka przy North Junction Street – ustąpił w końcu Chatham. – Najlepsze kanapki z bekonem w mieście. O dziesiątej, pasuje?
- Może być o dziesiątej.

Znowu uścisnęli sobie dłonie i Rebus ruszył w stronę samochodu. Odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć na Chathama, ale ten trzymał przed sobą telefon i stukał w ekran. Pisał czy dzwonił? Poznał odpowiedź, gdy Chatham przyłożył telefon do ucha. Zaczął poruszać ustami, patrząc w stronę Rebusa.

– Czytanie z ruchu warg, John – mruknął Rebus. – Temu hobby mógłbyś się poświęcić. – Otworzył saaba, wsiadł i włączył ogrzewanie. Od mieszkania w Marchmont dzieliło go zaledwie pięć minut drogi. Brillo będzie chciał wyjść na spacer.

BYLI UMÓWIENI NA siódmą, ale Darryl Christie zmienił godzinę spotkania na ósmą. Kiedy jednak stanęli przed drzwiami, na powitanie jego matka przeprosiła ich, że syn jest „trochę zajęty”, i spytała, czy mogliby przyjść za godzinę.

Wrócili do samochodów zaparkowanych przy krawężniku. Fox zaczekał chwilę, po czym podszedł do astry Clarke i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Naprawdę musimy siedzieć w oddzielnych samochodach?
- Jak chcesz – rzuciła. Kiedy wsiadł, nie wydawała się jednak zbyt życzliwa. Zajęła się telefonem, podczas gdy on oglądał przez szyby okolicę.

– Chyba właśnie zobaczyłem swojego imiennika* – poinformował ją.

Clarke uniosła wzrok.

– Rzeczywiście, czasem łążą tu lisy. – Jak na zawołanie przed domem sąsiada Christiego zapaliły się światła i zobaczyli smukłą sylwetkę przemykającego zwierzęcia.

– Jak myślisz, dlaczego wybrali to miejsce? Pytam o tych, którzy stłukli Darryla... Czemu zrobili to przed jego domem?

- Wcale nie musi być konkretnego powodu.
- Wszyscy znają jego adres?
- Nie przypuszczam.
- Czyli dałoby się trochę skrócić listę podejrzanych.
- Może by się dało – przyznała Clarke. Po następnych piętnastu sekundach przestała udawać, że jej uwagę zaprzęta telefon, i lekko odwróciła się w stronę Foxa. – Bardziej interesuje mnie pytanie, dlaczego wybrali akurat jego.

– Dzisiaj po południu pojechałem do jego punktów bukmacherskich.

– Tak?

– Żeby po prostu rzucić na nie okiem.

– Christine mówiła mi, że przesłała ci kopię wykazu jego biznesów. Mogę spytać, dlaczego wzięłeś na pierwszy ogień punkty bukmacherskie, a nie inne jego interesy?

– Może były na początku listy.

– Przecież nie były, prawda?

Fox zamyślił się na chwilę.

– Interesuje się nim skarbówka. Podejrzewają, że pierze brudne pieniądze.

– Wspominałeś o tym u Page’a.

– Jeżeli świadczy takie usługi różnym gangom w całym kraju, każdy z nich mógłby go znieubić.

– Za to, że ich roluje?

– Nie wiem.

– A jeżeli wrzucę nazwisko Cafferty’ego?

– Po nim można się spodziewać wszystkiego. Ale pewnie zaczęłyby działać tylko wtedy, gdyby uznał, że coś osłabiło pozycję Darryla.

– Na przykład?

Fox wzruszył ramionami.

– Może coś się nam rozjaśni, kiedy pogadamy z Darrylem.

– Ja będę mówić, Malcolm. Ty jesteś tu po to, żeby słuchać.

– Jasne. – Przez chwilę milczał. – To jest ta odwilż w stosunkach między nami?

– Może. Skromna. Pytałeś Gartcosh o mój dostęp do informacji?

– Rozważają to.

– Miło, że wszyscy należymy do jednej wielkiej szczęśliwej rodziny... – Urwała, patrząc na Gail McKie, która przydreptała ścieżką do furki, otworzyła ją i podeszła do astry. Clarke uchyliła szybę i w szparze ukazała się twarz kobiety.

– Czeka na was – zakomunikowała matka Christiego i zawróciła w stronę domu.

– No dobra – rzuciła Clarke, zamknęła okno i wyjęła klucz z kłuczyka.

McKie czekała na nich za drzwiami.

– Jest w salonie – powiedziała. – Prosił mnie, żebym nie proponowała nic do picia... to nie będzie długa rozmowa.

– Czy są pani pozostali synowie, żebyśmy mogli zamienić z nimi potem słowo? – zapytała Clarke.

Kobieta pokręciła głową.

– Wyszli z kolegami.

– Szkoda.

– Naprawdę nie mają nic do powiedzenia.

– Powinam usłyszeć to od nich.

Clarke otworzyła drzwi i weszła do salonu. Kwiecista kanapa, perski czy indyjski dywan zajmujący prawie całą podłogę. Na ustawionych tu i ówdzie stolikach wazon z kwiatami, a pośrodku pokoju, na krześle przyniesionym zapewne z jadalni, Darryl Christie. Miał na sobie poliestrowy dres i błyszczące buty sportowe, ale wyglądał na sztywnego i obolałego. Nos zasłaniał opatrunek, oczy wciąż były spuchnięte i zsiniałe.

– Jak się czujesz? – spytała Clarke.

– Bywało lepiej. – Mówił cicho, jakby każde słowo sprawiało mu ból.

– Podobno masz połamane żebra.

– Wsadzili mnie w coś jakby gorset. – Jego wzrok spoczął na Foxie, który z rękami w kieszeniach stał obok Clarke. – Wygląda pan o wiele lepiej, niż kiedy widzieliśmy się ostatnio – zauważył. Fox zachował kamienną twarz. – Jeżeli dziwicie się, że siedzę na krześle z jadalni, to wygodniej mi na nim niż na fotelu. Ale śmiało, rozgośćcie się.

Usiedli obok siebie na kanapie. Christie powoli uniośł rękę i przejechał nią po włosach, które dawno nie były myte. Jego policzki i podbródek pokrywał zarost, a kostki palców lewej dłoni były obtarte.

– Straciłem też ząb – zwierzył im się. – Stąd to gwizdanie. – Próbował się uśmiechnąć, żeby zobaczyli szparę.

– Pytaliśmy ludzi na całej ulicy – zaczęła Clarke. – Nikt nic nie widział ani nie słyszał, a kawałki nagrań z monitoringu, które udało się nam zebrać, nie uchwyciły sprawcy. Dlatego liczymy, że nam pomożesz.

– Przykro mi, ale was rozczaruję. Ten, kto mnie napadł, czaił się może na tyłach domu albo przy garażu. Światła na zewnątrz zapaliły się, bo wjechałem w bramę, więc to nie było żadne ostrzeżenie. Zaskoczył mnie z tyłu i walnął w głowę. Padłem i odpłynąłem, zanim zabrał się do roboty.

– Sądzisz, że to był zawodowiec?

– A wy nie?

– Z tym wiąże się moje następne pytanie: nie domyślasz się, kto mógł mieć z tobą na pieńku?

– Nie mam na świecie ani jednego wroga, pani inspektor.

– Nawet Dużego Gera Cafferty’ego? – wtrącił Fox, za co Clarke posłała mu z boku surowe spojrzenie.

– To nie był Cafferty, w każdym razie nie osobiście. Usłyszałbym, jak sapie z wysiłku.

– Myślisz, że to był jeden napastnik czy dwóch? – indagowała dalej Clarke.

– Jeden spokojnie dałby radę. Nie jestem takim mięśniakiem. Ostatni raz byłem na siłowni w szkole średniej.

– Pokłóciłeś się ostatnio z jakimiś partnerami?

Pytanie zadał Fox. Christie spojrział na niego.

– Wiesz, dlaczego przestałem wszędzie jeździć z obstawą? Bo nie była mi potrzebna. Jak mówię, nie mam wrogów.

– Poza tym wszyscy wiedzą, że gdyby cię tknęli, weszliby w paradę Joemu Starkowi i jego ekipie. Dziwię się, że nie przypędził tu z Glasgow z winogronami i butelkami Lucozade.

– Joe nie miał z tym nic wspólnego. – Christie poprawił się na krześle i skrzywił od nagłego ułknięcia bólu.

– Wiemy o przeciętych oponach w twoim samochodzie i podpaleniu kubła na śmieci – poinformowała go Clarke. – Jeżeli ten ktoś ma zamiar cię dopaść, prawdopodobnie będzie dalej próbował. Najlepszy z możliwych scenariuszy jest taki, że z jakiegoś powodu chce cię tylko nastraszyć.

– To naprawdę duże pocieszenie, pani inspektor.

– Musisz myśleć tylko o sobie, ale też o swojej rodzinie, Darryl.

– Nie przestaję myśleć o swojej rodzinie!

– Może powinieneś namówić ją do wyprowadzki, dopóki to się nie skończy.

Christie pokiwał głową.

– Dzięki, całkiem możliwe, że tak zrobię.

– Myślisz, że nie potrzebujesz obstawy, ale przydałoby ci się ze dwóch ludzi. W ciągu dnia miałyby ich przy sobie, a w nocy pilnowaliby domu. Przez co najmniej dzień czy dwa radiowozy będą regularnie patrolować twoją dzielnicę.

Wciąż kiwał głową.

– Tak się mną przejmujecie? – zapytał w końcu, popatrując to na Clarke, to na Foxa.

– Po prostu robimy, co do nas należy – oświadczyła Clarke. – Chociaż bez twojej współpracy to może nie wystarczyć, żeby zapobiec następnemu atakowi.

– Albo nawet eskalacji – dorzucił Fox.

– Wydawało mi się, że współpracuję! – Christie udał obruszonego.

– W twojej branży, Darryl – Clarke wstała z kanapy – jeżeli nie masz wrogów, to znaczy, że coś robisz źle. Wiem, że teraz wszystko cię boli i pewnie nie bierzesz żadnych środków przeciwbólowych, bo nie chcesz, by zamąciły ci w głowie, żebyś mógł się intensywnie zastanawiać nad listą kandydatów. Posłuchaj dobrej rady: nie zaczynaj wojny. Możesz podać nam nazwiska i to my je sprawdzimy. To nie będzie oznaka słabości, masz moje słowo. Wręcz przeciwnie. – Stała przed nim z ramionami skrzyżowanymi na piersi. – I może wymień te atrapy na prawdziwe kamery, co?

– Jak sobie pani życzy, pani inspektor.

Clarke ruszyła do drzwi salonu, Fox trzymał się kilka kroków za nią. Kiedy zaryzykował i zerknął w stronę Christiego, ten chytrze puścił do niego oko. Fox z niewzruszoną miną wyszedł za Clarke z domu.

– Umawialiśmy się chyba, że nie będziesz nic mówił? – mruknęła.

– Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać.

Otworzyła drzwi samochodu, ale nie wsiadła. Stała na chodniku, patrząc na dom, w którym przed chwilą była.

– Dowiedzieliśmy się czegoś istotnego? – zapytał Fox.

– Myślałam, że może próbuje stać się Caffertym – odparła Clarke. – Okazuje się, że nie po to jest ten dom.

– W takim razie po co?

– Jak myślisz, kto urządził ten pokój i kupił te wszystkie wzorzyste tkaniny?

– Jego matka?

Clarke skinęła głową.

– To wszystko jest dla niej. Może Darryl zachował nazwisko ojca, ale jest synkiem mamusi...

* Fox – (ang.) lis.

DZIEŃ TRZECI

ROZDZIAŁ 5

– NIE ŻARTOWAŁEŚ, MÓWIĄC O tych kanapkach – powiedział Rebus i ugryzł następną kęs.

– Idealnie chrupiący bekon – przytaknął Robert Chatham.

Siedzieli naprzeciw siebie na miękkich kanapkach przy stoliku z laminatu. Przed nimi stały talerze i kubki z ciemnobrązową herbatą. Z kuchni buchało radio Forth.

– Przepraszam, jeżeli wczoraj wydawałem się trochę nie halo – odezwał się znowu Chatham. – Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek usłyszę jeszcze o Marii Turquand. Widziałeś jej zdjęcia? Prawdziwa piękność, nie?

– Zgadza się.

– W dodatku z głową na karku. Studiowała łacinę i grekę.

– I historię starożytną – uzupełnił Rebus, by pokazać, że też dobrze się przygotował.

– Pewnie nie powinna była wychodzić za męż... miała w sobie za dużo szaleństwa.

– Przypuszczam, że w świecie Johna Turquanda krzywo na nią patrzyli.

Chatham pokiwał głową, przeżuując bułkę.

– Mieliśmy problem, bo sporo osób, które pojawiały się na drugim planie, już nie żyło. Nie mogliśmy wypytać personelu hotelowego ani gości, żeby cokolwiek potwierdzić. Zresztą minęło trzydzieści lat, więc nawet ci, do których udało się nam dotrzeć, niewiele już pamiętali. Tamtego dnia w hotelu był straszny młyn, bez przerwy ktoś wchodził i wychodził, dziennikarze, którzy byli umówieni na wywiad z Collierem albo liczyli, że uda im się do niego podejść. Tłum fanów stojących na zewnątrz i skandujących jego nazwisko albo próbujących wemknąć się do holu i dostać na schody. – Chatham siorbnął łyk herbaty. – Nasz komputerowiec próbował stworzyć model holu w 3D ze wszystkimi osobami, które mogły widzieć, jak zabójca wchodził albo wychodził, ale mieliśmy za mało konkretów. Ostatecznie daliśmy sobie z tym spokój.

– A fotoreporterzy?

Chatham pokiwał głową.

– Obejrzelśmy wszystko, co udało się znaleźć. Nakłoniliśmy nawet zatwardziałych fanów Colliera do przekazania nam zdjęć, które zrobili na ulicy przed hotelem. – Ułożył kciuk i palec wskazujący w zero.

– Nie mieliście dowodu na to, że na miejscu zdarzenia nie było kochanka Marii ani jej męża, i dlatego zaczęliście się skłaniać ku wersji Vince'a Brady'ego?

– Brady twierdził tylko, że Collier rozmawiał z ofiarą w korytarzu na trzecim piętrze. Collier zaprzeczył i okazało się, że między nim a Bradym były jakieś kwasy. Zresztą on już nie żyje.

– Brady?

– W zeszłym roku miał chyba trzeci czy czwarty zawał. – Chatham odłożył resztki kanapki, wytarł serwetką palce i spojrzął na Rebusa. – Dlaczego tak się tym nagle zainteresowałeś? Coś się stało?

Zamiast odpowiedzi Rebus miał następne pytanie.

– A mąż i kochanek? Przesłuchaliście ich?

– Turquanda i Attwooda? Widziałeś akta, więc sam sobie odpowiedz.

– Nie wszystko trafia do oficjalnych zapisów.

Chatham lekko się uśmiechnął.

– Tak się składa, że zamieniłem parę słów z jednym i drugim... prywatnie.

– Dlaczego prywatnie?

– Bo mieliśmy się skupić na Bradym i Collierze. Góra uznała, że nie warto szukać głębiej. Ale pewnie pamiętasz, że ktoś z personelu room service'u mówił, że widział faceta trochę podobnego do Petera Attwooda.

– Nie był jednak pewien.

Chatham skinął głową.

– Wersja Attwooda była taka, że zerwał z Marią, chociaż jej o tym powiedział. Zachował się jak tchórz: kazał jej czekać na siebie w pokoju hotelowym, a sam zupełnie gdzie indziej zabawił się z jej następczynią.

– Człowiek z klasą.

– Kiedy widziałem się z nim osiem lat temu, był szczęśliwym małżonkiem i wkrótce spodziewał się pierwszego wnuka. Powiedział, że w latach siedemdziesiątych był „innym człowiekiem”.

– Ciągle chodzi po świecie?

– Nie mam pojęcia. Nie siedzę z nosem w nekrologach.

– A John Turquand?

– Przeszedł na emeryturę i zamieszkał w zamku w Perthshire. Lubi polować, strzelać i wędkować. Zawsze zakładałem, że nie wykorkował.

– Ożenił się potem jeszcze raz?

– Raczej rzucił się w wir pracy. Zarobił miliony i zaczął je wydawać.

– Dwóch głównych podejrzanych życie potraktowało laskawie.

– Prawda? Bruce Collier też ciągle jeździ w trasy tu i tam.

– Słyszałem, że tu mieszka.

– W domu przy Rutland Square, chociaż prędzej znalazłbyś go pod dwoma innymi adresami... czytałem, że na Barbadosie i w Kapsztadzie.

– Rutland Square?

– Też się uśmiechnąłem. Prawie po sąsiedzku z hotelem Caledonian. Sądzisz, że to coś znaczy?

– Nie wiem. Pewnie nie. Ciekawe, czy ciągle spotyka się ze swoim starym kumplem, Dougiem Vaughanem.

– A właśnie! Jeszcze jedno: Vince Brady twierdzi, że zgodnie z poleceniem Colliera miał dać Dougiemu Vaughanowi drugi klucz do swojego pokoju.

– Tak, czytałem w aktach. Wiadomo dlaczego?

– Żeby Vaughan w razie potrzeby mógł się zdrzemnąć. Widocznie spotkania ze starymi kumplami wymagają podlewania sporą ilością alkoholu.

Rebus zmrzął oczy.

– Pokoje Brady'ego i Marii Turquand sąsiadowały – zauważył.

– Zgadza się.

– A Vaughan miał klucz.

– Tak jakby... Twierdził, że mgliście przypomina sobie jakiś klucz, ale nie wiedział, do którego pokoju ani co się z nim stało. Przysięga, że nie był nigdzie poza apartamentem Bruce'a Colliera. – Chatham odsunął talerz na bok i nachylił się nad stolikiem. – Wiesz, że między nimi były drzwi?

– Co?

– Między pokojem Marii a Vince'a Brady'ego. Nie próbuj sprawdzać: hotel zlikwidował je już lata temu. Dzisiaj to lite ściany, ale wtedy były trochę mniej lite.

– Vaughan miał wcześniej romans z ofiarą.

– Przysięga, że tamtego dnia jej nie widział.

– Znamy alibi Vince'a Brady'ego?

– Biegał jak wariat tam i z powrotem między hotelem a Usher Hall, żeby doglądać ekipy i stoiska z gadżetami. Kilkanaście osób potwierdziło, że rozmawiał z nim w kilkunastu miejscach.

– Musiał jednak od czasu do czasu zahaczyć o swój pokój.

– Zgoda, ale niczego nie widział ani nie słyszał.

– Oprócz rozmowy Marii Turquand z Bruce'em Collierem w korytarzu.

– Tak, oprócz tego.

Rebus zamyślił się na moment.

– Ostatnia rzecz... Czy w sprawie pojawił się jakiś Rosjanin?

Chatham ściągnął brwi.

– Rosjanin?

– Wszystko jedno gdzie i w jakim charakterze.

Pokręcił głową i przez chwilę w milczeniu pili herbatę.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytał w końcu Chatham.

– O wrażenie, które wtedy miałem, na samym początku pierwszego śledztwa. Wrażenie, że czegoś nie zauważyliśmy, że coś przeoczyliśmy.

– I dopiero teraz do tego wracasz?

– Wcześniej byłem trochę zajęty. Ostatnio mam więcej czasu.

Chatham ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Kiedy poszedłem na emeryturę, trochę to trwało, zanim wrzuciłem niższy bieg.

– Jak ci się to udało?

– Dzięki miłości dobrej kobiety. Poza tym dostałem pracę na bramce i chodzę na siłownię. – Pokazał na swój talerz. – Rzadko pozwalam sobie na taką ucztę i postaram się ją spalić po południu.

– Mam psa, którego mogę wyprowadzać. – Rebus urwał. – I dobrą kobietę.

– Poświęcaj im więcej czasu, jemu i jej. Odpuszczaj sobie, tego można się nauczyć.

Rebus skinął głową.

– Będę potrzebował trochę czasu, żeby to przetrawić.

– U mnie to samo. – Chatham uderzył się dłonią w pierś.

– Nie mówię o bekonie. Chociaż teraz czuję, że chyba o nim też. Dzięki, że zgodziłeś się ze mną pogadać.

Uścisnęli sobie ręce nad stołem.

– JUŻ WRÓCIŁEŚ?

Nie bardzo wiedząc, jakie zasady tu obowiązują, Fox kręcił się w drzwiach skrzydła budynku należącego do Urzędu Skarbowo-Celnego i starał się ściągnąć na siebie wzrok Sheili Graham. W końcu go zauważyła i do niego podeszła.

– Albo przywoziłeś wiadomości – zaczęła, krzyżując ręce na piersi – albo uznałeś, że to strata czasu.

– Wydaje mi się, że potrzebuję trochę więcej informacji. Najlepiej byłoby, gdybym mógł zobaczyć to, co już macie na Christiego.

– Po co?

– Żeby nie skończyło się na tym, że będę ci opowiadał coś, co już wiecie.

Przeglądała mu się z obojętną miną. Wreszcie zdobyła się na uśmiech.

– Chodź, zapraszam cię na kawę – zaproponowała.

W rogu atrium na parterze była kawiarenka, więc stanęli w kolejce, a potem poszli z kubkami do jednej z części wspólnych – z wygodnymi siedzeniami wokół niskiego stołu.

– No więc czego się dotychczas dowiedziałeś? – spytała Graham.

– Christie już wcześniej był celem ataku. Przecięli mu opony w samochodzie i podpalili kubek ze śmieciami. Monitoring tego nie zarejestrował i żaden sąsiad nie potrafił pomóc. Dlatego szukamy potencjalnych wrogów, a ofiara nie bardzo się kwapi do pomocy.

– Dochodzi do siebie?

– W domu – przyznał Fox. – Widziałem się z nim wczoraj wieczorem.

– Widziałeś się z nim?

– Inspektor Clarke pojechała go przesłuchać, więc się z nią zabrałem.

– Ale on cię zna, prawda?

– Nie mówiłem, że od niedawna pracuję w Gartcosh.

– Na pewno jeszcze o tym nie wie?

– Myślę, że wtedy coś by powiedział, żeby dać mi do zrozumienia, że wie.

– Nie chcemy, żeby się połapał, że grzebiemy w jego sprawach – uprzedziła Graham.

– Musiał chyba jednak coś podejrzewać.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Być może – przyznała w końcu.

– Odwiedziłem jego dwa punkty bukmacherskie. Nie rzuciło mi się w oczy nic dziwnego.

– Które punkty?

– Obydwa nazywają się Diamentowy Joe. – Fox zamilkł. – Dłaczego pytasz?

– Jest jeszcze trzeci, chociaż w żadnych papierach nie znalazłbyś nazwiska Christiego. Szczerze mówiąc, wątpię, żebyś zauważył coś dziwnego, nawet gdyby pranie brudnych pieniędzy odbywało się na twoich oczach.

– W takim razie jak to się właściwie odbywa?

– Wykorzystują automaty do gier hazardowych, zwykle elektroniczną ruletkę. Straty można zminimalizować do około czterech procent. Po skończonej grze maszyna drukuje kupon, który wymienia się w kasie na gotówkę. Dostajesz kwitek, więc nawet jeśli ktoś odkryje u ciebie podejrzenie grube pliki banknotów, masz dowód, że pochodzą z legalnego źródła.

– Czyli w zasadzie bukmacher pobiera opłatę w wysokości czterech procent?

– To tani sposób wyprania brudnych pieniędzy. Przez każdą maszynę można przepuścić tysiące funtów na godzinę. Właśnie trwają intensywne prace nad zmianą prawa w Brukseli. Każda wygrana powyżej dwóch tysięcy euro będzie wymagała podania danych gracza. U nas bronią się przed tymi nowymi przepisami.

– Jeżeli ktoś przez parę godzin okupuje automat i wrzuca do niego tysiące funtów, to obsługa musi o tym wiedzieć, prawda?

– Często nie zwraca uwagi albo w ogóle się tym nie przejmuje. Jeżeli jednak właściciel interesu sam należy do tego układu...

– Jak na przykład Darryl Christie?

Skinęła głową.

– Tylko że pan Christie ma za uszami znacznie więcej.

– Tak?

Jej twarz stężała.

– To musi zostać między nami, Malcolm. – Przynęła się bliżej, on zrobił to samo. W promieniu pięciu metrów od nich nie było nikogo, mimo to Graham zniżyła głos. – Punkt bukmacherski, o którym mówię, nazywa się Klondyke Alley. Tak się składa, że jest nad nim dwupokojowe mieszkanie, które prawdopodobnie też należy do Christiego.

– Mów dalej.

– Wiesz, co to spółki SLP?

– Nie.

– W takim razie może powinnam ci pokazać. – Najwyraźniej podjęła już decyzję. Zerwała się z kanapy, chwyciła kubek z kawą i kazała mu zrobić to samo. Ruszył za nią z powrotem do skrzydła skarbowki. W biurze Graham znaleźli wolne krzesło i przystawili do jej biurka. Kilku jej kolegów i koleżanek spojrzało pytająco, więc przedstawiła im Foxa. – Spokojnie – powiedziała. – To prawie jeden z nas.

Zaczęła energicznie stukać w klawisze, dopóki nie wyświetliła się lista zajmująca cały ekran.

– SLP, szkockie spółki komandytowe. Zgadnij, ile z nich jest zarejestrowanych w mieszkaniu nad Klondyke Alley?

Fox zmrzążył oczy.

– Wszystkie z tej listy?

Graham parę razy kliknęła myszką, a lista cały czas się wydłużała.

– Ponad pięćset – oznajmiła. – Pięćset firm, które jako miejsce działalności podają adres kawalerki w Leith.

– Mam nadzieję, że powiesz mi dlaczego.

– To są firmy wydmuszki, Malcolm. Sposób na ukrywanie majątku i obracanie nim na całym świecie. Gdybyś spróbował namierzyć prawdziwych właścicieli, zwykle trafiłbyś do jakiegoś raju podatkowego w rodzaju Brytyjskich Wysp Dziewiczych albo Kajmanów, których władze niezbyt chętnie udzielają informacji, kiedy nasze służby skarbowe zadają im pytania. Szykuje się nowe prawo. Brytyjscy właściciele firm będą musieli ujawnić tożsamość rzeczywistych beneficjentów, chociaż nie wiadomo, czy będzie można wierzyć w te informacje. Na razie jednak spółki SLP to świetny sposób, żeby nie zdradzić, kim jesteś i co właściwie robisz.

– I tym wszystkim dyryguje Darryl Christie?

Graham pokręciła głową.

– Mieszkanie wynajmuje od niego firma świadcząca usługi korporacyjne, Brough Consulting.

– Nie jest związana z tym prywatnym bankiem?

– Nie do końca. Brough Consulting to jeden człowiek, Anthony Brough, wnuk sir Magnusa, który kierował Brough's, dopóki nie przejął go jeden z banków Wielkiej Piątki.

– Dobrze znają się z Darrylem?

– Dość dobrze.

– Czyli te firmy wydmuszki... są czymś w rodzaju innych narzędzi do prania pieniędzy?

– Właśnie to staramy się ustalić. Przekopujemy się przez koszarne tony dokumentacji, która w dodatku jest głównie w formie elektronicznej. No więc siedzimy przez cały dzień, bierzemy pod lupę jedną firmę po drugiej, jednego rzeczywistego beneficjenta po drugim i próbujemy znaleźć ludzi z krwi i kości, którzy kryją się gdzieś na marginesach stu tysięcy transakcji. – Spojrzała na niego. – Sam widzisz, to naprawdę jest detektywistyczna robota. Tyle że nazywamy ją audytem śledczym.

– Udało wam się zebrać jakieś dowody?

– Przeciwko Brough Consulting? Strzelałyby już korki szampanów.

– Ale jesteście na tropie?

– Przypuszczaliśmy, że Darryl Christie na coś nas naprowadzi.

– Ale nie naprowadził. – Fox myślał przez chwilę. – Czy któraś z tych wydmuszek mogłaby mieć coś do Darryla?

– Nie mamy pojęcia.

– Nie możecie przechwycić jego maili i rozmów telefonicznych?

– Musielibyśmy dostać zielone światło od góry. I mieć dwa razy więcej ludzi. Nie słyszałeś, że mamy zacisnąć pasa? Mieszkamy w Wielkiej Kryzysowej Brytanii. – Obróciła się na krześle, ocierając się o niego kolanami. – Pamiętaj, Malcolm, że musisz zachować te informacje dla siebie. Nawet gdyby zaczęły zahaczać o sprawę napadu na Christiego, nie możesz ich ujawniać swoim kolegom z Edynburga, dopóki nie skontaktujesz się ze mną.

– Jasne – odparł Fox. – Dzięki. Twoje zaufanie wiele dla mnie znaczy.

– Mogłabym ci opowiedzieć więcej, ale pewnie trudno byłoby ci to ogarnąć... Niektórych rzeczy sama nie rozumiem.

– Nigdy nie byłem mocny z rachunków.

– Przecież potrafisz zrobić bilans wydatków i dochodów, tak mówiłeś, kiedy się poznaliśmy.

– Może trochę przesadziłem. – Pokazał palcem na swój policzek. – Pokerowa twarz, pamiętasz?

Graham się uśmiechnęła.

– Wracasz do Edynburga? – spytała, a kiedy skinął głową, dodała: – W takim razie liczę na rewanż. Też chcę być na bieżąco.

– Będziesz – obiecał Fox.

– No więc w którą stronę pójdzie teraz śledztwo?

– To zależy od inspektora Clarke. – Poczł wibracje telefonu w kieszeni. Wygrzebał go i zerknął na ekran. – O wilku mowa. – Otworzył wiadomość.

Graham zobaczyła, jak w zdziwieniu unosi brwi.

– Jest coś?

– Jest. – Odwrócił do niej telefon, żeby sama przeczytała.

Sprawca przyznał się do winy.

– W takim razie leć – powiedziała Graham. – I koniecznie zadzwoń do mnie, kiedy będziesz już wiedział.

– Zadzwonię – rzucił, zostawił niedopitą kawę i ruszył do drzwi.

ROZDZIAŁ 6

NA CHODNIKU PRZED komisariatem przy Gayfield Square pełniła straż samotna dziennikarka. Nazywała się Laura Smith i pisała do działu kryminalnego „Scotsmana”.

– Prawie zamierzam tu na śmierć, inspektorze Fox – poskarżyła się, gdy chciał ją wyminąć.

– Nie mam nic do powiedzenia, pani Smith.

– Przecież dawniej parę razy nie odmówiłam panu przysługi.

– Powinna pani nękać inspektor Clarke.

– Nie odbiera telefonu.

– Pewnie dlatego, że nie ma nic do powiedzenia. Czy zaczepianie na ulicy nie jest zbyt banalnym chwytem jak na dziennikarkę działu kryminalnego?

– Nie, jeżeli wziąć pod uwagę, kto jest ofiarą.

– Miejscowy przedsiębiorca Darryl Christie?

Uśmiechnęła się.

– Niech się pan nie boi, prawnicy w naszej gazecie dopilnują, żebym nie napisała niczego, co wpakowałoby nas w kłopoty.

– To dobrze, bo przypuszczam, że pan Christie też ma prawników.

– Niech pan mi podrzuci chociaż jedno zdanie, które mogłabym zacytować jako informację „ze źródeł bliskich policji”.

– Nic pani nie powiem, Lauro. Ale szepnę słówko inspektor Clarke.

– Przyrzeka pan?

– Nie chciałbym, żeby pozwała mnie pani za niedotrzymanie obietnicy.

Otworzył drzwi i wszedł, minął recepcję, po czym wstukał kod do wewnętrznych drzwi i ruszył długim korytarzem prowadzącym do pokoi przesłuchań. Nie miał wątpliwości, w którym z nich siedzi skruszony sprawca – przed wejściem kręciła się grupka mundurowych, którzy podsłuchiwali i szeptali między sobą.

Fox nie okłamał Laury Smith – próbował się dodzwonić do Clarke, żeby mu wyjaśniła, co się stało, ale bez powodzenia. Poprosił więc o wyjaśnienia najstarszego z policjantów w korytarzu.

– Podeszedł do jednego z naszych na patrolu i powiedział, że musi się do czegoś przyznać.

– Gdzie to było?

– Przy piekarni Greggs na South Bridge. Miał w ręce reklamówkę i wyglądał tak, że najlepiej byłoby go umyć wodą pod ciśnieniem. Policjant wziął to za dobrą monetę i spytał, co takiego zrobił. On na to, że walnął w głowę Darryla Christiego i dołożył parę kopniaków w zęba.

– Pewnie świr – ocenił inny mundurowy.

– Przecież nigdzie nie wspomiano o szczegółowych obrażeniach, prawda? – odparował starszy funkcjonariusz.

– Wiedział o nich szpital. Wiedzieli członkowie rodziny i sąsiedzi. Wiadomości mają to do siebie, że wyciekają.

– Czekamy na adwokata? – spytał Fox.

– Twierdzi, że nie chce. Zresztą i tak jeszcze nie usłyszał zarzutów.

– Kto tam z nim jest? Inspektor Clarke?

– I detektyw Esson.

Fox wpatrywał się w drzwi, z których zniknął napis WOLNE, zastąpiony przez ZAJĘTE. Ich powierzchnia była mocno zdrapana, farba się łuszczyła. Fox zastanawiał się, czy może tam po prostu wejść. Oczywiście miał prawo. Ale jeżeli Siobhan właśnie udało się skłonić tego faceta do wynurzeń... a wytrącony z transu jego wtargnięciem, nie mógłby już wydusić z siebie ani słowa...

– Jak on się nazywa? – zapytał tylko.

– Policjant, z którym rozmawiał, musi znać nazwisko, ale wyszedł, żeby napisać raport.

– Wspomni w nim, że stał wtedy przed Greggs w kolejce po pączki?

– Człowiek musi jeść – oznajmił starszy posterunkowy takim tonem, jakby wygłaszał odwieczną mądrość. – A jeżeli chodzi o ścisłość, to była bułka z wołowiną.

Z wnętrza pokoju dobiegł jakiś hałas i wszyscy drgnęli zaskoczeni, bo nagle otworzyły się drzwi. Jak we wszystkich pokojach przesłuchań, otwierały się na zewnątrz, by nikt w środku nie mógł się zabarykadować. Jeden z mundurowych został uderzony krawędzią drzwi w ramię. Krzyknął, a na progu ukazała się Christine Esson.

– Dobrze ci tak – powiedziała, zamiast go przeprosić. Tuż za nią z pokoju wyszła Siobhan Clarke. Zauważyła Foxa i skinęła na niego, kierując się w stronę schodów prowadzących do biur dochodzeniówki. Tymczasem Esson wydawała dyspozycje mundurowym: dwóm poleciła pilnować faceta, który nadal siedział w pokoju przesłuchań, a jednemu przynieść mu coś do jedzenia i picia.

– Cuchnie jak wszyscy diabli – poskarżyła się Clarke, wciągając hausty świeżego powietrza.

– Bezdolny?

– Niezupełnie. Mieszka w Craigmillar. Bezrobotny. Nazywa się William Shand. William Crawford Shand.

– I wie o złamanych żebrach?

Clarke obejrzała się za siebie.

– Wiadomości szybko się rozchodzą.

– Chyba że ktoś ma pecha i jest Laurą Smith.

– Laura może zaczekać. – Clarke weszła do biura, spojrzała w oczy Ronniego Ogilviego i wycelowała palec w drzwi gabinetu Page'a.

– Nie ma go – rzucił Ogilvie. Zauważył, że Fox przypatruje się jego wąsom.

– Coś nowego? – zapytał Fox. Ogilvie skinął głową. – Nie jestem pewien, czy ci z nimi do twarzy.

– Przykro mi, że przeszkadzam w początku pięknej przyjaźni – wtrąciła Clarke, nie odrywając oczu od Ogilviego – ale nie wiesz, dokąd poszedł?

– Szef? Na zebranie urzędowi w głównej na Fettes.

Clarke westchnęła i ścisnęła palcami grzbiet nosa.

– Potrzebuję jego zgody – mruknęła.

– Zgody na co? – spytał Fox.

– Shand chce, żebyśmy sprowadzili jednego cywila. Twierdzi, że tylko jemu przyzna się do winy. Zdaje się, że łączy ich jakaś dawna historia. Nie wiem, czy mogę na to pozwolić bez zielonego światła od szefa.

Fox patrzył na nią uważnie.

– Z twojego tonu domyślam się, kim jest ten cywil.

Clarke uniosła wzrok do sufitu, gdy z ust Malcolma Foxa padło nazwisko.

– Rebus.

– LAURY NIE MA już przed budynkiem, prawda? – spytała Clarke, prowadząc Rebusa korytarzem.

– Oczywiście, że jest.

Zakłęła pod nosem.

– Co jej powiedziałaś?

– Że idę się spotkać ze starym znajomym. – Rebus odwrócił się do niej. – A tak w ogóle, jak się miewasz?

– Bywało lepiej.

– Musisz wiedzieć dwie rzeczy, Siobhan.

– Słucham.

– Po pierwsze, wszyscy nazywają go Craw. Wątpię, by ktokolwiek oprócz sędziów i komorników nazywał go Williamem.

– Notowany?

– Widzisz, tu przechodzimy do drugiej rzeczy: dałaś sobie wcisnąć kit. Gdybyście rzucili okiem na kartotekę, wiedzielibyście, że Craw słynie ze zgłaszania się na policję za każdym razem, gdy w wiadomościach pojawia się jakaś grubsza sprawa.

– Sprawdziliśmy go w systemie, przez ostatnie pięć lat czysty jak łąza.

– W takim razie wrócił do dawnych praktyk. – Dotarli do pokoju przesłuchań, przed którym czekał Fox. Rebus uściśnął mu rękę. – Co cię tu sprowadza, Malcolm?

– Ciekawość.

– No to dobrze trafiłeś, bo džentelmen za tymi drzwiami to jednoosobowy gabinet osobliwości. – Rebus sięgnął do klamki, ale znieruchomiał. – Lepiej będzie, jeżeli sam to załatwię.

– Zapominasz, że nie jesteś już gliniarzem? – spytała Clarke.

– Mimo wszystko...

– To jest konieczny warunek, John. Musi być przy tym reprezentant szkockiej policji.

Rebus przeniósł wzrok na Foxa, po czym znowu spojrzął na Clarke.

– Wobec tego rzuć monetą. – Po udzieleniu im tej rady otworzył drzwi i wkroczył do środka.

Craw Shand siedział przy wąskim stole, skubiąc kanapkę złożoną z dwóch cieniutkich kromek białego chleba przedzielonych jeszcze cieńszą warstwą pomarańczowego sera topionego. W styropianowym kubku została odrobina herbaty, na której z wolna tworzył się kożuch. Rebus pomachał sobie ręką przed nosem.

– Jezu, Craw. Kiedy ty ostatni raz widziałeś mydło? – Dał znak mundurowym, żeby wyszli. Nie pytając nawet, kim jest, posłusznie odmaszerowali.

Nie wyszedłeś z wprawy, John.

– Serwus, panie Rebus. – Craw miał poczerniałe zęby, a resztki przetluszczonej rzadkich włosów lepiły mu się do czaszki. – Kopę lat.

– Prawie dwadzieścia, Craw.

– Na pewno nie aż tyle.

Rebus wysunął metalowe krzesło i usiadł przy stole.

– Nie mówili ci? Od niedawna jestem na emeryturze.

– Co pan powie?!

– Uznałem, że bez obaw mogę odwiesić odznakę na kołek, bo myślałem, że takim jak ty znużyły się już numery tego typu.

– To nie jest żaden numer, panie Rebus.

– Hm... zawsze musi być ten pierwszy raz.

Craw Shand mętnymi oczami spojrzął na siedzącego naprzeciwko mężczyznę.

– Pamięta pan Biblijnego Johna?

– Oczywiście.

– Posterunek w Craigmillar. To pan mnie wtedy maglował.

– Przesłuchiwałem cię, Craw. Tak to się nazywa.

– Twardy pan był, ale sprawiedliwy.

– Mam nadzieję.

– Dopóki nie przygniótł mnie pan do podłogi i prawie nie udusił.

– Ostatnio pamięć mi nie dopisuje.

Craw posłał mu promienny uśmiech.

– Jednak pan pamięta.

– Może tak, może nie. Co to ma wspólnego z Darrylem Christiem?

Obaj odwrócili się, bo drzwi znowu się otworzyły i do pokoju weszła Clarke. W korytarzu mignął im Fox, który wyciągał szyję, próbując zobaczyć Shanda. Clarke zamknęła drzwi w chwili, gdy Rebus mu pomachał.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze – ciągnął Rebus – dlaczego chciałaś rozmawiać akurat ze mną. Jak już mówiłem, inspektor Clarke jest tak samo kompetentna.

– Przez to wspomnienie z Craigmillar. Po prostu pomyślałem sobie, że chciałbym pana znowu zobaczyć.

– Żebym potraktował cię tak samo jak wtedy? Przykro mi, że cię rozczaruję, Craw, ale obaj mamy ponad sześćdziesiątkę, a na świecie panują już inne zasady. – Rebus ostentacyjnie spojrzął na zegarek. – Za godzinę zaczyna się turniej domina, więc byłbym ci wdzięczny, gdybyśmy mogli przejść do rzeczy.

– Uderzyłem go.

– Kogo?

– Nazywa się Darryl Christie. Mieszka w wielkim domu niedaleko ogrodu botanicznego.

– Dobrze, Craw. To można przeczytać w internecie w każdym artykule o tym, co się stało.

– Wysiadł z samochodu, białego range rovera. Podszedłem go od tyłu i uderzyłem.

– Czym?

– Kawałkiem drewna. Leżał obok garażu. Tam na niego czekałem.

- Po ciemku?
- Kiedy wszedłem na podjazd, zapaliły się światła przed domem, ale nikt stamtąd nie wyszedł.
- Nie bałeś się, że złapią cię kamery?
- Wszyscy wiemy, że te wynalazki są do niczego.
- Dlaczego to zrobiłeś, Craw? Dlaczego akurat jego wybrałeś na ofiarę?
- Po prostu byłem zły.
- Ale z jakiego powodu?
- Byłem zły na ludzi z kasą. Ludzi, którzy za dużo mają... z wielkimi domami i tak dalej. Po prostu mam ich dość.
- Czyli wcześniej zrobiłeś już coś takiego?
- Często o tym myślałem.
- Ale nigdy tego nie zrealizowałeś? – Rebus patrzył, jak Craw Shand kręci głową. Odchylił się na twardym metalowym siedzisku. – Jesteś pewien, że samochód był biały?
- Kiedy wjechał na podjazd, znowu zapaliły się światła.
- A gdy przyszedłeś, bramy były zamknięte?
- Furtka przed ścieżką nie. Brama przy podejździe zaczęła się otwierać, kiedy zbliżał się jego wóz. Rebus zerknął na Clarke, a ta uniosła brew. Na razie nic nie można mu było zarzucić.
- Co zrobiłeś z tym kawałkiem drewna?
- Wyrzuciłem.
- Gdzie?
- Gdzieś w parku Inverleith.
- To kawał ziemi, Craw. Musielibyśmy poświęcić sporo roboczogodzin, żeby go znaleźć. Shand ożywił się na tę myśl.
- Oczywiście przy założeniu, że mielibyśmy ci uwierzyć. A mnie się wydaje, że ciągle jesteś takim samym załganym śmieciem jak zawsze. – Rebus podniósł się z krzesła, okrążył stół i stanął za plecami Shanda. Poczul, jak facet sztywnieje. – Wycinasz następny ze swoich pieprzonych numerów – warknął. – Bo od tego staje ci ta frankfurterka w zafajdanych slipach. Koniec zabawy, stary. Lepiej wracaj do swojej brudnej nory i stron porno.
- Mówię panu, że to zrobiłem!
- A ja ci mówię, żebyś spieprzał z tego pokoju przesłuchań, zanim będziemy musieli zadzwonić po ekipę do dezynsekcji!
- John – usłyszał ostrzegawczy głos Clarke. Dotąd stała oparta o ścianę, ale zrobiła kilka kroków w stronę stołu. – Możesz uzupełnić swój opis, Craw? – zwróciła się do Shanda. – Jak wyglądał dom, samochód, przebieg zdarzeń?
- Uderzyłem go z tyłu w głowę. Potem nachyliłem się nad nim i dałem mu pięścią w twarz. Wyprostowałem się i parę razy kopnąłem go w żebra... nie pamiętam dokładnie ile. Ostatniego kopniaka zarobił w nos i tyle.
- Tylko dlatego, że jest bogaty?
- Właśnie.
- Rebus położył dłoń na ramieniu Shanda, a ten się wzdrygnął.
- Powinniśmy zawiadomić o tym Christiego. Sprawa zamknięta. Wszyscy idziemy do domu, a Craw trafi za kratki w Saughton, gdzie będzie czekać niewysoka, ale bardzo ponętna cena za jego głowę. –

Przerwał i nachylił się nad lewym uchem Shanda. – Wiesz, kim jest Darryl Christie, Crawl?

– Właścicielem hotelu.

– To też napisali w gazetach, ale zapomnieli wspomnieć, że przejął tron po Dużym Gerze Caffertym. Może to sobie przemyślisz, hm? – Rebus wyprostował się i zerknął na Clarke, ale ona skupiała wzrok na chudej postaci na krześle.

– Coś jeszcze, panie Shand? Przypomina pan sobie jakieś szczegóły? – zapytała.

Przesłuchiwany otworzył szerzej oczy.

– Kubeł na śmieci przy tylnym wyjściu... Jeden bok był do połowy stopiony! – Przeniósł triumfalny wzrok z policjantki na Rebusa i z powrotem, jak gdyby się cieszył, że pamięć go nie zawiodła.

Clarke jednak patrzyła tylko na Rebusa.

– Podaj mi powód, dla którego nie powinnam mu postawić zarzutów – powiedziała.

Rebus zacisnął usta.

– Wygląda na to, że na tym moja rola się kończy. – Jeszcze raz ścisnął ramię Crawa Shanda. – Powodzenia, Crawl. Serio. Potrzebowałeś na to pół życia, ale w końcu to zrobiłeś. Niech Bóg ma cię w opiece...

REBUS SIEDZIAŁ W SALI w głębi baru Oxford. Zapadł już zmrok i tłumowi pierwszych gości zebranych przy barze na dole dopisywały humory. Rebus wypił łyk drinka, po czym odwrócił głowę w stronę okna, ponieważ usłyszał stukanie w szybę. Jeden ze stałych gości wyszedł na papierosa i dawał mu znak, by się do niego przyłączył, ale Rebus pokręcił głową. Pięć minut wcześniej w toalecie miał atak kaszlu i spluwał flegmą do umywalki, a potem odkręcił kran, by splukać dowody, i ocierał pot z czoła, myśląc, że przy następnym wyjściu musi pamiętać o inhalatorze. Jego twarz w lustrze mówiła wszystko, nie dając wielkich nadziei na happy end.

Dotwał wiadomość od Clarke, która była ciekawa, gdzie się podziewa, więc nie zdziwił się, gdy weszła po schodach prowadzących z baru i zajrzała do sali.

– Tę kolejkę stawia Malcolm – poinformowała go.

Rebus pokręcił głową, opierając dłoń o stojącą przed nim szklankę.

W końcu pojawił się Fox i przyniósł gin z tonikiem dla Clarke oraz sok pomidorowy. Usiedli na krzesłach naprzeciwko Rebusa.

– Co to jest, do cholery? – nie mógł powstrzymać się od pytania Fox.

– Nazywają to małym piwem – odparł Rebus, unosząc małą szklankę i kołysząc jej zawartością.

– Denise za barem próbowała mnie uprzedzić, ale myślałem, że żartuje.

– John uważa na siebie – wyjaśniła Clarke.

– To sprawka Deborah Quant?

– Przynajmniej mogą się jeszcze czegoś napić – odparł Rebus, na co Fox odpowiedział kpiącym uśmiechem, udając, że unosi szklankę w toaście. Rebus zwrócił wzrok na Clarke. – Naprawdę myślisz, że Crawl Shand nagle został ninją?

– Skąd wie o kubeł na śmieci?

– Może gdzieś słyszał. Albo poszedł obejrzeć dom.

Clarke delectowała się pierwszym łykiem drinka i milczała.

– Naprawdę chcesz mu postawić zarzuty? – spytał Rebus.

– Szef nie widzi powodu, żeby tego nie zrobić.

– W takim razie musisz go przekonać, że się myli. Christie wie, że przymknęliśmy Crawa?

– Został poinformowany o aresztowaniu podejrzanego.

– No i?

– Nazwisko Shanda coś mu mówiło.

– Craw zawsze lubił podejrzanego puby, a Darryl ma kilka takich.

– Christie twierdzi, że nigdy ze sobą nie rozmawiali ani nie łączyły ich żadne interesy...

Malcolm Fox odchrząknął, dając znak, że zamierza się wtrącić.

– Shand twierdzi, że wybrał ofiarę przypadkowo, zgadza się? Więc to nie ma nic do rzeczy, czy się znają, czy nie.

Rebus zgromił go wzrokiem.

– Malcolm, Craw Shand tak samo potrafi kogoś pobić, jak ja przepłynąć zatokę Forth. Ma ponad sześćdziesiątkę, waży tyle co strach na wróble i rusza się, jakby mu ktoś wsadził kij w tyłek.

– Poza tym nie wiedział o przeciętych oponach – dorzuciła Clarke. – A na dodatek przysięga, że nie podpalił kłuba. Z drugiej strony, wie za dużo, żeby to miał być jego typowy numer...

– Zgoda – przyznał wreszcie Rebus. – I dlatego wracamy do tego, co mówiłem wcześniej: albo gdzieś się tego dowiedział, albo dokładnie obejrzał dom. Trzeba go wypytać o jedno i drugie. Trzeba go też uprzedzić, co dla niego znaczy to, że Darryl Christie zna jego nazwisko.

– Wobec tego w areszcie będzie bezpieczniejszy, nie sądzisz?

– Pod warunkiem że będzie siedział w izolatce.

Przez dłuższą chwilę milczeli, skupiając wzrok na drinkach. Znowu ktoś zapukał w szybę, zapraszając Rebusa na zewnątrz. Ten pokręcił głową i bezgłośnie powiedział „Nie”.

– Nie wierzę własnym oczom – odezwał się Fox. – Rzuciłeś fajki?

– Nazwijmy to próbną separacją – sprostował Rebus.

– Jasna cholera. Muszę sprzedać swoje akcje firm tytoniowych.

– Moim zdaniem to wspaniale – powiedziała Clarke.

– Ale stracił chyba jedyne hobby, jakie miał – odparował Fox.

Odwróciła się do Rebusa.

– Skoro o tym mowa...

– O czym?

– Znalazłeś coś w tych aktach, które ci dałam?

– Trochę.

– Co to za akta? – zainteresował się Fox.

– John przygląda się sprawie zabójstwa w światku sławnych i bogatych z lat siedemdziesiątych. Swoją drogą, szkoda, że nie było mnie wtedy na świecie.

Rebus popatrzył na nią.

– Czytałaś te papiery, zanim mi je przyniosłaś?

– Tylko streszczenie. Ale później grzebałam w internecie. Niewiele na ten temat znalazłam, ale kilku pisarzy wymieniało tę sprawę w książkach o słynnych zbrodniach.

– Opowiedz – poprosił Fox.

– Ofiarą była niejaka Maria Turquand – zaczęła Clarke. – Miała tabun kochanków za plecami męża, który był zamożnym bankierem i pracował u sir Magnusa Brougha. Marię znaleziono uduszoną w pokoju hotelu Caledonian. Głównym podejrzanym był jej ostatni kochanek, jeden z dawnych kumpli

męża... dopóki nie zapewniła mu alibi jego następna zdobycz. Ale hotel pękał w szwach od muzyków, ich świąty i dziennikarzy. Słyszałeś o muzyku, który nazywa się Bruce Collier?

– Nie sądzę – przyznał się Fox.

– To dlatego, że nie przepadasz za muzyką. Wtedy było o nim głośno. Facet stąd, odniósł sukces i wrócił Edynburga, żeby wystąpić jako gwiazda w Usher Hall. Podobno widziano go, jak rozmawiał z Marią. Był tam wtedy też jego kumpel, który notabene w przeszłości sypiał z Marią. I jeszcze menedżer trasy... – Spojrzała na Rebusa, by przypomnieć jej nazwisko.

– Vince Brady – podsunął. – Który miał pokój obok Marii. Połączony drzwiami z jej pokojem.

– Tego nie wiedziałam – zdziwiła się Clarke.

– Rozmawiałem z Robertem Chathamem.

– Kto to jest Robert Chatham? – zapytał Fox.

– Były detektyw – wyjaśnił Rebus. – Parę lat temu szefował Wydziałowi Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych.

– A zainteresowałaś się tą sprawą, bo... ?

– Jak słusznie zauważyłeś, człowiek musi mieć jakieś hobby.

Fox ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Sir Magnus Brough pociągał za sznurki w Brough's, prawda? Tym prywatnym banku?

– Zgadza się.

– Żyje jeszcze?

– Zmarł dawno temu.

– A bank sprzedano, prawda? Ktoś z rodziny jest z nim jeszcze związany?

Rebus przyglądał się Foxowi.

– Nie byłem jego klientem. O co ci chodzi, Malcolm?

Usta Foxa drgnęły.

– O nic.

– Kłamiesz.

– Jesteś wśród przyjaciół – dodała Clarke, nachylając się w stronę Rebusa, tak że dotknęli się ramionami.

– Naprawdę? – Utkwił w niej wzrok.

– Naprawdę – zapewniła go, a on skinął głową.

– Chodzi o to, że gdzieś pojawiło się jego nazwisko – przyznał w końcu Fox.

– W Gartcosh?

Teraz z kolei Fox skinął głową.

– Nie sir Magnusa, ale jego wnuka.

– W związku z czym?

– Nie mogę wam powiedzieć.

– Dlaczego?

– Ze względów operacyjnych.

Rebus i Clarke wymienili spojrzenia.

– Ciągle zapominam, Malcolm – wycodził Rebus – że poruszasz się teraz w znacznie wyższych sferach niż my. I najlepszy towar trzymasz pod kluczem. Nie wypada, żeby kosztowali go zwykli

śmiertelnicy. Jeszcze mógłby nam uderzyć do głowy.

– Nie chodzi o to, że wam nie ufam. Ale przyrzekłem zachować to w tajemnicy. Zresztą skoro nie zapytałeś mnie, dlaczego wróciłem do miasta, to domyślam się, że Siobhan już ci powiedziała. Chyba nie lubię, kiedy ktoś się zmawia przeciwko mnie.

– Hm... no tak – rzucił Rebus. – Dobrze wiedzieć, na czym stoimy, co, Siobhan?

Fox zgarbił ramiona, ściskając w dłoni prawie pustą szklanekę, z głową przechyloną na bok.

– Malcolm na pewno wie, co robi – odparła lodowatym tonem Clarke.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – rzucił Rebus.

Dokończyła drinka i zaczęła się podnosić.

– Zostajesz, John? Mogłabym cię podrzucić.

– Właśnie tego potrzebuję najbardziej. – Rebus wziął płaszcz, który leżał złożony obok niego.

– A ja? – jęknął Fox. – Mój wóz został na Gayfield Square.

Clarke już zmierzała do drzwi.

– A tobie nic się nie stanie, jak się przejdziesz! – zawołała.

– To ci dobrze zrobi – dodał Rebus i mijając Foxa, lekko poklepał go po czubku głowy.

KAŻDY WYBÓJ NA edynburskich ulicach był torturą, nawet w samochodzie z takim zawieszeniem jak range rover Darryla Christiego. Właściciel auta siedział w fotelu pasażera, starając się zachować kamienną twarz. Harry, jego kierowca, miał talent do znajdowania każdej dziury i garbu na jezdni. Wreszcie dotarli do Merchiston – zapewne nie najszybszą trasą, ponieważ Harry polegał na nawigacji satelitarnej.

– Który to dom? – zapytał Christiego.

– Numer dwadzieścia.

– W takim razie to ten. – Kierowca wcisnął hamulec, wywołując syk bólu obok siebie. – Przepraszam, Darryl. Nic ci się nie stało?

Christie nie zwracał jednak na niego uwagi. Patrzył na tabliczkę z napisem NA SPRZEDAŻ. Powoli wygramolił się z samochodu i z trudem wyprostował. Potem otworzył furtkę i wszedł na ścieżkę. W środku nie paliły się żadne światła. Zastony w jednym oknie były rozsunięte, tak że mógł zajrzeć do ogolonego salonu.

– Zastanawiasz się nad kupnem? – zaciekawiał się Harry.

– Wracaj do wozu i czekaj tam – warknął Christie.

Przeszedł podjazdem – bardzo podobnym do tego, który miał przed własnym domem – na tyły posesji. Namierzył go czujnik i zapaliło się światło, ukazując ogród, w którym stał osobny budynek w stylu dawnej wozowni, gdzie kiedyś spał ochroniarz Cafferty'ego. Cafferty w końcu go odprawił, ponieważ nie potrzebował już jego usług. Nad tylnym wejściem mrugała czerwona lampka alarmu. Christie przypuszczał, że to nie jest atapa.

W kieszeni zabrzęczał mu telefon. Dzwonił Joe Stark. Christie przyłożył aparat do ucha.

– Czym mogę służyć, Joe?

– Słyszałem, że dałeś się zaskoczyć.

– To nic takiego.

– Uwierz mi, to jest coś. Bo teraz każdy złamas wie, że można cię zaskoczyć.

– Już się tym zajmę.

– Oby.

– Dziękuję za troskę.

– Troskę? – Stark podniósł głos. – Troszczę się tylko o swoją pieprzoną kasę. Kiedy ją dostanę?

Christie wracał podjazdem do range rovera.

– Niedługo, Joe, niedługo – obiecał.

– Módl się, żebym ci wierzył, synu.

– Czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

– Takim gadaniem nic nie wskórasz, Darryl. Traktowałem cię już łagodnie.

– Chcesz przez to powiedzieć, że to ty kazałeś mi przetrzepać skórę?

– Gdyby tak było, w najlepszym razie mówiłbyś teraz przez zdrutowane szczęki. Kasa albo twoja głowa, synu. Kasa albo twoja głowa.

Joe Stark się rozłączył i Christie włożył telefon do kieszeni. Harry przytrzymał mu otwartą furtkę.

– Wracamy na ranczo, szefie? Czy masz ochotę wstąpić gdzieś na drinka?

– Jadę do domu – oznajmił Christie. Ale zanim wsiadł do samochodu, przystanął i odwrócił się, żeby jeszcze raz rzucić okiem na dawny dom Cafferty'ego.

Zastanawiasz się nad kupnem?

Ciekawe, co by na to powiedziała jego matka...

DZIEŃ CZWARTY

ROZDZIAŁ 7

POPREDNIEGO WIECZORU Rebus zabrał Brilla na późny spacer do Bruntsfield Links, a potem usiadł przy stole i otworzył laptop, by poszukać informacji o Anthonym Broughu. Wcześniej Siobhan Clarke podwiozła go do domu.

– Mówię serio – przypomniał jej Rebus w samochodzie. – Craw praktycznie już nie żyje, jeżeli nie uda ci się przekonać Darryla, że to nie on.

– Zrobię, co się da. Ale areszt śledczy pewnie nie wchodzi w grę, nawet jeżeli Craw usłyszy zarzuty.

– W takim razie zatrzymajcie go do oceny psychologicznej.

– Dobrze byłoby mieć na celowniku jakiegoś bardziej prawdopodobnego podejrzanego.

– Ktoś już rozmawiał z Joem Starkiem?

– Myślałam, że Joe i Darryl są kumplami?

– To powinno dać Darrylowi dodatkową ochronę. Ale skoro nie dało...

– Pokłócili się i w ten sposób Joe go ukarał?

Rebus wzruszył ramionami.

– Warto by się temu przyjrzeć, nie?

Pomyślał, że warto by się również przyjrzeć wnukowi sir Magnusa Brougha. Wyszperał wszystko, co się dało, na temat rodziny Broughów i jej feudalnego imperium bankowego. Założony pod koniec osiemnastego wieku bank swoje pierwsze sukcesy zawdzięczał przede wszystkim finansowaniu handlu – sprzedaży niewolników do Ameryki i sprowadzaniu do Wielkiej Brytanii bawełny i tytoniu. Brough's miał udziały we wszystkim, od zagłębia węglowego Fife przez wykwintne wina z Bordeaux po plantacje herbaty w Indiach. Tuż po wojnie rodzina na krótko utraciła nad nim kontrolę, ale sir Magnus został drobnym współnikiem i cierpliwie pracował nad swoją pozycją, dopóki nie został właścicielem całego przedsiębiorstwa. Rebus zastanawiał się, jakim trzeba być typem człowieka, by to osiągnąć. Odpowiedź znalazł w kilku opracowaniach w sieci i rozdziałach książek o historii gospodarczej: bezwzględny, chciwy, bezpośrednio zaangażowany w pracę, zdeterminowany i niezmordowany.

Syn sir Magnusa nie posiadał żadnej z tych cech i porzucił bankowość na rzecz wiecznych wakacji w odległych zakątkach świata. Ostatecznie Jimmy Brough jednak się ustakował i ożenił z Lisanne Bentley. Jego dzieci, Anthony i Francesca, którzy oboje przekroczyli już trzydziestkę, zostali osieroceni w wieku kilkunastu lat, gdy rodzice nie przeżyli wypadku samochodowego, i musiał się nimi zaopiekować sir Magnus. Anthony zaczął pracować w firmie, ale nie zachował posady po przejęciu banku. Francesce narkotyki pomieszały w głowie i coraz rzadziej o niej wspomniano, aż wreszcie zupełnie zniknęła z przestrzeni publicznej. Anthony natomiast założył Anthony Brough Investment Group oraz Brough Consulting. Obie firmy miały siedzibę w Edynburgu.

Ścisłej rzecz biorąc, przy Rutland Square.

– Świat jest mały i zmałał jeszcze bardziej – mruknął Rebus, idąc do łóżka.

Po porannym spacerze do sklepu na rogu i po śniadaniu – dla psa i jego pana – Rebus dopilnował, by Brillo ułożył się w swoim koszyku w kuchni, a potem wyszedł z domu. Sznur pojazdów w stronę Tollcross i na Lothian Road jak zwykle w godzinach szczytu sunął w zółwym tempie, którego bynajmniej nie przyspieszały prowadzone wszędzie roboty drogowe. Rebusowi przyszło do głowy, że szybciej dotarłby na miejsce pieszo, ale zaraz zbył tę myśl pogardliwym prychnięciem. Znalazł wolne miejsce parkingowe przy Rutland Square, więc postanowił zagrać praworządnego obywatela i skorzystał z niego; wrzucił nawet parę monet do parkomatu.

Z miejsca, w którym stał, miał dobry widok na bok hotelu z czerwonego piaskowca – dawniej Caledonian. Przy Rutland Square stały czterokondygnacyjne budynki szeregowe, w których pierwotnie były mieszkania, lecz dziś w większości mieściły się w nich biura, przynajmniej na poziomym parteru. Zastanawiał się, który z nich należy do Bruce’a Colliera i czy odpowiedzi udzieliłby mu internet. Eleganckie fasady z kamiennymi kolumnami nie zdradzały wiele, choć od czasu do czasu przez okno było widać pracownika, który wstawał zza biurka z papierami w jednej ręce i kubkiem kawy w drugiej.

Rebus przespacerował się wokół placu. Pośrodku znajdował się starannie przystrzyżony trawnik z ławką z kutego żelaza, otoczony ogrodzeniem z bramką zamykaną na klucz. W prawo odchodziła uliczka prowadząca do Shandwick Place, gdzie przejeżdżał właśnie błyszczący nowy tramwaj, anonsując się dzwonkiem. O rzut kamieniem w drugą stronę był posterunek przy Torphichen Street. Przez plac przemknęły dwie taksówki, wioząc pasażerów z hotelu. Tabliczka na jednym z budynków, które mijał Rebus, głosiła, że za drzwiami ma siedzibę Scottish Arts Club. Reszta szyldów świadczyła jednak, że większość najemców lokali przy placu pracuje w tradycyjnych i praktycznych branżach – zajmowali je licencjonowani rzeczoznawcy majątkowi, radcy prawni, biura rachunkowe i firmy zarządzające aktywami.

Brough Investment znajdował się niemal dokładnie naprzeciw Scottish Arts Clubu. Rebus wszedł po schodkach. Drzwi wejściowe – z litego drewna pomalowanego lśniąco czarną farbą, zaopatrzone w mosiężną skrzynkę na listy i kołatkę – były otwarte. Za przedsionkiem zobaczył drugie drzwi, z matowego szkła. Przy każdym z kilku przycisków domofonu widniała nazwa innej firmy. Rebus przyglądał się guzikowi obok napisu ABIG, wyciągając do niego palec. Co mógłby powiedzieć? „Zastanawiałem się właśnie, dlaczego inspektor Malcolm Fox tak się panem interesuje?”

Uśmiechnął się pod nosem. Wrócił na chodnik, wyjął telefon i zadzwonił.

– Mam nadzieję, że to coś dobrego – odezwał się Fox.

– Zgadnij, gdzie jestem – powiedział Rebus.

– Strzelę w ciemno: na Rutland Square.

Zbaraniały Rebus spojrział w lewo i w prawo. Ani śladu Foxa ani jego samochodu.

– Bystrzak z ciebie – pochwalił, gdy już ochłonął z zaskoczenia.

– Wczoraj wieczorem byłeś za bardzo zaciekawiony. Jakbyś za nic w świecie nie zamierzał sobie tego odpuścić.

– Dobrze was uczyć w tym Gartcosh.

– Chyba jednak nie aż tak dobrze, bo wtedy w ogóle nie rzuciłbym jego nazwiskiem.

– Możesz mi powiedzieć, o co chodzi, czy mam po prostu zadzwonić do drzwi Brougha i zapytać?

– Możesz dzwonić, ale to nic nie da.

– Dlaczego?

– Bo go tam nie ma. Dwadzieścia minut temu zadzwoniłem, udając klienta. Sekretarka z miejsca zaczęła mnie przeproszać. Powiedziała, że odwołał wszystkie spotkania, bo został gdzieś pilnie wezwany.

– Dokąd?

– Miałem wrażenie, że nie wie. Chyba trochę się plątała.

– A ty wiesz, dlaczego nie ma go w biurze?

– Nie bardzo.

– To znaczy, że masz jakieś podejrzenia? Może powinniśmy się spotkać i o tym pogadać.

– John, nie obraź się, ale to nie twoja sprawa.

– Oczywiście, masz rację.

– Większość facetów w twoim wieku wolałaby po prostu odpoczywać albo obstawiać wyścigi konne. – Fox nagle urwał.

Rebus zmarszczył brwi. Czyżby Fox właśnie z czymś się wygadał?

– Co jest, Malcolm?

– Słuchaj, muszę zadzwonić do Gartcosh i powiedzieć im o Broughu.

– Bo ma związek z Darylem Christiem? O to chodzi, prawda?

– Ja tego nie powiedziałem.

– Oczywiście, że nie. Nikomu nie zdradzę twojej tajemnicy.

Rebus rozłączył się i nie odebrał, kiedy Fox natychmiast oddzwonił. Postukując rogiem telefonu o zęby, zobaczył, jak nieco dalej otwierają się drzwi. Bez trudu rozpoznał postać, która wyszła zza nich dziarskim krokiem, otworzyła srebrne porsche i usadowiła się za kierownicą, mimo że widział ją tylko na fotografiach i z daleka na scenie.

Cześć, Bruce, powiedział do siebie, idąc w stronę miejsca zwolnionego właśnie przez samochód, którego ryk z pewnością sprawił przyjemność kierowcy. Zatrzymał się przed drzwiami Bruce'a Colliera. Też lśniły czarną farbą. Nie było na nich jednak żadnej tabliczki, żadnego znaku, że mieszka za nimi człowiek, który ma na koncie szereg numerów jeden na listach przebojów po obu stronach Atlantyku. Okna na parterze przysłaniały szykowne drewniane żaluzje, na tyle uchylone, by Rebus mógł zajrzeć do środka. Jaskrawe obrazy na kremowych ścianach, kanapy i fotele z białej skóry. Żadnych złotych ani platynowych płyt, sprzętu hi-fi czy instrumentów. Ekstrawagancki swego czasu Collier nauczył się chyba korzystać ze spokojniejszego życia.

Rebus odwrócił się, by popatrzeć na odjeżdżające z placu porsche. Owszem, spokojniejszego, ale nie aż tak cichego, by zapewniło całkowitą anonimowość...

MIMO SKRUPUŁÓW zastępczyni prokuratora okręgowego Crawowi Shandowi postawiono zarzuty.

– To wątle podstawy, Siobhan – uprzedziła.

– Wiem – przyznała Clarke.

Postawiono mu zarzuty, a potem zwolniono go warunkowo. Shand wydawał się zadowolony z takiego rozstrzygnięcia i dziękował Clarke za troskę, kiedy mu przypomniła, żeby się nie wychylał i może przez kilka dni raczej nie wracał do domu.

– Ale czy to nie będzie złamanie warunków zwolnienia? – zaniepokoił się.

– Nie, jeżeli będziesz się regularnie zgłaszał na swoim posterunku policji. Zaufaj mi.

Chciał nawet uściśnąć jej rękę, ale cofnęła ją i pokręciła głową, a potem patrzyła, jak wychodzi na Gayfield Square, gdzie na szczęście nie czaiła się Laura Smith.

Clarke zadzwoniła do domu Christiego. Telefon odebrała jego matka.

– Darryla nie ma – poinformowała ją. – Szybko udało wam się złapać tego drania. Przepraszam, że wątpiłam w wasze możliwości.

– Ma pani okazję to zrekompensować – powiedziała Clarke. – Muszę pogadać z Darrylem.

– Jest w pracy.

– W którymś ze swoich licznych biznesów? Gdzie konkretnie?

– Chyba w Devil's Dram*.

Clarke знаła ten lokal. Nocny klub znajdował się przy Cowgate, obok miejskiej kostnicy, a nazwę wzięła od odrobiny whisky, która wyparowuje z każdej beczki. Ostatni raz była tam na babskim wieczorze zorganizowanym przez Deborah Quant. Dotarła na miejsce w ciągu dziesięciu minut, nie mogła jednak znaleźć miejsca do zaparkowania. W końcu wybrała dziedziniec kostnicy, gdzie postawiła astrę obok jednego z anonimowych czarnych vanów.

Ulica Cowgate przypominała kanion szerokości dwóch pasów ruchu, wzdłuż których bieży wąskie chodniki, a w bok odchodziły strome przecznice. Jedną z tych uliczek Clarke ściagała kiedyś zabójce, dopóki nie pokonała jej zmęczenie – tego szczegółu nie wpisała jednak do raportu. Pokryte graffiti metalowe drzwi Devil's Dram były zamknięte na głucho. Klub nie miał okien, tylko litą kamienną ścianę, pomazaną podobnie jak drzwi – trudno było stwierdzić, czy krył się za tym zamysł artystyczny, czy to była sprawka wandalii. Clarke walnęła w drzwi pięścią i poprawiła kopniakiem. Wreszcie usłyszała szcęk zamka. Powitała ją pochmurne spojrzenie młodego człowieka z podwiniętymi rękawami koszuli, które odsłaniały kolorowe tatuaże. Włosy miał nienagannie zaczesane do tyłu, a twarz zdobiła bujna broda.

– Z twojego wyglądu domyślam się, że pracujesz za barem – zauważyła Clarke.

– Jestem właścicielem baru – poprawił ją.

– Może na papierze. – Clarke podsunęła mu pod nos legitymację służbową. – Przyszłam zobaczyć się z prawdziwym szefem.

Zdobył się na drwiący uśmiech, ale ostatecznie odsunął się w bok na tyle, że mogła się precyzyjnie do słabo oświetlonej krypty prowadzącej do głównej sali. Z sufitu lypały plastikowe gargulce, a po ścianach brykały brodate satyry. Z głośników łomotał rock.

– Rano lubię posłuchać Burta Bacharacha – powiedziała Clarke.

– To jest Ninja Horse.

– Wobec tego bądź tak miły i zaprowadź go z powrotem do stajni.

Chłopak rzucił na pożegnanie jeszcze jeden drwiący uśmiech, po czym się oddalił. Na balkon dla VIP-ów, który znajdował się bezpośrednio nad wyłożonym lustrami barem, prowadziły szklane schody. Gdy Clarke zaczęła po nich wchodzić, muzyka raptownie ucichła. Lokal szykował się na zbliżający się wieczór, brzęczały odkurzacze, uzupełniano zapas butelek, przestawiano krzesła i stołki. Darryl Christie doglądał przygotowań zza stolika na górze. Wciąż miał opatrunek na nosie, ale opuchlizna odrobinię zesza z oczu, choć sińce zostały. Na blacie przed nim leżały papiery, które ostentacyjnie odwrócił jeden po drugim, gdy Clarke do niego podchodziła.

– Nie jestem ze skarbówki, Darryl – powiedziała z udawanym wyrzutem.

– Może chcę ukryć swoje tajemnice zawodowe: jak z niczego zbudować renomowany klub.

Stała przed nim szklanka gazowanej wody. Uniósł ją i wypił łyk przez jasnoczerwoną słomkę, czekając, co Clarke ma do powiedzenia.

– Craw Shand już wyszedł – oznajmiła.

– Naprawdę?

– Jeżeli coś mu się stanie, odpowiesz za to przede mną.

– Przed groźną detektyw inspektor Clarke? – Christie powstrzymał uśmiech. – Nauczyłem się, że jeśli mam wyróżnić z kimś rachunki, najlepiej dać sobie trochę czasu. Może parę tygodni, może miesięcy... ważna jest ta atmosfera oczekiwania.

– Tak samo było z tamym człowiekiem, który zabił twoją siostrę?

Skóra na jego kościach policzkowych wyraźnie się napięła.

– Zabił więcej niż jedno dziecko. Jego dni w pudle i tak były policzone.

– W Barlinnie, prawda? Przypuszczam, że zorganizował to Joe Stark... jego miasto, jego strefa wpływów. Ciągłe jesteście tak blisko ze sobą?

– Co cię to obchodzi, droga pani inspektor?

– Nawet jeżeli Shand usłyszał zarzuty, to wcale nie znaczy, że przestaliśmy szukać. W grę wchodzi każdy, kogo znasz, swój i wróg.

– Czyli przymkniecie też Cafferty'ego?

– Może najpierw porozmawiamy z Joem Starkiem.

– Możecie sobie gadać, ile dusza zapagnie, to i tak niczego nie zmieni. – Wstał z trudem i syknął, gdy ból przeszył mu żebra.

– Twoja mama uważa, że za szybkie złapanie Shanda masz u mnie dług wdzięczności.

– I będziemy kwita, jeżeli go nie tknę palcem? Brawo, Siobhan. – Stał zaledwie kilkanaście centymetrów od niej. – Miło cię było tu widzieć parę tygodni temu. Spędziłaś przyjemny wieczór? Z zapisu z kamer było widać, że tak. Naliczyłem chyba siedem ginów z tonikiem. – Znowu rozciągnął usta w uśmiechu i pokazał na schody. – A teraz, jeżeli pozwolisz...

Przez chwilę nie ruszała się z miejsca, a Christie lekko skinął głową na znak, że przyjął to do wiadomości. Wtedy wróciła na dół, czując w powietrzu gęsty zapach środka dezynfekującego. Gdy zmierzała do wyjścia przez główną salę, odprowadzana wzrokiem chochlików i demonów, znowu gruchnęła muzyka, co ją zirytowało. Na ulicy przystanęła, by kilka razy głęboko zaczerpnąć tchu, a potem zauważyła, że brzęczy jej telefon. Zerknęła na ekran: koleżanka z dyspozytorni.

– Co jest, Tess?

– Ciało wyłowione w porcie w Leith niedaleko *Britanii*.

– Samobójstwo?

– Jeżeli tak, to raczej w stylu numeru Houdiniego. To znaczy numeru Houdiniego na odwrót.

– Wyduś wreszcie, o co chodzi.

– Podobno miał związane z tyłu ręce.

– To rzeczywiście jest powód do podejrzeń.

– Też tak pomyślałam. Ale uznałam, że to cię zainteresuje, bo jeden z naszych rozpoznał jego twarz.

Clarke znieruchomiała, wpatrując się w drzwi Devil's Dram.

Boże, błagam, tylko nie to, powiedziała w duchu. Ale przecież to niemożliwe, żeby tak szybko...

Uświadomiła sobie, że Tess literuje nazwisko, które brzmiało znajomo.

– Powtórz – rzuciła ostrym tonem, a potem rozłączyła się i znalazła numer Rebusa.

- Tak, Siobhan? – odezwał się.
- Właśnie wyłowili w porcie Roberta Chathama – poinformowała go.
- Kurwa.

Zastanawiała się, co jeszcze mu powiedzieć, ale zorientowała się, że odłożył słuchawkę.

KRÓLEWSKI JACHT *BRITANNIA* jest na stałe przycumowany na tyłach centrum handlowego Ocean Terminal oraz sąsiadującego z nim wielopoziomowego parkingu. Obok, ustawiony pod kątem prostym do nabrzeża, jest terminal, z którego korzystają pasażerowie wsiadający i wysiadający ze statków wycieczkowych niższych klas. Ponieważ w pobliżu nie było takich jednostek, budynek był stale zamknięty, teraz jednak został otwarty i uwijali się w nim policjanci, technicy kryminalistyki, fotografowie i przeróżnego rodzaju personel pomocniczy pod nadzorem szefa wydziału kryminalistyki. Zwłoki położono na nabrzeżu i zasłonięto przed wzrokiem ciekawskich prowizorycznym namiotem.

Rebus dostrzegł Deborah Quant i jednego z jej kolegów, ubranych w kombinezony ochronne, kaptury i elastyczne buty. Deb zsunęła maskę z twarzy na czoło i przysłaniała usta dłonią, by móc dyskretnie rozmawiać. Nieopodal stał zaparkowany niewielki biały van. Przez otwarte tylne drzwi było widać pianki płetwonurków i butle z tlenem, a dwaj mężczyźni obok czekali z założonymi rękami na instrukcje.

Szef ekipy nazywał się Haj Atwal. Wyciągnął w stronę Clarke podkładkę z klipsem.

- Wpisałaś się na listę?
- Przy taśmie – potwierdziła. – Znasz Johna Rebusa?

Mężczyźni podali sobie dłonie. Rebus zapytał, ile czasu ofiara spędziła w wodzie.

- Właśnie nad tym dyskutują nasi przyjaciele medycy. Z tego, co słyszałem, odpowiedzi na kilka pytań przyniesie dopiero sekcja. – Atwal zaważał się, patrząc na Rebusa. – Myślałem, że posłali cię na zieloną trawkę.

- Wróciłem do owczarni przeżuć trochę sianka – odparł Rebus.

- John rozmawiał z ofiarą jeszcze wczoraj rano – wyjaśniła Clarke. – Oczywiście przy założeniu, że to ten człowiek, o którym myślimy.

- Jego twarz rozpoznał pierwszy mundurowy, który zjawił się na miejscu – oświadczył Atwal. – Oprócz tego w kieszeni był portfel, z kartami kredytowymi i prawem jazdy. Mamy też jego telefon.

- Przypuszczacie, że coś zginęło?

- Zupełnie nic.

- Czyli to nie napad rabunkowy.

Mina Atwala wskazywała, że nie ma ochoty bawić się w zgadywanki. Jego mocną stroną było wszystko, co sprawdzalne i ujęte w procedury. Clarke przyglądała się następnemu nadjeżdżającemu vanowi. Był większy niż wóz nurków i lśnił czarnym lakierem. Być może był to nawet ten sam samochód, obok którego parkowała pod kostnicą.

- Wszyscy przebiegają nogami, żeby się do tego zabrać – zauważył Atwal.

- Naturalna rzecz. – Rebus ruchem głowy wskazał w kierunku ofiary. – Tam leży jeden z naszych.

- Ale był już na emeryturze, tak jak ty, więc chyba nie spotkaliście się po to, żeby rozmawiać o pracy?

- Problem w tym, że właśnie po to. Rozmawialiśmy o sprawie, którą wszyscy inni uważali za od dawna wygasłą.

– Wygląda na to, że chyba się uaktywniła – orzekł Atwal i oddalił się od nich, by odpowiedzieć na pytanie jednego z członków ekipy.

Rebus i Clarke stali w pewnym oddaleniu od zwłok, obserwując działania grupy. W końcu zauważyła ich Deborah Quant, powiedziała coś do kolegi i ruszyła w ich stronę. Znowu uniosła maskę na czoło. Żadnych uśmiechów ani powitań, czysto służbowe sprawy.

– Podejrzana śmierć – rzuciła. – W tym momencie niewiele więcej mogę powiedzieć.

– Jakies skaleczenia, stłuczenia? – dopytywał się Rebus.

– Nic oprócz urazów, których mógł doznać od długiego przebywania w wodzie.

Rebus rozejrzał się po okolicy.

– Wysokie ogrodzenia i kamery monitoringu. Miejsce nie najlepiej nadaje się do wrzucenia ciała do wody.

– Ktoś musiał sprawdzić prądy pływowe. Mógł wpaść do wody wszędzie między Cramond a Portobello.

– Mieszkał naprzeciwko portu Newhaven.

Quant utkwiała w nim wzrok.

– Dlaczego nie dziwi mnie to, że go znałeś?

– Rozmawiałem z nim zaledwie wczoraj, Deborah.

Jej oczy złagodniały.

– Był twoim przyjacielem?

– To było dopiero nasze drugie spotkanie – uściślił Rebus. – Nie możesz stwierdzić, czy utonął?

– Prawdopodobnie tak. Nie ma żadnych widocznych ran, śladów duszenia, niczego w tym rodzaju.

– Czyli można założyć, że krzychał ile sił w płucach?

– Niewykluczone.

– To znaczy, że ktoś mógł go słyszeć – wtrąciła Clarke.

Quant przyjrzała się jej.

– Ty prowadzisz śledztwo, Siobhan?

– Na razie nikt mi tego nie polecił.

– Cholera jasna! – Rebus patrzył ponad ramieniem Clarke. – Chyba naprawdę już się rozniosło.

W stronę grupy zamasyżystym krokiem zmierzał Malcolm Fox, starając się przybrać życzliwy i pełen szacunku wyraz twarzy.

– Detektyw inspektor Fox – powitała go Quant. – Myślałam już, że przepadł pan w Gartcosh.

– Udało mi się zdobyć wizę turystyczną. – Fox zerknął w telefon. – Kto nadzoruje oględziny?

– Tamten facet o wyglądzie Włocha – odparł Rebus, wskazując w stronę Atwala.

Fox podziękował skinieniem głowy i odszedł.

– Rodzice Haja pochodzą z Indii – wyjaśniła Deborah Quant.

– Wiem. – Rebus lekko się uśmiechnął.

– Czego w ogóle Malcolm może od niego chcieć? – spytała Clarke, marszcząc czoło.

– Chyba właśnie zmieniono Malcolmowi kategorię wizy. Jak powiedziałem, Robert Chatham był jednym z naszych... – Rebus patrzył na Clarke, dopóki nie pojęła, o co chodzi.

– Gartcosh chce przejąć sprawę – powiedziała.

Rebus pokiwał głową.

- Z Malcolmem na pierwszej linii.
- Quant patrzyła na oddalającą się sylwetkę Foxa.
- Chcesz powiedzieć, że on poprowadzi to śledztwo?
- Na to wygląda, nie uważasz?

– DZIĘKI, ŻE ODWALIŁEŚ CZARNĄ robotę, Malcolm. Ale teraz to ja prowadzę śledztwo.

Fox stał przed detektywem komisarzem Alvinem Jamesem, młodszym od niego o kilka lat, szczupłym i muskularnym, o wystających kościach policzkowych usianych piegami i starannie przyszytych rudoblonde włosach, rozdzielonych równym przedziałkiem. Według Foxa wyglądał na kogoś, kto uprawia biegi długodystansowe; to był ten rodzaj sylwetki. Może grał też w pięciosobową piłkę nożną. Wysportowany, prowadzący higieniczny tryb życia i przy awansach zawsze brany pod uwagę jako pierwszy.

– Tak jest – odparł Fox z założonymi z tyłu rękami.

James posłał mu błady cień uśmiechu.

– Mów mi Alvin. I naprawdę jestem ci wdzięczny za tę czarną robotę.

Stali w niewietrzonej pomieszczeniu na pierwszym piętrze posterunku policji w Leith, na rogu Constitution Street i Queen Charlotte Street. Budynek, kiedyś ratusz Leith, był solidny, ale odrapany, a policja dość wcześnie kończyła w nim urzędowanie. Biuro, w którym się znaleźli, przeznaczono tylko i wyłącznie do tego celu – otwierano je wówczas, gdy do miasta przyjeżdżał zespół dochodzeniowy do spraw poważnych przestępstw. Na jego czele stanął Alvin James, wybrany do tej roli osobiście przez wicenczelnik z Gartcosh, Jennifer Lyon. W skład zespołu wchodziłi detektywi z dochodzeniówki i personel administracyjny. Wszyscy już się krzątali, instalując laptopy, podłączając się do wi-fi i próbując otworzyć okna, by w pomieszczeniu nie było aż tak duszno.

Fox nie znał żadnego z detektywów, co oznaczało, że prawie na pewno nie byli stąd. James najwyraźniej odgadł jego myśli.

– Wiem, że wielu twoich kolegów po tej stronie kraju uważa, że Państwowa Policja Szkocji ma na drugie imię Strathclyde, ale to wcale nie tak. Zgoda, większość swojego zawodowego życia spędziłem w Glasgow, ale mamy też ludzi z Aberdeen i Dundee. Ale nikt z nas nie zna Edynburga tak dobrze jak ty, więc będziesz moim ekspertem od spraw lokalnych. Czy twoim zdaniem to sensowne rozwiązanie?

– Problem w tym, że pracuję teraz nad inną sprawą.

– Naczelnik Lyon wspominała o tym, ale skonsultowała się z Benem McManusem, a on uważa, że świetnie dasz sobie radę z wielozadaniowością. Kiedy będziesz potrzebny, przychodzisz do nas, a przez resztę czasu możesz zasuwać przy swoim drugim śledztwie. Co powiesz na taki układ?

– Wydaje się... wykonalny.

– Wspaniale. No więc co muszę wiedzieć? – James patrzył, jak Fox głowi się nad odpowiedzią, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu i pogroził mu palcem. – Żartuję. Ale mówiąc serio, chciałbym, żebyś się zastanowił nad tutejszymi jednostkami. Mam na myśli jednostki ludzkie. Najlepiej z dochodzeniówki. Jeżeli zrobi się gorąco, być może trzeba będzie dokooptować parę osób.

– Najlepszym fachowcem z dochodzeniówki jest inspektor Siobhan Clarke. Ma w swoim zespole dwójkę pierwszorzędnych detektywów.

– Widzisz? Już pokazujesz, na co cię stać. Dzięki. – James obrócił się na pięcie, zatarł ręce i zaczął wydawać polecenia pozostałym członkom swojej ekipy.

Nie mając żadnej roli do odegrania, Fox przestępował z nogi na nogę. Dlatego odetchnął z ulgą na dźwięk dzwonka telefonu. Nie patrząc na ekran, przyłożył go do ucha.

- To ja – usłyszał głos Rebusa.
- Wielkie dzięki za kawał, który mi zrobiłeś – rzucił przyciszonym głosem Fox.
- Który?
- Kiedy mi powiedziałeś, że szef zespołu techników jest Włochem.
- Mówiłem tylko, że wygląda na Włocha. Masz chwilę, żeby pogadać?
- Chybabym znalazł.
- Pamiętasz, jak wczoraj wieczorem w pubie wspomniałem Roberta Chathama?
- Nie bardzo.
- No tak, bo miałaś głowę zajętą sir Magnusem Broughiem i jego wnukiem. – Fox wyszedł z biura na pusty korytarz.
- Chatham to ten, którego właśnie wyłowiliśmy z wody.
- Przecież wiem.
- Zginął tego samego dnia, w którym z tobą rozmawiał?
- Tak.
- Chryste, John...
- W Leith szykują centrum operacyjne?
- Właściwie są już w blokach startowych. Sprawę prowadzi detektyw komisarz Alvin James.
- Nazwisko nic mi nie mówi. Ale domyślam się, że jest z Glasgow.
- Skąd wiesz?
- Wybrali go w Gartcosh, więc to logiczny wniosek.
- Wspomniałem mu o Siobhan.
- Być może wcale ci za to nie podziękuje. Idź lepiej powiedzieć Alwinowi i jego wiewiórkom, że emerytowany glina ze wschodniego wybrzeża wie więcej niż oni i że przyjdzie tam za jakieś dwadzieścia minut, żeby ich wtajemniczyć.

* *Devil's dram* – (ang.) diabelska kropelka.

ROZDZIAŁ 8

– A WIĘC TO JEST TEN NOWY wspaniały świat, o którym ciągle słyszę? – Rebus z rękami w kieszeniach nieśpiesznym krokiem wszedł do biura.

– John Rebus, jak się domyślam? – spytał Alvin James, wstając zza biurka, żeby podać mu rękę.

– A pan to komisarz James.

– Detektyw komisarz James.

Rebus skwitował tę uwagę drgnieniem ust. Skinął głową Foxowi, który zajmował biurko obok Jamesa. W pokoju były jeszcze cztery inne osoby. Najwyraźniej już wcześniej pracowały ze sobą i zmierzyły go spojrzeniem pełnym profesjonalnego powątpiewania. James wskazywał wszystkich po kolei.

– Detektyw sierżant Glancey i detektyw sierżant Sharpe; detektywi Briggs i Oldfield.

W zespole była tylko jedna kobieta, detektyw Briggs, szczupła, o poważnym wyrazie twarzy. Glancey nie mieścił się na krześle. Zdążył już zdjąć marynarkę i nienagannie wyprasowaną chusteczką ocierał z twarzy pot. Sharpe spoglądał na Rebusa roztropnie, choć nieufnie, i przy byku Glanceyemu przypominał sowę. Oldfield był młodszy, sprawiał wrażenie zbyt pewnego siebie i gotowego w każdej chwili rzucić się do akcji. Rebus odwrócił się do Foxa.

– Wszystko wygląda bardzo znajomo, co, Malcolm? – A Jamesowi wyjaśnił: – Nie tak dawno gościliśmy ekipę z Glasgow. Skończyło się dość nieprzyjemnie.

– Nie wszyscy jesteśmy z Glasgow – poczuł się w obowiązku zauważyć James. – Ta jednostka będzie miała tylko jeden cel, panie Rebus: znaleźć tego, kto załatwił Roberta Chathama. – Skrzyżował ręce na piersi i oparł się o róg biurka. – Malcolm twierdzi, że może pan nam udzielić ważnych informacji. To co, stroimy fanaberie na poziomie piaskownicy czy przechodzimy do konkretów? – Umilkł i lekko przechylił głowę. – Co pan wybiera?

– Z odrobiną mleka i bez cukru... detektywie komisarzu James.

– Proszę mi mówić Alvin. – James odwrócił się do Foxa. – Zapomnieliśmy o jednym, Malcolm. Mógłbyś szybko zorganizować wszystko, co trzeba?

– Ja?

– Jesteś tu jedyną osobą, która już wie, co John ma nam do powiedzenia.

Przysłonięte dłońmi twarze rozjaśniły uśmiechy, gdy Fox wychodził do sąsiedniego pokoju, gdzie ulokował się personel obsługi technicznej.

– Jest tu gdzieś czajnik?

– Pewnie znajdzie się w Agros – usłyszał.

Przeklinając pod nosem, opuścił budynek i ruszył w stronę Leith Walk. W jednym sklepie zaopatrył się w elektryczny czajnik i sześć kubków, w drugim w zapas kawy, herbaty, cukru, mleka i plastikowych łyżeczek. Cały wypad trwał nie dłużej niż dwadzieścia pięć minut, mniej więcej tyle, ile

potrzebował Rebus, by doprowadzić do końca swoją opowieść. I niestety, Fox nie miał pojęcia, czy coś z niej zataił, a jeśli tak, to co. U Rebusa, jak u Rebusa, prawda niekoniecznie oznaczała całą prawdę; zawsze lubił wiedzieć odrobinę więcej niż pozostałe osoby dramatu.

Fox postawił obie torby na biurku Oldfielda.

– Możesz zaparzyć i nalać – powiedział.

Oldfield zerknął na Jamesa, czekając na wskazówki, ale szef tylko skinął głową. Rzucając wściekle spojrzenie Foxowi, młody detektyw wstał, wyjął z opakowania czajnik i wyszedł na poszukiwania bieżącej wody.

– Czyli wszyscy są już wtajemniczeni, tak? – spytał Fox, osuwając się ciężko na krzesło.

– I mocno zaintrygowani – odparł James. Siedział za swoim biurkiem, postukując długopisem w policzek. Miał przed sobą blok formatu A4 w linie i mówiąc, zaglądał do zrobionych wcześniej notatek. – Nie lekceważąc niczego, co nam powiedziałaś, John. Nierozsądnie byłoby nie brać pod uwagę pewnych procedur. Mam na myśli wyniki sekcji zwłok, przesłuchanie partnerki pana Chathama i mały rekonesans w jego miejscu pracy.

– Bramkarze pewnie mają więcej wrogów niż inni – zauważył Gancey, składając chusteczkę i znowu wycierając czoło.

– Mógł też zdenerwować niewłaściwych ludzi w czasach, kiedy pracował w dochodzeniówce – dodała Briggs, stukając długopisem w swoje notatki.

– Dlatego trzeba będzie się przyjrzeć przebiegowi jego kariery detektywa w Livingston – zgodził się James. – John, kiedy z nim rozmawiałeś, zachowywał się normalnie?

– Nie zauważyłem, żeby coś mu dolegało.

– Nie mówił, co ma w planach po waszym spotkaniu?

– Nie.

– Kiedy siedzieliście w kawiarni, nie było żadnych telefonów, wiadomości?

– Rozumiem, że masz nieprzepatą ochotę przerabiać to wszystko, ale to nie może być zbieg okoliczności. Faceta wyciągają z zatoki tego samego dnia, w którym naciągnąłem go na rozmowę o zabójstwie Marii Turquand.

James kiwał głową, ale Fox widział, że nie jest całkiem przekonany – i to zaczynało drażnić Rebusa.

– Musi pan przynieść nam te wszystkie akta – odezwał się cicho Sharpe. – Przede wszystkim w ogóle nie powinien pan ich zabierać z Wydziału Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych.

Rebus przelotnie spojrzął w oczy Foxa, by dać mu znać, na czym stoją. Trochę nagiął prawdę, by nie mieszać do tej historii Siobhan Clarke. Według wiedzy Jamesa i jego zespołu Rebus zwędził sporządzoną przez Chathama dokumentację wznowienia sprawy bezpośrednio z wydziału, kiedy był tam zatrudniony.

W kącie biura Oldfield specjalnie hałasował, podłączając czajnik i przygotowując kubki.

– Pamiętasz, co mówiłem o piaskownicy, Mark? – ofuknął go James.

W otwartych drzwiach stanął Haj Atwal i zapukał w nie.

– Skończyliście na nabrzeżu? – spytał James.

– Już pozamiatane, że tak powiem. – Atwal przejechał dłonią po ogolonej głowie. – Wszystko, co ustaliliśmy do tej pory, jeszcze dzisiaj będziecie mieć w skrzynce mailowej.

– Dziękuję. A nurkowiec?

– Rzucili okiem, ale skoro nie było żadnej broni...

– Zresztą i tak prawdopodobnie przypląnął z prądem wzdłuż brzegu – nie mógł nie dodać Rebus.

– Chcesz powiedzieć, że niepotrzebnie się trudziłyśmy? – James najwyraźniej czekał na odpowiedź, ale Rebus tylko wzruszył ramionami. – Skąd ta pewność, że nie trafił do wody tam, gdzie go znaleźliśmy?

– Wysokie ogrodzenia i monitoring.

– Ale przecież jeszcze nie sprawdziliśmy monitoringu, prawda?

Fox zorientował się, do czego to zmierza: James zastanawiał się, do jakiego stopnia może zaufać Rebusowi i czy emerytowany inspektor nie próbuje czasem wprowadzić ich w błąd. Rebus chyba doszedł do tego samego wniosku, bo zdradzało go napięcie ramion i zaciskanie szczęki.

– Zamierzasz przesłuchać mnie w charakterze podejrzanego, Alvin?

James spojrział na niego z udawanym niedowierzaniem.

– Ależ nie – zapewnił.

– W takim razie skończyłyśmy? Mogę iść?

– Oczywiście.

Rebus ruszył do drzwi i zanim minął Haja Atwala, zdążył jeszcze zerknąć w stronę Foga.

– Ubranie ofiary zostanie wysłane do analizy – zakomunikował Atwał, zwracając się do wszystkich w biurze. – Potem będzie sekcja.

– Dziękuję. – James zajął się czymś, dopóki szef techników nie wycofał się na korytarz.

– Powinniśmy spytać, kto będzie przeprowadzać autopsję – zauważył Sharpe. Jego głos nadal nie wznosił się nad poziom szeptu i Fox zastanawiał się, czy to nie sprytna sztuczka; facet mówił tak cicho, że trzeba było skupić na nim całą uwagę.

– Profesor Quant – odparł Fox. – Deborah Quant.

Alvin James obrzucił go taksującym spojrzeniem.

– Powinniśmy coś wiedzieć o profesor Quant, Malcolm? – zapytał.

– Wysokie kwalifikacje, sympatyczna, bezpretensjonalna. – Fox przez chwilę udawał, że się zastanawia. – Aha, i są parą z Rebusem.

James uniósł brwi.

– Naprawdę?

– Więc jeżeli obstawiasz, że zabójcą jest John Rebus, ona może się postarać, żeby mu to uszło na sucho.

Alvin James odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem.

– Szczypta humoru zawsze pomaga rozładować napięcie, nie?

Fox udawał, że odwzajemnia na wpół szczere uśmiechy, które posyłano mu zza biurka.

– Mam pytanie do wszystkich – wtrącił Oldfield.

– O co chodzi, Mark?

– Kawa czy herbata? – Po czym, zwracając się konkretnie do Foga, spytał: – A ty? Z mlekiem, z cukrem?

– Najlepiej bez śliny, jeżeli można prosić – odparł Fox. – A zaraz idę do kibla, więc pewnie będzie cię strasznie korciło...

REBUS WYCIĄGNAŁ ZZA WYCIERACZKI saaba mandat za parkowanie w niedozwolonym miejscu i rozglądał się po ulicy za winowajcą.

– Pech – stwierdził Fox.

– A ja jestem na emeryturze. – Rebus wsunął kartkę do kieszeni. – Myślisz, że ten James sobie poradzi?

– Za wcześniej na oceny.

Rebus wrzucił do ust gumę do żucia.

– To pomaga? – spytał Fox

– Tyle co nic. Pamiętaj: nie chlapnij, że to Siobhan przyniosła mi akta.

– Zrozumiano. Zamiotłeś pod dywan coś jeszcze?

– Nie pamiętam.

– To skąd mam wiedzieć, czego nie wygadać?

– Może raz spróbujesz trzymać głębę na kłódkę. – Rebus spojrział na niego spode łba. – Nie powiem, żeby ten młody Alvin budził moje zaufanie. Trochę za bardzo wymuskany.

– Masz na myśli garnitur czy twarz?

– Wszystko, Malcolm. Jedyna rzecz, którą ma na oku, to następny szczebel kariery.

Fox nie mógł się nie zgodzić.

– Nie sądzę, żeby zupełnie odrzucił związek ze sprawą Turquand.

– Nie ma żadnego innego związku.

– W takim razie postanowi go zbadać.

– Jasne, jak tylko skończy swoje cholerne „procedury”. Wierć mu dziurę w brzuchu, Malcolm.

Musisz się postarać, żeby przejrzał na oczy.

Fox pokiwał głową.

– Kto jeszcze wiedział, że zainteresowałeś się tą sprawą?

Rebus zastanawiał się przez chwilę.

– Pierwsza usłyszała Deborah. No i oczywiście Siobhan.

– Plus osoba, która dała Siobhan akta.

– Fakt.

– I każdy, do kogo mógł się zwrócić Robert Chatham.

Tym razem Rebus skinął głową, choć zrobił to z roztargnieniem.

– Musimy zdobyć jego billingi, sprawdzić, z kim rozmawiał, kiedy się pożegnaliśmy.

– A gdzie się z nim spotkałeś?

– W takiej garkuchni niedaleko Ocean Terminal. Lubił ich kanapki z bekonem.

– Czyli skazaniec zjadł suty posiłek, co niebawem odkryje profesor Quant.

– Myślisz, że pozwoliliby mi przy tym być? – spytał Rebus, marszcząc brwi.

– To chyba nie byłoby rozsądne.

– Może masz rację. Gang Jamesa już szuka zgrabnego sposobu, jak mnie wrobić.

– Wydaje mi się, że troszeczkę przesadzasz.

– Musisz być moimi oczami i uszami, Malcolm. Obiecaj mi to.

– Lepiej tam wróć, bo jeszcze zadzwonią do Księgi Guinnessa, żeby przyjechali zmierzyć mi pęcherz.

Fox odwrócił się, otworzył skrzypiące drzwi i kiedy się za nim zatrzasnęły, zdał sobie sprawę, że nagle został oczami i uszami wszystkich... A, właśnie! Znalazł numer Sheili Graham i wchodząc po imponujących schodach, wcisnął przycisk ze słuchawką.

– Tak myślałam, że to ty – odezwała się Graham.

– Wieści szybko się rozchodzą.

– Naczelnik Lyon powiedziała naczelnikowi McManusowi, a on był tak miły, że mi przekazał.

– Mogę dalej mieć na oku sprawę Christiego.

– Na pewno?

– Mam nawet coś dla ciebie. Według jego sekretarki Anthony Brough samowolnie opuścił stanowisko pracy... Odwołał wszystkie spotkania i tak dalej. Najwyraźniej zupełnie nie wiedziała, gdzie zniknął ani dlaczego.

– Chyba trzeba wypić piwo, którego się nawarzyło.

– To znaczy?

– Muszę się nad tym zastanowić, Malcolm. Masz jeszcze jakieś informacje?

– Od południa jestem trochę zajęty.

– Twój pierwszy zespół dochodzeniowy przy dużym śledztwie?

– Kiedyś byłem szefem wydziału spraw wewnętrznych, Sheila. Już zadzierałem z ważniakami.

Wyczuł, że Graham uśmiecha się po drugiej stronie.

– Pogadamy później – powiedziała i rozłączyła się, gdy dotarł do drzwi biura.

Alvin James wskazał kubek na biurku Foxa.

– Pilnowałem, więc nie masz się czego bać.

– Dziękuję.

– Chociaż muszę przyznać, że trochę nas rozczarowałaś, Malcolm.

– Tak?

– Nie ma ciastek – rzuciła Briggs.

– Nie ma ciastek – powtórzył za nią Alvin James.

– No i pobiłeś rekord wszech czasów w długości sikania – dorzucił Mark Oldfield.

– Chociaż nie przypuszczamy, że naprawdę byłeś w toalecie – dodał z przebiegłym uśmiechem James.

– Macie rację, dzwoniłem do Gartcosh. Mogę wam podać nazwisko, jeżeli chcecie sprawdzić.

– Jesteś wśród przyjaciół, Malcolm. Nie ma o czym mówić.

– Oprócz tej jednej rzeczy – wtrąciła Briggs. – Następnym razem poprosimy o ciastka. Najlepiej pełnoziarniste.

– Pełnoziarniste z czekoladą – poprawił ją szeptem Sharpe.

SEKCJĘ WYZNACZONO NA szesnastą trzydzieści, krótko po tym, jak partnerka Chathama, Liz Dolan, zidentyfikowała zwłoki. Foxowi wyznaczono zadanie towarzyszenia jej przy tym obowiązku. Kolana się pod nią ugięły i z trudem utrzymała się na nogach.

– O Boże – powtarzała. – O Boże, o Boże, o Boże.

Znał to z doświadczenia i jak zwykle w takich sytuacjach złożył jej symboliczne wyrazy współczucia, których wyraźnie nie miała ochoty słuchać. Kurczowo trzymała go w objęciach, dygocząc

i zalewając się łzami.

„To nie jest łatwe, Liz”.

„To okropne przeżycie”.

„Mam się skontaktować z jakimś pani przyjacielem? Z kimś z rodziny?”

Innymi słowy, z kimś, kto mógłby wziąć na siebie ten obowiązek.

Ale nie mieli dzieci, ich rodzice już nie żyli. Liz miała siostrę w Kanadzie, brat Chathama zmarł przed nim.

– Co ja teraz zrobię? – spytała drżącym głosem. W kącikach jej ust białeły nitki śliny. – Taki dobry człowiek. Taki dobry człowiek.

– Wiem. – Fox zaprowadził ją do poczekalni i posadził na krześle. – Przyniosę herbatę. Jaką pani lubi?

Ale Liz wpatrywała się w ścianę naprzeciwko, gdzie wisiał plakat przedstawiający Edynburg z lotu ptaka. Fox wychylił się na korytarz, rozejrzał w lewo i w prawo, aż w końcu dojrzał jakiegoś pracownika prosektorium.

– Mam tu kobietę należącą do rodziny ofiary. Mógłby pan jej coś przynieść? – poprosił.

– Diazepam? – zaproponował mężczyzna.

– Myślę, że wystarczy herbata.

– Mleko i dwie saszetki cukru?

– Nie jestem pewien, czy słodzi.

– Proszę mi wierzyć, wszystkie słodzą... – Mężczyzna odszedł w głąb korytarza w miękkich gumowanych butach za kostkę.

Liz Dolan siedziała wychylona do przodu, jakby za moment miała zwymiotować. Była w legginsach i wzorzystej spódnicy do kolan. Łapiąc nieregularne hausty powietrza, skubała palcami jej brzeg.

– Już pani lepiej? – zapytał.

– Jeszcze długo nie będzie.

– Zaraz będzie herbata.

– W takim razie wszystko w porządku, prawda? – Po raz pierwszy spojrziała mu w oczy, by wiedział, że to miało zabrzmieć sarkastycznie. Fox powoli usiadł, ale zostawił między nimi jedno wolne krzesło. – No i co teraz? – spytała w końcu, ocierając nos rękawem.

– Trzeba będzie załatwić różne rzeczy... pogrzeb i tak dalej.

– Pytam o was. Rab został zamordowany, więc co zamierzacie zrobić?

– Jeżeli czuje się pani na siłach, może chcielibyśmy zapytać o parę rzeczy, ustalić przebieg wydarzeń.

– Umówił się z kimś na śniadanie... z byłym gliniarzem.

– Tak, wiemy o tym.

– A później był zupełnie roztrzęsiony.

– Naprawdę?

– Kiedy go spytałam, co się dzieje, tylko coś odburknął.

– Ale odpowiedział?

Pokręciła głową.

– W każdym razie był zdenerwowany do samego wyjścia do pracy.

– Kiedy to było?

- Wczesnym popołudniem. Mówiłam mu, że za krótko spał.
- Pracował wieczorami, zgadza się?
- Od piątej do północy, w weekendy czasem kończył później.
- Długo się znaliście?
- Sześć i pół roku.
- Czyli poznaliście się, zanim jeszcze odszedł na emeryturę?

Znowu skinęła głową.

– Wcześniej dwa razy był żonaty. Biada tym wiedźmom, jeżeli bez zaproszenia przyjadą na pogrzeb.

– Aż tak serdecznie się nie znosili?

– Jest pan gliną, więc sam pan wie, jak to jest: praca do późna, sprawy, którymi się dręczysz, ale nie chcesz o nich rozmawiać... – Patrzyła na niego, dopóki nie skinął głową. – Obie żony w końcu odeszły z jakimiś palantami.

– Rozmawiał z panią kiedyś o pracy?

– Trochę, kiedy już był na emeryturze. Chodził na spotkania byłych gliniarzy i czasem mnie zapraszał.

– Czyli miała pani okazję posłuchać paru historii.

– Tak, paru.

Pracownik prosektorium przyniósł im herbatę i Fox podziękował skinieniem głowy. Mężczyzna wahał się przez chwilę.

– Proszę przyjąć kondolencje – zwrócił się do Dolan.

– Dziękuję. – Kiedy poczłapał z powrotem do swoich obowiązków, jak zahipnotyzowana patrzyła na jego buty. – Chryste – szepnęła.

– Rabem zajmuje się Deborah Quant – powiedziała Fox. – Jest bardzo dobra, traktuje zmarłych z wielkim szacunkiem.

Kobieta pokiwała głową i znowu utkwiała wzrok w plakacie, ściskając oburącz kubek.

– Praca bramkarza... hm... też było kilka historii.

– Nie przypuszczam, żeby to było łatwe zajęcie.

– Jest w porządku, jeśli wszyscy są grzeczni, ale Raba to nudziło.

– Wolał rozróbę?

– Wracał do domu podrapany i posiniaczony. Mówił, że najgorsze są dziewczyny. Używały paznokci i zębów.

– Słaba płeć, tak?

Zdobyła się na coś w rodzaju cienia uśmiechu.

– Próbowaly go też podrywać, a to bardzo mu się podobało.

– Czyli był normalnym facetem.

– Normalnym facetem – powtórzyła. Zaraz jednak przypomniała sobie, że tego dnia nic a nic nie jest normalne, i po jej policzkach znowu potoczyły się łzy. – O Boże.

Wcześniej skwitowała machnięciem ręki jego próbę podsunięcia jej chusteczki, mimo to Fox sięgnął do kieszeni.

ROZDZIAŁ 9

GDY DEBORAH POJAWIŁA się w drzwiach dla personelu, dochodziła siódma. Przed wyjściem z prosektorium wzięła prysznic i przebrała się, a kiedy szukała w torebce kluczyków do samochodu, zza jednego z zaparkowanych vanów wyłoniła się jakaś postać.

Quant stłumiła okrzyk.

– Jezu, John... Już chciałam załatwić cię ciosem karate.

– Ćwiczysz karate? – zdziwił się Rebus. – Nie wiedziałem.

Zirytowana, podeszła zamaszystym krokiem do samochodu i go otworzyła. Czekwała za kierownicą, aż Rebus otworzy drzwi od strony pasażera i też wsiądzie.

– No i co? – spytał.

– Żył, kiedy wrzucono go do wody. Zawartość żołądka: bekon i białe pieczywo. Detektyw Briggs mówiła, że jadłeś śniadanie ze zmarłym.

– Wysłali na sekcję jedyną kobietę w zespole?

Posłała mu wzburzone spojrzenie.

– Świetnie dajemy sobie radę z porodami, więc widok zwłok też nas nie powala. W każdym razie okazuje się, że ta bułka była ostatnim posiłkiem Chathama.

– Nie jadł lunchu ani kolacji?

– Najwyżej paczkę chipsów. Za to whisky, i owszem. Kiedy go otworzyliśmy, buchnęło jak z destylarni.

– Taka ilość mogła go zamrozić?

– To będzie wiadomo dopiero po badaniu krwi.

– Kiedy można spodziewać się wyników?

– Wiem tyle co ty.

– Coś jeszcze?

Quant odwróciła się lekko w jego stronę.

– Zaczynasz to traktować osobiście, John?

– Co masz na myśli?

– Widziałeś tego człowieka w dniu, w którym zginął. Może czujesz się w jakimś stopniu odpowiedzialny.

– Być może uderzyłem w czułą strunę.

– Ofiary?

– Albo kogoś, z kim spotkał się później tego dnia.

– Ale to nie twój problem. Detektyw Briggs jasno dała mi to do zrozumienia.

Rebus utkwiał w niej wzrok.

– Co ci powiedziała?
– Wie, że jesteśmy... zaprzyjaźnieni.
– Zaprzyjaźnieni?
– Takiego słowa użyła. A tak się składa, że moim zdaniem powinieneś się teraz skupić na sobie zamiast na starych i nowych sprawach.

– Czuję się doskonale, Deb.

– Nie sądzę.

– Z kim rozmawiałas?

Pokręciła głową.

– Niczego nie knując za twoimi plecami, John. Żaden lekarz nie marzy o tym, żeby dyskutować o stanie pacjenta z osobą trzecią.

Rebus popatrzył przez boczną szybę: nie było tu nic do oglądania oprócz furgonetki, może nawet tej, która przywiozła z nabrzeża ciało Roberta Chathama.

– Poradzę sobie – powiedział cicho.

Wzięła go za rękę i ucisnęła.

– Jesteś upartym starym draniem i prędzej położyłbyś się w grobie, niż pozwolił, żeby ktokolwiek dostrzegł słaby punkt tej zbroi, którą nakładasz co dzień rano.

Odwrócił się do niej. Miała wilgotne oczy. Nachylił się i pocałował ją w policzek. Quant przycisnęła czoło do jego czoła i siedzieli tak prawie pół minuty, nie potrzebując żadnych słów. Potem wyprostowała się i głęboko zaczerpnęła tchu.

– W porządku? – spytał Rebus.

– Wiesz, że możesz na mnie liczyć? Gdy tylko będę ci potrzebna?

Skinął głową.

– I właśnie teraz cię potrzebuję, pani profesor. – Zobaczył, jak Quant mruży oczy, domyślając się, o co chce ją prosić. – Powiedz mi, jak Robert Chatham miał związane ręce. – Wahał się przez chwilę. – Sprawiałabyś wielką przyjemność upartemu staremu draniowi...

CRAIGMILLAR ZAWRACAŁO ZE ZŁEJ drogi, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Duża część wilgotnych i brzydkich domów została wyburzona, a na ich miejscu wyrosły lśniące nowiutkie apartamentowce. Sklepy nadal wieczorem osłaniały witryny metalowymi kratami, ale pojawiły się Lidl i Tesco. Clarke nie nazwałaby tego jeszcze gentryfikacją – Craigmillar nadal istniało w powszechnej świadomości jako łącznik między miastem a trasami wylotowymi na południe. Wiedziała, że największy ruch panuje tu w weekendy, gdy armia klientów wyrusza do Fort Kinnaird, gdzie czekały na nich sklepy Next, Boots i Gap. Ale w Fort Kinnaird mieściły się też salony Bentleya i Porsche, o czym wiedziała tylko dlatego, że przez krótki czas rozważała kupno porsche. Czemu nie? Nieźle zarabiała, miała niewiele wydatków. Rata kredytu hipotecznego nie była wysoka i wszystko wskazywało, że taka pozostanie. Odbiła jazdę próbną caymanem i była zachwycona, potem jednak porzuciła ten pomysł. Zdecydowanie nie czułaby się spokojna, parkując taki wóz na ulicy. W mieście działały gangi, które polowały na drogie samochody. Poza tym w komisariacie przy Gayfield Square zaczęłyby się gadanie i komentarze, że bierze od kogoś w łapę – od kogoś w rodzaju Darryla Christiego.

Zatrzymała się na bocznej uliczce Craigmillar, wysiadła i poklepała dach astry.

– Ty mi w zupełności wystarczasz – zapewniła swoje auto i ruszyła do drzwi Crawa Shanda.

Mieszkał w domu szeregowym z lat siedemdziesiątych, w którym na okiennych ramach łuszczyła się farba. Przy drzwiach nie było dzwonnka ani kołatki, więc uderzyła w nie pięścią, a potem cofnęła się i czekała na reakcję. Nie dostrzegła żadnego ruchu za zasłonami, ale w środku paliły się światła. Gdzieś niedaleko szczekał pies; ktoś wydzierał się na niego, żeby się zamknął. Ulicą przemykały dzieciaki na rowerach, w kapturach i z opatulonymi twarzami. Clarke jeszcze raz walnęła w drzwi, a potem pochyliła się i otworzyła klapkę otworu na listy.

– To ja, Craw. Inspektor Clarke.

– Czego pani chce?! – zawołał zza drzwi.

– Sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku. Widzę, że nie posłuchałeś mojej rady.

– Jakiej rady? – Głos Shanda brzmiał bełkotliwie.

Przykładając nos do otworu na listy, Clarke nie wyczuła alkoholu ani trawki.

– Żebyś się nie wychylał i przeczekał parę dni gdzie indziej, poza domem.

– Nic mi nie jest.

– Miejmy nadzieję, że tak zostanie. – Wsunęła przez szparę swoją wizytówkę. – Tu masz numer mojej komórki, gdybyś chciał się skontaktować.

– Nie będę chciał.

Przyjrzała się framugom drzwi.

– Wystarczy jeden porządny kopniak i zanim się zorientujesz, ktoś już będzie w środku.

– To może powinniście mnie zamknąć w areszcie ochronnym.

– Myślałam o tym, Craw, ale mój szef się nie zgadza.

– No to oboje będziecie musieli to przeżyć, jeśli coś się stanie.

– My przynajmniej będziemy żyć, Craw. Powiedz mi, skąd tak naprawdę tyle wiesz o domu Christiego? Poszedłeś tam, kiedy usłyszałeś o napadzie, prawda?

– Idź już stąd, namolna glino.

– To nie było zbyt miłe, Craw. Chyba nie masz na świecie nikogo po swojej stronie oprócz mnie.

– Idź stąd – powtórzył i zgasił światło w salonie, jakby na znak, że rozmowa jest skończona.

Clarke zwlekała z odejściem, zapukała nawet w okno. Zasłony wyglądały na cienkie i tandetne. Shand jakoś tam żył. Kto wie, może wcale nie był mniej zadowolony ze swojego losu niż wszyscy inni, których znała? Albo nawet wszyscy w mieście? Przez pół życia szukał przestępstwa, które mógłby sobie przypisać, i wreszcie trafił na żyłą złota.

Miała nadzieję, że przeżyje, żeby cieszyć się tym zwycięstwem.

Wsiadła do astry i po chwili zobaczyła w lusterku wstecznym nadjeżdżający samochód. Kiedy ją minął, dojrzała numery rejestracyjne. Range rover Darryla Christiego. Ruszyła za nim. Zamiast zmierzać do głównej ulicy, wóz najwyraźniej krążył po okolicy, bo wjechał w głąb osiedla, a potem skręcił na kilku skrzyżowaniach, wybierając taką trasę, że znowu musiały przejechać obok domu Shanda. Clarke błysnęła światłami, ale kierowca ją zignorował, więc zaczęła, aż wjadą w szerszą ulicę, wcisnęła gaz, wyprzedziła go i ostro zahamowała. Wysiadła, starając się, żeby kierowca mógł się jej dobrze przyjrzeć. Kiedy podeszła do range rovera, szyba opadła do połowy.

– Dawno nie widziałem ładniejszego złodzieja samochodów.

Wytatuowane ramiona, równo zaczesane włosy, broda. „Właściciel” Devil’s Dram.

– Co robisz w tym samochodzie? – spytała surowo Clarke.

– To wóz Darryla.

– Wiem.

– Nie może prowadzić, więc powiedział, że mogę go wziąć.

– Trudno sobie wyobrazić, żeby jego naturalnym środowiskiem było Craigmillar.

– Mam kumpla, który tu gdzieś mieszka. Chciałem przyszanować.

– Czy ten kumpel nie nazywa się przypadkiem Craw Shand?

Pokręcił głową.

– Jaki jest adres tego twojego kumpla? – naciskała Clarke.

– W tym kłopot... nie bardzo pamiętam. Pomyślałem sobie, że poznam dom, kiedy go zobaczę.

– Dobrze sobie wymyśliłeś tę bajeczkę, co?

Twarz mu stężała.

– Kurwa, co pani w ogóle do tego? Nie zauważyłem, że wjechałem do państwa policyjnego?

– Masz wyjechać z Craigmillar i więcej tu nie wracać. Powiedz swojemu szefowi, że Craw jest pilnowany dzień i noc.

– Nie mam bladego pojęcia, o czym pani mówi.

– W takim razie sama mu powiem, a ty zabieraj to pudło z Craigmillar.

– Zdaje się, że blokuje mi drogę jakiś gruchot.

Miała już komórkę w dłoni i szukała numeru Christiego, kiedy wsiadała do samochodu i zjeżdżała na bok. Range rover minął ją z dudnieniem silnika i rykiem klaksonu. Telefon w domu Christiego odebrał jakiś mężczyzna, którego głosu nie poznała.

– To Joseph czy Cal? – spytała.

– Cal – padła odpowiedź.

– Cześć. Chciałam porozmawiać z Darrylem.

– Chwilkę.

Patrzyła na niknące w oddali tylne światła range rovera i słuchała, jak Cal wchodzi do pokoju, który wypełniała muzyka. Melodia wydała się jej znajoma, jakiś ostatni hit R&B.

– Do ciebie – rzucił Cal.

– Kto dzwoni?

– Nie wiem.

– Co ci mówiłem, Cal? Masz zawsze pytać.

Telefon został przekazany, sprzęt grający przyciszony.

– Tak? – powiedział Christie.

– Inspektor Clarke.

– Jestem po służbie.

– Zdaje się, że o czymś zapominasz: tym razem to ty jesteś ofiarą, Christie. Mamy grać do jednej bramki, chociaż być może właśnie odgwidzano niespodziewaną przerwę w meczu.

– Dlaczego?

– Rozmawiałam z twoim kolegą z Devil's Dram.

– Z Harrym?

– Wygląda dość charakterystycznie, z tą brodą i tak dalej. Nie bardzo nadaje się na niewidzialnego mściciela.

– O czym ty mówisz?

– Obserwował dom Crawa Shanda.

– Naprawdę?

– Dwa razy przejechał obok niego twoim samochodem, którego kamuflaż, nawiasem mówiąc, też pozostawia wiele do życzenia.

– Pożyczyłem mu wóz.

– Właśnie taką historyjkę mi sprzedał.

– Żadną historyjkę, tylko szczerą prawdę.

– Nie sądzę.

Ale Christie, jak gdyby chciał jej udowodnić, że się myli, zdążył już odłożyć słuchawkę. Wpatrywała się w ekran, wiedząc, że jeżeli zadzwoni jeszcze raz, nikt nie odbierze. Rzuciła telefon na fotel pasażera i ruszyła w tym samym kierunku co range rover. Chyba nie zaszkodzi posiedzieć na trochę na ogonie, żeby dać brodatemu Harry'emu do zrozumienia, że to nie żarty.

Na rondzie w Cameron Toll trzymała się dwa samochody za nim, gdy nagle rozjaśnił się ekran jej telefonu. Dzwonił Malcolm Fox. Wcisnęła przycisk bluetooth na kierownicy.

– Myślałam, że spędzasz wieczór ze swoimi nowymi najlepszymi kumplami – powiedziała. Po chwili ciszy w głośnikach samochodu zabrzmiał jego głos.

– Co mam ci powiedzieć?

Masz mi powiedzieć, że ci przykro, że nowa elita spija całą śmietankę, zgarnia najciekawsze sprawy!

– Mogę coś dla ciebie zrobić, Malcolm?

– Jesteś w samochodzie?

– Błyskotliwie dedukujesz.

– Jedziesz do domu?

– Pomału zmierzam.

– Pomyślałem właśnie, że po takim dniu mógłbym ci postawić drinka.

– Dlatego, że chcesz posłuchać, co u mnie nowego, albo opowiedzieć mi, czego ty się dowiedziałeś?

– Mówię tylko o drinku, Siobhan. W ogóle nie musimy rozmawiać o pracy.

– Ale będziemy.

– Pewnie masz rację.

Zastanowiła się przez chwilę. Range rover z pewnością kierował się w stronę centrum. Zadanie wykonane.

– Nie miałbyś ochoty czegoś zjeść? Curry w Patace?

– Może być.

– Będę za dziesięć minut – rzuciła.

– Ja raczej za piętnaście.

– Ostatni stawia – powiedziała Clarke, uśmiechając się po raz pierwszy od wielu godzin.

REBUS STANAŁ PRZED DRZWIAMI i wcisnął dzwonek. Po chwili domofon zatrzeszczał.

– Tak?

– Dobry wieczór. Chciałem spytać, czy ostatnio widział pan swojego sąsiada z naprzeciwka.

– Którego?

– Anthony’ego Brougha.

– Nigdy o nim nie słyszałem. Na pewno tu mieszka?

– Ma biuro po drugiej stronie placu. Mamy pewne obawy co do jego zdrowia.

Osoba po drugiej stronie domofonu przez moment analizowała sformułowania, jakich użył Rebus.

– Pan jest z policji? Proszę chwileczkę zaczec...

Kiedy drzwi się otworzyły, Rebus starał się nie patrzeć na człowieka, który właśnie zwolnił zamek.

– Dziękuję – powiedział. – Jak wspomniałem, od jakiegoś czasu nikt go nie widział, w związku z tym narasta... – Urwał, gdy jego wzrok zatrzymał się na twarzy mężczyzny stojącego stopień wyżej. Udał zaskoczenie. – Przepraszam, ale pan jest bardzo podobny do Bruce’a Colliera.

– Pewnie dlatego, że nim jestem.

Rozpięta pod szyją dżinsowa koszula, opalona twarz. Odrobinę wystający brzuszek, skórzany pasek zaciśnięty może o jedną dziurkę za daleko. Lśniące buty z brązowej skóry i złote łańcuszki na obu nadgarstkach i dość pomarszczony szyi.

– Jestem pana wielkim fanem – oznajmił Rebus. – Jeszcze od czasów Blacksmith.

– W takim razie musi pan być paleontologiem. – Uśmiech zmienił twarz Colliera w siatkę zmarszczek.

– Pozwoli pan... – Rebus wyciągnął rękę i Collier ją uściśnął.

– Zapraszam – powiedział i ruszył przodem. Mieszkanie było połączeniem tradycji i nowoczesności: kamienna posadzka, drewniany wieszak na płaszcze, oświetlenie w podwieszanym suficie. Rebus ruchem głowy wskazał grafikę Warhola na ścianie.

– To oryginał?

– Dostałem od szejka naftowego, kiedy zagrałem na jego urodzinowej imprezie. Nie powiem, kto był gwiazdą wieczoru, ale dostał Rembrandta. Proszę mi przypomnieć, jak się pan nazywa?

– Rebus. John Rebus.

– A ja jestem Bruce i miło mi poznać fana, który ciągle jest w pełni władz umysłowych. Napijesz się piwa?

– Mógłbym prosić o kawę?

Collier przyjrzał mu się badawczo.

– Zawsze myślałem, że to tylko pusta formułka: „Nie piję na służbie”.

– Kofeina w zupełności wystarczy.

– W takim razie chodźmy tędy.

Ruszyli po krętych schodach do suterenu. Długa i wąska kuchnia była wyposażona we wszystkie najnowsze gadżety, a dalej przechodziła w przeszkloną przybudówkę, z której było widać zadbane, otoczony murem i oświetlony halogenami ogródek.

– To ma odstraszać włamywaczy – poinformował go Collier, pokazując światła. – Może być rozpuszczalna?

– Świetnie.

Rebus patrzył, jak gospodarz sypie łyżeczkę granulowanej kawy do kubka, po czym podstawia go pod kran przy zlewie.

– Błyskawiczny wrzątek – wyjaśnił Collier. – To kim jest ten gość, który gdzieś wyparował?

– Nazywa się Anthony Brough. Prowadzi firmę inwestycyjną.

– Ma jakieś związki z tym bankiem?

– Jest wnukiem sir Magnusa Brougha.

– Kiedyś miałem spięcie z tym wrednym dziadygą – prychnął Collier. – Dawniej miałem u nich konto... Liczyli sobie fortunę za ten przywilej. Trzeba było mieć na rachunku sto tysięcy, a mnie przez parę miesięcy brakowało. Zanim się zorientowałem co i jak, dzwoni telefon i w słuchawce odzywa się stary we własnej osobie. Dzisiaj trudno sobie coś takiego wyobrazić, nie? Zresztą musiałem się osobiście stawić w ich siedzibie, żeby otworzyć konto. – Nagle Collier zreflektował się i urwał. – Przepraszam, gadam od rzeczy. Za długo przebywam we własnym towarzystwie.

– Jesteś żonaty, Bruce?

Collier wyjął mleko z lodówki i podał Rebusowi razem z kubkiem.

– Żona jest w Indiach, podróżuje z przyjaciółką. Dlatego tak tu czysto, od jej wyjazdu nikt tu nie gotuje.

– Właśnie coś sobie przypomniałem – powiedział Rebus, gdy muzyk odnosił mleko do lodówki. – Zdaje się, że w latach siedemdziesiątych doszło do jakiegoś skandalu związanego z bankiem Brough's.

– Do skandalu? – Collier wymienił mleko na butelkę białego wina. Odkręcił ją i nalał spory łyk do kieliszka.

– Zabójstwo w jakimś hotelu...

– To było tu, zaraz za rogiem! – ożywił się Collier. – W pocziwym Caleyu. Mieszkałem tam wtedy.

– Usher Hall, siedemdziesiąty ósmy? Byłem na twoim koncercie.

– Miała być uroczystość na powitanie chłopaka stąd, któremu coś się udało w życiu, z fanfarami, konfetti i tak dalej.

– A zamiast tego było morderstwo?

Collier przyjrzał mu się znad brzegu prawie pełnego kieliszka.

– Na pewno to pamiętasz. Kiedy zaczęłeś pracę w policji?

– Nie jestem taki stary, na jakiego wyglądam. Nagrywasz jeszcze, Bruce?

Twarz muzyka zmarszczyła się w uśmiechu. Jego włosy były nienaturalnie brązowe i nienaturalnie gęste. Doczepiane, peruka czy dobre geny i farba? Rebusowi trudno było rozstrzygnąć.

– Czasem jakieś drobiazgi – odparł w końcu Collier.

– Masz studio?

– Pokażę ci.

Rebus wyszedł za nim z kuchni i przeciął korytarz. Studio mieściło się w małym pomieszczeniu bez okien, do którego przylegał jeszcze mniejszy pokój oddzielony szybą. Rebus dojrzał tam stół mikserski.

– Kiedy potrzebuję fortepianu albo perkusji, nagrywamy to gdzie indziej, ale do innych partii w zupełności mi to wystarcza. Dzisiaj niektóre zespoły nagrywają prosto na laptop, a potem kombinują w różnych aplikacjach i internecie.

– Jeszcze nie poszedłeś tą drogą – zauważył Rebus, przyglądając się oprawionym w ramki kilkunastu platynowym i złotym krążkom, którymi udekorowano trzy ściany. Na stojakach prezentował się szereg gitar elektrycznych i akustycznych. Collier chwycił jedną i przysiadł na stołku. Zagrał parę akordów, patrząc na Rebusa. – *A Monument in Time* – poznał Rebus.

– A to? – Collier zagrał kilka taktów następnego utworu, pomylił się i zaczął jeszcze raz.

– *Woncha Fool Around With Me* – powiedział Rebus.

– Znasz się na rzeczy – stwierdził muzyk. Zamierzał odstawić gitarę na miejsce, lecz nagle wyciągnął ją w stronę gościa.

– Nie umiem grać – poinformował go Rebus.

– Każdy powinien nauczyć się grać na jakimś instrumencie.

– Ty zacząłeś w szkole?

– Nasz nauczyciel muzyki grał w jazz-bandzie. Trochę się z niego przez to nabijałem, więc pewnego wieczoru zabrał mnie na występ... Byłem nieletni, ale jakoś mnie przemycił.

– Spodobało ci się?

– Było okropnie. Następnego dnia chwyciłem gitarę i postanowiłem nauczyć się rzeczy, których nie znosił.

Wymienili uśmiechy. Collier ciągle się uśmiechał, gdy zrobił krok w stronę Rebusa.

– Tak naprawdę wcale nie przyszedłeś tu z powodu tego gościa od inwestycji, prawda?

– Właściwie z jego powodu. Ale to mały zbieg okoliczności...

– Co?

– Ty, rodzina Broughów i Caley.

– Co w związku z tym?

– Dzisiaj rano w porcie Leith wyłowiono Roberta Chathama.

– Słyszałem w wiadomościach. To było samobójstwo?

– Nazwisko nic ci nie mówi? Robert Chatham? Detektyw inspektor Robert Chatham?

Collier zastanawiał się przez chwilę, a potem pokiwał głową.

– Niech to szlag, rzeczywiście, to on grillował mnie parę lat temu! Wasi ludzie wznowili to cholerne śledztwo, bo mój menadżer trasy chciał mi jeszcze zrobić koło pióra, zanim kopnął w kalendarz. Sukinsyn był wtedy po pierwszym zawale. Czyli ten Chatham skończył ze sobą? Przepuszczam, że to akurat jest zbieg okoliczności.

– To nie było samobójstwo. Miał ręce związane z tyłu.

Muzyk szeroko otworzył oczy i ściągnął usta.

– Nie przypuszczam, żebyś ostatnio miał z nim jakiś kontakt? – Rebus postawił na stołku opróżniony do połowy kubek.

– Nie widziałem go od... Nie wiem, ile lat minęło od tamtego przesłuchania.

– Osiem – przypomniał mu Rebus.

– W takim razie od ośmiu lat.

– A twój przyjaciel Dougie Vaughan? Widujesz go jeszcze?

Z twarzy Colliera zniknęły wszystkie wcześniejsze oznaki wesołości.

– Proszę stąd wyjść. Jeżeli pan tego nie zrobi, zaraz zadzwonię do swojego adwokata.

– Sam pan mnie zaprosił, panie Collier.

– Bo mnie pan okłamał, że interesuje pana jeden z moich sąsiadów. Wątpię, żeby to ucieszyło pana szefów.

– Można powiedzieć, że jestem samozatrudniony.

– Przecież mówił mi pan, że jest z policji.

– Wcale nic takiego nie mówiłem.

– Gliniarz czy nie, wszystko jedno. Ma pan wyjść.

– Ale mogę wpaść z kilkoma płytami do podpisania?
– Możesz mi pan nagwizdać, panie... jak ci tam.
– Gwizdanie raczej mi nie wychodzi.
– A ja nie mam cierpliwości do ludzi, którzy robią mnie w balona, żeby wejść do mojego domu. – Collier chwycił Rebusa za przedramię.

Rebus spokojnie patrzył na niego, dopóki go nie puścił.

– Grzeczny chłopiec – rzucił, wyszedł ze studia i skręcił na schody. – Dzięki za kawę i oprowadzenie po domu. Może w najbliższym czasie zobaczymy się na koncercie.

– Dopilnuję, żeby wywiesili przy wejściu pana nazwisko z adnotacją: *Nie wpuszczać pod żadnym pozorem*.

Rebus przystanął na stopniach.

– Ciekawe – mruknął, nie odwracając się do Colliera.

– Co?

– Robert Chatham stał na bramce w lokalach w całym mieście... Może jednak natknąłeś się na niego, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Nie chodzę do lokali, które potrzebują bramkarzy.

Rebus ruszył dalej po schodach.

– Miło się z tobą rozmawiało, Bruce – powiedział na pożegnanie.

Z MIESZKANIA REBUS WYSŁAŁ do Siobhan Clarke wiadomość z propozycją, żeby się spotkali i pogadali. Jej odpowiedź – *Przywiozę resztki ze stołu* – pozostawała dla niego zagadką, dopóki nie otworzył drzwi i nie zobaczył jej z papierową torbą z Pataki.

– I coś do picia dla wszystkich – dodał Fox, unosząc drugą torbę pełną puszek.

– Widzę, że Nowy Rok przyszedł wcześniej. No dobra, wchodźcie.

Brillo czekał w salonie. Clarke i Fox poświęcili mu wiele uwagi, podczas gdy Rebus poszedł przełożyć jedzenie na talerz. Gdy wrócił z kuchni, Fox przeglądał akta sprawy zabójstwa Marii Turquand.

– To musi trafić do Alvina Jamesa – przypomniał mu Fox.

– Jutro z samego rana – obiecał Rebus.

– Malcolm mówi, że przemilczałeś mój udział – wtrąciła Clarke. – Dzięki.

– Sporo można mi zarzucić, ale nie to, że jestem kapusiem. – Rebus usadowił się w fotelu, chwycił łyżkę i zabrał się do curry. Fox po chwili usiadł na kanapie obok Clarke i ta podała mu puszkę Irn-Bru.

– Wziąłem dla siebie san pellegrino – poskarżył się.

– Trudno – odparła, bo wcześniej zaklepała sobie wodę mineralną.

– Co słyhać w nowej szkole? – zapytał Rebus, patrząc na Foxa.

– Na razie nikt się nade mną nie znęca.

– Ludzie z zespołu robią całkiem niezłe wrażenie. Opowiedz mi coś o nich.

– Dwaj sierżanci są konkretni i uparci. Sean Glancey pochodzi z Aberdeen.

– To ten, co bez przerwy się poci?

Fox skinął głową.

– Zdobywał doświadczenie na chamowatych nafciarzach, którzy w weekendy urządzali burdy. Wallace Sharpe jest z Dundee. Rodzice pracowali w Timexie i chcieli, żeby zajął się elektroniką. Sądzi, że gdyby to zrobił, mógłby zaprojektować grę, która sprzedalaby się w milionach egzemplarzy, i dzisiaj mieszkałby na jachcie. Kiedy do ciebie mówi, ledwie go słyhać, ale to bystrzak jakich mało.

– A posterunkowi?

– Mark Oldfield to ten, który postanowił mnie wkurzać.

– Może dlatego, że na samym początku zrobiłeś z niego chłopaka do parzenia herbaty – przypomniał mu Rebus.

Clarke obróciła się twarzą do Foxa.

– Naprawdę?

W odpowiedzi wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od Rebusa.

– Jest jeszcze Anne Briggs. Pochodzi z zachodniego wybrzeża, tak samo jak Oldfield, co widać i słyhać na każdym kroku. Rozmawiają ze sobą jakimś szyfrem, którego nikt inny nie rozumie. Skąd ten krzywy uśmiech?

– Jest taka piosenkarka folkowa, Anne Briggs. – Rebus wskazał na stojak z płytami winylowymi pod wieżą hi-fi. – Jak dobrze poszukasz, powinny tam być ze dwa jej albumy.

– To raczej nie ta sama kobieta – stwierdził Fox.

– Raczej nie – zgodził się Rebus. – Ale mam dzisiaj wieczór z muzykami.

– Spotkałeś się z Bruce'em Collierem? – domyśliła się Clarke.

– Tak się składa, że mieszka naprzeciwko biura Anthony'ego Brougha. – Rebus patrzył, jak Brillo mości się na kanapie między Foxem a Clarke.

– I co?

– I niewiele miał do powiedzenia, chociaż pamiętał, że Chatham go przesłuchiwał. – Umilkł na chwilę. – No więc Malcolm i ja spędziliśmy dzień pracowicie. A ty, Siobhan? Nie czujesz się tu trochę obco?

– To ma być podziękowanie za to, że przyniosłam ci curry? – Zobaczyła, jak Rebus w przepaszającym gościę unosi rękę.

– Ale Malcolm twierdzi, że wspomniał o tobie szefowi zespołu.

Próbowała spojrzeć na niego spođe łba, ale tylko posłał jej promienny uśmiech i wsunął do ust następną łyżkę rogan josh.

– Ja też byłam zajęta – powiedziała. – Pojechałam zajrzeć do Crawa Shanda, który nie wystawia nosa z domu.

– To ostatnie miejsce, w którym powinien być.

– Próbowałam mu to uświadomić. I okazało się, że mam rację, bo zobaczyłam przejeżdżający ulicą samochód Darryla Christiego. – Zauważyła, że obaj skupiają na niej całą uwagę. – Za kierownicą nie siedział jednak Darryl, tylko Harry, który podobno kieruje klubem Devil's Dram.

– Rozpoznanie terenu?

– Na to wyglądało. Zatrzymałam go i powiedziałam mu parę słów.

– Nie widziałas broni? Nie poczułaś zapachu benzyny?

Clarke pokręciła głową.

– A dlaczego miałyby... – zaczął Fox, ale zaraz zrozumiał. – Żeby wlać ją przez otwór na listy.

– Przy odrobinie szczęścia Darryl dojdzie do wniosku, że pilnujemy Crawa dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– A nie pilnujemy, prawda? – spytał Rebus.

– Podałam jego adres patrolom, żeby ktoś przejeżdżał ulicą mniej więcej co godzinę, jeżeli nic pilniejszego nie będzie się działo gdzie indziej. W zasadzie taki sam nadzór ma od nas Darryl Christie.

– W takim razie niewiele więcej zrobimy – zauważył Rebus. Dostrzegł znaczące spojrzenia z kanapy. – Mówiąc „my”, mam oczywiście na myśli „was”. – Skończył jeść i odstawił talerz na podłogę. Brillo miał otwarte jedno oko, którym obserwował jego poczynania. Rebus stłumił czknięcie.

– Podobno najtrudniej jest po posiłku – odezwał się Fox. – To prawda?

– Zależy, o czym mówisz.

– O głodzie nikotynowym.

Rebus utkwiał w nim ciężkie spojrzenie.

– Świetnie sprawdziłbyś się przy torturowaniu, Malcolm. Ktoś ci to już mówił?

– Jeden z moich znajomych twierdzi, że mogłaby w tym pomóc akupunktura – dorzuciła Clarke. – Kiedy masz ochotę zapalić, wystarczy ścisnąć płatek ucha.

– Oboje zaczynacie mi dogryzać, a to znak, że pora kończyć wieczór.

Goście dokończyli napoje i wstali.

– Wiecie, co mi w tym wszystkim nie gra? – powiedziała Clarke. – Reakcja Darryla Christiego. Bo jeżeli się okaże, że Craw jest niewinny, to znaczy, że napastnik ciągle jest na wolności. Czy Christie nie powinien przynajmniej trochę się obawiać?

– Dlaczego sądzisz, że się nie obawia?

Zastanowiła się nad tym.

– Kiedy do niego dzwoniłam, siedział w domu i słuchał muzyki. Był z nim przynajmniej jeden brat. To wydaje się za bardzo normalne, nie uważacie?

– Może ustawił strażników wokół całego domu – zasugerował Fox.

– No i masz, dograłeś się – prychnął Rebus. – Zasiałeś ziarno podejrzeń i teraz Siobhan będzie tam musiała pojechać i przekonać się na własne oczy. Mam rację?

Clarke rozważała tę możliwość.

– To właściwie po drodze do domu – przyznała po chwili.

GDY DOTARŁA NA MIEJSCE, dom Christiego był pogrążony w ciemności. Na podjeździe nie było widać range rovera ani żadnego ochroniarza pilnującego posesji czy siedzącego w zaparkowanym samochodzie i gotowego ruszyć do boju. Typowa podmiejska uliczka w jednej z zamożniejszych enklaw miasta, gdzie przestępstwa należą do rzadkości. Clarke zatrzymała wóz po drugiej stronie, ale nie wyłączyła silnika. Obserwowała i czekała. Odebrała wiadomość od Rebusa, składającą się z dwóch słów.

I co?

Odpisała też dwoma słowami – *I nic* – po czym ziewnęła i ruszyła w stronę domu.

DZIEŃ PIĄTY

ROZDZIAŁ 10

CRAW SHAND, WBREW TEMU, co sądzili chyba wszyscy, nie był kompletnym idiotą.

Z sypialni na piętrze obserwował świat zewnętrzny, otworzył nawet okno, żeby rozejrzeć się w prawo i w lewo. Potem jeszcze rzut oka zza zasłon na dole, by sprawdzić, czy nikt nie czai się za progiem. Upewniwszy się, że droga wolna, narzucił płaszcz, wcisnął do kieszeni torbę na zakupy i wyszedł.

Maszerował z postawionym kołnierzem i spuszczoną głową, odpowiadając krótkimi burknięciami na pozdrowienia nielicznych sąsiadów, których mijał po drodze. Zmierzał do Lidla, gdzie planował zrobić zapasy na kilka najbliższych dni. Miał w kieszeni dwadzieścia sześć funtów, co powinno spokojnie wystarczyć. Zupa i ravioli w puszkach, parę piw. Dla przyjemności może solone orzeszki. Tylko nie w tych dużych paczkach – zawsze kończył je za jednym zamachem i potem miał mdłości. I żadnego wina – ostatnio płały mu się od niego myśli i język. Musiał zachować czujność. No więc tylko piwo jako uzupełnienie tabletek, które miał zamelinowane w domu. Dostał je od kumpla. Tabletki szczęścia, przepisywane na depresję. Kiedy popił je paroma piwami, głowę wypełniał mu przyjemny szmerek.

Szu, szu, powiedział do siebie, kiedy wchodził do sklepu. Zamierzał załatwić zakupy w ciągu pięciu minut – znał układ Lidla jak własną kieszeń. Chyba że przenosili towar na inne regały. Czasem tak się zdarzało. Raz poskarżył się na to przy kasie.

– Nazywamy to „odświeżeniem” – usłyszał.

– A ja to nazywam mieszaniem mi w głowie – odparował.

Zjawił się kierownik sklepu i zapytał, czy jest jakiś problem, i na tym sprawa się skończyła.

Tego dnia nie czekały go jednak żadne niespodzianki, wszystko było na swoim miejscu. Pięć minut od wejścia do wyjścia, jak zawodowiec. Kiedy odwracał się od regału, nagle zderzył się z tym człowiekiem.

– Nie widziałem pana – zaczął przeproszać.

– Kłopot z ludźmi w moim wieku polega na tym, że najczęściej stają się niewidzialni – odparł łagodnym tonem mężczyzna. Uśmiechał się i miał puste ręce, ani koszyka, ani zakupów. – Co słychać, Crawl?

– Czy my się znamy? – Shand rozejrzał się, ale w pobliżu nie było nikogo z ochrony.

– Być może znasz moje nazwisko: Cafferty.

Na twarzy Shanda, wbrew jego woli, odmalowało się zaskoczenie.

– Pan Cafferty – wyjąkał.

– Czyli jednak mnie znasz? – Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Dużo o panu słyszałem.

– A ja słyszałem o tobie, Crawl.

– Tak?

– Kiedyś uważałem Darryla Christiego za swojego przyjaciela... No, może przyjaciel to za duże słowo, ale za kogoś, z kim mógłbym robić interesy. To się oczywiście całkowicie zmieniło. Darryl zaczął nadeptywać na odcisk wielu ludziom, mnie nawet z większą werwą niż innym, jeśli wiesz, co mam na myśli. – Cafferty zrobił pauzę, ale nie doczekał się odpowiedzi. Wskazał koszyk Shanda. – Kończysz już zakupy?

– Prawie.

– Może moglibyśmy pójść do ciebie i trochę pogadać.

– Pogadać?

– Nie masz się czego bać, Craw. Ten, kto spuścił baty Darrylowi, być może myślał, że wyświadcza mi przysługę. Przyznaję, szkoda, że nie widziałem tego z bliska. Jeżeli to ty, chcę ci uścisnąć dłoń.

Shand spojrział w dół na wyciągniętą do niego dłoń w czarnej skórzanej rękawiczce. Gdy wysunął swoją, Cafferty ścisnął ją tak mocno, że Shand skrzywił się z bólu.

– Ale jeżeli to nie ty, Craw – mówił dalej Cafferty, nie przestając zgniatać mu palców – muszę wiedzieć, kto to zrobił i dlaczego, bo anonimowi dobroczyńcy denerwują mnie prawie tak samo jak skończone szumowiny. Dlatego pójdziemy do ciebie, napijemy się herbaty i pogadamy. – Sięgnął za plecy Shanda i wziął z regału paczkę herbatników. – To ode mnie.

– Ja go pobiełem – wyrzucił z siebie Shand. – Policja postawiła mi już zarzuty.

Cafferty rozluźnił uścisk.

– Może pobiełeś, może nie. Niewykluczone, że kogoś kryjesz albo usłyszałeś coś, czego nie powinienś słyszeć. Przyglądałem ci się, kiedy tu siedział, Craw. Jesteś prawie tak samo niewidzialny jak ja. A to znaczy, że ludzie cię nie zauważają, nawet gdy mają cię tuż przed nosem. – Skrzywił się. – Chociaż ten zapasek, który bije od ciebie, mógłby im dać jakąś wskazówkę.

– Nie mam w domu ciepłej wody.

– Nie płacisz rachunków za gaz, Craw? – Cafferty sięgnął do kieszeni i wyjął rulon banknotów. – Chyba będę ci mógł jakoś pomóc. Chodźmy pogadać, co? W jakimś spokojniejszym miejscu niż to...

CZTERDZIEŚCI MINUT PÓŹNIEJ Cafferty zamknął drzwi domu Crawa Shanda i odszedł zarośniętą ścieżką. Zadzwonił po taksówkę, ale wolał zaczekać na nią na zewnątrz, w chłodzie. Przez cały czas wizyty u Shanda nie zdejmował rękawiczek, przede wszystkim po to, by uniknąć kontaktu z lepiącymi się od brudu meblami. Nie miał też ochoty na herbatę, bo założył, że kubki również będą wątpliwej czystości. Kiedy Shand otworzył paczkę ciastek, Cafferty zjadł jedno, przyglądając się, jak uszkodzone trybiki w głowie gospodarza usiłują zaskoczyć. Sypały się kolejne wersje wydarzeń, które najprawdopodobniej nie miały nic wspólnego z prawdą. Cafferty badał jednak dalej, był cierpliwy, aż w końcu Shand wyłożył na stół ostatnie karty.

Bar przy Cowgate... Shand nie był pewien, który dokładnie. Tamten człowiek skręcił za róg w boczną uliczkę, żeby spokojnie porozmawiać przez telefon. Minęła już północ i po ulicach krążyli studenci, którzy śpiewali i skandowali. Shand po prostu szedł sobie chodnikiem. Wcześniej wydebił od kogoś papierosa i przystanął, żeby go zapalić. I usłyszał strzępki rozmowy przez telefon. Zapamiętał kilka szczegółów. O jakimś facecie, który dostał cieżki na własnym podjeździe. Następnego dnia rano wybrał się do Inverleith i znalazł ulicę i dom, które mniej więcej pasowały do opisu. I postanowił, że przyzna się do pobicia.

Nie, nie zauważył człowieka, który rozmawiał przez telefon. To był mężczyzna. Chyba stąd, bo na to wskazywał akcent.

Cafferty niewiele się dowiedział i wątpił, czy poznał całą prawdę, ale to już było coś.

– Jesteś pewien, że mówił z miejscowym akcentem? – spytał.

– Było późno i głośno, a ja po paru piwach...

Stojąc na chodniku, Cafferty potarł podbródek. Znał tę część miasta, spędził tu kilka lat młodości. Wtedy panowało w niej prawo pięści, którego albo człowiek szybko się uczył, albo ginął. Te ulice były jego nauczycielem, a odebrana tu edukacja dodawała mu sił. Ale niektórzy padli ofiarami takich okoliczności i – jak Craw Shand – unosili się bezwładnie na powierzchni, tak że miotala nimi każda fala. Cafferty spotkał takich wielu.

Sądził, że te czasy już się skończyły. Może nawet chętnie zawiązałby do spokojnego portu i cieszył się emeryturą, gdyby zamiast Darryla Christiego pojawił się ktokolwiek inny. Cafferty uważał się za jego mentora i chłopak na pozór przyjął taką rolę, ale cały czas planował zepchnąć go na boczny tor. Jego biznes szybko się rozwinął i umocnił, a wraz z nim umocniła się pozycja Christiego. Zamiast choćby jednego miłego słowa chłopak zawiązał sojusze ze wszystkimi bez wyjątku wrogami swojego mentora w innych miastach, dopóki terytorium Cafferty'ego nie podupadło.

Duży Ger mógł siedzieć z założonymi rękami i pozwolić, żeby im to uszło na sucho? Dotychczas im nie przeszkadzał, ale historia podpowiadała, że taki stan rzeczy nie potrwa długo. Cafferty nazywał to wyrównaniem rachunków. I dzień rozliczenia nadchodził.

Gdy nadjechała czarna taksówka, wsiadł do niej z twarzą pochmurną jak niebo nad ulicą.

– Dzisiaj może spaść śnieg – poinformował go taksówkarz.

– Nie wiedziałem, że zamawiam prognozę pogody – burknął Cafferty. – Jedź pan, kurwa, niczego więcej sobie nie życzę.

KAWAŁEK DALEJ STAŁ zaparkowany biały range rover, prawie zupełnie schowany za rdzewiejącym wozem dostawczym. Kierowca, który używał zestawu głośnomówiącego, obserwował taksówkę zmierzającą w stronę Peffermill Road.

– Już odjeżdża – powiedział. – Mam tu zostać?

– Nie zabrał ze sobą Shanda?

– Nie.

– W takim razie może jedź za nim. Nie zaszkodziłoby wiedzieć, gdzie teraz mieszka...

GDY SIOBHAN CLARKE WESZŁA na komisariat przy Gayfield Square, dowiedziała się, że jej gość jest już na górze.

– Dzięki.

Wspięła się po schodach do biura dochodzeniówki, ale w pomieszczeniu byli tylko Christine Esson i Ronnie Ogilvie.

– Dwa pokoje dalej – poinformowała ją Esson.

Clarke przeszła korytarzem do biura, w którym John Rebus krzątał się przy kserokopiarce.

– Mogłam się domyślić – powiedziała.

Rebus lekko odwrócił się w jej stronę i jego wzrok padł na kubek kawy.

– Mam nadzieję, że to dla mnie.

– Nie ma mowy. – Patrzyła, jak układa równo kartki, które właśnie zadrukował. Maszyna wypluwała następane. – To akta, które ci przyniosłam – zauważyła.

– Oczywiście.

– Dasz zespołowi Jamesa oryginał, ale zachowasz sobie kopie?

– Aha.

Clarke oparła się o najbliższe biurko.

– Właściwie nie powinnam się dziwić.

– Przecież to było jasne, że tak będzie, Siobhan. A pomyślałem, że tu mógłbym to zrobić za darmo.

– I wiedziałeś, że będę wiedzieć.

– Zawsze będę zakładał, że jesteś po mojej stronie.

– Poza tym na pewno dowiedziałabym się tak czy inaczej. – Łyknęła kawy.

– Rano byłeś jeszcze raz pod domem Darryla?

– Aż taką masochistką nie jestem.

– No więc co w programie na dzisiaj?

– Mamy pokazać Christiemu parę zdjęć i puścić kilka nagranych głosów.

– Żeby sprawdzić, czy rozpozna napastnika w Crawie?

– Strata czasu, tak?

– Tak – odparł Rebus.

– A ty? Przypuszczam, że masz jakieś plany?

– Podrzucę te papiery do Leith.

– A potem?

– Złapię parę srok za ogon, Siobhan.

– Tylko uważaj, żeby łapać za ten koniec, który cię nie dziobnie.

– Zawsze jestem ostrożny.

– Robert Chatham pewnie też myślał, że jest ostrożny.

Rebus znieruchomiał, po czym skinął głową.

– Przypuszczam, że potem pojedziesz zajrzeć do Crawa.

– Jak znajduję czas.

– Wczoraj wieczorem nic się nie działo?

– Patrole trzy razy przejechały przez jego dzielnicę. Może nie uwierzysz, ale nawet wysiedli i przeszli się kawalek.

– Myślisz, że naprawdę to zrobili?

– Przecież nie okłamałoby detektyw z dochodzeniówki, prawda?

– Serio tak myślisz? – Po chwili Rebus zaklął pod nosem. – Znowu się zacięło. Co się dzieje z tą maszyną? – Spojrzał na Clarke, czekając na pomoc.

– Dobra, pokaż, co się stało. – Postawiła kawę na biurku, podeszła do kserokopiarki, wysunęła tacę na papier i wyszarpnęła spomiędzy rolek zakleszczoną kartkę. Gdy obejrzała się przez ramię, Rebus ukradkiem upijał łyk kawy.

– Nie bój się – uspokoił ją. – Nie zarażam...

NIE WZIAŁ POD UWAGĘ możliwości, że umówiona na jedenastą konsultacja rozpocznie się dopiero za kwadrans dwunasta. Szpitalna poczekalnia nie była zbyt inspirującym miejscem. Rebus nie zadał sobie trudu, by wziąć ze sobą gazetę, a wczorajsza, którą znalazł na krześle, zajęła jego uwagę przez zaledwie dziesięć minut. Właśnie zamierzał powiedzieć recepcjonistce, że jest zajęтым człowiekiem i będzie musiał umówić się na inną godzinę, ale zanim otworzył usta, wywołano jego nazwisko.

A potem...

Po miejscowym znieczuleniu, tomografii i biopsji...

„Prawdopodobnie nie ma się czym martwić, ale lepiej dmuchać na zimne”.

„Cień na płucu czasami znaczy niewiele albo nic”.

„Mamy materiały, które może pan sobie poczytać, podpowiemy też kilka stron internetowych, żeby rozwiać pańskie obawy”.

Słowa padały z ust specjalistki jak formułki, których dawno temu nauczyła się na pamięć. Ilu pacjentów siedziało wcześniej na tym miejscu co dziś Rebus, słysząc to, ale właściwie nie słuchając? A potem wypuszczano ich na świeże powietrze i na świat, który nie rozumiał, jak się czują. Wychodzili z tępyм bólem i receptą na jakieś lekarstwo, które miało im wystarczyć do następnej wizyty.

Głowa do góry, John, powiedział sobie na parkingu. Jeszcze w zielone gramy.

FOX OTRZYMAŁ ZADANIE przejrzenia dokumentacji sprawy Marii Turquand. Dałby sobie rękę uciąć, że Rebus zatrzymał kopię akt, choć nie zamierzał tego mówić Alwinowi Jamesowi. Połowę szczegółów znał już z relacji Siobhan w barze Oxford przed dwoma dniami. James chciał wezwać Rebusa na oficjalne, rejestrowane przesłuchanie, by mieli zapis relacji z jego rozmowy z Chathamem. Mark Oldfield został odkomenderowany do knajpy, gdzie miał sprawdzić, czy rzeczywiście Rebus był tam na śniadaniu. Sean Glancey i Anne Briggs przesłuchiwali Liz Dolan w jej domu. Wallace Sharpe siedział przy biurku i w absolutnym skupieniu studiował raport z sekcji zwłok, natomiast Alvin James rozmawiał przez telefon. Mleko z poprzedniego dnia skwaśniało i nikt nie kupił nowego, co skazywało ich na czarną kawę i herbatę. Foxowi jako jedynemu w ogóle to nie przeszkadzało.

Przeszukał już internet, czytając o Collierze, obejrzał nawet parę jego klipów z czasów, gdy był u szczytu kariery. Znalazł mnóstwo archiwalnych materiałów o koncercie w rodzinnym mieście w 1978 roku. Oczywiście odbył się bez przeszkód, choć w kilku recenzjach wspomniano o zabójstwie Marii Turquand. W sieci było znacznie mniej informacji na temat przyjaciela Colliera, muzyka Dougiego Vaughana, a także innych bohaterów tej historii, których większa część życia przypadała na epokę przedinternetową. Obejrzał kilka zdjęć Marii i Johna Turquandów zrobionych na ślubie i późniejszych balach, na których bawiła się elita towarzyska. Fotografie sir Magnusa Brougha, oczywiście w tweedzie, gdy szykował się do strącenia bażantów i pardw z nieba nad Perthshire; w meloniku i sztuczkowych spodniach na schodach przed siedzibą swojego banku przy Charlotte Square; obejmującego nastoletnich wnuków podczas pogrzebu syna i synowej, który przyciągnął tłumy.

To oczywiście był dla Foxa punkt wyjścia do tropienia w internecie Anthony'ego Brougha. Wcześniej już to robił, ale nigdy nie wiadomo, jaki szczegół mogło się pominać – a Fox był niezwykle skrupulatny. Znalazł jednak same strzępki informacji, pozbawione jakiegokolwiek głębszej analizy. Utonięcie przyjaciela na Wielkim Kajmanie. Najboleśniej odczuła je „nadwrażliwa” siostra Anthony'ego, Francesca. Parę laurek na stronach biznesowych założonej przez niego firmy inwestycyjnej, ale naturalnie ani słowa o wydmuszkach ani Darrylu Christiem.

Nic, co mogłoby sugerować, dlaczego ostatnio nikt go nie widział.

Fox zobaczył, że Alvin James skończył rozmowę i wygląda, jak gdyby przebiegł przez niego niewielki, ale ożywczy łądunek elektryczny. Wallace Sharpe też to zauważył i czekał, aż szef podzieli się z nimi wiadomością.

– Raport z toksykologii – poinformował ich James. – Nasza ofiara wypila prawie całą butelkę whisky. – Mówiąc, zaczął pisać wiadomość. – Poproszę Seana, żeby spytał wdowę, ile zwykle pił w ciągu jednego popołudnia albo wieczoru.

– Tego dnia, gdy zginął, wybierał się przecież wieczorem do pracy? – zauważył Fox. – Wypiłby tyle, gdyby zamierzał stanąć na bramce przed barem?

– Słusznie, Malcolm. Stwierdzono też ślady alkoholu na jego ubraniu, tak przynajmniej wynika z ustaleń laboratorium.

– Jak gdyby ktoś siłą wlał mu whisky do gardła?

– Albo coś go tak okropnie przeraziło, że pijąc, zaczął dygotać.

– Jest coś o więzach? – spytał szeptem Sharpe.

– Niebieski poliuretan – odparł James, czytając z leżącej przed nim kartki. – Używany do produkcji tanich linek odciągowych, na przykład do namiotów. Nie przypuszczam, żeby ten trop zaprowadził nas gdzieś dalej. Zwykły podwójny węzeł, ale na tyle mocno zaciśnięty, żeby odciąć dopływ krwi.

– Żył, kiedy wpadł do wody, ale wiemy, czy był przytomny? – zapytał Fox.

– Po flaszce gorzały? – James potarł dłonią czoło. – Mnie by kompletnie ścięło. A ciebie?

– Nie piję – przyznał Fox. – Ale nie sądzę, żeby tryskał energią.

James spojrział na ekran telefonu, czytając odebraną przed chwilą wiadomość.

– Nie zgadziesz, Malcolm. Nasz bohater też nie brał do ust ani kropli. Przynajmniej przez większą część roku, jak twierdzi pani Dolan.

– Czyli nieznanymi sprawcami albo sprawcy upili go, związali i wrzucili do zatoki Forth – powiedział Sharpe.

– Raczej najpierw związali – sprostował Fox. – Wtedy łatwiej im było wlać w niego whisky.

Sharpe niechętnie dał do zrozumienia, że przyznaje mu rację. James przyglądał się wykresowi, który powiesili na ścianie: osi czasu ostatniego dnia życia Chathama, wciąż dziurawej jak sito.

– Musimy raz-dwa zdobyć te billingi, stacjonarnego i komórki. Plus zapisy z monitoringu z różnych miejsc. We wszystkich lokalach, w których pracował, trzeba przejrzeć nagrania z ostatnich kilku dni. Chcę wiedzieć o każdej osobie, z którą rozmawiał, o każdym miejscu, w którym bywał. Mówię o współpracownikach, kumplach, każdym, kto znalazł się w kręgu jego zainteresowań. Na razie wiemy tylko tyle, że zjadł śniadanie z Johnem Rebusem, potem na parę godzin wrócił do domu, był zdenerwowany i ulotnił się bez słowa pożegnania. A potem jakby przestał istnieć. Musimy ustalić, dokąd poszedł. Od dwunastej do chwili śmierci, trzeba uzupełnić te wszystkie luki. – James popatrzył na Foxa. – Od czego byś zaczął, Malcolm?

Fox myślał przez chwilę.

– Zacząłbym od mapy – odparł w końcu.

– MAM NADZIEJĘ, ŻE TO zły sen – powiedział Cafferty, patrząc na postać w progę.

– Nie przysłałeś kartki z informacją o zmianie adresu. – Darryl Christie wruszył ramionami.

– Więc jak mnie znalazłeś?

– Próbowałem dzwonić domofonem do paru mieszkań, dopóki ktoś się nie odezwał. Powiedziałem, że mam przesyłkę dla pana Cafferty’ego. Ładnie tu... – Christie zrobił krok naprzód, ale gospodarz zastąpił mu drogę. Stali tak przez kilka sekund, po chwili jednak Cafferty odsunął się na bok.

– No to już wejdz.

Przedpokój prowadził do dużego otwartego pomieszczenia o gładkich, białych ścianach, umebłowanego jasnym drewnem. Christie, nie pytając o pozwolenie, otworzył wychodzące na balkon szklane drzwi i wyszedł na zewnątrz.

– Niezły widok – rzucił, spoglądając w dół na gromadę studentów, rowerzystów i biegaczy, od których jak zawsze roilo się w parku Meadows. Unosząc głowę, popatrzył na Marchmont i leżące dalej wzgórza Pentland. – Nie widać stąd jednak mieszkania Rebusa, pewnie tego żałujesz.

– Myślałem, że leżysz i cierpisz, Darryl – powiedział Duży Ger.

– Moje ciało jest mniej poobijane niż ego. – Christie przyłożył opuszki palców do skóry wokół nosa. Opatrunek zniknął, ale nadal było widać przebarwienia i lekką opuchliznę. – Jeżeli to cię może pocieszyć, boli mnie przy każdym głębszym oddechu. – Umilkł. – Kiedy ktoś zwała cię z nóg, zastanawiasz się, dlaczego nie boi się ciebie tak, jak powinien. – Nie odrywał wzroku od panoramy miasta. – Sam masz podobne doświadczenia, więc to dla ciebie żadna nowina.

– Przypuszczasz, że mam coś wspólnego z tą historią, tak?

– Ty osobiście? Nie.

– Ale że komuś za to zapłaciłem?

– Tak, rzeczywiście z początku coś takiego przyszło mi do głowy.

– A co mówi twój przyjaciel Joe?

Christie zrobił taką minę, jak gdyby się nad tym namyślał.

– Pan Stark jest niezbyt rozmowny.

– To do niego niepodobne.

– Oczywiście zadzwonił, żeby wyrazić mi swoje współczucie.

– Ale nie odwiedził cię, kiedy leżałeś na łożu boleści? Wygląda na to, Darryl, że wasza zażyłość się ochłodziła...

– Zostałem pobity, więc wyszedłem na mięczaka. Joe Stark nie znosi słabości. – Opierali się o balustradę, zaciskając na niej dłonie. – Gdybyś naprawdę chciał się mnie pozbyć – ciągnął Christie – teraz masz dobrą okazję: wystarczy popchnąć i już po mnie.

– Pomyśl o świadkach.

– To zależy, komu uwierzyłaby policja, im czy tobie.

– Nie ma na ciebie zlecenia, Darryl... w każdym razie ja go nie wydałem. Przynajmniej nie w tym tygodniu.

Wymienili nieufne uśmiechy.

– A wiesz, że już komuś postawili zarzuty? – Christie odwrócił się w stronę Cafferty’ego. – Sprawcą jest niejaki Craw Shand.

– Tak?

– Nie natknąłeś się na tego człowieka?

– Nazwisko nic mi...

– Na przykład dzisiaj rano. U niego w domu.

Cafferty przymrużył oczy.

- Kazałeś go śledzić? – spytał.
- Oczywiście.
- Ale nie przypuszczasz, że to on na ciebie napadł?
- Facet kłamie dla przyjemności. Ale wie coś, czego nie powinien wiedzieć, a to znaczy, że zna człowieka, który naprawdę mnie pobił.
- To nie ja, synu.
- Nie?
- Christie wolno pokręcił głową, cały czas patrząc mu w oczy.
- W takim razie po co go odwiedziłeś?
- Z tego samego powodu co ty: bo coś wie.
- I co?
- I trzymał się swojej wersji – odparł Cafferty, starając się nie zdradzić nawet drgnieniem oka.
- Dlaczego to dla ciebie takie ważne?
- Bo moje nazwisko jest na dwóch listach: twojej i policji. Tak samo jak ty chciałbym się dowiedzieć, kto to zrobił.
- Żeby go wyściskać z wdzięczności?
- Żeby wiedzieć.
- Christie zamyślił się.
- Pamiętam, że kiedyś coś takiego mówiłeś – odezwał się po chwili. – Jeszcze w czasach, gdy myślałeś, że możesz mnie urobić, jak chcesz. Jakiś banał, że wiedza to władza.
- Banał, ale tak się składa, że to prawda.
- Christie skinął głową, znowu udając, że jego uwagę pochłania widok z balkonu.
- Z tym wszystkim może mieć związek niejaki Anthony Brough – powiedział.
- Mów.
- Mielśmy dogadany biznes, który nie wypalił. Teraz nigdzie nie można gościa znaleźć.
- To człowiek stąd? Ze Szkocji?
- Tak.
- Co robi?
- Prowadzi firmę inwestycyjną, ma biuro przy Rutland Square.
- Jest ci winien pieniądze czy może jest odwrotnie?
- Chciałbym wiedzieć, gdzie go można znaleźć.
- I sądzisz, że mogę ci pomóc?
- Christie wzruszył ramionami.
- Sam jakoś nie mam szczęścia.
- Pomyślałeś, żeby zwrócić się z tym do Joego Starka albo kogoś z innych starych kumpi?
- Wydaje mi się, że jestem tu zdany na siebie.
- Czyli mam zostać twoim najlepszym przyjacielem, o to chodzi?
- Christie spojrział Dużemu Gerowi w oczy.
- Joe Stark jest już stary. Niedługo zostanie zdetronizowany.
- A ty wejdiesz na opuszczone przez niego miejsce?

– Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby przejąć jego interesy i zostawić Edynburg komuś innemu. To piękne miasto, ale zaczyna mnie nudzić. – Christie umilkł. – Powiedz przynajmniej, że o tym pomyślisz, ze względu na stare czasy.

– Oczywiście, że o tym pomyślę.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce i weszli do środka.

– Widziałeś mój dom? – spytał Christie.

– Nie.

– Trochę podobny do twojego dawnego. Tu jest zupełnie inaczej. Dlaczego się wyprowadziłeś?

– Z osiemnastu pokoi korzystałem może z czterech. Ty masz przynajmniej rodzinę, żeby je zapełnić.

Christie skinął głową.

– To co, dasz znać, komu trzeba? – spytał, patrząc, jak Cafferty zamyka drzwi balkonowe.

– O Anthonym Broughu? Czemu nie?

– Wiedziałem, że ciągle masz na ulicy swoje wtyczki.

– Warto przez całe życie stawiać ludziom drinki, a czasem wcisnąć jakiś banknot. Te lata procentują. – Cafferty wahał się przez chwilę. – Przydałaby ci się jakaś osobista ochrona. Serio.

– Masz na myśli obstawę?

– Na przykład, albo broń. Przypuszczam, że znasz kogoś, kto mógłby ci w tym pomóc.

– To raczej nie w moim stylu, ale dzięki za radę. – Christie szedł w stronę wyjścia. Cafferty wychylił się zza jego ramienia, żeby otworzyć drzwi.

– Przy okazji – rzucił. – Widziałeś się ostatnio z tym Rosjaninem?

Christie przestąpił próg i stanął na wycieraczce.

– Jakim Rosjaninem?

Cafferty uniósł dłoni.

– Rób, jak chcesz, Darryl.

– Nie, pytam serio. Co to za Rosjanin?

– Po prostu coś mi się obilo o uszy.

Christie wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Pewnie coś źle zrozumiałem – dodał Cafferty i zamknął drzwi.

Jego gość podszedł do windy, wcisnął guzik i czekał z zaciśniętymi dłońmi, wpatrując się w swoje niewyraźne odbicie w matowych aluminiowych drzwiach.

– To jest Ukrainiec, stary chuju – mruknął pod nosem.

ROZDZIAŁ 11

FOX MUSIAŁ PRYZNAĆ, że jest pod wrażeniem.

W biurze centrum operacyjnego trwała wytężona praca pod batutą Alvina Jamesa, który pilnował, by wszyscy byli skupieni. Znalaziono mapę i zawieszono ją na ścianie. Kolorowymi pinezkami zaznaczono na niej miejsce znalezienia zwłok, dom Chathama i inne związane z nim punkty, od knajpy, w której spotkał się z Rebusem, przez bary i kluby, w których pracował, po siłownię, gdzie spędzał większość wolnego czasu. James już to powiedział: facet nie mógł być łatwym przeciwnikiem, co oznaczało, że prawdopodobnie poszukują co najmniej dwóch napastników. Przeanalizowano prądy w zatoce Forth. West Harbour, gdzie wyłowiono ciało, otaczały dwa falochrony, tworzące wąski kanał. Zdaniem eksperta, z którym się skonsultowali, zwłoki najprawdopodobniej albo wrzucono do wody w porcie, albo gdzieś w pobliżu. Mimo to do sprawdzenia pozostawał kawał linii brzegowej, której zdjęcia z lotu ptaka wydrukowano i przypięto obok mapy. Na tablicy ściennej znalazły się też najważniejsze punkty raportu z sekcji zwłok oraz listy nazwisk przyjaciół i współpracowników ofiary. Na osi czasu ostatniego dnia życia Chathama pozostawały jednak spore białe plamy.

Anne Briggs przepisywała treść przesłuchania Liz Dolan, podczas gdy reszta zespołu umawiała się przez telefon z osobami z obu list. Fox też dostał wykaz numerów do sprawdzenia, przekazany właśnie przez operatora sieci komórkowej, w której Chatham miał abonament. Obok listy leżał podobny arkusz, wyszczególniający połączenia z numeru stacjonarnego z ostatniego miesiąca. Informacje o przeglądaniu internetu i ściąganiu plików zawierały tylko łączną ilość danych, ale numery, pod które dzwonił i wysyłał esemesy, przedstawiono bardziej drobiazgowo. Najczęściej dzwonił pod swój domowy numer stacjonarny, zwykle wieczorem – kiedy prawdopodobnie, znudzony i zziębnięty, czekał, aż zacznie się dziać coś ciekawego. Foxa zainteresował jeden numer – komórki. Na liście nie figurowały żadne połączenia, ale w ciągu jednego miesiąca Chatham wysłał pod niego ponad sto esemesów. Fox wstukał ten numer do własnego telefonu, wybrał połączenie, ale odezwała się tylko poczta głosowa. Rozłączył się i spytał Briggs o numer komórki Liz Dolan. Podała mu go. Był inny. Zresztą zaraz znalazł numer Dolan na liście – Chatham w ciągu miesiąca wysłał do niej dwadzieścia kilka wiadomości. Fox postawił znak zapytania przy tajemniczym numerze i sprawdzał dalej.

Niecałe pięć minut później coś znalazł. James dostrzegł jego minę i podszedł do biurka.

– Mów.

– W każdą sobotę około dwunastej w południe – Fox postukał palcem w numer na wykazie – dwu- albo trzyminutowe połączenie z tym samym numerem stacjonarnym.

– Tak?

– Właśnie tam zadzwoniłem. To punkt bukmacherski, nazywa się Klondyke Alley.

– I co?

Fox nie odrywał wzroku od listy.

– Po prostu... nie wiedzieliśmy, że był typem gracza, prawda?

James dał znak Anne Briggs. Kiedy zsunęła słuchawki, zapytał ją o to.

– Jego partnerka mówiła nam, że regularnie obstawia wyścigi konne – powiedziała.

– Stawiał tyle, żeby mógł mieć z tego powodu kłopoty? – spytał Fox.

– Nie miałam wrażenia, że martwili się o pieniądze.

– Malcolm ma tu jednak rację. Trzeba przyjrzeć się rachunkom bankowym Chathama.

– Nie przypominam sobie, żeby bukmacherzy reagowali tak ostro – odparła sceptycznym tonem Briggs. – Nawet wobec zadłużonych po uszy hazardzistów.

– Musimy przetrząsnąć każdy kąt, Anne – upomniał ją James. Wrócił do lektury akt dawnego śledztwa, przyniesionych przez Rebusa. Fox przedstawił mu dwuminutowe streszczenie, a James uznał, że na tym etapie dochodzenia nie ma powodu traktować tego wątku priorytetowo.

– Mógłbym pójść i zajrzeć do Klondyke Alley – zaofiarował się Fox. – Sprawdziłem, jest przy Great Junction Street, niecałe dziesięć minut spacerkiem stąd.

James przyjrzał mu się badawczo.

– Co sądzisz?

– Możliwe, że Chatham obstawiał zakłady nie tylko telefonicznie, ale też osobiście.

– Dziesięć minut stąd, mówisz? – rzucił James po chwili namysłu.

– W jedną stronę – sprecyzował Fox. – Przy okazji przyniosę mleko.

– I ciastka! – zawołała od biurka Briggs.

– I ciastka – zgodził się.

PUNKT BUKMACHERSKI KLONDYKE Alley znajdował się między kawiarnią a sklepem charytatywnym, tuż przy przystanku autobusowym. W jasno oświetlonej witrynie prezentował się ogromny jednoręki bandyta, którego walce obracały się w powolnym, stałym rytmie. Fox wszedł do środka. Lokal był niemal bliźniaczo podobny do Diamentowego Joego i Diamentowego Joego Dwa – jeden znudzony kasjer; kilku graczy o szklistych spojrzaniach, którzy siedzieli przed swoimi ulubionymi automatami; na ścianie zamontowane ekrany telewizyjne. Fox stanął przed okienkiem i czekał, aż zwalisty mężczyzna za szybą skończy wstukować wiadomość do telefonu. Trochę to trwało. Kasjer posłał mu niechętnie spojrzenie.

– Słucham? – warknął.

– Rzadko spotykam powieściopisarzy. – Fox wskazał na jego telefon. – Domyślam się, że właśnie kończył pan rozdział.

– A ja podejrzewam, że nie przyszedł pan obstawić zakładów.

– I nie myli się pan. – Fox jedną ręką pokazał mu legitymację, a drugą zdjęcie Roberta Chathama. – Zna pan tego człowieka?

– Nie.

– Był tutejszym klientem.

– Wątpię.

– Dzwonił i obstawiał w każdą sobotę w południe.

– W takim razie niech mi pan pokaże zdjęcie jego głosu.

Fox uśmiechnął się ponuro.

– Nigdy tu nie przychodził?

– Na pewno nie na mojej zmianie.

– Nazywał się Robert Chatham.

– Co pan powie?!

– Więcej już nie będzie pan przyjmował od niego zakładów.

Kasjer westchnął i wpisał nazwisko Chathama do komputera.

– Miał konto – potwierdził.

– Jak mu szło?

Mężczyzna spojrzął na ekran.

– Mniej więcej wychodził na zero.

– Czyli jest wam coś dłużny albo wy jemu.

– Dziewiętnaście funtów na plusie. Powinien pan zawiadomić najbliższą rodzinę.

– Powiadomię. Nigdy nie obstawiał osobiście?

– Zawsze przez telefon.

– A internetowo?

Kasjer znów rzucił okiem na ekran.

– Nic na to nie wskazuje.

Fox obrócił fotografię. Na odwrocie miał zapisany numer telefonu, pod który Chatham wysyłał tyle esemesów.

– Może pan coś powiedzieć o tym?

– A to ma coś oznaczać?

– Nie poznaje pan tego numeru?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Skończyliśmy już? – zapytał.

Fox zorientował się, że stoi za nim gracz, który chce rozmiąć pieniądze. Skinął głową, a w drodze do wyjścia przystanął przed jednym z automatów i wrzucił do niego funtową monetę, a dopiero potem zauważył, że ma do dyspozycji tylko jedną grę. Wcisnął przycisk i czekał. Kiedy rolki się zatrzymały, chyba coś mu wyszło, bo rozbłysło pytanie, czy chce zagrać jeszcze raz, czy odebrać wygraną. Wcisnął ZAGRAJ i rolki tym razem obracały się wolniej niż poprzednio. Maszyna chciała, żeby zdecydował, w którym momencie zatrzymać każde kółko, więc tak zrobił. Znowu błysnęły światła. Postanowił zabrać wygraną i z zaskoczeniem zobaczył, jak do metalowej tacy na dole sypią się monety. Jednofuntówki. W sumie dwadzieścia.

– Do kurwy nędzy – jęknął gracz przy kasie, gdy Fox zgarnął wygraną i wyszedł.

W supermarkecie kupił wielopak katów oraz litr półtłustego mleka i pozwolił sobie nawet na torbę za pięć pensów. Po wyjściu na ulicę przystanął, przeszedł na chodnik po drugiej stronie i ruszył z powrotem w kierunku Klondyke Alley. Skupił uwagę na brudnych oknach mieszkania nad punktem bukmacherskim. Do mieszkania wchodziło się przez odrapane drzwi między punktem bukmacherskim a sklepem charytatywnym. Ile firm było tu zarejestrowanych według Sheili Graham? Fox jeszcze raz przeszedł przez ulicę i sprawdził drzwi. Zamknięte na klucz. Obok nich był poobijany domofon, ale przy przyciskach zamiast nazwisk lokatorów widniały tylko numery mieszkań. Czując w kieszeni ciężar pozostałych monet, ruszył w powrotną drogę na posterunek w Leith.

Wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie. Wśród członków zespołu śledczego toczyła się właśnie jakaś dyskusja. Oldfield znowu miał dyżur przy czajniku.

– Rozpieszcza nas pan, ambasadorze – powiedział, gdy Fox wyjął z torby kit katy.

– Co mnie ominęło? – Fox skierował to pytanie do Jamesa.

– Rozmowa o trenerze z klubu Chathama. Nie przepada za plotkowaniem, ale uznał, że powinniśmy wiedzieć.

– Co?

– Że ofiara była w bardzo przyjaznych stosunkach z pewną klientką.

– Bardzo przyjaznych?

– Po treningach chodzili razem do kawiarenki napić się czegoś ciepłego. Trener uważał, że to nadzwyczajny przypadek, że ich wizyty w klubie tak często przypadkowo się zbiegały.

– Znamy jej nazwisko i adres?

– Już znamy.

– A numer telefonu? – spytał Fox i James skinął głową. – Mogę go zobaczyć?

James zapisał go na kartce. Fox przeczytał numer, po czym wyjął zdjęcie Roberta Chathama i odwrócił.

– Jesteś magikiem, Malcolm? – zdziwił się James.

– Chatham wysyłał do niej wiadomości cztery razy częściej niż do swojej partnerki.

– To dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Skupiłem się na Klondyke Alley.

– A właśnie...

Fox pokręcił głową.

– Zakłady tylko telefoniczne. Są mu nawet winni parę funtów. Jak ona się nazywa? – Przyglądał się numerowi znajomej Chathama.

– Maxine Dromgoole. Słyszałeś o niej?

– A powinienem?

James odwrócił się w stronę Seana Glanceya.

– Powiedz mu, Sean.

– Pobieżne przeszukanie internetu wyrzuca tylko jedną Maxine Dromgoole. – Glancey urwał, mnąc chusteczkę w potężnej łapie. – Z linkiem do strony Amazona.

Fox nie mógł ukryć zdziwionego spojrzenia.

– To pisarka, Malcolm – wyjaśnił James. – Autorka literatury faktu, przede wszystkim o zbrodniach.

– W tym o niewyjaśnionych – wtrąciła Anne Briggs.

– O sprawie Marii Turquand? – Fox już zrozumiał. – To jest ta dziennikarka, która skłoniła do zwierzeń menedżera trasy Bruce’a Colliera?

– Wygląda na to, że ta sama.

– Czyli to ona jest odpowiedzialna za wznowienie śledztwa... które nadzorował Chatham.

– I dlatego zabrałem teczkę Rebusa z twojego biurka i dałem ją Wallace’owi.

Na potwierdzenie tej informacji Wallace Sharpe zabębnił palcami w teczkę.

– Próbowaliście do niej dzwonić? – zapytał Fox.

– A ty próbowałaś, Malcolm?

– Poczta głosowa.

- Możemy zadzwonić jeszcze raz i zostawić wiadomość – powiedział James. – Ale mamy jej adres. A skoro tak hojnie obdarowałeś nas tymi pysznymi kit katami... miałbyś może ochotę na mały wypad?
- Pewnie.
- To dobrze, bo przydałby mi się tłumacz. Nikt z nas nie umie wymówić nazwy tej ulicy. Fox spojrzął na kartkę Jamesa.
- Sciennes – przeczytał.

SCIENNES ROAD ZNAJDOWAŁA SIĘ w Marchmont, niedaleko mieszkania Rebusa. Fox zaczynał ulegać wrażeniu, że miasto zmieniło się w labirynt, w którym wszystkie dzielnice i mieszkańców łączą poplątane nici.

– Ten czerwony budynek po lewej to szpital dziecięcy – poinformował Jamesa, starając się unikać tonu przewodnika. – A tu Szkoła Podstawowa Sciennes. – Dalej biegł ciąg sklepów, nad którymi wznosiły się trzy piętra mieszkań. Okolice wyglądała zupełnie inaczej niż Great Junction Street, inny kawałek układanki. Fox włączył kierunkowskaz i zaparkował na wolnym miejscu.

- Zawsze to robisz? – spytał Alvin James.
- Co?
- Włączasz migacz?
- Chyba tak.
- Nawet kiedy nie ma żadnego ruchu?
- Tak się nauczyłem.
- Jesteś niewolnikiem własnych przyzwyczajzeń, Malcolm. I trzymasz się zasad.
- Masz coś przeciwko temu?
- Nic mi nie przychodzi do głowy.

Wysiedli i znaleźli przycisk z nazwiskiem Dromgoole obok. Nikt się nie odezwał. Obaj cofnęli się, bo nagle drzwi klatki schodowej otworzyły się do wewnątrz i stanął w nich jeden z mieszkańców, któremu ruchy utrudniał rower. James przytrzymał mu drzwi.

- Dzięki.
- Przyszliśmy do Maxine Dromgoole.
- Drugie piętro po lewej – powiedział mężczyzna.

Alvin James podziękował skinieniem głowy i wolną ręką kiwnął na Foxa, by wszedł.

Wspięli się po schodach i stanęli przed drzwiami pisarki. Fox zapukał. Cisza. James pochylił się i otworzył klapkę otworu na listy.

- Jest tu kto?! – zawołał.

Fox wyjmował właśnie wizytówkę i długopis, gdy z mieszkania dobiegł ochryply głos:

- Wszystko jedno, kim pan jest, ale proszę przyjść później.
- Nie możemy, proszę pani – odparł James przez otwór na listy. – Jesteśmy z policji.
- Teraz nie jestem w stanie.

James pochwycił spojrzenie Foxa.

– Rozumiem, że jest pani wytrącona z równowagi, Maxine. To oczywiste. Ale nie sądzi pani, że Robert życzyłby sobie, żeby nam pani pomogła?

Cisza trwała prawie pół minuty. Potem drzwi otworzyły się nieskończenie wolno i zobaczyli kobietę ubraną w coś w rodzaju piżamy: rozciągniętą szarą bluzę i spodnie w identycznym kolorze, wiązane w pasie. Maxine Dromgoole była wycieńczona od płaczu. Ledwie trzymała się na nogach, miała twarz w czerwonych plamach, przekrwione oczy i nieuczesane włosy. W jednej ręce ścisnęła garść papierowych chusteczek. Skóra wokół nosa była podrażniona od częstego wycierania.

– Liz już wie? – spytała.

– O pani i jej partnerze? O ile mi wiadomo, to nie.

– Ale dowie się, prawda?

– Być może to nie będzie konieczne – powiedział James i popatrzył na Foxa, licząc, że ten przyjdzie mu z odsieczą.

– Chcielibyśmy tylko, żeby poświęciła nam pani kilka minut – dodał Fox z głęboką troską w głosie.

– To była zemsta, prawda?

– Tak pani uważa?

– Tydzień temu, może dwa, Rab musiał wyrzucić z klubu jakichś facetów. Opowiadał mi o tym. Odgrążali się, że się z nim policzą.

– Wie pani co, Maxine? Może sobie usiądziemy, a tymczasem mój kolega zaparzy nam herbatę – zaproponował James. – Co pani na to?

Z roztargnieniem skinęła głową i skrzyła do salonu. Fox zaczął się krzątać w kuchni. Gdy nastawił czajnik, stanął w drzwiach salonu, by nie uronić nic z rozmowy.

– Długo znała pani Raba? – spytał James z notesem w ręce.

– Jakieś osiem lat.

– Czyli poznaliście się mniej więcej wtedy, gdy wydała pani książkę?

– Zgadza się. Chciał mnie o nią spytać.

– Bo sprawa została wznowiona?

Kiwała głową ze wzrokiem utkwionym w niebie za oknem.

– Przeredagowałam swój wywiad z Vince'em Bradym i sprzedałam do gazety. To było w czasach, kiedy gazety jeszcze płaciły współpracownikom. W każdym razie o sprawie znowu zrobiło się głośno, więc musieli wznowić śledztwo.

– I tak się poznaliście.

– Dobrze się nam współpracowało. Potem prawie o tym nie myślałam, ale zadzwonił do mnie dwa tygodnie później. Wiedziałałam, że jest żonaty, ale małżeństwo już wisiało na włosku. Spotykał się już z Liz... Jezu, wychodzę na jakąś cudzołonicę, prawda? Właściwie dopiero po paru latach zaczęło się między nami coś poważnego... chociaż nigdy nie chciałam... – Urwała, żeby przełknąć łzy i zapanować nad oddechem. – Spotkałam Liz kilka razy. Ze dwa razy do roku klub urządza imprezy, na które zaprasza członków z osobami towarzyszącymi. – Znowu umilkła i spuściła oczy. – Wydawała się bardzo miła. Jest szansa, że się nie dowie?

Fox pobiegł z powrotem do kuchni i wrócił z tacą – trzy kubki, mleko, cukier. Postawił ją na stoliku, żeby się częstowali.

– Widziała go pani tego ostatniego dnia? – zapytał James, gdy znowu się usadowili.

– Wysłał mi dwa esemesy.

Zgadza się, pomyślał Fox, o dziesiątej czterdzieści pięć i jedenastej dziesiąt. Wysłane z domu, gdy jego partnerka była w tym samym pokoju albo bardzo niedaleko.

- Jakie sprawiał wrażenie?
- Chciał mi tylko dać znać, że może nie zdążyć tego dnia do klubu.
- Zdradził powód?
- Rozmawiał z kimś o Marii Turquand.
- I dlatego nie mógł przyjść do klubu o tej porze co zwykle? – spytał ostrożnie Fox.
- Nie wiem.
- Możemy zobaczyć te esemesy? – poprosił James.
- Niektóre są... dość osobiste.
- Chyba rozumiem. Może więc tylko te z tego dnia?

Wzięła komórkę ze stolika i po chwili odwróciła ekran w ich stronę, aby mogli przeczytać, najwyraźniej jednak nie zamierzała wypuszczać telefonu z rąk.

Nie gniewaj się, Bułeczko. Dzisiaj nie mogę podziwiać, jak się pocisz. ☺

Kilka minut później odpisała:

A jutro? Wszystko w porządku?

A potem jego odpowiedź, ostatni esemes wysłany przez Roberta Chathama:

Z innej beczki, Maria T wróciła! Węszy były gliniarz. Powinienem się chyba obrazić, że moje błyskotliwe śledztwo nie zakończyło sprawy.

– Zwykle przychodził do klubu w każde popołudnie? – zapytał James, odchylając się na oparcie fotela.

– Był w niezłej formie. Chciał, żeby tak zostało. – Dromgoole obróciła telefon w swoją stronę, żeby widzieć wiadomości. – Mówił mi, że kiedyś nabijali się z niego w biurze, nazywali Grubym Rabem. Postanowił wtedy coś z tym zrobić.

– Połączyła was sprawa Turquand – wtrącił Fox. Przycupnął na poręczu kanapy, nie mając chyba ochoty usiąść wygodniej. – Czy ujawnił pani kiedyś wyniki wznowionego dochodzenia?

– Czy to byłoby naruszeniem procedur? – Położyła telefon na oparciu fotela.

– Przyjmuję to za odpowiedź twierdzącą. Co pani pomyślała, gdy przysłał tego ostatniego esemesa? Wydeła policzki i wypuściła powietrze z płuc.

– Byłam trochę nie w humorze, że go nie zobaczę. Chyba nic szczególnego nie pomyślałam.

– Nie?

– A powinnam?

– To była sprawa, która kiedyś panią interesowała. Zauważyłem, że pani książka wciąż jest na liście tysiąca najlepiej sprzedających się w Amazonie.

Prychnęła.

– Na liście tysiąca najlepiej sprzedających się reportaży kryminalnych. Wątpię, czy dobija do pięćdziesięciu egzemplarzy rocznie.

– Pracuje pani teraz nad czymś? – zapytał Fox.

Pytanie wyraźnie zbiło ją z tropu. Chyba po raz pierwszy uważniej spojrzała na jego twarz.

– Jestem w fazie bardzo wstępnych przygotowań – przyznała w końcu.

– Mogę spytać o temat?

– Morris Gerald Cafferty – odparła. – Przypuszczam, że zna pan to nazwisko.

– Na jakim etapie jest ta praca?

– Jest mnóstwo książek o gangsterach z Londynu, Manchesteru, Glasgow, więc pomyślałam, że chyba pora na Edynburg. Sporo informacji jest w archiwach gazet. Raporty sądowe i inne materiały tego rodzaju.

– Wspominała już pani o tym Cafferty’emu?

– Na razie napisałam i poprosiłam, żeby udzielił mi wywiadu. Odpowiedzi jeszcze nie dostałam.

Niezadowolony z odejścia od głównego powodu ich wizyty, James wychylił się z fotela.

– Czy oprócz incydentu przed klubem, o którym pani mówiła, Rab czymś się niepokoił?

– Czasem bywał podminowany, ale potrafił też być uroczy. Raz, gdy Liz myślała, że jest w pracy, poszliśmy na kolację do Mark Greenaway’s. Nie było tanio, ale cudownie. Kiedy kończyliśmy jeść, dał mi różę. – Ruchem głowy wskazała wąski szklany wazon z różą, która dawno uschła, a jej płatki nigdy się nie otworzyły.

Gdy na nią patrzyła, po jej policzkach znowu popłynęły łzy.

Dziesięć minut później zakończyli rozmowę i Dromgoole obiecała, że następnego dnia przyjdzie na posterunek i złoży oficjalne zeznania. Detektywi w milczeniu schodzili po kamiennych schodach, słysząc echo własnych kroków. James zapytał Foxa, co sądzi, dopiero gdy wsiadli do samochodu.

– Nie wyczułem, żeby coś ukrywała.

– Nie byłbym taki pewien. Przez prawie osiem lat udawało się jej ukrywać fakt, że sypia z facetem, który jest z inną kobietą.

– To może mówić więcej o nim niż o niej.

– Co masz na myśli?

– Chatham prowadził podwójne życie i udało mu się oddzielać jedno od drugiego.

James pokiwał głową.

– Czyli nie wiadomo, jakie jeszcze może mieć sekrety?

– Poza tym to dziwne, że co chwilę wyskakuje sprawa Turquand... a teraz nagle dołączył do tego Cafferty.

– Znam go tylko z nazwiska – przyznał James.

– To taka sprytniejsza wersja Joego Starka. Nie zaszczyca tak często swoją obecnością pierwszych stron gazet właśnie dlatego, że jest sprytny.

– Bardziej interesują mnie ci faceci, którzy grozili Chathamowi. Nie pojawili się jeszcze na nagraniach z monitoringu, prawda?

– Pewnie to tylko kwestia czasu – rzucił Fox.

James miał zamyśloną minę.

– Nie zauważyliśmy czegoś u niej, Malcolm? Nie powinniśmy o coś spytać, na coś zwrócić uwagę?

– Na półkach ma tylko książki, które sama napisała. Nie wiem, jak to może o niej świadczyć.

– Sądzisz, że Chatham mógł jej opowiadać o innych sprawach? Poznali się osiem lat temu, a on jest na emeryturze dopiero od trzech... – James patrzył na Foxa.

– Chcesz mi powiedzieć, że muszę kupić jej książki?

– Jeżeli zależy ci na podtrzymaniu opinii wyjątkowo skrupulatnego detektywa...

– Skoro tak stawiasz sprawę, to jak mogę się sprzeciwić? – Fox uruchomił silnik.

ROZDZIAŁ 12

JOE STARK ZAWSZE UBIERAŁ SIĘ tak, jakby zegar zatrzymał się w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku: płaszcz z wielbłądziej wełny, wypolerowane czarne półbuty, garnitur z szerokimi klapami i lawendowa koszula z krawatem w tym samym kolorze. Nie był wysoki, ale masywny. Jak zwykle miał po bokach swoich przyjaciół od zawsze, Waltera Grieve'a i Lena Parkera, z którymi tworzył gang od podstawówki. Cafferty, zwrócony do nich plecami, oglądał majestatyczny budynek Glasgow City Chambers, ale kiedy wyczuł obecność zbliżającego się Starka, wykonał pół obrotu i niedostrzegalnie skinął głową, po czym wrócił do podziwiania gmachu ratusza.

– Mówiąc szczerze, Joe, robi o niebo większe wrażenie niż jego odpowiednik w Edynburgu – przyznał.

– Wszystko większe, wszystko lepsze, taki jest styl Glasgow.

– Hm – mruknął Cafferty po chwili namysłu. – W każdym razie na pewno bardziej pretensjonalny.

– Jeżeli chciałbyś pozwiedzać miasto, chętnie służę pomocą.

Duży Ger po raz pierwszy spojrzał wprost na Starka.

– Nieźle wyglądasz.

– Ciągle oddycham.

– Wobec tego jest nas już dwóch: na przekór całemu światu.

– To też pasuje do stylu Glasgow. – Stark zauważył, że Cafferty przypatruje się posągowi, obok którego stał.

– *Thomas Graham* – przeczytał Duży Ger z tablicy pod pomnikiem – *wybitny chemik doświadczalny*. Zналиśmy w naszych czasach kilku takich, co, Joe? – Zachichotał, ale Stark mierzył go surowym wzrokiem.

– Po coś tu przyjechał? – syknął.

– Tak jak ty, jestem emerytem. Autobusy są za darmo, więc czemu z nich nie korzystać?

– Przyjechałeś autobusem?

Cafferty pokręcił głową, a Stark słumił pogardliwe prychnięcie.

– Ktoś spuścił łomot Darrylowi Christiemu – powiedział Duży Ger.

– Chłopak stracił czujność.

– Może uważał, że jest nietykalny.

– Nikt nie jest nietykalny.

– Pewnie zastanawiałeś się, czy to nie moja sprawka.

– A ty myślałeś, że to ja, co?

– Przypuśćmy jednak, że to żaden z nas... – Cafferty umilkł, bo ulicą przejechał z rykiem syreny wóz strażacki. – Trudno powiedzieć, żebyś rzucił się chłopakowi na pomoc.

– Nie prosił.

– Wtedy wyszedłby pewnie na mięczaka, ale tak czy inaczej, mógłbyś przecież wyjść z propozycją.

– Skąd wiesz, że nie proponowałem mu pomocy?

– Po prostu przeczucie mi mówi. – Cafferty czekał na odpowiedź, ale Stark milczał. – Gdybym lubił hazard, Joe, obstawiłbym, że zachowujesz się kunktatorsko. Być może dlatego, że twoim zdaniem Darryl zostanie niebawem zdetronizowany. Nie ma sensu niepotrzebnie robić sobie wrogów, co?

– Darryl to grzeczny dzieciak.

– Nie przeczę. Ale nawet grzeczne dzieci popełniają błędy.

– Co słyszałeś?

– Tylko plotki. Nie dawałem im wiary, dopóki nie doszło do tej napaści.

– Napaść to chyba zbyt duże słowo. To była raczej amatorszczyzna.

– Właśnie dlatego możemy wykluczyć siebie nawzajem, tylko w takim razie kto nam zostaje? Długo nie musiałem się z nikim dzielić Edynburgiem, bo to bardziej wiesz niż miasto. Większe pieniądze robi się gdzie indziej.

– Przyszły chude lata, Cafferty. – Stark pociągnął nosem i wcisnął ręce głęboko do kieszeni płaszcza. – Wodopoję obsiadło mnóstwo szakali.

– Byłbyś łaskaw zdradzić jakieś nazwiska?

– Te co zawsze, znasz je tak samo dobrze jak ja.

Cafferty pokiwał głową. Położył dłoń na ramieniu Joego Starka i utkwiał w nim spojrzenie.

– Naprawdę nie masz pojęcia, kto to?

Gdy Stark wciąż zastanawiał się nad odpowiedzią, Duży Ger odwrócił się i odszedł. Przed budynkiem City Chambers stał zaparkowany lśniący srebrny mercedes, z którego wyskoczył szofer w liberii, by otworzyć mu drzwi i zamknąć je za nim. Zaufana obstawa Starka, która na czas rozmowy dyskretnie wycofała się na stosowną odległość, natychmiast wyrosła po bokach szefa.

– O co chodziło? – spytał Grieve.

– Wpadł zarzucić wędkę – mruknął Stark.

– No i?

– No i muszę się napić.

– A kim byłeś, rybą czy przynętą?

Stark przeszywał Grieve'a wściekłym wzrokiem, dopóki ten nie pojął niestosowności pytania. Wszyscy trzej, niemal w szeregu, choć z Joem Starkiem wysuniętym o pół kroku, ruszyli w kierunku Ingram Street.

– CAŁKIEM TU MIŁO – powiedziała niepewnie Clarke, zresztą nie pierwszy raz tego wieczoru. Siedziała na wyściełanej ławie pod ścianą w Voodoo Rooms, tuż nad Café Royal, gdzie umówiła się z Rebusem. Była ósma i w dużej sali miał niebawem zagrać zespół bluesowy.

– Iście diabelska muzyka – zapowiedział Rebus.

Ruch i hałas w barze raczej nie kojarzyły się z jej rozmówcą.

– Ja stawiam – rzucił Rebus, gdy przyniesiono dania.

– To dlaczego czuję się tak, jakby mnie składano w ofierze?

Wlepił w nią zdumione spojrzenie.

- Staram się być miły, Siobhan.
- I właśnie to budzi we mnie niepokój.
- Później może trochę potańczymy.
- Skreśliam „niepokój” i wpisuję „przerażenie”.

– Och, kobieto małej wiary. – Rebus złapał za kostkę kotleta jagnięcego i wbił zęby w mięso. – Jak oceniałabyś teraz stopień swojego wkurzenia na Malcolma... w skali, powiedzmy, od jednego do dziesięciu?

- Może na trzy. – Wzięła z talerza frytkę i odgryzła pół.
- Dość szlachetnie. Są jakieś postępy z Crawem?
- O ile mi wiadomo, ciągle jest cały.
- Kiedy sprawdzałaś ostatni raz?

Ostentacyjnie utkwiała wzrok w ekranie telefonu.

– Właśnie teraz sprawdzam.

– Wiesz, patrole w radiowozach... Nawet gdyby ktoś zatłukł go na śmierć, mogłyby tego nie zauważyć.

– Mundurowi na pewno też cię uwielbiają.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – odparł, puszczając do niej oko. Rzucił kość na talerz i oblizał palec. – Jeszcze po jednym drinku?

– Chyba miałeś nie przesadzać, prawda?

Stuknęła palcem w szklankę z piwem.

– Wersja light.

– Serio?

– Smakuje obrzydliwie, ale chyba dobrze mi robi. Gin z tonikiem, tak?

– Tylko tonik.

– Na pewno?

Skinęła głową i patrzyła, jak Rebus podchodzi do baru. Dziesięciofuntowy banknot w dłoni szybko zwrócił uwagę personelu. Clarke znowu stuknęła w ekran telefonu: brak nowych wiadomości. Sama przejechała ulicą Crawa Shanda tuż po wpół do szóstej. Ani śladu Harry’ego z Devil’s Dram czy samochodu Darryla Christiego. Zasunięte zasłony, światła w domu najwyraźniej wygaszone. Skubnęła kęs ryby i wrzuciła do ust. Rebus rozmawiał z jakimś mężczyzną przy barze. Chyba zaproponował, że postawi mu drinka, ale nieznamy pokazał prawie pełne piwo. Łysy, z nadwagą, w wypłowiałych dżinsach, rozpiętej skórzanej kamizelce i czarnym T-shircie z logo jakiegoś zespołu. Rebus ruchem głowy wskazał ich stolik i machnął ręką. Clarke w odpowiedzi kiwnęła głową, zastanawiając się, o co chodzi. Po chwili obaj panowie podeszli, jeden ze znacznie większymi oporami niż drugi.

– Nasz Dougie nie chce mi uwierzyć na słowo, że jesteśmy z dochodzeniówki – powiedział Rebus zdecydowanie zbyt jowialnym tonem. – Chce zobaczyć jakiś papier. Dasz wiarę?

Clarke, nie przestając żuć, wyjęła legitymację służbową. Rebus postawił szklanki na blacie i zacisnął dłoń na przedramieniu faceta.

– Zadowolony? – spytał. – Może siądziesz?

Gdy zajęli miejsca na ławie, gość praktycznie znalazł się w potrzasku. Oczy Clarke natarczywie domagały się odpowiedzi.

– Za kwadrans wychodzę na scenę – poskarżył się mężczyzna, na którego czole zalśniły kropelki potu.

– To Dougie Vaughan – przedstawił go Rebus.

– O co tu chodzi? – spytał Vaughan. Powieka drgała mu w nerwowym tiku. Próbował ją rozmasować, by się uspokoiła.

– O to, że odżyło zainteresowanie zabójstwem Marii Turquand – wyjaśnił Rebus.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Byłeś tam, kiedy zginęła, Dougie.

– Gdzie?

– W pokoju tuż obok.

Vaughan pokręcił głową.

– Skąd!

– Miałeś klucz do pokoju Vince’a Brady’ego, zgadza się?

– Nie.

– Słyszałem co innego.

– Przenocowałem w łóżku Bruce’a. To wszystko było wtedy w moim zeznaniu.

– Ale później Vince’owi wymsknęło się kilka rzeczy...

– Bo ta dziennikarka mu zapłaciła. Kiedy oskubał Bruce’a, nikt już nie chciał z nim pracować. Był splekany, zdrowie mu się pogarszało, miał żonę i dzieci. – Vaughan zawahał się. – „Oskubał” to najłagodniejsze określenie. Bruce pewnie użyłby innego.

– Wiemy, że ostatnimi czasy nie przepadali za sobą.

– Vince po prostu orzknął Bruce’a, i tyle.

– Pieniądze często są motywem – na pozór zgodził się z nim Rebus. – Ale czasem chodzi o żądę. Albo zazdrość. – Zerknął na Clarke. – Pomóż mi.

– Pycha – podsunęła. – Lenistwo...

– Pieniądze nie należą do siedmiu grzechów głównych – zauważył Vaughan.

Rebus na chwilę zatrzymał na nim wzrok, po czym spojrział na Clarke.

– Naprawdę?

– Możliwe. – Wzruszyła ramionami.

– Zresztą to chyba nie ma znaczenia – przyznał Rebus. – Maria Turquand nie została zamordowana z powodu zawartości swojej torebki. – Nie odrywał oczu od Vaughana. – Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego ją zabito, Dougie?

Vaughan wzruszył ramionami.

– Zabójstwo w afekcie? – bąknął w końcu.

– Na to by wyglądało, prawda? A jedyną osobą, ku której miała wielki afekt, że się tak wyrażę, byłeś ty.

– Chwileczkę. To był tylko jeden jedyny numer. Byłem naćpany, ona urżnięta... Dziwię się, że w ogóle do czegoś doszło. Poza tym w pierwszym śledztwie sam z siebie powiedziałem wszystko, co pamiętałem.

– To nie do końca prawda, co, Dougie? Dopiero później poszedłeś do gazet ujawnić swój romansik. Wydaje mi się, że nie tylko Vince zarobił na śmierci tej biedaczki.

Przy stoliku pojawił się mężczyzna z przerzedzonym i posiwiałym kucykiem.

– Jesteś gotowy? – spytał Vaughana.

– Zdąży – powiedział Rebus tonem, na którego dźwięk gość z kucykiem pośpiesznie wycofał się do sali. – Tamtego dnia nie wpadłeś na nią przypadkiem w hotelu – zwrócił się do Vaughana.

– Nie.

– Ale twój kumpel Bruce ją spotkał.

Vaughan pokręcił głową.

– Vince Brady znowu kłamie – rzucił. – Chyba że znalazły się jakieś nowe dowody. O to chodzi? – Próbował podnieść szklanke, ale drżenie ręki skutecznie mu to udaremniło.

– Cholera jasna, lepiej opanuj nerwy, zanim chwycisz za wiosło – poradził mu Rebus. – Ale skoro pytasz, mogę ci powiedzieć. – Przynasł się tak blisko Vaughana, że wyglądali jak zrosnięci biodrami. – Otóż wznowionym śledztwem kierował detektyw Robert Chatham.

– Pamiętam, rozmawiał ze mną.

– Ktoś go zlikwidował, więc teraz wszyscy chodzimy, jakbyśmy połknęli gryfy do basu. Dlatego powiedz mi z łaski swojej, kiedy ostatni raz go widziałeś?

Ramiona Vaughana drgnęły.

– Pewnie parę miesięcy temu.

Rebus starał się zachować kamienną twarz, jakby właśnie tego się spodziewał.

– Gdzie?

– Tak się składa, że akurat tutaj. Był z Maxine.

– Z Maxine Dromgoole?

Vaughan kiwał głową. Rebus zerknął na Clarke.

– To ta dziennikarka, przez którą wznowiono całą sprawę.

– Aha. – Clarke najwyraźniej nie przestudiowała akt tak pilnie jak Rebus.

– Maxine czuje bluesa – ciągnął Vaughan. – Odkąd zrobiła ze mną wywiad do książki, byliśmy w kontakcie. Jej adres jest na liście mailingowej, na którą wysyłamy informacje o koncertach.

– I była tu z Robertem Chathamem?

– Tylko ten jeden raz. Siedzieli w głębi sali, blisko drzwi. Wiedziałem, że skądś go znam, ale przypomniałem sobie dopiero po jakichś dwóch dniach.

– Nie rozmawialiście tamtego wieczoru? – spytała Clarke.

– Kiedy zrobiliśmy przerwę w graniu po paru kawałkach, już zdążyli wyjść.

– Nie pomyślałeś, że to dziwne?

– Co?

– Że byli tu razem.

– Nie.

– Nigdy nie wspomniałeś Maxine, że zauważyłeś, z kim przysłała?

– Wspomniałem.

– I co powiedziała? – wypytywała go dalej Clarke.

– Nie bardzo pamiętam. Może że przypadkiem wpadła na niego na ulicy. Edynburg ma to do siebie, prawda? – Vaughan urwał. – Naprawdę muszę już iść. Mogę?

Rebus przyzwalająco machnął ręką i wysunął się z ławy, żeby muzyk mógł wyjść. Vaughan przystanął jeszcze na moment przy stoliku.

– Nocowałem w apartamencie Bruce’a – powtórzył. – A kiedy się obudziłem, zorientowałem się, że ktoś mi buchnął całą kasę.

– Tylko kasę?

– Klucza nie miałem, ale byłem w takim stanie, że gdybym go nawet miał, mógłbym go zostawić gdziekolwiek. – Na pożegnanie wzruszył ramionami i poszedł grać.

Rebus odprowadził go wzrokiem.

– Dlaczego to zrobiła? – zwrócił się do Clarke.

– Pytasz o seks z Vaughanem?

– O to też. Ale mam na myśli Dromgoole. Trzyma w sekrecie swój romans z Rabem Chathamem, a przyprowadza go tutaj, żeby stanął oko w oko z Dougiem Vaughanem.

– Mieli romans?

Rebus z roztargnieniem skinął głową.

– Malcolm dzwonił, żeby mi to przekazać.

– Miło z jego strony... No więc co o tym sądzisz?

– Może próbowała coś sprowokować. Prawdopodobne, nie? Ale to by oznaczało, że niekoniecznie dała sobie spokój ze sprawą Turquand, a jeśli tak, to możliwe, że zachęciła Chathama, żeby wrócił do śledztwa. – Drapał się paznokciem po szyi i dopiero po chwili zauważył minę Clarke. – Co jest? – spytał.

– Byłam ci potrzebna na wszelki wypadek, gdyby chciał zobaczyć legitymację – powiedziała.

– Przejrzałaś mnie – przyznał Rebus i poczęstował się frytką z jej talerza.

SIOSTRA FOXA MIESZKAŁA NA ulicy domów szeregowych w Saughtonhall. W salonie paliła się lampa, a zasłony były rozsunięte, więc przez chwilę obserwował ją przez okno. Siedziała skulona w fotelu, z popielniczką na udzie, w jednej ręce trzymając papierosa, a w drugiej telefon. Kiedy chciała zastukać w szybę, dostrzegła go i zerwała się na równe nogi, strącając na podłogę popielniczkę, telefon i papierosa.

– To tylko ja! – zawołał, gdy podeszła do okna.

Zanim się zorientował, stała w drzwiach.

– Czego chcesz? – jęknęła.

– Zobaczyłem, że światło się pali. Właśnie chciałem zapukać.

– Ale wolałeś stać w ciemnościach jak jakiś cholerny zboczeniec.

Cofnęła się w głąb domu i podniosła upuszczoną popielniczkę i telefon. Fox znalazł tłącego się papierosa. Żar zostawił brązowy ślad na jasnobieżowym dywanie – zresztą wcale nie pierwszy. Jude zabrała mu papierosa i trzymając go w ustach, zgarniała niedopałki.

– Pomogę ci odkurzyć – zaproponował Fox.

– Trzeba naprawić odkurzacz.

– Co się z nim stało?

– Nie działa – rzuciła, z powrotem usadowiła się w fotelu i wbiła wzrok w ekranik.

– Pewnie jakaś ważna wiadomość...

– To gra. – Na moment odwróciła telefon ekranem w jego stronę. Zdążył dostrzec ułożone w rzędach kolorowe kulki. – Uprzedzając twoje pytanie, jest darmowa.

– Nie miałem zamiaru o to pytać – skłamał. Rozglądał się w poszukiwaniu miejsca do siedzenia, na którym nie byłoby opakowań po kanapkach, torebek po chipsach czy czasopism kobiecych. Zamiast usiąść, odrobinę uchylił okno. – Wpuszczam trochę świeżego powietrza – wyjaśnił, gdy siostra posłała mu następne znaczące spojrzenie. – No to mów, co sływać.

– Odkąd znalazłeś mnie w tej jaskini hazardu? A skoro o tym mowa, powiedz mi lepiej, co ty tam robiłeś.

– Przeprowadzałem rutynowe czynności śledcze.

– Pewnie mówisz to wszystkim kobietom, które śledzisz. – Dmuchiła dymem w stronę sufitu.

– Naprawdę cię nie śledziłem. Nie wiedziałem nawet, że lubisz czasem obstawiać gonitwy.

– Dziewczyna musi mieć czym zająć sobie czas.

– Aha, tak mi powiedziałaś.

Zerknęła na niego znad telefonu.

– Naprawdę? Przepraszam, jeżeli uznałam, że nie warto zapamiętywać nic z naszej pogawędki.

– Chodzisz czasem do innych bukmacherów?

– Przecież mnie znasz, Malcolm, jestem skończoną rozpustnicą. Jeden raz, wszystko jedno czego, nigdy mi nie wystarcza.

Postanowił nie zwracać uwagi na jej ton.

– Zaglądasz na przykład na Great Junction Street?

– Rzadko bywam w Leith.

– Ale gdybyś była...?

Skończyła albo zatrzymała grę, położyła telefon ekranem do dołu obok popielniczki i przyjrzała się badawczo bratu.

– To twoja najnowsza krucjata? Przeciwko ludziom, którym hazard niszczy życie? O ile wiem, to jeszcze nie jest przestępstwo.

– Automaty do gier hazardowych wykorzystuje się czasem do prania pieniędzy.

– Próbujesz zwerbować własną siostrę, żeby została szpiegiem? O to ci chodzi?

– Nie. – Zawahał się. – Ale gdybyś przypadkiem coś zobaczyła albo usłyszała...

– Wtedy jak każdy prawy obywatel przyszedłbym prosto do ciebie, inspektorze. – Umilkła na chwilę. – Tylko skąd mam wiedzieć, którzy gracze są przestępcami? – Trąciła papierosem brzeg popielniczki, żeby strzepnąć popiół.

– Może to ci, którzy wrzucają do maszyn dużo pieniędzy i nie bardzo się przejmują, że mogą je stracić.

– Powiedzmy, że się zgodzę... Co będę z tego miała?

– Oprócz wdzięczności praworządnego społeczeństwa?

– Tak.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– Na przykład moratorium na dręczenie siostry.

– Zdefiniuj „dręczenie”.

– Czepianie się mojego trybu życia, lenistwa, braku pracy. – Zgasiła papierosa. – Aha, no i te świętoszkowate bzdety o pieniądzech, które mi wydzielasz.

– Masz z czego opłacać czynsz i rachunki.

– A tobie po śmierci taty był potrzebny nowy cel dobroczynny.

– Tak, to też wtedy powiedziałaś. – Zabrzęczał telefon Foxa. Dzwoniła Sheila Graham. – Przepraszam na chwilę – mruknął, wycofał się na korytarz i odebrał dopiero wtedy, gdy zamknął za sobą drzwi salonu. – Dobry wieczór, Sheila.

– Źle trafiłam?

– Ależ nie. Późno kończysz pracę.

– Byłam na spotkaniu w Edynburgu. Wpadłam na Waverley i zdążyłam zobaczyć, jak mój pociąg odjeżdża z peronu, więc pomyślałam sobie, że może nie masz nic szczególnego do roboty.

– Mogę być na dworcu za piętnaście minut. Naprzeciwko tylnego wyjścia jest bar, Doric.

– Chyba go widziałam, kiedy wysiadałam z taksówki. Zaczekam na ciebie przy piwie.

– Zwykle piję appletiser.

– Czyli opłaca się umawiać z tobą na randki.

– Za piętnaście minut.

Rozłączył się i wrócił do salonu.

– Muszę iść – poinformował siostrę.

Jude zapaliła następnego papierosa, a jej uwagę znowu pochłaniał ekran telefonu. Uniosła dłoń i ledwie dostrzegalnym ruchem pomachała do brata.

– Punkt bukmacherski, który mnie interesuje, nazywa się Klondyke Alley – dodał.

– Klondyke Alley – powtórzyła, nie odrywając oczu od ekranu. – Pod warunkiem że przypadek znajdzie się na Great Junction Street.

– Pod warunkiem. Dziękuję.

PO WYJŚCIU BRATA JUDE podeszła do okna, by się upewnić, że naprawdę poszedł. Następnie z tylnej kieszeni džinsów wyjęła małą karteczkę, rozłożyła ją i wstukała numer do telefonu.

– Halo? – powiedziała, kiedy ktoś odebrał. – Muszę porozmawiać z panem Christiem. Mogłabym mu zostawić wiadomość?

SHEILA GRAHAM MIAŁA NA SOBIE służbowy strój – grafitowy kostium ze spodniami i gładką białą bluzkę. Wcześniej bluzka była prawdopodobnie zapięta pod szyję, teraz jednak Graham rozpięła górne guziki, jakby dając znak, że skończyła pracę. Siedziała przy stoliku pod oknem i uśmiechnęła się, gdy Fox wszedł do baru. Większość pozostałych gości wyglądała na podróżnych czekających na pociąg; przy krzesłach stały walizki na kółkach i plecaki. Graham miała torbę z laptopem i torebkę na ramię i piła białe wino. Na Foxa czekał appletiser. Inspektor przysiadł na stołku naprzeciwko niej i w toaście uniósł szklanke.

– Ciężki dzień? – spytał.

– Parę spraw w rządzie. Nie będę cię zanudzać szczegółami. A co u ciebie, Malcolm?

– Powoli posuwamy się do przodu.

– Co z tym facetem aresztowanym za napaść?

– Prawdopodobnie szukamy kogoś innego. Ale zastanawia mnie Anthony Brough.

– Masz wątpliwości, czy jego nieoczekiwane zniknięcie to zbieg okoliczności?

– A ty jak uważasz?

– Kilka ostatnich projektów pana Brougha przyniosło duże straty. Sporo jego klientów utopiło w nich pieniądze.

– I polują na niego, żądni krwi?

– Tego akurat nie jestem pewna. Ale to ludzie, którzy nie zawsze mogą iść pogadać z dyrektorem banku o pożyczce, dzięki której mogliby przeżyć. Ich walutą jest gotówka. Potrzebny im pożyczkodawca, który nie zadaje za dużo pytań...

– Masz na myśli kogoś takiego jak Darryl Christie?

Skinęła głowę.

– Ale nie rozmawiamy na tematy służbowe, Malcolm. Jestem ci wdzięczna, że zadałeś sobie trud, żeby dotrzymać mi towarzystwa.

Twarz Foxa wolno rozjaśniła się w uśmiechu.

– Och, przecież tu chodzi wyłącznie o tematy służbowe. Chciałaś mi podsunąć tłusty kąsek i właśnie ci się udało.

– Tak łatwo mnie przejrzeć? Może masz rację. Ale skoro to już załatwiliśmy, możemy pogadać o czymś innym. – Ruchem głowy wskazała jego szklankę z jabłkowym napojem gazowanym. – Nigdy nie piłeś?

– Piłem do dnia, w którym przestałem.

– Co się stało?

– Znasz doktora Jekylla i pana Hyde’a? Właśnie tak miałem z alkoholem.

Graham odchyliła głowę, napinając mięśnie szyi.

– Mnie to po prostu przyjemnie odpręża – powiedziała. – Bywają dni, kiedy potrzebuję tego uczucia. – Uniosła kieliszek i stuknęła w szklankę Foxa. – A ta druga sprawa, nad którą pracujesz?

– Dziwne, ale zaczyna się łączyć z twoją.

– Tak?

– Były gliniarz, którego zamordowano, wznowił śledztwo w sprawie zabójstwa Marii Turquand.

– Chyba o tym nie słyszałam.

– Znalaziono ją martwą w pokoju hotelowym w siedemdziesiątym ósmym roku.

– Tu, w Edynburgu?

– Dokładnie tu.

– A podobno kobiety w tym mieście są bezpieczne. No więc jaki związek ma to zabójstwo z moją sprawą?

– Mężem Marii Turquand była prawa ręka sir Magnusa Brougha. Przenosimy się do teraźniejszości i wnuk sir Magnusa Brougha, Anthony, ma biuro, którego okna praktycznie wychodzą na hotel, gdzie zamordowano Marię.

Graham w zamyśleniu popijała wino.

– Nie twierdzę, że te sprawy rzeczywiście coś łączy – dodał Fox, uznając, że powinien to doprecyzować. – To po prostu ciekawa zbieżność. Ale po śmierci rodziców Anthony’ego i jego siostrę w zasadzie wychowywał sir Magnus.

– Może jest coś jeszcze – powiedziała cicho Graham, opierając łokcie o blat stolika. – Jednym z pierwszych klientów Anthony’ego był John Turquand. Pisały wtedy o tym gazety. Brough wykorzystał go jako coś w rodzaj biletu wizytowego dla innych potencjalnych inwestorów. Turquand

jest już emerytem, ale jego nazwisko budziło szacunek w kręgach finansowych. – Urwała. – Znowu rozmawiamy o pracy, prawda?

– Przecież sama zapytałaś.

– Chyba masz rację. – Zerknęła na telefon. – Sprawdzam tylko godzinę.

– Ile masz czasu do następnego pociągu?

– Siedemnaście minut.

– To co, jeszcze kieliszek?

– Czemu nie?

Podszedł do baru, zastanawiając się nad Anthonym Broughiem i Johnem Turquandem, nad Darrylem Christiem i zabójstwem Marii Turquand. Stawiając kieliszek przed Graham, spytał, co sądzi o zniknięciu Brougha.

– Nikt nie zgłosił zaginięcia – powiedziała. – Dopóki nie będzie zgłoszenia, niewiele można zrobić.

– Jest żonaty?

– Wciąż raczej bywalec i playboy. Mógł się zaszyć w apartamencie w jakimkolwiek hotelu między Glasgow a Sydney.

– Pytanie tylko dlaczego.

– Otóż to.

– Twoim zdaniem Darryl Christie mógłby rzucić na to jakieś światło?

– Moim zdaniem zaprzeczyłby, że w ogóle zna nazwisko Brough.

– Nie ma żadnego śladu, że pracowali razem ani że się spotkali?

– To wszystko tylko dokumentacja, Malcolm, elektroniczna i papierowa. Poza tym byłoby piekielnie trudno odnaleźć gdziekolwiek nazwisko Christiego. Firmy, z którymi jest związany, owszem, ale on sam jest nieuchwytny jak cholerny cień.

– Nie można go zatrzymać za cokolwiek?

– Żebyśmy mogli go wy badać, nie budząc większych podejrzeń? – Zastanawiała się. – O ile nam wiadomo, jego rozliczenia podatkowe są w porządku. Dwa lata temu miał pełny audyt i skończyło się na tym, że musiał zapłacić kilkaset funtów. – Wzruszyła ramionami.

– Ale jeżeli nielegalnie pożycza pieniądze...

– Pożyczanie pieniędzy wcale nie musi być nielegalne. Poza tym nie mamy żadnych dowodów oprócz pogłosek i domysłów. Najlepszy punkt zaczepienia to ten napad. Musi coś oznaczać, na pewno go zszokował i dał mu do myślenia. Gość zastanawia się teraz, kim są jego przyjaciele i z kim może mieć na pieńku.

– Dlatego powinnaś porozmawiać ze swoim szefem, zażądać podsłuchu i obserwacji dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Takie narzędzia były na porządku dziennym, kiedy pracowałeś w wydziale wewnętrznym?

– Jasne.

– Chyba mogłabym zapytać, chociaż obawiam się, że będę brzmiała jak zacięta płyta. – Położyła dłoń na brzuchu, w którym nagle zaburzało. – Powinnam wziąć coś do jedzenia – rzuciła przeproszającym tonem.

– Jeszcze nie jest za późno – odparł Fox. – Na Cockburn Street jest parę miłych miejsc. – Zawahał się. – Jeżeli oczywiście masz później jeszcze jeden pociąg.

Spojrzała mu w oczy.

– Mam jeszcze jeden pociąg – odparła. – Ale pod jednym warunkiem.

Uniósł dłoń.

– Ja płacę i będę nalegać – oświadczył. – Moje miasto, moje zasady.

– To bardzo szlachetne z twojej strony. Ale mój warunek to ani słowa o pracy. Tym razem naprawdę.

– Czyli mamy udawać normalnych ludzi?

– Normalnych ludzi, którzy wieczorem normalnie jedzą kolację.

– Łatwo nie będzie – uprzedził ją Fox. – Ale spróbujmy...

DZIEŃ SZÓSTY

ROZDZIAŁ 13

TELEFON ZADZWONIŁ O WPÓŁ do siódmej rano, wyciągając Clarke z łóżka. Narzuciła coś na siebie, przejechała włosy mokrą szczotką i wskoczyła za kierownicę astry. Radiowóz stał przed domem Crawa Shanda, a obok czekali dwaj mundurowi. Zaczynało świtać i paliły się jeszcze latarnie uliczne, rzucając na obu mężczyzn nikłą pomarańczową poświatę.

– Z tyłu – powiedział jeden z nich.

Ruszyła za nimi wzdłuż bocznej ściany budynku i weszła do ogródka wielkości chustki do nosa. Kuchenne drzwi były otwarte, a w miejscu, gdzie zostały wyważone, sterczały świeże drzazgi.

– Wchodziliście do środka? – spytała Clarke.

– Tylko żeby się upewnić, czy nikogo nie ma.

– Zgłosiliście, że macie miejsce zdarzenia?

– Trudno mówić o jakimś zdarzeniu, chyba że ma pani inne informacje.

– No więc co to jest, jeżeli nie miejsce zdarzenia?

– Może zatrasnęły się drzwi i nie mógł się dostać z powrotem do środka – zasugerował mundurowy ze wzruszeniem ramion.

Clarke weszła do domu, trzymając ręce w kieszeniach, żeby jej nie korciło, by czegokolwiek dotykać.

– Szef ekipy badającej miejsca przestępstw najbardziej nie znosi zanieczyszczenia śladów – uprzedziła i odwróciła się do posterunkowych. – Zostańcie tu, a ja się rozejrzę.

Nie była wcześniej w tym domu, ale nie wyglądał na zdemolowany. W salonie wciąż stał telewizor, butelki alkoholu też ocalały nietknięte. Na górze była sypialnia Shanda oraz pomieszczenie, w którym urządził składzik. Żadnych śladów przemocy ani plądrowania. Co tu się stało, do cholery?

Bezszelestnie wróciła po schodach do kuchni.

– I co pani sądzi? – usłyszała.

– Sądzę, że właśnie zaginął człowiek, któremu postawiono zarzut napaści.

– Ktoś go porwał?

– Albo zdążył wyjść, zanim porywacz dostał się do środka.

– A może ktoś włamał się, kiedy nikogo nie było w domu? – wysunął przypuszczenie drugi mundurowy. – Shand wrócił, zobaczył, w jakim stanie są drzwi, i postanowił się ulotnić.

– Możliwe – przyznała Clarke, patrząc na górę naczyń w zlewie.

– Czyli coś się wydarzyło.

– Nie zaszkodzi zdjąć odcisków palców. Każdy coś po sobie zostawia: włos, kroplę śliny, ślad buta...

– Nie brzmi to optymistycznie.

– Brak entuzjazmu w wyniku niewyspania – odparła Clarke i wyjęła telefon, by odnaleźć na liście kontaktów numer szefa techników. Czekając, aż odbierze, dała znak posterunkowym, że chce im coś powiedzieć. – Mamy w aktach zdjęcia i rysopis, trzeba je natychmiast puścić w obieg. Shand ma swoje przyzwyczajenia. Jeżeli wyszedł z domu, niedługo zwróci na siebie uwagę.

– A jeżeli ucieka, musimy go znaleźć pierwsi, zanim przyuważy go ktoś inny.

– Racja – zgodziła się Clarke i w tym momencie Haj Atwal odebrał telefon i zapytał, dlaczego ta sprawa nie mogła poczekać jeszcze godzinę.

FOX SIEDZIAŁ PRZY swoim biurku i czytał książkę Maxine Dromgoole, która przyszła z biblioteki. Zdążył już zauważyć, że ostatni raz została wypożyczona niemal rok wcześniej. Sądząc po stemplach z datami na pierwszej stronie, największą popularnością cieszyła się zaraz po wydaniu. Jej tytuł brzmiał *Zadość sprawiedliwości. Największe niewyjaśnione zbrodnie Szkocji*. Znalazła się tu oczywiście sprawa Biblijnego Johna, podobnie jak zabójstwa z World's End i zaginięcie Renee MacRae, lecz zdecydowanie najdłuższy rozdział poświęcono Marii Turquand. Książka nie uwzględniała jednak żadnych nowszych przestępstw; nic nie wskazywało, by Robert Chatham podsuwał kochance inne smakowite historie.

Usłyszawszy swoje nazwisko, Fox uniósł wzrok. Poza nim w biurze był tylko Alvin James. Machnął do Foxa ręką, więc ten podszedł do jego biurka. James oglądał coś na ekranie laptopa.

– Nagranie z monitoringu przed klubem Tomahawk, sobota dwa tygodnie temu. To chyba ci goście, o których mówiła Dromgoole.

– Bez dźwięku?

– Niestety, tylko obraz, i to stanowczo zbyt ziarnisty.

Fox przyglądał się konfrontacji Chathama z trzema postaciami. Sporo wytykania palcami i wrzasków, jak można się było domyślić z mowy ciała. Przywódca grupy wspiął się na palce, by dodać sobie wzrostu. Chatham jednak nie ustępował i wydawał się nieugięty. Nie dał się sprowokować do bójki, nawet gdy przyszedł mu z pomocą drugi bramkarz. Po chwili pojawił się jeszcze jeden człowiek i chyba uspokoił sytuację, obejmując ramieniem najbardziej krewkiego uczestnika starcia.

– Więcej dymu niż ognia – zauważył Fox.

– Mimo to chcę z nimi porozmawiać. – James zamknął plik i otworzył następny. – I chętnie zaprosiłbym na pogawędkę również tego łobuza.

Następne ziarniste wideo nakręcone po zmroku. Fox wiedział, kto jest jego bohaterem, choć wątpli, by ktoś, kto go nie znał, potrafił zidentyfikować Johna Rebusa.

– Przecież tylko rozmawiają – stwierdził.

– Fakt. Ale gdy tylko Rebus odchodzi, Chatham wyjmuje telefon i dzwoni.

– Zgadza się, tak wynika z billingu. Rozmawiał z szefem.

– Patrz teraz. – James przewinął nagranie. – Widzisz? Chatham prosi kolegę, żeby go zastąpił. I wychodzi z kadru.

– Dokąd?

James uśmiechnął się pod nosem i kliknął w trzeci plik.

– Kamera przed pubem, zainstalowana trochę dalej. Widzisz tę budkę telefoniczną? Czy to nie Robert Chatham otwiera drzwi?

– Chyba tak – zgodził się Fox.

– Facet nosi przy sobie komórkę, więc po co korzysta z automatu?

– Żeby nikt nie namierzył rozmowy? – domyślił się Fox.

James skinął głową.

– Bardzo chciałbym wiedzieć, do kogo dzwonił.

– Wątpię, czy przesłuchanie Rebusa da odpowiedź.

– Pan mnie wzywał, milordzie?

Obaj unieśli wzrok i ujrzeni wchodzącego Rebusa.

– Jak udało ci się przejść przez recepcję? – spytał surowym tonem James.

– Recepcję na posterunku policji w moim rodzinnym mieście? Jako były gliniarz naprawdę nie mam pojęcia.

– Będę musiał zamienić z nimi parę słów – rzucił James.

– Co słyhać w samym sercu śledztwa? – zapytał Rebus. Robiąc rundę po biurze, przystanął przy biurku Foxa, by wziąć z niego dzieło Dromgoole. – Dobre to? – zwrócił się do niego i pomachał książką.

– Zostawiłem ci wiadomość – wtrącił James – w której wyraźnie poprosiłem, żebyś zadzwonił i umówił się na przesłuchanie.

– Akurat byłem w okolicy – odparł Rebus. – Ale wygląda na to, że większość twojej ekipy późno wstaje, więc jeżeli żaden z was nie chce się podjąć tego zadania, wpadnę innym razem...

– Skoro już jesteś, może zerkniesz na to.

Rebus podszedł do biurka Jamesa, obejrzał film zza jego ramienia, a potem pokiwał głową.

– Zastanawiałem się nad tym telefonem.

– Szef Chathama nazywa się Kenny Arnott – powiedział Fox. – Prowadzi firmę, która zatrudnia bramkarzy do pubów i klubów.

James patrzył na Rebusa.

– A ta budka telefoniczna?

Rebus wzruszył ramionami.

– Chętnie dowiedziałbym się, do kogo dzwonił.

– Spokojna głowa, zamierzam poprosić o tę informację. – James zamknął plik i odchylił się na oparcie krzesła. – Zajmę się tym, a tymczasem Malcolm odbierze od ciebie zeznanie.

Nastąpiła chwila ciszy, w której Fox i Rebus wymienili spojrzenia.

– W porządku – odezwał się w końcu Malcolm Fox.

Ruszył pierwszy do pokoju przesłuchań wyposażonego w magnetofon przymocowany do stołu oraz kamerę zamontowaną w rogu sufitu, z obiektywem skierowanym w dół. Fox usiadł i dał znak Rebusowi, by zajął miejsce naprzeciwko.

– Bez notatek? – zdziwił się Rebus.

– Nie potrzebuję.

– Nagrywasz?

Fox pokręcił głową.

– Załatwmy to szybko. Jesteś tu, bo dwa razy rozmawiałeś z Chathamem krótko przed tym, jak wyłowiono jego zwłoki. Raz w kawiarni, a wcześniej przed barem, w którym pracował.

– Nie zaprzeczam. Dodam, że nie miałem nic wspólnego z jego śmiercią.

– Obaj wiemy, że to strata czasu, ale nie ma wątpliwości co do jednej rzeczy: Chatham przestraszył się czegoś, co mu powiedziałeś.

Rebus przemyślał tę informację.

– Racja – przyznał.

– No więc do kogo dzwonił i po co?

– Skorzystał z automatu, żeby utrzymać to w tajemnicy.

– Na to wygląda.

– Żałuję, że nie mogę pomóc, Malcolm. – Rebus wzruszył ramionami.

– Rozmawialiście wyłącznie o sprawie Turquand?

– Zgadza się.

– Tamtego wieczoru zamieniliście tylko parę słów?

– Sam widziałeś na nagraniu. Chciałem pogadać trochę dłużej, ale powiedział, że jest wykończony. Przecież macie zapis z monitoringu. Ktoś się tam nagle pojawił, kiedy odszedłem? Z kim mógł się umówić?

– Zapis z kamer ogląda detektyw komisarz James.

– Może też powinienem rzucić okiem.

– Nie krępuj się, spytaj go.

– Pytam ciebie.

Fox wolno pokręcił głową. I robił to nadal, gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich James we własnej osobie.

– Mały problem – powiedział. – Wzywają mnie do Gartcosh, mam złożyć szefom sprawozdanie.

– Popilnuję interesu, dopóki nie przyjdzie reszta – odparł Fox. – Chyba dam sobie radę.

– Problem w tym, że w recepcji właśnie zgłosiła się Maxine Dromgoole. Ją też możesz przesłuchać?

– Oczywiście.

James patrzył na Rebusa.

– Przepraszam, że cię wyrzucamy.

– Jestem zdruzgotany.

Detektyw komisarz postanowił puścić to mimo uszu i wyszedł, zostawiając uchylone drzwi.

– Nie lubi kazać swoim panom czekać, prawda? – zauważył Rebus.

– Ale to prawda, co powiedział: mamy tylko jeden pokój przesłuchań, więc...

– Pozwól mi zostać i posłuchać.

Fox popatrzył na niego.

– Dlaczego?

– Bo wiem coś, czego ty nie wiesz.

– To raczej nie będzie zgodne z procedurami.

– Nikt się nie dowie, jeżeli nie nagrzasz.

Fox odchylił się lekko i z rękami skrzyżowanymi na piersi czekał na ciąg dalszy, więc Rebus dodał:

– Jedno pytanie. Muszę jej zadać tylko jedno pytanie.

– I wtedy będę wiedział to co ty?

– Tak. Chociaż masz drugą możliwość.

– Jaką?

– Kiedy będziesz tu z nią siedział, obejrzę sobie zapis z monitoringu na laptopie Jamesa.

– To by mu się na pewno nie spodobało.

– Trudno się nie zgodzić.

– Co wiesz o Dromgoole? – spytał Fox.

– Oprócz tego, że była kochanką Chathama? Hm... napisała tę książkę, którą masz na biurku. Wywiad z menedżerem trasy Colliera doprowadził do wznowienia śledztwa w sprawie Turquand. Wszystko było w aktach, które dała mi Siobhan. – Rebus zawahał się. – I wiem o czymś jeszcze... – Zawiesił głos.

– Dowiem się o tym tylko pod warunkiem, że pozwolę ci uczestniczyć w przesłuchaniu.

– Tak.

– To ma być podziękowanie za to, że zadzwoniłem, żeby ci powiedzieć o ich romansie?

– Zimny ze mnie drań, Malcolm, nie da się ukryć.

Fox westchnął.

– Jedno pytanie?

Rebus uniósł palec.

– Słowo skauta.

– W takim razie zostań tu. – Fox wiedział, że pewnie tego pożałuje. – Pójdę po nią.

Wrócił po dwóch minutach. Rebus zwolnił miejsce przy stole i gestem zaprosił na nie Dromgoole, gdy weszła. Usiadła, a on zajął pozycję przy drzwiach. Fox zaczął rozpakowywać tasnę, ale przypomniał sobie o słowach Rebusa i zostawił ją obok magnetofonu.

– Obecny tu mój kolega – starannie dobierał słowa – nazywa się John Rebus.

Kobieta uniosła brwi, przyglądając mu się, jakby był przedstawicielem nowego intrygującego gatunku.

– Wiem, kim pan jest – powiedziała. – Ma pan sporo doświadczeń z Morrisem Geraldem Caffertym.

Rebus zastanawiał się nad odpowiedzią, lecz Dromgoole ani myślała czekać.

– Mógłby mnie pan z nim umówić?

– Umówić... panią z Caffertym?

– Liczę, że uda mi się napisać książkę. Inspektor Fox o tym nie wspominał?

Rebus utknął w nim ciężkie spojrzenie, ale kobiecie nie zamykały się usta.

– Próbowałam do niego pisać, ale nie odpowiada. To książka o Szkocji lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, o przestępcach z tamtej epoki i wyczynach gangsterów. Z moich badań wynika, że pan Cafferty jest najlepszym kandydatem do rozmowy. Zresztą większości osób jego pokroju już nie ma na świecie, więc nic mi nie opowiedzą.

– Cafferty mógł nawet przyspieszyć ich odejście – zauważył Rebus.

– Ma pan z nim jeszcze kontakt?

– Nie bardzo – skłamał.

– Ale mógłby mu pan przekazać wiadomość?

– Nie chciałbym niczego obiecywać.

Fox poruszył się niespokojnie na krześle.

– Wracając do sprawy, w związku z którą pani tu przyszła, pani Dromgoole...

Przywołana do porządku jego tonem, uspokoiła się, a nawet udało się jej przybrać poważną minę. Odpowiadając na pytania Foxa o związek z Robertem Chathamem, nie umiała się jednak powstrzymać

od ukradkowego zerkania na Rebusa. Po kwadransie Fox zmierzał już do końca przesłuchania. Rebus uznał, że to sygnał, by wkroczył do akcji.

– Poznała pani Chathama w związku ze sprawą Marii Turquand?

Dromgoole wykonała półobrót na krześle i zwróciła się w jego stronę.

– Tak – potwierdziła.

– Interesowała się nią pani później? To znaczy już po wydaniu książki?

– Chyba tak.

– Wspominała pani czasem o tym w rozmowach z detektywem Chathamem? A może z kimś jeszcze? Na przykład z Dougiem Vaughanem?

– Rozmawialiście z Dougiem?

– Wczoraj wieczorem byłem na jego koncercie.

– Miałam go w terminarzu – odparła Dromgoole. – Tylko że nie czułam się na siłach pójść.

– Ale jest pani jego fanką? Przychodzi pani na jego występy, może po koncercie stawia mu pani drinka?

– Raczej w trakcie – sprostowała.

– Pewnego wieczoru przyprowadziła pani ze sobą pana detektywa Chathama. Wydaje mi się, że zrobiła to pani, wiedząc, że Dougie w końcu go rozpozna. Liczyła pani na coś? Może na skruszoną minę albo fałszywie zagrany dźwięk, który by go zdradził?

– Tak sądzę – przyznała. – Rab był potem na mnie wściekły. Jeżeli Dougie go poznał, mógł się też domyślić, że jesteśmy kochankami. Rab bał się, żeby to nie dotarło do Liz.

– Ale uznała pani, że warto zaryzykować?

– Tak.

– Bo Maria Turquand nie dawała pani spokoju i to było najważniejsze?

Zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Maria była niezwykłą kobietą. Wolnym duchem w świecie, który wymagał od niej czegoś przeciwnego. W świecie nudziarzy z pieniędzmi, kolacji, klubów. Nigdy nie powinna dać się złapać w taką pułapkę. Nie umieli sobie z nią poradzić. – Popatrzyła na Rebusa. – Pana też interesuje ta sprawa, prawda?

– Nasunęło mi się kilka pytań – odparł. – Rozmawiałem o nich z Rabem, a krótko potem...

– To pan jest tym byłym gliną. Napisał mi o panu w esemesie.

– Sądzi pani, że mógł na własną rękę prowadzić jakieś badania w sprawie Turquand? Żeby potem panią zaskoczyć, gdyby coś znalazł?

– Pewnie nie można tego wykluczyć. – Nadal wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w Rebusa. – A jest coś nowego? – Nie zamierzał jednak odpowiadać na to pytanie. – Rozmawiał pan z mężem Marii i jej kochankiem? Wie pan, że obaj żyją? Gdy prosiłam ich o wywiad, mieli opory. Skończyło się na tym, że wysłałam im pytania, ale udzielili mało konkretnych odpowiedzi. Nie jestem pewna, czy któryś z nich naprawdę ją kochał... – Na moment pogrzyżyła się w myślach, potem jednak znowu się ożywiła. – Powinien pan ich przesłuchać! Przecież nie mogą odmówić odpowiedzi detektywowi!

– Pewnie ma pani rację. – Rebus zerknął w stronę Foxa.

Pięć minut później Fox odprowadził Dromgoole do drzwi posterunku, uściśnął jej dłoń i spytał, czy nie zamówić jej taksówki. Woląla jednak się przejść – a raczej musiała się przejść. Kiedy wrócił na górę, zobaczył Rebusa przy komputerze Alvina Jamesa.

– Na litość boską, John – jęknął.

– Nie umiem go odblokować – poskarżył się Rebus. – Nie przypuszczam, żebyś znał jego hasło?

– Gdybym nawet znał, nie powiedziałbym ci.

Rebus zatrzasnął laptop i odchylił się na oparcie krzesła Jamesa.

– To co robimy? A w ogóle gdzie się podziewa reszta tej bandy opryszków?

– Tropią kolegów i znajomych Chathama... Rozmawiają z jego pracodawcą...

– Przypomnij mi, jak on się nazywa.

– Kenny Arnott. – Fox przerzucił notatki na biurku. – W mieście są dwie firmy świadczące takie usługi: jedną kieruje Andrew Goodman, drugą Arnott.

– Któryś z nich miał kiedyś kłopoty?

– Nic o tym nie wiem.

– Czyli nic nie wskazuje, żeby to mogło na dłużej zająć ekipę Jamesa.

– Przeszukują też dom Chathama. Sprawdzają, czy jest coś w komputerze albo gdzieś na dnie szuflady...

– A ciebie zostawili, żebyś czytał książkę z biblioteki?

– Wykorzystują moje liczne mocne strony.

– Które? Umiejętność czytania i pisania?

Foxowi udało się uśmiechnąć, a Rebus poszedł za jego przykładem.

– No więc jak zamierzasz spędzić dzień? – spytał Fox.

– Gdybym nosił legitymację, prawdopodobnie pojechałbym pogadać z dwoma wiekowymi i bogatymi białymi mężczyznami.

– Turquandem i Attwoodem?

– Jeden mieszka w St Andrews, drugi w Perthshire... całkiem niezłe popołudnie w terenie.

– Ale nie nosisz legitymacji, prawda?

– To jedyny słaby punkt w moim planie.

– Mógłbym z tobą pojechać.

– Dlaczego miałbyś to zrobić?

– Bo wiem coś, czego ty nie wiesz.

– I dowiem się tylko wtedy, gdy zabiorę cię ze sobą?

– Będę miał jedno pytanie, John. A konkretnie pytanie do Turquanda. – Fox uniósł palec wskazujący.

Rebus powtórzył ten gest i obaj szeroko się uśmiechnęli.

PEŁNE IMIĘ I NAZWISKO Harry'ego brzmiało Hugh Harold Hodges. Pierwszy problem z policją miał w wieku jedenastu lat: kradzież w supermarkecie. Podobno chodziło o zakład. Jego rodzice byli wykształceni – nauczycielka i lekarz – i nie szczydziли pieniędzy na dobre szkoły dla syna. Ale zaczął wagarować, a kradzieże w sklepach nie ustawały. Harry lubił się obracać w towarzystwie starszych, gorzej sytuowanych dzieciaków. Kradł dla nich, bił się ramię w ramię z nimi i palił z nimi trawkę. Wreszcie rodzice wyrzucili go z domu. Przez jakiś czas mieszkał na ulicy, potem zupełnie zniknął z horyzontu i pokazał się we Francji, gdzie zainteresowała się nim paryska policja. Wrócił więc do Edynburga i w końcu trafił pod skrzydła Darryla Christiego.

Clarke dowiedziała się tego wszystkiego w ciągu mniej więcej trzydziestu minut dzięki bazie danych szkockiej policji. Od ostatniej kolizji Harry'ego z prawem minęły dwa lata – został zatrzymany w samochodzie wypchanym papierosami bez akcyzy. Nie pisał słowa i zapłacił grzywnę. Zdarzenie tego rodzaju powinno mu jednak uniemożliwić posiadanie albo prowadzenie lokalu takiego jak Devil's Dram, a dalsze poszukiwania ujawniły, że wcale nie jest jego właścicielem ani szefem – przynajmniej według papierów. No więc czym się zajmował?

Clarke miała go właśnie o to zapytać.

Załomotała w drzwi klubu i czekała. Nikt nie otwierał, więc spróbowała jeszcze raz. Po prawej stronie budynku była zamknięta na klucz brama, prowadząca do wąskiego zaułka przykrytego kilkucentymetrową warstwą śmieci. Po lewej szersza uliczka, wybrukowana krzywą kamienną kostką, wspinała się na tyły klubu, gdzie znajdowało się wejście dla dostawców. Te drzwi były otwarte i z białej furgonki bez żadnych widocznych oznakowań wyładowywano piwo i wino. Kierowca wręczył jej skrzynkę z dwudziestoma czterema butelkami, więc wniosła ją do środka. Brzemień odebrał od niej nieznamy młody człowiek, który tylko lekko przymrużył oczy na widok obcej osoby.

– Gdzie znajdę Harry'ego? – spytała go.

– Tam gdzie zwykle.

Clarke skinęła głową, jakby doskonale wiedziała, po czym przeszła przez zaplecze do korytarza, na którego końcu zobaczyła drzwi. Kiedy je otworzyła, znalazła się w sali klubu. „Zwykle” miejsce Harry'ego okazało się tym samym, w którym poprzednim razem zastała Darryla Christiego. Dopiero gdy pokonała dwie trzecie schodów, zorientował się, że to nikt z personelu.

– Kto panią tu wpuścił?

– Ktoś bardziej życzliwy od pana, panie Hodges.

– O, już zna moje nazwisko.

– I twoją kartotekę.

– Resocjalizacja to wspinała rzecz.

– Tym się właśnie zajmuje Darryl Christie? Zbiera złych chłopaków i zmienia ich we wzory cnót?

– Jestem trochę zajęty, pani inspektor.

– Znowu pojechałeś zobaczyć się z Crawem Shandem? Obejrzą sobie wideo z monitoringu. Przy Peffermill Road jest mnóstwo kamer.

– Naprawdę?

– A ten range rover naprawdę rzuca się w oczy.

– Ciągle nie wiem, po co pani przyszła.

– Wszystko wskazuje na to, że Shand został porwany. To nie był najmądrzejszy krok z czyjejs strony.

– Mówiłem już, że nie znam skurwiela.

– Te wulgaryzmy są niepotrzebne, panie Hodges. – Na sekundę zamilkła. – Hugh Harold Hodges... rozumiem, że twoi rodzice mieli poczucie humoru?

– Odpierdol się.

– Chcę, żeby Craw Shand wrócił cały i zdrowy.

– Super. Niech pani to wpisze na listę życzeń do Świętego Mikołaja.

Clarke oparła dłoń o stół i nachyliła się nad Harrym.

– Następnym razem nie przyjdę tu z listą życzeń, ale z nakazem.

Obrzucił ją wzrokiem od stóp do głów.

– Gadka tak samo kiepska jak ta stylówka. Nikt już od wieków nie ubiera się na starą pannę.

– To przykre – odparła Clarke, patrząc na jego stopy. – Jaki numer butów nosisz? Zdaje się, że czterdziestketrójkę. Nasze laboratorium potrafi dokonywać cudów z odciskami podeszwy, a jeden znaleźliśmy na drzwiach z tyłu domu Crawa Shanda. – Zrobiła pauzę, żeby to do niego dotarło. – Powiedz swojemu szefowi, że Craw Shand należy do mnie.

– Sama mu powiedz. Ale gdzie indziej. I przed wyjściem zajrzyj do męskiego kibla. Czeka tam mały prezencik.

Skupił uwagę na telefonie, czytając wiadomości i odpowiadając na nie błyskawicznymi ruchami kciuka. Clarke stała przed nim jeszcze parę sekund, po czym z najwyższą godnością zeszła po schodach. Zmierzając do wyjścia, przystanąła i spojrzała na drzwi męskiej toalety. Był na nich napis CZAROWNICY, ale niczego nie zdradzały, więc je otworzyła. W środku najwyraźniej nie było nikogo. Zobaczyła kabiny, umywalki i pisuar w formie rynny. Nagle coś przyciągnęło jej wzrok. Duża oprawiona fotografia, powiększona ze stop-klatki z wideo. Zdjęcie było ziarniste, ale Clarke doskonale wiedziała, kiedy zostało zrobione i kogo przedstawia. Na imprezie zorganizowanej przez Deborah Quant. Clarke była na nim we własnej osobie, w krótkiej czarnej sukience z odrobiną zbyt głębokim dekoltem. Obejmowała ramieniem plecy Quant i schylała się, żeby krzyknąć jej coś do ucha. Miała szeroko otwarte usta i oczy.

Ujęcie z kamer w klubie. Powiększone i oprawione. Dokładnie nad pisuarem, przed którym wieczór w wieczór stawał tłum facetów.

Próbowała poruszyć fotografię, ale została przykręcona do ściany.

– Kurwa – mruknęła pod nosem.

– Te wulgaryzmy są niepotrzebne – zaszydził Hodges z szerokim uśmiechem, stojąc przy drzwiach i przytrzymując je jedną ręką, żeby pozostały uchylone.

– Jeżeli nie chcesz, żebyśmy robili tu codziennie nalot i sprawdzali, czy nie ma narkotyków i czy nie sprzedajecie alkoholu nieletnim, zdejmij to, zanim wsiądę do samochodu.

– Gliniarze są tu zawsze mile widziani – odparł, gdy jak burza wypadła z toalety. – A to będzie dla nich główna atrakcja wieczoru, prawda, pani inspektor? Powinno to pani pochlebiać. Okazuje się, że nawet stare panny mają w sobie trochę życia, kiedy wleje się w nie odpowiednio dużo drinków w czasie happy hours...

TECHNICY SKOŃCZYLI OGLĘDZINY w domu Crawa Shanda. Wystarczyły im zdjęcia odcisku buta, więc drzwi zostały na miejscu, zamknięte na kłódkę, żeby dom był zabezpieczony po wyjściu ekipy. Mimo że najbliższy sąsiad został już przesłuchany, wyszedł z domu, żeby podzielić się z Clarke swoimi przemyśleniami.

– Tu nigdy nie działo się nic złego... w nocy nikt nawet nie pisał.

Sąsiad mieszkający naprzeciwko tylnych drzwi Shanda mówił to samo. Żadnych krzyków, wrzasków, nikt nie wywlekał siłą Crawa Shanda z kuchni. Cisza. Może tamten mundurowy miał rację: Shand po powrocie do domu zobaczył zniszczone drzwi, przestraszył się i zwiął. Clarke spytała Laury Smith, czy mogłaby napisać krótki artykuł na stronę internetową „Scotsmana”.

– Mogę wspomnieć o związku z Darrylem Christiem?

– Rozsądniej będzie nie wspominać.

Patrol ostatni raz sprawdzał tył posesji o jedenastej wieczorem, co oznaczało, że drzwi zostały wyważone między tą godziną a szóstą rano. Tylko jeden z sąsiadów widział Shanda wychodzącego tego dnia z domu, gdy rano wybrał się na zakupy do pobliskiego sklepu. Po południu słyszano przez ścianę dźwięki z jego telewizora – relację z wyścigów konnych. Robiąc ostatni obchód po pokojach, Clarke nie natrafiła na żadną wskazówkę. Na blacie w kuchni stała torba z zakupami: zupa i ravioli w puszkach, orzeszki. Na fotelu w salonie leżała otwarta paczka ciastek. Na górnej półce szafy w sypialni znalazła duży pusty plecak. Szuflady były w połowie wypełnione ubraniami. Nie oznaczało to, że nie mógł wziąć mniejszej torby i zapakować do niej tylko koszul i spodni na kilka dni. Poczta leżąca na kuchennym stole też niewiele wniosła: parę zaległych rachunków telefonicznych i za pakiet kabłówki oraz zawiadomienie o odcięciu dostawy gazu. Clarke skontaktowała się z operatorem sieci komórkowej. Jeśli do kogoś dzwonił, chciała o tym jak najszybciej wiedzieć. Rozdała sąsiadom swoje wizytówki – mieli dać jej znać, gdyby Shand wrócił do domu albo ktoś chciał go odwiedzić.

Nic więcej nie mogła zrobić. Prócz jednej rzeczy.

Christie odebrał po trzech dzwonekach.

– Zakładam, że już słyszałeś od Harry’ego? – spytała Clarke.

– Żałuję, że nie było mnie przy tym, jak zobaczyłaś to uroczne zdjęcie. Teraz wiesz, jakie to uczucie, kiedy ci przykleją gębę.

– Uważasz, że ciebie spotyka coś takiego?

– Harry powiedział ci świętą prawdę.

– Publikujemy rysopis Crawa.

– Wszyscy pomyślą, że miałem z tym coś wspólnego. Dobrze o tym wiesz.

– Nie sądzę, żeby to mocno zaszkodziło twojej reputacji.

– Wręcz przeciwnie, poprawi ją, ale to nie znaczy, że go porwałem. A właśnie... posłuchałem twojej rady.

– Tak?

– Na parę dni przeprowadziłem mamę i chłopaków do hotelu.

– Coś jeszcze się dzieje?

– Przed domem o dziwnych porach przejeżdżają jakieś samochody... zatrzymują się i ryczą silnikami na wysokich obrotach.

– Rozpoznałeś jakieś?

– Nie.

– Może zanotowałeś numery?

– Przykro mi.

– A kamery? Zaczęłeś już wymieniać atrapy na prawdziwe?

– Zabieram się do tego.

– Czyli skoro wywozłeś mamę i braci, masz cały dom dla siebie?

– Chcesz mi zaproponować opiekę?

– Myślę sobie tylko, że pusty dom to dobre miejsce, żeby kogoś ukryć.

– Wpadnij, rozejrzysz się.

– Może tak zrobię.

– Słyszałem o tym gościu, że zanim się go zobaczy, można z daleka wyczuć jego zapach. Do widzenia, pani inspektor...

STOJĄC W SALONIE I PATRZĄC na park naprzeciwko, Christie zdał sobie sprawę, że Cafferty ma teraz o wiele ładniejszy widok z okna niż on. Drań zarobił u niego jeszcze jedną krechę. Po zakończeniu rozmowy z Clarke Christie wstukał numer Hodgesa.

– Tak, szefie?

– Chcę tylko sprawdzić, czy dobrze się rozumiemy: nie postanowiłeś wykazać się żadną własną inicjatywą? Nie zamelinowałeś gdzieś Shanda, żeby mi zrobić niespodziankę?

– Absolutnie nie. Kto wie, może po prostu prysnął?

– A może przyuważył mój wóz, kiedy robiłeś rundy przed jego domem?

– Przecież o to chodziło, prawda?

– Chyba tak. – Christie zakończył rozmowę i delikatnie przetarł oczy. Był zmęczony i wiedział, że powinien odpocząć, choćby dziesięć minut. Ale jak mógł się wyłączyć?

Nazywał się Darryl Christie.

Byli tacy, którzy chcieli go dopaść.

Jeszcze raz spróbował zadzwonić do Anthony’ego Brougha. Usłyszał pocztę głosową. Automatowi było przykro, że nie można zostawić wiadomości, ale „pamięć jest pełna”.

– Przysięgam, że cię zabiję – rzucił do telefonu Christie. Nagle usłyszał hałas w korytarzu.

Zadudniły ciężkie kroki zbiegającego po schodach człowieka.

Christie z uśmiechem pokręcił głową...

ROZDZIAŁ 14

MAXINE DROMGOOLE PRZYŚŁAŁA Foxowi wiadomość z adresami i numerami telefonów Petera Attwooda i Johna Turquanda. Rebus siedział za kierownicą saaba, a Fox obok niego sprawdzał mapy w telefonie. Parę kilometrów na południe od St Andrews Rebus zaczął jednak kaszleć i musiał się zatrzymać przy drodze, by opanować atak. Jego twarz spurpurowiała za zasłoną chusteczki, którą trzymał przy ustach.

– Chryste, John. – Fox próbował klepać go po plecach. – Na pewno nic ci nie jest?

Zamiast odpowiedzieć, Rebus wysiadł z samochodu, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu inhalatora. Byli na prostym odcinku drogi, z polami po obu stronach. Rebus stał na zarośniętym poboczu zgięty wpół, z rękami na kolanach, dopóki kaszel nie ustąpił. Fox też wysiadł z auta i zatrzymał się parę metrów od niego. Minął ich posapujący traktor i prowadzący go mężczyzna przyglądał im się, usiłując odgadnąć ich zamiary.

– Przepraszam cię za to – wykrztusił Rebus, łapiąc oddech.

– Nie masz za co przepraszać. Co jest w tym inhalatorze?

– Jakies sterydy. Obiecali mi, że na następnych Igrzyskach Wspólnoty Narodów będę w reprezentacji ciężarowców. – Rebus walnął się w pierś. – Myślałem, że już dochodzę do siebie... chociaż trudno dojść do siebie po takiej diagnozie.

– To nie jest zwykłe zapalenie oskrzeli, prawda?

– A cóż to może być innego?

– Coś, co cię gryzie. Widzę to.

Rebus wsunął inhalator z powrotem do kieszeni.

– Pewnie to nic groźnego – prychnął.

– No dobrze.

Spojrzał w oczy Foxa i podjął decyzję.

– Cień na płucu – wyznał. – Zrobili mi biopsję. Jeszcze nie ma wyników. Nie powiedziałem nikomu oprócz ciebie i jeżeli piśniesz komuś słówko, będziesz drugim detektywem, którego wyłowią z zatoki. Zrozumiano?

– Jasne.

– Tylko tego mi trzeba, żeby ktoś się nade mną litował.

– Masz na myśli Deborah Quant?

– Deb... Siobhan...

– Ale mnie o to nie podejrzewasz?

– Ty masz dla mnie za mało sympatii.

– Przecież cię lubię.

- Za diabła nie umiesz kłamać, Malcolm. Kiedy byłeś w wewnętrznym, stawałeś na głowie, żeby mi się dobrać do skóry.
- Trudno powiedzieć, żebyś był wzorem policjanta.
- Fakt.
- Ale to już historia.
- Poza tym twoje życzenie zostało spełnione: już nie jestem gliną.
- Ale ciągle nieźle wychodzi ci udawanie gliniarza. – Fox zamilkł, patrząc na samochód, który przemknął obok nich w drodze do St Andrews. – No więc kiedy dostaniesz informację?
- O Hanku Marvinie? Lada dzień, może nawet teraz czeka na mnie w domu koperta albo wiadomość na poczcie głosowej.
- Hank Marvin grał na gitarze w The Shadows³ – powiedział Fox.
- Szybko łapiesz, Malcolm.
- Miewam prześliski. Chcesz, żebyśmy poprowadził? Jesteśmy już prawie na miejscu.
- Rebus pokręcił głową.
- Masz być moim pilotem, pamiętasz? Te cholerne aplikacje to dla mnie czarna magia...

OBAJ WIDZIELI ZDJĘCIA Petera Attwooda, ale wszystkie pochodziły z dawnych czasów. Mieszkał z żoną w nowoczesnym domu na obrzeżach miasta. Gdy saab z chrzęstem opon wjechał na żwirowy podjazd, Attwood pojawił się w drzwiach. Miał na sobie luźny brązowy zapinany sweter i brązowe sztruksy, a przerzedzone siwe włosy były wyraźnie pociągnięte brylantyną. W zębach ścisnął fajkę. Podał rękę obu gościom, kiedy mu się przedstawili.

– Jessica jest w odwiedzinach u przyjaciółki – powiedział, prowadząc ich do środka. – Ale chyba potrafię zaparzyć herbatę.

Gdy był w kuchni, Rebus i Fox rozejrzeli się po salonie. Regały z książkami, stojak pełen płyt CD z muzyką klasyczną, telewizor, który mógłby z powodzeniem pojawić się jako eksponat w programie *Antiques Roadshow*. Komplet wypoczynkowy składający się z dwóch miękkich jak gąbka foteli i kanapy, a nad kominkiem galeria rodzinnych zdjęć.

– Wygląda na to, że można się tego spodziewać regularnie jak w zegarku – powiedział Attwood, wnosząc tacę. Postawił ją na małym stoliku między fotelami.

– Czego, proszę pana? – spytał Fox.

– Wznowienia śledztwa w sprawie śmierci biednej Marii. Częstoście się, panowie. – Attwood dolał do swojego kubka odrobinę mleka i usiadł.

Rebus i Fox wzięli kubki, również dolali mleka, po czym usadowili się obok siebie na kanapie.

– Osiem lat temu – zaczął Rebus – był pan przesłuchiwany przez inspektora Chathama.

– Owszem. Potem rozmawiała jeszcze ze mną ta koszmarna dziennikarka...

– Maxine Dromgoole – odpowiedział Fox.

– Właśnie.

– Problem w tym, że Robert Chatham został zamordowany – oznajmił Rebus.

– Cholera jasna.

– Zastanawialiśmy się właśnie, czy zachował pan z nim jakiś kontakt.

– Po co?

– Bo może nie potrafił się uwolnić od tej sprawy.

Attwood zamyślił się.

– Tak, Maria miała taki wpływ na mężczyzn, ale w ciągu ośmiu lat, które minęły od tamtego przesłuchania, ten detektyw ani razu się do mnie nie odezwał.

– A pani Dromgoole?

– Przysłała mi bardzo długi mail, przypominający listę pytań z Mastermind. Czy znałem tego muzyka? Czy na pewno wcześniej tego dnia nie byłem w hotelu?

– Którego muzyka miała na myśli? – spytał Rebus. – Bruce’a Colliera?

– To z nim Maria miała figo-fago?

– Mówi pan o Dougiem Vaughanie.

Attwood pstryknął palcami.

– Właśnie. Otóż, panowie, wtedy nawet nie zbliżyłem się do tego cholernego hotelu, w tym cały problem.

– Chciał pan w ten sposób dać Marii do zrozumienia, że z nią zrywa?

Attwood skrzywił się.

– Parę razy próbowałem jej to powiedzieć, ale mówiła albo robiła coś takiego, że nagle zmieniałem zamiar. A potem pojawiła się Joyce, więc...

– Kochanka, dla której zostawił ją pan?

– Naprawdę myślałem, że Joyce to ta jedyna.

– Wszystko ułożyło się jednak inaczej.

– Później poznałem moją kochaną Jessicę...

Ze zdjęć w aktach Rebus wiedział, że Attwood był kiedyś przystojnym mężczyzną w typie hollywoodzkiego gwiazdora i nosił się w podobnie wykwintnym stylu. Z upływem lat stracił jedno i drugie i dziś wyglądał jak zwykły emeryt. Czyli nieszkodliwie. Rebus musiał sobie powtarzać, że czterdzieści lat temu prawdopodobnie był zupełnie innym człowiekiem.

– Człowiek z personelu hotelowego twierdził, że pana widział – przypomniał mu Fox.

– Tak, gnojek próbował mnie obsmarować. Wiecie, panowie, dlaczego? Bo nie raczyłem mu dać napiwku. Room service ma swoją żonę, więc czemu miałbym jeszcze dopłacać? Zresztą sprytnie to zrobił, powiedział tylko, że widział kogoś „trochę” podobnego do mnie.

– Co pan sądził o wersji wydarzeń podanej przez Vince’a Brady’ego? – spytał Rebus.

– To ten, który powiedział, że Maria obściskiwiała się z tym muzykiem? Nie tamtym od figo-fago, ale tym drugim?

– Nie było mowy o obściskiwaniu, ale podobno rozmawiała z Bruce’em Collierem w korytarzu.

– To skończone brednie, jeśli wybaczą mi panowie odrobinę szczerości. Maria spodziewała się, że do niej przyjdę. Pewnie poszła prosto do pokoju, tego co zawsze... wystarczyło raz zapukać i drzwi się otwierały, a ona stała w progu, gotowa się na mnie rzucić. – Uśmiechnął się smętnie. – Panowie chyba nie zdają sobie sprawy, co to była za kobieta.

– Nie znalazła jednak szczęścia w małżeństwie.

– Johnowi niewiele można było zarzucić. Przyzwoity człowiek, może trochę zbyt zasadniczy, no i nie przepadał za fizyczną stroną... hm... mam na myśli życie intymne. Wtedy dawano do zrozumienia, że Maria jest nimfomanką albo niespełna rozumu, ale chodziło tylko o sprzedaż gazet.

– Przyjaźnił się pan z Johnem Turquandem, prawda? – zapytał Rebus.

Attwood nerwowo poruszył się w fotelu.

- Nie do tego stopnia, żeby nie sypiać z jego żoną.
- Sądzi pan, że nie wiedział o waszym romansie?
- Dowiedział się dopiero od policji.
- Spotkał go pan potem?
- Tylko raz, parę lat później. Jedliśmy lunch w tej samej restauracji. Dostałem od niego pięścią prosto w nos i kto zaprzeczy, że na to zasłużyłem?
- Nie przyszło panu do głowy, że to on mógł ją zabić?
- Nie był takim typem człowieka. Poza tym miał wtedy spotkania i tak dalej.
- Wobec tego kto to zrobił?
- Gdybym dostawał piątaka za każdym razem, kiedy zadawano mi to pytanie... W kwestionariuszu od pani Dromgoole pojawiło się chyba kilkakrotnie.
- Nie zna pan odpowiedzi?
- Jakiś psychopata z personelu? Jeden z tych naćpanych muzyków, od których tamtego dnia roiło się w hotelu? Do wyboru, do koloru. – Attwood wzruszył ramionami i pociągnął łyk słabej herbaty. – W każdym razie człowiek, który to zrobił, zabrał światu piękną duszę – stwierdził w końcu. – Nigdy nie spotkałem takiej osoby jak ona i nigdy nie spotkam. – Przeniósł wzrok z jednego gościa na drugiego. – Tylko proszę tego nie powtarzać Jessice. Gotowa przebić mnie jednym z tych swoich drutów do robótek...

DO WIELKIEGO WIEJSKIEGO DOMU Johna Turquanda prowadziła wysadzana rododendronami prywatna droga, blisko kilometrowej długości. Budynek, prawdopodobnie z epoki edwardiańskiej, miał mnóstwo wielodzielnych okien i wieńczyły go niezliczone szczyty schodkowe. Ogromny hol zalatywał jednak wilgocią i nie było ani śladu armii służących, jakiej należało się spodziewać w takim miejscu, tylko zgarbiona sylwetka łysiejącego Turquanda. Pod jedną ścianą stał nierówny szereg wudek, drugą zdobił zakurzony łeb jelenia.

- Whisky? – zaproponował Turquand piskliwym głosem.
- Może wystarczy coś zimnego – odparł Fox.
- Chyba coś się znajdzie w bibliotece.

I tam ich poprowadził. Chodził w kapturach, które, podobnie jak on, najlepsze czasy miały za sobą.

- W zeszłym roku złamałem staw biodrowy – powiedział, tłumacząc swój niepewny chód.
- Ładny dom – powiedział Fox. – Chociaż utrzymanie pewnie wymaga sporo wysiłku.
- Trafiał pan w sedno – zgodził się Turquand.
- Mieszka pan tu sam?
- Tak.

Dotarli do biblioteki. Sięgające sufitu regały w większości ziały pustkami, jeśli nie liczyć kilku książek podróźniczych. Turquand paradował w tweedowej kamizelce i białej koszuli bez kołnierzyka. Dwa guziki rozporka w spodniach były rozpięte. Ruszył w stronę barku na kółkach. Obok karafek z whisky i ginem stała plastikowa litrowa butelka coli, w której została mniej więcej połowa zawartości.

– Obawiam się, że mogła trochę zwietrzeć – powiedział, nalewając ją. Podał im obu szklanki, które pokrywało tyle odcisków palców, że sprawiłyby przyjemność każdemu technikowi kryminalistyki. Sobie nalał odrobinę whisky i dodał wody z dzbanka. – Zdrowie – rzucił.

Pierwszy łyk wywołał lekki rumieniec na jego wymizerowanych policzkach i wyraźnie go ożywił. Wokół karcianego stolika stały cztery krzesła. Pośrodku obitego zielonym sukmem blatu leżała nietknięta talia kart. Turquand skinął na Rebusa i Foxa i wszyscy usiedli na twardych, drewnianych krzesłach, które skrzypnęły na znak protestu.

– Właśnie spotkaliśmy się z Peterem Attwoodem – poinformował gospodarza Fox. – Wspominał, jak zadał mu pan cios pięścią.

– Zrobiłbym mu coś gorszego, ale jest trochę lepiej zbudowany ode mnie.

– Wie pan, dlaczego przyjechaliśmy?

– Czytałem w gazecie... Robert Chatham. Emerytowany detektyw. To straszne, co go spotkało. – Turquand pokręcił głową. – Nie rozumiem tylko, dlaczego sądzą panowie, że mógłbym wam pomóc.

– Pan Chatham przesłuchiwał pana osiem lat temu – wyrecytował Fox. – Kontaktował się z panem od tego czasu?

– Ani razu. Sugeruje pan, że jego śmierć miała jakiś związek z historią Marii?

– Staramy się po prostu złożyć pełny obraz sytuacji.

– Zawsze sądziłem, że to Attwood ją zabił.

– Miał jednak alibi.

– Tak, zapewnione przez nową kochankę, która pojawiła się w szczęśliwym dla niego momencie – odparł lekceważącym tonem Turquand.

– Tymczasem pan zamknął się na naradzie z sir Magnusem Broughem – zauważył Rebus.

Turquand uśmiechnął się na to wspomnienie.

– Może panowie nie uwierzą, ale knuliśmy plan przejęcia Królewskiego Banku Szkocji.

– Może nie wdepnąłby w takie bagno, przepraszam za wyrażenie.

– Ustrzeglibyśmy się błędów, które popełnił Królewski. Ten bank spotkała prawdziwa tragedia.

– Z tego, co ustaliliśmy na temat pańskiej żony, panie Turquand, wynika, że była wyjątkową kobietą – powiedział Rebus.

– To prawda.

– Uważa pan, że byliście dobraną parą?

– Zarabiałem duże pieniądze, a człowiek sukcesu powinien to pokazać.

– Inwestując w efektowną partnerkę?

Usta Turquanda drgnęły, gdy Rebus wspomniał o inwestycji, ale nie zaprzeczył.

– Chyba ustabilizowałem jej życie. To było coś w rodzaju kompromisu, tak w każdym razie sądziłem. – Spojrzał na Rebusa. – Ale to chyba nie ma żadnego związku ze śmiercią tego biednego detektywa.

Rebus tylko wzruszył ramionami.

– Musimy brać pod uwagę różne możliwości. Przypomina pan sobie niejaką Maxine Dromgoole?

– Napisała książkę, prawda? Pamiętam, że rzuciłem okiem... niezbyt przyjemna lektura. Ta kobieta chciała przeprowadzić ze mną wywiad, ale chyba kazałem jej spieprzać.

– I od tego czasu nie kontaktowała się z panem?

– Nie.

– Na pewno miał pan kilka własnych hipotez...

– Na temat tego, kto zabił Marię? Przez długi czas uważałem, że ten gitarzysta.

– Dougie Vaughan?

– Chyba był w niej zadurzony, ale przestała się nim interesować i został na lodzie. Kiedy tamtego dnia zobaczył ją w hotelu...

– Vaughan twierdzi, że jej nie spotkał.

– A co innego spodziewałby się pan od niego usłyszeć? Dlaczego nie powiedział w śledztwie, że miał z nią romans? Dlaczego czekał, aż sprawa przycichnie?

– Rozmawiał pan z nim kiedyś o tym?

Turquand pokręcił głową.

– Kiedy ostygły emocje, starałem się o tym w ogóle nie myśleć, rzuciłem się w wir pracy. Czasem w nocy śniłem o Marii, że ciągle żyje. Ale na jawie skupiałem się tylko na pieniądzach, na tym, jak zarobić więcej dla banku i dla siebie.

– Można zapytać, kiedy to wszystko poszło nie tak. – Rebus szeroko rozłożył ręce.

– Panie Turquand – wtrącił Fox, zerkając na towarzysza, by dać mu znak, że chce zadać swoje „jedno pytanie” – jako jeden z pierwszych wsparł pan Anthony’ego Brougha, prawda?

– Na moje nieszczęście.

– To znaczy?

– Był wnukiem sir Magnusa. Uważałem, że jestem mu winien pewną lojalność.

– Nie wydaje się pan zachwycony.

– Anthony stracił sporo moich pieniędzy. Chłopak ma gadane, ale to naprawdę jego jedyna umiejętność.

– Ma pan z nim w ogóle jakiś kontakt?

– Mam szczęście, jeżeli dostanę półroczny wyciąg z konta.

– Nie bywa pan w jego biurze, nie dzwonicie do siebie?

– Od dłuższego czasu nie.

– Ale nadal ma pan u niego ulokowane pieniądze?

– Poniosłem takie straty, że nie było sensu wypłacać tych nędznych resztek, które zostały.

– To musi być przykre – zauważył Rebus. – Zwłaszcza że sam pan kiedyś był takim wytrawnym finansistą.

– Kto jak kto, ale ja coś o tym wiem, do cholery. – Turquand wstał i nalał sobie jeszcze jednego drinka. Najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że goście ledwie umoczyli usta w pozbawionej gazu coli.

Gdy z powrotem usiadł przy stoliku, Fox powiedział:

– Wygląda na to, że Anthony Brough zaginął. Czy to może być konsekwencja tych złych inwestycji?

– Trzeba by zajrzeć do jego ksiąg, żeby na to odpowiedzieć. Ale on i tak zapewne prowadzi podwójną rachunkowość. Jest do tego zdolny.

– Są wciąż tacy? – spytał Rebus.

– Prawdopodobnie stosują jeszcze bardziej skomplikowane sztuczki dzięki cudownym możliwościom cyfrowego świata.

– Wie pan, co to są spółki SLP, panie Turquand?

Gospodarz przeniósł wzrok z Rebusa na Foxa.

– Szkockie spółki komandytowe?

– Zdziwiłaby pana informacja, że Anthony Brough zaangażował się w sporo takich firm?

– Zaangażował się w jakim sensie?

– Zakłada je.

– Żeby odłożyć w nich jakieś pieniądze? – domyślił się Turquand. – Hm... to raczej nie jest nielegalne. Gdyby łamał prawo, urząd skarbowy już by weszły... – Urwał. – Aha, rozumiem... to dlatego się ukrywa?

– Tego nie mogę powiedzieć.

Turquand położył palec na ustach.

– Jasna sprawa. Może jednak powinienem wyprowadzić z jego firmy resztki swoich inwestycji... zakładając, że jeszcze nie wyrzucił Molly...

– Kim jest Molly?

– Sekretarką, recepcjonistką, centralą telefoniczną, asystantką.

Fox skinął głową, przypominając sobie głos w telefonie.

– Kiedy ostatni raz tam dzwoniłem, była w biurze.

– Molly na pewno jest dobrze poinformowana. Zadzwońię do niej jeszcze dzisiaj po południu. Dziękuję za ostrzeżenie.

– Czy to nie jest nielegalne? Wykorzystanie poufnych informacji? – zaciekawiał się Rebus.

– W żadnym wypadku – odparł Turquand.

– Szkoda...

– CZEKA NAS DŁUGA DROGA powrotna do Edynburga – odezwał się Rebus, gdy wsiedli do saaba i zapinali pasy. – Będziesz miał dużo czasu, żeby opowiedzieć mi szczegółowo o Anthonym Broughu i tych jego spółkach SLP.

– Najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie: co o nim sądzisz?

– O Turquandzie? Trochę ekscentryczny.

– Moim zdaniem facet nie ma grosza przy duszy. Idę o zakład, że odprawił służbę. Rezydencja dawno ma za sobą czasy świetności, a whisky zalatywała tanioczą.

– Dlatego, że powierzył kapitał wnukowi sir Magnusa Brougha? Ciekawe, ilu jeszcze klientów czuje się wystawionych do wiatru, gdy Molly wciska im kit, że szefa nie ma.

– Możliwe, że jednym z nich jest Darryl Christie – przyznał Fox.

Rebus zacisnął dłonie na kierownicy.

– Zamieniam się w słuch, Malcolm. Postaraj się tego nie zmarnować.

– Darryl jest właścicielem punktu bukmacherskiego i mieszkania przy Great Junction Street. Brough wynajmuje od niego mieszkanie i ma zarejestrowane pod tym adresem setki spółek SLP. – Fox zauważył spojrzenie Rebusa. – O co chodzi?

– Kiedy dzwoniłem do ciebie z Rutland Square, zacząłeś mówić coś o obstawianiu wyścigów, ale nagle ugryzłeś się w język. Teraz wiem dlaczego. – Rebus skinął głową. – Mów dalej. I kiedy będziesz opowiadał o prawie dotyczącym spółek i nadużyciach finansowych, przyjmij założenie, że tłumaczysz to kompletnemu idiotcie...

CLARKE ZAPUKAŁA DO otwartych drzwi centrum operacyjnego. Anne Briggs uniosła wzrok znad biurka.

– Szukałam inspektora Foxa.

– Nie ma go.

– Widzę. Nazywam się Clarke.

– Detektyw inspektor Clarke?

– Chyba wystarczy Siobhan.

– Jestem detektyw Briggs... Anne. Malcolm wspominał o tobie.

– Pilnujesz interesu?

– Komisarz jest w Gartcosh. Dwóch innych przesłuchuje szefa ofiary. A jeden poszedł do sklepu po mleko i ciastka.

– Czyli nie wiadomo, co się stało z inspektorem Foxem?

– Miał być w pokoju przesłuchań, ale go nie ma.

– Domyślam się, że to najbardziej uporządkowane biurko należy do niego. – Clarke stanęła przy nim.

– To dlatego zarabiasz taką forszę.

Clarke wzięła z biurka *Zadość sprawiedliwości* i zaczęła przeglądać.

– Właśnie ją miał przesłuchać – poinformowała ją Briggs.

– Może powinnam do niego zadzwonić – powiedziała Clarke i w tym momencie wszedł Mark Oldfield, pokazując Briggs torbę pełną zakupów.

Briggs przedstawiła ich sobie i Oldfield nastawił czajnik.

– Na pewno niebawem wróci – powiedziała. – Napij się kawy.

– Chyba się skuszę. – Clarke wstała zza biurka Foxa i przeniosła się do sąsiedniego. Na zamkniętym laptopie leżał plik kartek formatu A4. Były to kserokopie stop-klatek z nagrań monitoringu. – Co to? – spytała.

– Właśnie skończyłam drukować – odparła Briggs. – Na tych zdjęciach widać gości, którzy grozili ofierze.

– Naprawdę niewyraźnych gości – dodał Oldfield.

Clarke przeniosła wzrok z grupowych ujęć na zbliżenia poszczególnych twarzy. Uniosła jedną kartkę i pokazała ją Briggs.

– Chyba znam tego człowieka. Rozmawiałam z nim zaledwie parę godzin temu. Nazywa się Hugh Harold Hodges, ale woli, żeby mówić mu Harry. Pracuje w klubie Devil's Dram.

Oldfield podszedł, by przyjrzeć się zdjęciu.

– Na pewno? – spytał.

– Raczej nie mam wątpliwości. Ta sama fryzura i broda.

– Ostatnio co drugi facet, którego spotykam, nosi taką samą brodę.

– Uważam, że to on.

Młody detektyw odwrócił się w stronę Briggs.

– Dzwonimy do bossa? – spytał.

– Dzwonimy do bossa – odparła. – Ale najpierw napijemy się herbaty, bo wygląda na to, że zasłużyliście.

– Na wafelki z karmelem też.

– Uwielbiam, kiedy tak świntuszysz, Mark – odparła z promiennym uśmiechem Briggs.

KIEDY ALVIN JAMES WRÓCIŁ, Hodges siedział w pokoju przesłuchań. Na posterunek przywiozły go Clarke i Briggs.

– Ciesz się, że pojechałaś ze mną – wyznała jej Briggs. – Te ulice to cholerny labirynt.

– Znajomość lokalnych realiów to wspinała rzecz, Anne.

Tę opinię niemal słowo w słowo powtórzył Alvin James, kiedy Clarke wyjaśniła mu, jak rozpoznała Hodgesa. Chwycił ją nawet w rękę i mocno uściśnął.

– Malcolm miał rację, wygłaszając peany na twoją cześć. – Rozejrzał się po biurze. – A w ogóle to gdzie on jest?

– Nikt nie wie – rzuciła Briggs.

James znowu utkwiał spojrzenie w Clarke.

– Skoro tu jesteś i znasz tego gościa...

– Do usług – odparła Clarke i ruszyła za nim do pokoju przesłuchań.

Hodges nie miał zadowolonej miny. Tkwiał tu już od blisko godziny, a wkrótce klub miał się otworzyć na wieczór. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby mu powiedzieć, dlaczego go zgarniają. James wysunął sobie krzesło naprzeciwko niego i usiadł, trzymając wydruk zdjęcia w taki sposób, żeby przesłuchiwany je zobaczył.

– No i? – spytał Harry.

– To pan – powiedział James.

– Nawet jeśli, to co z tego?

– Przed klubem Tomahawk, w bok od Lothian Road. W sobotę przed dwoma tygodniami.

– Być może.

– Och, to na pewno pan i pana kumple. Awanturujecie się z bramkarzem, bo nie chciał was wpuścić.

– Tak twierdzi?

– Tak twierdzi jeden z jego kolegów. Człowiek z tego zdjęcia nic już nie twierdzi, panie Hodges. Ktoś go dopadł i zabił. A to był silny i sprawny mężczyzna, więc przypuszczamy, że napastnik nie był jeden. – James stuknął palcem w fotografię. – Jest was tu czterech. Może pan podać nazwiska pozostałych, czy mamy je ustalić w mniej przyjemny sposób?

– Czy ja dobrze słyszałem? Nie żyje? Rab nie żyje? – Hodges szeroko otworzył oczy. – Parę razy sami korzystaliśmy w klubie z jego usług.

– Znał go pan?

– Prawie w ogóle.

– Ale stał na bramce w Devil's Dram? – spytała Clarke.

– Tylko kiedy brakowało nam człowieka. I jeśli mieliśmy naprawdę duży ruch... jak na przykład tamtego wieczoru, kiedy pani u nas była. – Hodges skierował nieruchomy wzrok na Clarke.

– Skoro się znaliście – odezwał się cicho James – o co między wami poszło?

– Stałem trochę dalej na chodniku, musiałem zadzwonić. Reszta była trochę młodsza, ale wszyscy mieli dokumenty. Rab nie był przekonany, twierdził, że dwóch może wejść, ale nie Cal. Kiedy poszedłem, była ostra wymiana zdań, ale uspokoilem sytuację.

– Jeden z was... co najmniej jeden... groził mu, że go zabije.

– Tego nie pamiętam. – Hodges pokręcił głową.

– Cal to mało popularne imię – wtrąciła Clarke. – Czy to nie dziwny zbieg okoliczności, że nosi je brat twojego pracodawcy? Wydaje mi się, że Cal Christie nie ma jeszcze osiemnastu lat. – Udała, że

uważnie ogląda zdjęcia. – Darryl wysłał cię, żebyś go pilnował, zgadza się? I jego dwóch kumpli z fałszywymi dowodami tożsamości?

Hodges zmierzył ją wściekłym spojrzeniem.

– Znowu nie bardzo rozumiem.

– W takim razie chodźmy do Darryla. – Sprawdziła godzinę na ekranie telefonu. – O tej porze Cal powinien już skończyć zajęcia i wrócić do domu. Weźmiemy nagranie z kamer, żeby im pokazać. Ale wiesz co, Harry? Darryl nie będzie z ciebie zadowolony. Będzie bardzo, bardzo niezadowolony.

Wiedziała, że trafiła w czuły punkt, bo zgarbił się i spuścił głowę.

– Jest jakaś inna możliwość? – spytał z brodą wtuloną w klatkę piersiową.

– Podasz nam nazwiska pozostałych, żebyśmy mogli z nimi pogadać. Potem, gdy pojedziemy do Darryla, nie wspomnimy o tobie. Powiemy, że rozpoznaliśmy Cala.

– I tak będzie wiedział, że tam byłem.

– Pytał pan o inną możliwość – odparł z naciskiem James. – To nasza propozycja.

Hodges zastanawiał się przez kilka sekund, po czym skinął głową.

– Pójdę po notes, żeby zapisać te nazwiska – powiedział James i wyszedł z pokoju przesłuchań.

– Jeszcze jedno, Harry – rzuciła Clarke, gdy zostali sami. – To zdjęcie naprawdę zniknie dzisiaj z męskiej toalety. Jeżeli nie, powiem Darrylowi, jak pięknie z nami współpracowałeś i wsypałeś jego młodszego brata. Jasne?

– Jasne, suko.

– To dobrze – odparła, gdy w otwartych drzwiach pojawił się James.

* *Shadow* (ang.) – cień; aluzja do cienia na płucu.

ROZDZIAŁ 15

KIEDY SIĘ ZJAWILI, już zamykała biuro.

- Molly? – spytał Fox, pokazując legitymację służbową. – Przepraszam, nie znam pani nazwiska.
- Sewell – przedstawiła się. – Chcą panowie wejść?
- Dziękuję.

Z powrotem otworzyła drzwi i wpuściła ich do środka. Wyłączyła alarm i zapaliła światła. Gustownie urządzona mała poczekalnia prowadziła do mniejszego biura bez okien.

- Tu pani pracuje? – zapytał Fox.
- Zgadza się.
- A pan Brough?
- Na lewo od głównego wejścia.
- Pozwoli pani, żebyśmy tam zajrzeli?
- A po co?
- Chcemy sprawdzić, czy nie ukrywa się w jakiejś szafce na dokumenty. – Fox próbował obrócić to w żart, ale jej owalna twarz zastygła w kamienną maskę.

Rebus oceniał, że kobieta ledwie przekroczyła trzydziestkę. Krótko przycięte ciemne włosy i jasnoczerwona szminka. Jej rysy kojarzyły mu się z psotnym elfem, ale kryła się też w nich pewna surowość.

– Proszę mi lepiej powiedzieć, o co chodzi – zażądała lodowatym tonem i usiadła za biurkiem. W pokoju było jedno krzesło dla gościa, ale ani Rebus, ani Fox nie zamierzali z niego skorzystać.

- Wie pani, gdzie można znaleźć Anthony’ego Brougha?
- Nie.
- Kiedy rozmawiała z nim pani ostatni raz?

Zaczęła porządkować rzeczy na biurku, na którym panował już nienaganny porządek; przesunęła zszywacz, pudełko spinaczy i długopis.

- Mniej więcej tydzień temu.
- Osobiście czy telefonicznie?
- Właściwie to był esemes. Anthony nie czuł się najlepiej i chciał, żebym odwołała jego poranne spotkanie.
- A potem?
- Pisałam do niego i dzwoniłam, zostawiałam wiadomości...
- Gdzie on mieszka?
- Przy Ann Street.
- Bardzo ładna ulica. Jest z kimś?

- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Na tej ulicy są niemałe domy... pewnie trochę za duże dla jednej osoby.
- Możliwe.
- Nie martwi się pani o niego?
- Przecież to dopiero kilka dni.
- Mimo wszystko...

Westchnęła i uniosła wzrok znad biurka, mrugając, by powstrzymać łzy.

- Oczywiście, że się martwię. Pojechałam do niego, ale nikogo nie było w domu.
- Jeżeli nie czuł się dobrze, nie mógł się za bardzo oddalić – zauważył Rebus.
- Wrzuciłam mu wiadomość przez otwór na listy, ale dalej się nie odezwał.
- Jak sobie pani radzi bez niego? – spytał Fox.
- Z papierami nie ma problemu. Zmieniłam terminy jego spotkań. – Rozejrzała się po biurze. – Nie ma kto podpisywać czeków, ale poza tym...

– A jak w ogóle idą interesy?

– Doskonale.

– Doszły nas nieco inne słuchy, pani Sewell.

– W takim razie rozmawiali panowie z niewłaściwymi ludźmi.

– Zna pani niejakiego Darryla Christiego?

– A powinnam?

– Jest albo klientem, albo współnikiem pana Brougha, więc tak, wydaje mi się, że powinna go pani znać.

– Hm... jednak go nie znam.

– Może słyszała pani o mieszkaniu przy Great Junction Street, nad punktem bukmacherskim o nazwie Klondyke Alley?

Pokręciła głową.

– Nadal nie usłyszałam, po co panowie tu przyszli.

– Kilka dni po zaginięciu pani szefa ktoś napadł na Darryla Christiego.

Prychnęła.

– Anthony nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

– Na pewno?

– To niedorzeczne. Wątpię, by wdał się w jakąś bójkę, odkąd skończył szkołę.

– Od dawna go pani zna?

Spojrzała spode łba na Rebusa.

– Dość długo.

– Chyba jest pani w tym samym wieku co on. Nie chodziliście przypadkiem razem do szkoły?

– Anthony uczył się prywatnie. Ja chodziłam do Boroughmuir. – Przerwała na moment. – Poza tym jest starszy ode mnie o sześć lat.

Rebus uśmiechnął się ze skruchą.

– Odnoszę wrażenie, że dobrze go pani zna i lubi – wtrącił Fox. – Podejrzewamy, że ma jakieś kłopoty, i chcemy pomóc. Jeżeli więc coś pani wie, ma pani teraz szansę to powiedzieć. – Zamilkł na chwilę, by uświadomiła sobie wagę jego słów, i podał jej wizytówkę.

Zerknęła na nią.

– Pańskiego dokumentu chyba nie widziałam – zwróciła się do Rebusa.

– Nie mam przy sobie.

– Czyli nie jest pan funkcjonariuszem policji? Może jest pan ze służb skarbowych. HMRC*, FCA**?

– Spodziewa się pani ich wizyty?

Zignorowała jego pytanie i otworzyła szufladę, żeby wrzucić do niej wizytówkę.

– Chciałabym już iść do domu, jeżeli panowie nie mają nic przeciwko temu.

– Zastanawiała się pani, czy zgłosić jego zaginięcie? – spytał Fox, gdy wstała i zaczęła zapinać krótki wełniany płaszcz.

– Jeżeli nie odezwie się przez kilka najbliższych dni.

– Zakładam, że to nie leży w charakterze pana Brougha?

– Czasem miewa jakieś kaprysy... chce spędzić wieczór w Londynie, pojechać na wyścigi konne do Francji...

– Czyli jest typem hazardzisty?

– Musieliby go panowie sami spytać.

– Spyamy... jeżeli się tylko pojawi.

– Naprawdę nie przychodzi pani do głowy, co mogło się z nim stać? – spytał Fox. – Mam na myśli coś poważnego.

– Jeśli pokłócił się z Darrylem Christiem, to całkiem możliwe – dodał Rebus. – Dobrze byłoby, gdyby miała to pani na uwadze.

Czekali, aż znowu pogasi światła i włączy alarm. Rebus domyślił się, które drzwi prowadzą do gabinetu Brougha, i nacisnął klamkę, ale były zamknięte na klucz.

– Może następnym razem przyjdzie pan z nakazem – poradziła mu Sewell.

– Postaram się – odparł.

CLARKE PRZYPUSZCZAŁA, ŻE Christie wywiózł matkę i braci do należącego do niego hotelu butikowego przy jednej ze stromych ulic, biegnących z północy na południe przez New Town. Powiedziała o tym Alwinowi Jamesowi, kiedy jednak dotarli na miejsce, w recepcji nic o tym nie wiedziano.

– Proszę pamiętać, że jesteśmy z policji – zwróciła się do modelki, która najwidoczniej po zakończeniu kariery została recepcjonistką. – Wiem, że Darryl jest nieufny, ale nie wobec nas.

– Naprawdę ich tu nie ma, obydwie piętra są zamknięte i w remoncie.

Rzeczywiście, wykładzina prowadząca do schodów, podobnie jak same schody, była przykryta przezroczystą folią polietylenową.

– Przepraszam – powiedziała Clarke, gdy wracali do jej samochodu.

– To nie twoja wina, Siobhan – pocieszył ją James. – Gdybyś zadzwoniła i usłyszała to przez telefon, czułabyś, że musisz przyjechać i przekonać się na własne oczy.

Zerknęła na niego.

– Skąd wiesz?

– Każdy dobry detektyw zrobiłby to samo. Dokąd teraz?

– Może do domu Christiego. To pięć minut drogi stąd.

Zawiozła go tam okrężną drogą, żeby mógł zobaczyć Ogród Botaniczny i park Inverleith. Przyglądał się imponującym domom z kamienia.

– Byłoby mnie stać na taki za pensję gliniarza z dochodzeniówki? – spytał.

– Nie, nawet gdybyś był komendantem głównym.

Zaparkowali na ulicy i wysiedli. Na podjeździe przed domem nie było żadnych pojazdów.

– Nie widzę jego range rovera – rzuciła Clarke, przygotowując Jamesa na następny niewypał. Ale gdy zadzwoniła do drzwi, usłyszała hałas w środku. Po chwili w progu stanęła Gail McKie. Gdy Clarke próbowała opanować zaskoczenie, James spytał, czy w domu jest Cal.

– O co chodzi tym razem? – spytała ostro McKie.

– Mamy tylko kilka pytań.

– Już pani mówiłam, że on nic nie widział.

James był wyraźnie zdziwiony.

– Mówi o napaści na Darryla – wyjaśniła Clarke.

– Mimo to chcielibyśmy z nim porozmawiać – naciskał James.

– W mojej obecności? – McKie wahała się przez chwilę. – A może naszego adwokata?

– Proszę bardzo, może pani uczestniczyć w rozmowie – postanowił James. – Chociaż pani syn zapewne nie będzie zachwycony...

Czekali w kwiecisto-wzorzystym salonie, aż przyprowadzi chłopaka. Cal wszedł z ponurą miną, zgarbiony, unikając kontaktu wzrokowego. Jego ciemne nastroszone włosy wyglądały na farbowane, na policzkach miał blizny po trądziku.

– Nic nie widziałem – oświadczył bez żadnych wstępów. – Nie mam nic do powiedzenia. – Klapnął na fotel i zacisnął palce na podłokietnikach.

– Nie po to przyszliśmy – odparł James. Nie usiadł, podobnie jak Clarke. McKie usadowiła się na kanapie, podwijając nogi, i mierzyła surowym wzrokiem oboje detektywów. – Przyszliśmy w sprawie klubu Tomahawk. I tego wieczoru, kiedy ty i twoi kumple nie zostaliście tam wpuszczeni.

Chłopak usiłował powstrzymać falę purpury, która zalała mu twarz pod spojrzeniem matki.

– Co to znaczy? – zapytała.

– Oni kłamią – wyrzucił z siebie.

James wyjął z kieszeni wydruki z monitoringu.

– Mamy dowód, że tak było. Znamy już jedno nazwisko, niejakiego pana Hodgesa, ale musimy znać jeszcze dwa pozostałe.

– Dlaczego? – spytała McKie.

– Bo grożono człowiekowi stojącemu na bramce klubu, proszę pani. I to była poważna groźba.

– Ty mu groziłeś? – Wwiercała się wzrokiem w syna.

– To był Dandy – wyznał.

– Chyba ci mówiłam, żebyś przestał się zadawać z tym gnojkiem!

Cal wiercił się w fotelu.

– Przez niego są same kłopoty. Zawsze tak było!

– Czy Dandy to ksywa? – przerwała jej Clarke.

– Nazywa się Daniel Reynolds. Mieszka w Lochend. Chodził z Calem do szkoły.

– Dandy jest w porządku – dodał Cal.

– Groził bramkarzowi, że go zabije? – spytał James.

Chłopak zaczął się wiercić jeszcze bardziej.

– Może powiedział mu, że wróci i go potnie. Ale to były wygłupy, popisywał się i tyle.

– Był z wami jeszcze jeden młody mężczyzna, zgadza się?

– Roddy Cape. Jest rok wyżej ode mnie w college’u.

– Tylko ty byłeś nieletni? – chciała wiedzieć Clarke.

Cal skinął głową.

– Bramkarz miał zamiar wpuścić resztę, tylko nie mnie. Chyba chciał sprawdzić, co zrobimy. Jakby próbował nas zdenerwować. Wtedy wmieszał się Harry, żeby uspokoić sytuację, i tyle.

– Kto to jest Harry? – spytała ostrym tonem Gail McKie.

Jej syn zacisnął usta.

– Pracuje dla Darryla – odpowiedziała za niego Clarke. – Został z nimi wysłany w roli opiekunki. Zgadza się, Cal? Miał dopilnować, żeby wieczór przebiegł bez żadnych zakłóceń?

– Chyba tak – przyznał chłopak.

– No to już wszystko jasne – podsumowała McKie. – Bramkarz usłyszał parę inwektyw, ale nie ode mnie. Możecie już iść i polować na czarownice gdzie indziej.

– Rzeczy w tym, że ten bramkarz nie żyje, proszę pani – poinformował ją James. Cal po raz pierwszy uniósł na nich wzrok i bezgłośnie otworzył usta. – Dlatego rozumie pani, że musimy brać pod uwagę wszystkich, którzy mieli do niego jakieś pretensje. Moim zdaniem w tym momencie to dotyczy Daniela Reynoldsa.

– Cal, czy Dandy nosi nóż? – spytała łagodnie Clarke.

– Skąd mam wiedzieć?

– Bo prawdopodobnie jest takim typem chłopaka, który pochwaliby się tym przed kumplami.

– Jest pyskаты, i tyle. Poza tym wie, że kiedy jest gdzieś ze mną, nie potrzebuje żadnej lepszej ochrony.

– Bo twoim bratem jest Darryl Christie. – Clarke pokiwała głową. – Ale przecież ktoś napadł Darryla, prawda? Ktoś pokazał, że on też jest tylko człowiekiem.

– A co policja robi w tej sprawie? – warknęła Gail McKie, krzyżując ręce na piersi. – Aresztuje jakiegoś faceta, a potem go wypuszcza i skupia się na czymś takim, bo napaść na jednego ze swoich zawsze jest ważniejsza.

– Nie napaść, ale zabójstwo – sprostowała Clarke.

– Wie pani, co mam na myśli: inne prawo jest dla nas, inne dla was. Tak zawsze było i będzie. – McKie zsunęła nogi z kanapy. – Skończyliśmy już?

– Potrzebujemy adresów Dandy’ego i Roddy’ego – powiedział James ze wzrokiem utkwionym w jej synu.

– Nie znamy ich adresów – odburknęła McKie.

– Cal nigdy nie był u nich w domu? – W głosie Jamesa brzmiało niedowierzanie. – Ale chyba ma ich numery telefonów, prawda? Przynajmniej tyle może nam przekazać.

Twarz McKie pociemniała. Gdy zerwała się na nogi, wydała niemal zwierzęce warknięcie i kopnęła syna w kostkę.

– Powiedz im – rozkazała. – A potem sobie porozmawiamy.

Chłopak już wyjmował telefon z tylnej kieszeni, włączył i otwierał listę kontaktów.

– Darryla nie ma w domu? – zwróciła się do jego matki Clarke, starając się, by pytanie brzmiało najnaturalniej na świecie.

– Wrócił do pracy, mimo tych wszystkich obrażeń... Ten chłopak nie daje sobie nawet chwili odpoczynku. – Ostatnia uwaga była wyraźnie skierowana pod adresem Cala.

– Chcesz te numery czy nie? – Wyciągnął komórkę w stronę matki.

– Nie mnie, im podaj – warknęła.

Chłopak podyktował jej, a Clarke wpisała wszystkie informacje do swojego telefonu.

– Jeszcze jedno, pani McKie – powiedziała, gdy skończyła. – Wszystko wskazuje, że podejrzany, o którym pani wspomniała, zaginął.

– Tak?

– Nic pani nie wiadomo na ten temat, prawda?

McKie przewróciła oczami, ale nie odezwała się.

Kiedy wracali do samochodu, James wydawał się zadowolony z wyników tej wizyty. Clarke znacznie mniej. Darryl Christie powiedział jej, że przeprowadził rodzinę do bezpiecznego miejsca. Dlaczego zmienił zdanie? A może w ogóle ją okłamał?

– Z powrotem do Leith? – zaproponował James, otwierając drzwi po stronie pasażera.

– Z powrotem do Leith.

* Skróć od Her Majesty's Revenue and Customs (Urząd Skarbowy i Celny Jej Królewskiej Mości).

** Skróć od Financial Conduct Authority (Główny Urząd do spraw Finansów).

ROZDZIAŁ 16

STOJĄC W DRZWIACH CENTRUM operacyjnego, Fox patrzył w stronę swojego biurka. Siedziała za nim Siobhan Clarke z nogą założoną na nogę, kubkiem herbaty przed sobą i czekoladowym ciastkiem w ustach. Właśnie powiedziała coś, co wywołało chichot wszystkich obecnych, który zamarł, gdy zobaczyli Foxa.

– Syn marnotrawny wrócił – rzucił Alvin James i teatralnie wyciągnął rękę, by go powitać. – Co się stało? Zmęczyło cię przesłuchanie Maxine Dromgoole?

Fox wszedł na środek pomieszczenia. Minął go Rebus, zmierzający w kierunku czajnika.

– Musiałem sprawdzić kilka nazwisk, które mi podała. Jeden człowiek mieszka w Fife, drugi w Perthshire. Mówię, na wypadek gdybyś przypuszczała, że się objąłem...

James uniósł ręce w geście kapitulacji.

– Wygląda na to, że zabrałeś ze sobą obstawę. I to osobę postronną. Kto by pomyślał! To na pewno zrobiłoby dobre wrażenie, gdyby te „nazwiska” miały stanąć przed sądem.

– Dobrze gada – zakpił Rebus, napełniając kubek. – Zostały jakieś ciastka?

– Niestety – odparła Clarke i rozgryzła ostatni kawałek swojego herbatnika.

– Czas na zwierzenia – oznajmił James, uderzając dłonią w blat biurka. – Wszystko sobie opowiemy, wy nam, a my wam.

– W porządku – odparł Fox ze wzrokiem utkwionym w Clarke.

Zrozumiała aluzję i zwolniła krzesło, jego krzesło. Przesunął się obok niej i usiadł przy biurku. Mark Oldfield zaofiarował jej swoje miejsce, ale pokręciła głową, przysiadła na rogu biurka i zaczęła machać nogami.

– No to zaczynajmy – powiedział Alvin James.

REBUS ZAPROSIŁ ICH NA drinka, ale Clarke odwołała udział w spotkaniu, ponieważ obiecała Alwinowi Jamesowi, że zaprowadzi go do swojej ulubionej restauracji.

– Niewiele czasu potrzebowała, żeby się oswoić – poskarżył się Fox, gdy Rebus wrócił od baru do ich narożnego stolika.

– Uspokój się – ofuknął go Rebus. – To nie Shiv dostała awans do Gartcosh, nie pamiętasz?

– Ale pasowałyby tam o wiele bardziej niż ja. Obaj o tym wiemy, więc nawet nie próbuj protestować.

– Jak twój sok pomidorowy?

– Nie zaszkodziłby mu kielonek wódki. A twoje niskoprocentowe piwo?

Rebus skrzywił się.

– Popatrz, co się z nami porobiło – mruknął Fox, wywołując chichot towarzysza.

Przez kilka sekund popijali w milczeniu. Rebus wierzchem dłoni otarł pianę z ust.

– Ale to, co mówiła Siobhan, było ciekawe – odezwał się wreszcie.

– Staralem się nie słuchać.

– Darryl powiedział jej, że wyprowadził wszystkich z domu, a tak naprawdę wcale tego nie zrobił.

– Po co mówić prawdę, skoro można skłamać?

– Mimo wszystko to trochę dziwne kłamstwo.

– Mógł mieć swoje powody – rzucił Fox.

– Na przykład?

– Chowa się za plecami mamy i braci, wychodząc z założenia, że ten, kto mu źle życzy, nie będzie chciał skrzywdzić cywilów.

– Być może.

– Albo po prostu lubi okłamywać policję. Mam wrażenie, że każdy, z kim ostatnio rozmawiałem, przynajmniej raz mnie okłamał: Dromgoole, Peter Attwood, John Turquand, Molly Sewell...

– Ja też? – dorzucił Rebus.

– Prawdopodobnie. A właściwie prawie na pewno. Tato zawsze wbijał do głowy Jude i mnie, że pójdziemy do piekła, jeżeli chociaż raz skłamiemy.

– I trzymałeś się tego?

– Staralem się, jak umiałem najlepiej.

– Wobec tego może nie dołączysz do nas w ognistej otchłani. – Rebus uniósł w toaście szklankę, po czym wypił łyk.

– Odkładasz powrót do domu? – spytał Fox. – Na wypadek gdyby rzeczywiście czekała na ciebie wiadomość na sekretarce?

– Niczego się nie przestraszę, Malcolm.

– Naprawdę? Ze mną jest odwrotnie.

– Dobrze, bo to świadczy o twojej wyjątkowej ostrożności. Weźmy na przykład twoje przygody z alkoholem: zobaczyłeś, że zaczynasz mieć z tym problem, więc go odstawiłeś. Sam powinienem to zrobić wiele lat temu. A tymczasem rzuciłem wyzwanie pijackiemu demonowi i wzięliśmy się za bary.

– W takich pojedynkach zawsze jest tylko jeden zwycięzca.

– Aha, śmierć. To samo czeka mnie w domu, wszystko jedno, czy wiadomość przysła, czy nie.

– Właśnie dlatego lubię z tobą rozmawiać, John. Swoim pozytywnym nastawieniem potrafisz rozproszyć wszystkie czarne chmury.

– Ale teraz naprawdę się uśmiecham.

Fox spojrzął na niego.

– Rzeczywiście. Ciekawe dlaczego.

Rebus pochylił się i lekko poklepał go po ramieniu.

– Ty teraz stawiasz kolejkę, chłopcze.

Zjawiła się barmanka Denise, rozglądając się za pustymi szklankami. Spojrzała spode łba na Rebusa.

– Jeżeli ten lokal splajtuje, to będzie twoja wina.

Rebus zerknął na Foxa.

– Teraz widzisz, skąd mam to pozytywne nastawienie.

FOX NIE SKORZYSTAŁ Z PROPOZYCJI Rebusa, żeby coś przekąsić. Zastanawiał się, do której restauracji Siobhan zabrała Alvina Jamesa. Były trzy możliwości, więc przejechał samochodem obok każdego z tych lokali, zwalniając i wypatrując przez okna. Potem wstąpił do Sainsbury's, gdzie kupił gotowe danie do mikrofalówki, parę bananów i wieczorną gazetę.

Przeżyjesz, powiedział sobie, wjeżdżając na podjazd przed swoim parterowym domem w Oxfords. Gdy zabierał z fotela pasażera torbę z zakupami, usłyszał, jak gdzieś w pobliżu otwierają się i zatraskują drzwi samochodu. Uniósł głowę i zobaczył, że to Darryl Christie. Stał obok białego range rovera i czekał, aż inspektor do niego podejdzie. Tymczasem Fox otworzył drzwi domu, wszedł do środka, postawił torbę na blacie w kuchni i stał tam, dopóki nie rozległ się dzwonek do drzwi. Otworzył.

– Wzywałeś wsparcie? – spytał Christie. – Bo jeżeli tak, to lepiej zadzwoń jeszcze raz i odwołaj. To musi być prywatna rozmowa.

– Nie pamiętam, żebyśmy byli umówieni, panie Christie.

– Mam do powiedzenia coś ważnego.

– W takim razie powinieneś jutro wpaść do Leith.

Christie patrzył ponad jego ramieniem.

– Lepiej wejdźmy do środka – zaproponował.

– To nie jest najlepszy pomysł.

– No to chodźmy do mojego wozu. To naprawdę musi zostać między nami.

– Nie powinieneś tu przychodzić.

– Czy ty w ogóle mnie słuchasz? – Twarz Christiego przybrała surowy wyraz.

– Szczerze mówiąc, mam lepsze plany na wieczór.

Mężczyźni przyglądali się sobie przez chwilę. Wreszcie Christie pociągnął nosem i przesunął palcem po jego nasadzie.

– W porządku – rzucił i wykonał półobrót, jakby chciał odejść. Zaraz się jednak zatrzymał. – Tylko pamiętaj, że tu chodzi o głowę Jude...

Odszedł ścieżką z rękami w kieszeniach, nie oglądając się za siebie.

– Blef – mruknął pod nosem Fox i wrócił do środka. Wyjął gotowe danie z kartonowego opakowania i czubkiem noża przebił warstwę folii. Trzy minuty w mikrofalówce, potem zostawić jeszcze na minutę. Spożyć gorące. Otworzył drzwiczki kuchenki, lecz znieruchomiał. Patrzył na pierwszą stronę gazety leżącej na blacie, ale nie widział ani słowa.

– No dobrze – powiedział i podszedł do drzwi.

Range rover stał w tym samym miejscu, a Christie bębnił palcami w kierownicę. Fox wsiał z przodu obok niego i zatrzasnął drzwi.

– Mów – powiedział.

Christie głęboko zaczerpnął tchu i powoli wypuścił powietrze z płuc, jakby niepewny, czy się odezwać. Przekonał go ruch dłoni Foxa w kierunku klamki.

– Nie wiedziałem, że to twoja siostra... w każdym razie z początku. Znałem tylko jej imię. Imię i adres. Właściwie adres i szczegóły finansowe. – Christie umilkł, żeby to dotarło do inspektora.

– Jest ci winna pieniądze? – domyślił się Fox.

– Owszem.

– Ile?

– Zanim do tego przejdziemy, pogadajmy o tobie. O tym, że zostałeś tu oddelegowany z Gartcosh, wypytujesz o bukmacherów i próbujesz naciskać własną siostrę, żeby dla ciebie szpiegowała... – Christie cmoknął z dezaprobatą. – Pranie pieniędzy przez automaty do gier hazardowych? Naprawdę sądzisz, że mógłbyś mi zarzucić coś takiego?

– Twierdzisz, że to się nie dzieje?

– Twierdzę, że byłoby ci cholernie trudno udowodnić to przed sądem. A jeszcze werbujesz do tego własną siostrę... kobietę ze skłonnościami do hazardu... Nie wydaje mi się, żeby to był wiarygodny świadek, inspektorze.

Fox poczuł, że zaciska szczęki, przede wszystkim dlatego, że Christie miał rację.

– To operacja zatwierdzona przez Gartcosh? – spytał Christie. – Czy może twoja własna inicjatywa? Jeżeli do drugie, wątpię, żeby twoi szefowie byli zachwyceni.

– Zapytam jeszcze raz: ile jest ci winna?

Christie pierwszy raz odwrócił się twarzą w jego stronę i odpowiadając, gładził palcami kierownicę.

– Dwadzieścia siedem tysięcy... mniej więcej.

Fox próbował przełknąć ślinę, bo nagle zaschło mu w ustach.

– Myślę, że kłamiesz – powiedział.

– W takim razie zapraszam do Diamentowego Joego, pokażę ci kwoty. Oczywiście przede wszystkim z jej działań w sieci. Jestem prawie tak samo zaskoczony jak ty... przecież oprocentowanie jest poniżej czterdziestu...

– Dostaniesz ode mnie te pieniądze.

– Na pewno.

– Daj mi tylko trochę czasu.

– Właśnie w tym cały problem: nie masz czasu, inspektorze, bo chcę czegoś od ciebie natychmiast.

– Z bankomatu mogę zaraz wziąć kilka stów.

– Nie chodzi mi o pieniądze! – warknął Christie.

– A o co?

– O informacje, oczywiście. Informacje, które przechowuje Gartcosh.

– Chcesz wiedzieć, co na ciebie mają?

– Zwłaszcza jeżeli chodzi o związki z tym człowiekiem. – Christie wziął karteczkę leżącą na desce rozdzielczej.

Fox rozłożył ją.

– Aleksander Głuszenko – przeczytał. – Brzmi z rosyjska.

– To Ukrainiec.

Fox jeszcze raz przyjrzał się nazwisku, po czym wyciągnął kartkę w stronę Christiego.

– Nie mogę tego zrobić – oświadczył.

– Szkoda. Jude zostanie bez środków do życia, w sprawę zostanie wmieszane twoje nazwisko, gazety dostaną cynk, że wykorzystałeś ją jako przynętę... a twoi szefowie zostaną zawiadomieni o twoich wszystkich numerach. – Christie wskazał karteczkę. – Naprawdę proszę o tak wiele, Malcolm?

– Mogę ci dać pieniądze.

– Zachowaj to nazwisko. W ten sposób może wstrzymam się na kilka dni, zanim puszczę z torbami ciebie i twoją siostrę. – Christie urwał na chwilę. – A teraz wypierdalaj z mojego samochodu.

Fox zdawał sobie sprawę, jakie to byłoby miłe uczucie porwać karteczkę na tysiące kawałeczków i rzucić Christiemu w twarz. Mimo to otworzył drzwi i wysiadł, ściskając w dłoni świstek. Range rover odjechał, zanim Fox zdążył dotrzeć do drzwi domu.

W kuchni zerwał folię z pudełka z daniem i dopiero wtedy przypomniał sobie, że w ogóle go nie podgrzał. Zaklął pod nosem i wyjął telefon.

– Chryste – rzuciła Jude, kiedy odebrała. – Posłuchaj, Malcolm...

– Jesteś niewiarygodną, pieprzoną kretynką! Nie dość, że wpakowałaś się w taki dług... u takiej bestii jak on... to jeszcze rzuciłaś mnie w jego paszczę jak ochłap!

– Wiem, wiem, wiem. Nie myślałam trzeźwo. W ogóle nie myślałam.

– Myślałaś tylko o sobie, siostrzyczko, jak zawsze. Potrafisz zostawić wszystkich na pastwę losu, byle tylko nic złego nie stało się Jude... – Westchnął i zniżył głos. – Obiecay mi, że znajdziesz pomoc, pójdiesz na terapię do Anonimowych Hazardzistów, zrobisz, co będzie trzeba. Dwadzieścia siedem tysięcy, Jude...

Słuchał jej szlochów z zamkniętymi oczami i czołem opartym o drzwiczki kuchennej szafki. Próbowana coś mówić, ale nie rozumiał ani słowa. To i tak nie miało znaczenia.

Zakończył rozmowę i przysiadł na stołku przy blacie. Wziął długopis i na niezadrukowanej stronie kartonowego opakowania po daniu zaczął obliczać, ile ma i ile może zebrać. Karteczka leżała trochę dalej na blacie, zmięta, ale czytelna. Z łatwym do zapamiętania imieniem i nazwiskiem: Aleksander Głuszenko.

Kim, do cholery, jest Aleksander Głuszenko?

Gdyby Fox to ustalił i odkrył powiązania między nim a Christiem, czy mógłby to w jakiś sposób wykorzystać przeciwko Christiemu, zamiast stać się jego współnikiem?

Być może. Ale tylko być może.

Na wszelki wypadek liczył jednak dalej...

W MIESZKANIU PRZY ARDEN STREET na Rebusa czekały trzy nagrane wiadomości.

„Naciśnij jeden albo powiedz jeden, aby odsłuchać wiadomości...”

Zamiast je sprawdzić, stanął przy oknie i spojrzał w mrok. Potem podszedł do gramofonu. Wciąż leżała tam płyta *Solid Air*, od tamtego wieczoru, gdy Deborah Quant została na noc. Album, który nigdy go nie zawiodł, bez względu na kłopoty, z jakimi Rebusowi przyszło się mierzyć. Zresztą czy John Martyn sam nie miał kłopotów? Johnny Too Bad ostro pił, kłócił się i awanturował w przyjaciółmi i kochankami. Jedną nogę odcięto mu na sali operacyjnej. Mimo to dalej pędził przez życie, śpiewał i grał do samego końca.

Płyty są miło pomyślane – kiedy się kończą, można podnieść igłę i jeszcze raz zacząć od początku.

Gdy cicho rozbrzmiał tytułowy utwór, Rebus w końcu wziął telefon.

„Naciśnij jeden...”

Nacisnął.

I usłyszał nagrałą automatycznie wiadomość, że zostało mu niewiele czasu, by ubiegać się o zwrot niesłusznie naliczonych opłat za ubezpieczenie kredytu.

Do skasowania.

Druga wiadomość...

Ten sam automatyczny komunikat. Fragment dalszej części głędzenia o tym samym.

Do skasowania.

Trzecia wiadomość...

„Czy wiesz, że dzięki wspieranemu przez rząd programowi możesz otrzymać nowy bojler bez żadnych opłat?”

Do skasowania.

„Nie masz więcej nowych wiadomości”.

Rebus wpatrywał się w telefon przez całe piętnaście sekund, a potem odłożył słuchawkę na stację bazową. Zerknął na swoją pierś.

– Przy takim tętnie serce mi wysiądzie, zanim załatwi mnie Hank Marvin – mruknął i włączył wzmacniacz na cały regulator.

DZIEŃ SIÓDMY

ROZDZIAŁ 17

NASTĘPNEGO DNIA RANO FOX pojechał do Gartcosh. Miał za sobą niespokojną noc, a przy gołeniu zaciął się w podbródek. Kiedy się obudził, czekały na niego cztery esemesy od Jude, trzy z przeprosinami, a jeden jadowity i napastliwy. Wszedł do głównego budynku, wspiął się po schodach i minął biuro służb skarbowych. Przez okno zobaczył siedzącą za biurkiem Sheilę Graham, więc wrócił na parter, wziął kawę i znalazł w atrium miejsce, z którego widział piętro.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Przypomniał sobie, że to potrafi – wtopić się w tło, stać się niewidzialnym. Zawsze lubił obserwację i siedzenie podejrzanym na ogonie. W garniturze, z krawatem i identyfikatorem na szyi wyglądał tak samo jak wszyscy. Tylko najwyżsi rangą funkcjonariusze nosili strój przypominający mundur. Gdyby ich usunąć, budynek nie różniłby się niczym od każdego korporacyjnego biurowca w kraju.

Graham wyszła z biura i zmierzała w stronę drugiego skrzydła, gdzie za drzwiami otwieranymi specjalną kartą schronił się wydział do spraw zwalczania przestępczości zorganizowanej. Fox nawet się nie zdziwił, że Graham nosi na szyi właśnie taką kartę. Otworzyła drzwi, a gdy tylko przestąpiła próg, był już w połowie schodów. Wszedł do biura HMRC i rozejrzał się. Sąsiad Graham siedział przy swoim komputerze, zwrócony twarzą do jej biurka. Fox, pamiętając go z poprzedniej wizyty, skinął mu głową.

- Właśnie się minęliście – poinformował go mężczyzna.
- Kiedy wróci?
- Poszła omówić jakieś sprawy administracyjne z naczelnikiem McManusem.

Fox ostentacyjnie sprawdził godzinę na zegarku.

- Może chwilę zaczekam, jeżeli wolno.

Kolega Graham wyraził zgodę wzruszeniem ramion i z powrotem skupił uwagę na ekranie. Fox usiadł przed jej komputerem. Włączył się wygaszacz ekranu i gdy Fox trącił myszkę, zobaczył, że do odblokowania potrzebne jest hasło.

- Myśli pan, że będzie miała coś przeciwko, jeżeli sprawdzę swoją skrzynkę mailową?
- Nie może pan tego zrobić na telefonie?
- Nie zawsze łapie zasięg.
- Niech pan wpisze *GcoshG69*.

Fox wstukał hasło.

- Dzięki.

- Powiniennem zapytać, czy sprawa w Edynburgu posuwa się do przodu.

– Powoli – odparł Fox. Przyglądał się liście plików. Nie zauważył nazwiska Głuszenki, więc wpisał je do okna wyszukiwania.

Bez rezultatu.

Przez dłuższą chwilę patrzył w ekran, po czym skupił uwagę na biurku. Z prawej strony klawiatury i monitora leżał kilkucentymetrowej grubości plik szarych teczek z dokumentami. Otworzył pierwszą, ale informacje nic mu nie mówiły. Nic nie znalazł też w teczce pod spodem. Po drugiej stronie blatu stała taca pełna arkuszy formatu A4, spiętych zszywkami albo spinaczami; część dokumentów oznaczono kolorowymi karteczkami samoprzylepnymi. Tu też nie było jednak ani jednej wzmianki o Głuszenie.

W biurku były dwie głębokie szuflady. Fox ostrożnie wysunął tę, która była najbliższej. Tkwiły w niej starannie ułożone dokumenty.

- Wszystko w porządku? – spytał funkcjonariusz HMRC, nabierając podejrzeń.
- Zastanawiam się tylko, czy dostała raport, który jej wysłałem.
- Chyba łatwiej ją o to zapytać, nie?
- O co zapytać?

Fox odwrócił głowę i zobaczył stojącą w drzwiach Sheilę Graham.

- Krótkie to spotkanie – zauważył.
- McManus został gdzieś wezwany. – Zrobiła kilka kroków w stronę swojego biurka.

Fox wstał, by ustąpić jej miejsca, ale ona patrzyła na ekran. Też na niego spojrzął i zobaczył, że wciąż wyświetlają się na nim wyniki wyszukiwania nazwiska Głuszenki. Kiedy odwrócił się do niej, wpatrywała się w niego nieruchomo.

- Musimy pogadać – powiedziała cicho. – W cztery oczy.

Wyszedł za nią z biura i łącznikiem skrzył do jednego z przeszklonych pomieszczeń przeznaczonych na prywatne spotkania. Obróciła tabliczkę na drzwiach na ZAJĘTE, weszła, usiadła przy dużym prostokątnym stole i wyjęła telefon.

- Siadaj – poleciła Foxowi.
- Mogę to wytłumaczyć.
- Zaraz to zrobisz, ale musi to usłyszeć ktoś jeszcze. – Czekala na połączenie. Gdy ktoś odebrał, poinformowała rozmówcę, że przełącza na głośnik. Położyła telefon na blacie.
- O co chodzi, Sheila? – zapytał jakiś mężczyzna.
- Jest tu ktoś ze mną. Detektyw inspektor Malcolm Fox. Wspominałam ci o nim.
- Rzeczywiście.
- Jesteśmy w prywatnym pokoju i nikt nie może podsłuchać naszej rozmowy. Czy u ciebie jest tak samo?

- Tak.
- Wobec tego może na początek przedstawić się inspektorowi Foxowi.

– Nazywam się Alan McFarlane. Kieruję Wydziałem Przystępstw Gospodarczych w Narodowej Agencji do spraw Przystępności w Londynie.

– Inspektor Fox właśnie podał mi pewne nazwisko... nazwisko, którego nie zna ode mnie... – poinformowała go Graham.

- Czy zaczyna się na G?
- Tak.

– Aleksander Głuszenko – dodał Fox, czując, że musi coś powiedzieć.

- Skąd pan je zna, inspektorze?

Fox nachylił się nad telefonem.

– Dobrze mnie pan słyszy?

– Głośno i wyraźnie.

– Mówi pan ze szkockim akcentem, panie McFarlane.

– Trafne spostrzeżenie. Ale wracając do mojego pytania...

– Poproszono mnie, żebym zbadał interesy przestępcy z Edynburga, Darryla Christiego, i jego powiązania z pośrednikiem inwestycyjnym, Anthonym Broughiem. Nawiasem mówiąc, Brough zaginął. Jego asystentka od ponad tygodnia nie ma od niego żadnych wiadomości.

– Nie wiedziałem o tym – odparł McFarlane.

Fox zobaczył, że na twarzy Graham pojawia się lekki rumieniec.

– Brough wynajmuje mieszkanie nad punktem bukmacherskim, a właścicielem jednego i drugiego jest Christie. Dlatego umieściłem kogoś w pobliżu tego miejsca.

– Kogoś zaufanego?

– Oczywiście. I właśnie ta osoba usłyszała nazwisko Głuszenki.

– W związku z czym?

– Nie udało jej się usłyszeć kontekstu, wychwyciła tylko nazwisko.

– Muszę dodać jeszcze jedno – powiedziała Graham, wpatrując się w Foxa. – Pięć minut temu zastałam inspektora Foxa przy moim komputerze. Próbował uzyskać dostęp do informacji o Głuszenie.

W telefonie zapadła cisza na dziesięć długich sekund; Fox wytrzymał w tym czasie spojrzenie Graham.

– W jakim celu? – zapytał wreszcie McFarlane.

– Ponieważ zacząłem podejrzewać, że pani Graham nie ujawnia mi wszystkiego – odparł Fox. – Bez pełnej wiedzy o sytuacji mogę narażać ludzi na niebezpieczeństwo, zwłaszcza siebie i swój kontakt. A skoro już wiem, że to pan nadzoruje operację, wydaje mi się, że moje przeczucia były słuszne.

– Domyślam się, że szukał pan Głuszenki w internecie?

– Tak.

– I nic pan nie znalazł?

– Zgadza się.

– To dlatego, że został Aleksandrem Głuszenką mniej więcej rok temu. Wcześniej miał wiele innych fałszywych tożsamości, ale naprawdę nazywa się Anton Nazarczuk.

– Rozumiem.

– Brzmi z rosyjska, ale tak naprawdę jest Ukraińcem.

– I ma coś wspólnego z mieszkaniem w Edynburgu, które stało się jednoosobowym, szemranym rejestrem działalności gospodarczej?

– Tak.

Graham odchrząknęła.

– Mogę przekazać inspektorowi Foxowi wszystkie istotne szczegóły, jeżeli dostanę twoją zgodę.

– Szkoda, że nie rozmawiamy osobiście – powiedział McFarlane. – Wydaje mi się, że znam się na ludziach.

– Jeżeli ktoś ma problem z zaufaniem, to raczej ja – poskarżył się Fox.

– Dowiedział się pan tyle, ile uznano za konieczne.

W słuchawce nastąpiła długa chwila milczenia, a potem rozległo się westchnienie.

– Wtajemnicz go – polecił McFarlane i zakończył rozmowę.

Graham wzięła ze stołu telefon i zaczęła go powoli przekładać z ręki do ręki.

– Boże, mam nadzieję, że jesteś na to gotowy, Malcolm.

– Będziemy go nazywać Głuszenko czy Nazarczuk?

– Głuszenko.

– No więc co zrobił pan Głuszenko?

– Zgłosił się do Anthony’ego Brougha po spółkę wydmuszkę.

– I co?

– Wpakował w nią wielkie pieniądze i wygląda na to, że część z nich zaginęła.

– To może tłumaczyć, dlaczego Brough się ulotnił.

– Ale jeśli Brough zapadł się pod ziemię...

Fox skinął głową, bo pojął już sytuację.

– ...to Głuszenko będzie szukał jego współników – dokończył. – W tym Darryla Christiego. – Zamyślił się. – Tyle tylko, że według mojego źródła to Christie szuka Głuszenki.

– Może ma mu coś do powiedzenia – zasugerowała Graham.

– Na przykład gdzie znajdzie Anthony’ego Brougha?

Pokiwała głową.

– Skąd się wzięły te pieniądze? – spytał Fox.

– Za chwilę do tego przejdę. Najpierw dwie sprawy. Aleksander Głuszenko ma powiązania z rosyjską mafią, a to oznacza, że jest dość niebezpieczny. – Czekala, by oswoił się z tą informacją.

– No i? – niecierpliwił się.

– A suma, o której mówimy, sięga blisko miliarda funtów.

– Powiedziałaś „miliarda”?

Graham wsunęła telefon do kieszeni zakietu.

– A propos, zapomniałam dzisiaj zabrać portfela, więc kiedy zrobimy sobie przerwę na kawę, ty stawiasz.

– W mieszkanku nad Klondyke Alley z ręki do ręki przeszedł miliard funtów?

– Nie w formie banknotów i monet, ale tak, można tak powiedzieć. A w którymś momencie ktoś uznał, że jeżeli tu i ówdzie wsiąknie parę milionów, nikt tego nie zauważy. – Wstała. – Może powinniśmy iść na tę kawę, zanim zaczną. Ta opowieść trochę potrwa...

CAFFERTY SIEDZIAŁ W TYM samym Starbucksie przy Forrest Road. Dał znak, że nie chce drugiej kawy, więc Rebus stanął w kolejce za kilkoma studentami.

– Jaką dostanę najszybciej? – zapytał, gdy nadeszła jego kolej.

– Filtrowaną – odparł barista.

– W takim razie średnią filtrowaną.

Dolał do kubka mleko i usiadł naprzeciwko Cafferty’ego przy stoliku, którego wielkość nie pozwalała na nic więcej niż postawienie dwóch kaw. Przed Dużym Gerem leżała gazeta, którą wcześniej czytał, złożona na pół, więc było widać tylko winiętę tytułową i nagłówek artykułu na pierwszej stronie.

– Wyglądasz okropnie – rzucił bez wstępów.

Zamiast odpowiedzieć, Rebus wypił łyk kawy.

– Wiem, wiem, wszyscy wyglądamy okropnie. – Cafferty zarechotał pod nosem.

Rebus stuknął palcem w datę wydrukowaną pod winiętą gazety.

– Dzisiejsza?

– Tak.

– To dobrze, bo inaczej przegapiłbym swoje urodziny.

Cafferty znowu zarechotał.

– Gdybym wiedział, coś bym ci kupił. A w ogóle jak leci?

– Nie mogę narzekać.

– Naprawdę zapomniałeś o własnych urodzinach? Nie dostałeś kartki od córki?

– Jakoś nie rwę się do otwierania listów. – Rebus znowu siorbnął kawę i postawił kubek na stoliku. – Chciałem się z tobą zobaczyć, bo obiecałem komuś przysługe.

– Naprawdę?

– Ta osoba nazywa się Maxine Dromgoole.

– Możliwe.

– Próbowala się z tobą skontaktować w sprawie książki, którą chce napisać. Książka ma być o tobie.

– O mnie?

– Pomyślałem to samo co ty: nikt przy zdrowych zmysłach nie miałby ochoty jej przeczytać.

W każdym razie obiecałem przekazać ci tę wiadomość.

– Co ci za to dała?

– Namiary na dwóch ludzi jeszcze starszych od nas.

– Którzy mają związek ze sprawą Turquand?

– Aha.

– Czyli nie zamierzasz tego odpuścić?

Rebus pokręcił głową.

– Masz już coś? – zaciekawiał się Duży Ger.

– Parę drobiazków.

Cafferty patrzył na niego w zamyśleniu.

– Naprawdę masz dzisiaj urodziny? Może jednak dam ci prezent, ładnie zapakowany i tak dalej...

– Rosjanina? – rzucił Rebus.

Duży Ger z uśmiechem pokręcił głową.

– W takim razie Crawa Shanda? – zgadywał dalej Rebus.

– Crawa?

– Wydaje mi się, że gdzieś go ukryłeś.

– Po co miałbym to robić?

– Bo prawdopodobnie może wskazać ci kogoś, kto napadł na Darryla Christiego. Oczywiście przy założeniu, że to nie byłeś ty. Pewnie chciałbyś wiedzieć, kto to zrobił i dlaczego. Dzięki temu miałbyś coś, co mógłbyś wykorzystać przeciwko Christiemu. – Rebus umilkł i patrzył mu nieruchomo w oczy. – Pamiętaj, to tylko przypuszczenie.

– Umiesz też wróżyć z ręki?

Rebus wzruszył ramionami.

– Jeżeli więc nie dostanę od ciebie Crows ani tajemniczego Rosjanina, to jaki masz dla mnie prezent?

– Tamten dzień w hotelu Caledonian. Dzień, w którym zamordowano Marię Turquand... Policja nie wiedziała o wszystkich, którzy wtedy tam byli.

– Co masz na myśli?

Cafferty nachylił się, opierając łokcie na kolanach.

– Chyba nic się nie stanie, jeżeli ci powiem. Może to cię nawet rozbawi.

– Ty? Ty tam wtedy byłeś?

– Zespół w trasie potrzebuje używek, a wożenie ich ze sobą to za duże ryzyko, więc zwykle mają jakiś kontakt w każdym mieście, w którym grają.

– Byłeś chłopcem na posyłki?

– Wtedy już raczej nie chłopcem, chociaż osiągnięcie wyżyn dopiero mnie czekało. Prawdopodobnie zleciłbym to komuś innemu, ale chciałem go poznać.

– Bruce’a Colliera?

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że byłem na jego koncercie w Usher Hall? To Bruce wciągnął mnie na listę gości. Opowiem ci, jak do tego doszło. Miałem przekazać towar menedżerowi w jego pokoju. No więc pukam, ale nikt nie otwiera.

– Do pokoju Vince’a Brady’ego?

– Tuż obok pokoju Marii Turquand, o czym jednak wtedy nie wiedziałem.

– Widziałeś ją?

Cafferty pokręcił głową.

– Drzwi na końcu korytarza były otwarte i słychać było stamtąd muzykę, więc wszedłem do pokoju i zobaczyłem Bruce’a Colliera i jego dwóch kolegów z zespołu. Było też parę młodych kobiet... ich dziewczyn, groupies, kto to wie? Powiedziałem Bruce’owi, z czym przyszedłem, ale nie wiedział, gdzie przepadł Brady... może chciał czegoś dopilnować w sali koncertowej. Bruce miał przy sobie za mało kasy, żeby zapłacić za towar, i w zamian zaproponował mi płytę z autografem, ale nie chciałem jej wziąć. No więc zaprowadził mnie do sypialni, a tam w łóżku chrapał jakiś jego kumpel, od którego cuchnęło wódką. Bruce trochę pogrzebał i wyciągnął wszystkie pieniądze, jakie facet miał przy sobie. Wyszło prawie tyle, ile się należało, więc byliśmy kwita.

– Ten facet to musiał być Dougie Vaughan.

– Tak?

– Zgadza się z jego wersją. Co się potem stało?

– Wyszedłem z kasą i obietnicą darmowego biletu.

– Nic więcej?

– To znaczy?

– Klucz do pokoju Vince’a Brady’ego... Vaughan twierdzi, że go zgubił. Widziałeś klucz w jego kieszeni?

– Nie.

Rebus zastanawiał się przez chwilę.

– A kiedy zabójstwo wyszło na jaw? – zapytał w końcu.

Cafferty uniósł rękę.

– Dosłownie zdębiałem.

- Nie przyszło ci do głowy, żeby się zgłosić?
- I powiedzieć waszym, że sprzedaję prochy w okolicy? Dziwne, ale w ogóle o tym nie pomyślałem.
- Mogłeś być spokojny, że Collier i jego świta nie wciągną cię do tej historii. Duży Ger pokiwał głową.
- Musiałeś chyba widzieć zdjęcia, które pojawiły się wtedy w gazetach? Jej męża i kochanka? – zapytał Rebus.
- Nikogo nie rozpoznałem, John. To są ci seniorzy, o których wspominałeś?
- Tak. Rozmawiałem też z Bruce'em Collierem.
- I kumplem z opróżnionymi kieszeniami. Nie lenisz się.
- Co się mówi o nieróbstwie i występku?
- Racja. – Cafferty uśmiechnął się. – Wcale nie myślisz, że nikt nie chciałby przeczytać mojej biografii, co?
- Chcesz, żebym cię skontaktował z panią Dromgoole?
- Zastanowię się. Byłoby miło coś po sobie zostawić.
- Oprócz protokołów sądowych i zdjęć w kajdankach.
- To chyba marna spuścizna, prawda? – przyznał Cafferty. – Czy moja wizyta w konfesjonale w czymś ci pomogła?
- Pomogłaby... gdyby Brady'ego rzeczywiście nie było w hotelu, a Vaughan był nieprzytomny.
- W takim razie wszystkiego najlepszego. – Cafferty wyciągnął do niego dłoń i uściślił sobie rękę.

REBUS PRZYSTANAŁ NA ŚWIATŁACH przed przejściem dla pieszych. Prezent urodzinowy? Chyba nie. Cafferty wyjawiał mu tę informację tylko z jednego powodu: aby Rebus skupił uwagę bardziej na przeszłości niż teraźniejszości. Coś się kroiło. Coś wisiało w powietrzu – nie tylko zapach kawy bijący ze Starbucks...

PO WYJŚCIU REBUSA CAFFERTY próbował dokończyć lekturę gazety, ale nie potrafił się skupić. Taki wpływ miał na niego ten człowiek. Wyjął więc telefon i wstukał numer.

- Halo? – odezwał się nieufny głos.
- To ja, Craw. Kogo innego się spodziewałeś? Tylko ja znam ten numer, pamiętasz?
- Lubiłem mój stary telefon.
- Twój stary telefon mogą namierzyć gliny. Niech lepiej leży na półce.
- Mogę już wrócić do domu? Czuję się tu jak w więzieniu.
- Przecież masz widok na morze, prawda? Poza tym to już niedługo. Musisz mi zaufać...
- Ufam panu, panie Cafferty. Naprawdę.
- W takim razie wytrzymaj jeszcze kilka dni. Pooglądaj sobie telewizję, poczytaj książkę. Przynoszą ci codziennie gazetę? Dają jeść i pić?
- Pooddychałbym świeżym powietrzem.
- To otwórz okno. Bo jeżeli się dowiem, że zawędrowałeś choćby na koniec ulicy, dostaniesz ode mnie cegłą w czaszkę, zrozumiano?
- Nigdy bym się nie odważył, panie Cafferty.

– Pamiętaj, Craw, że to dla twojego bezpieczeństwa.

– Mówi pan, że jeszcze tylko parę dni?

– Parę dni. Wtedy wszystko się wyjaśni, tak czy inaczej.

Cafferty rozłączył się i spojrział w okno kawiarni z taką miną, jakby doskonale rozumiał cały świat po drugiej stronie szyby. Potem wrócił do gazety. Dwie minuty później zabrzączał telefon.

– Tak, Darryl? – rzucił do słuchawki.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy masz jakieś wiadomości.

– O Anthonym Broughu? To ten finansista? Sprawdziłem go. Biuro przy Rutland Square, dom przy Ann Street. Ile gość cię kosztował?

– Nie dlatego chcę go znaleźć.

– Nie? Jak sobie chcesz. – Cafferty umilkł na chwilę. – Możliwe, że parę razy go widziano, ale nie chcę ci robić nadziei.

– Mimo to powiedz.

– Wolalbym zaczekać na potwierdzenie.

– Widziano go w Edynburgu?

– W Edynburgu i w najbliższej okolicy... ale pamiętaj, to było kilka dni temu.

– Kiedy będziesz wiedział na pewno?

– Od razu do ciebie zadzwonię.

– I nie będziesz się bawił ze mną w kotka i myszkę?

– Umówmy się, że tego nie powiedziałaś.

Cafferty słuchał przeciągającej się ciszy.

– Przepraszam – wydukał w końcu Christie.

– Najwyraźniej bardzo ci zależy na tym gościu, Darryl. Rozumiem to i staram się ci pomóc, jak tylko potrafię.

– Dziękuję.

– Od razu zadzwonię – powtórzył Cafferty i zakończył rozmowę, gdy Christie miał na końcu języka następne podziękowanie.

Wolno pokręcił głową i wrócił do lektury.

ROZDZIAŁ 18

FOX SIEDZIAŁ PRZY SWOIM biurku w centrum operacyjnym i gapił się w przestrzeń. Czytał w internecie o Ukrainie, więc miał pojęcie o chaosie, jaki przetoczył się przez ten kraj, i chaosie, jaki wciąż tam panował. Dodał ten obraz do wszystkiego, co usłyszał od Graham. Przyjaciele z mafii dobrze wyuczili Głuszenkę. Wyprał równowartość dwudziestu miliardów dolarów – pieniądze wyprowadzonych z Rosji przez Mołdawię i krążących po Europie, a teraz ukrytych gdzieś poza zasięgiem służb, nawet jeśli służby wiedziały, gdzie zostały ulokowane. Firmy zarejestrowane w takich rajach podatkowych jak Seszele przystępowały do spółek SLP, a kiedy pieniądze znalazły się w miejscu przeznaczenia, firmy i spółki rozwiązyvano, co tym bardziej komplikowało i zacierało tropy. Mimo że przygotowywano plany zaostrenia przepisów, Wielka Brytania nadal była łatwym i tanim miejscem do zarejestrowania firmy – pośrednik mógł to zrobić w ciągu godziny i policzyć sobie za usługę około dwudziestu pięciu funtów. Pośrednicy mieli podobno obowiązek upewnienia się, czy nie mają do czynienia z kimś podejrzanym, powinni też znać tożsamość rzeczywistego właściciela firmy.

Fox nie miał pewności, jak Głuszenko trafił na Anthony'ego Brougha, wiedział jedynie, że Edynburg słynął za granicą z nieposzlakowanej uczciwości i dyskrecji jako siedziba instytucji, które miały w swojej pieczy miliardowe emerytury i inwestycje. Głuszenko przywiózł ze sobą niemal miliard dolarów ukradzionych ukraińskiemu bankowi w formie pożyczek przyznanych nieistniejącym firmom, zatwierdzonych przez dyrektorów, którzy zostali zastraszeni albo zmuszeni do złożenia podpisu. Kiedy zauważono kradzież, pieniądze już dawno przepłynęły przez edynburskie mieszkanie i ruszyły w dalszą krętą drogę.

Sheila Graham przedstawiła Foxowi krótką historię podejrzanych pieniędzy w Wielkiej Brytanii. Według niej armia suto opłacanych londyńskich prawników, bankierów i księgowych radziła sobie z nimi fachowo; korzystali z zagranicznych rachunków, funduszy powierniczych i spółek wydmuszek, by ukrywać tożsamość każdego rzeczywistego beneficjenta. Próbowano prania brudnych pieniędzy stały na przeszkodzie liczne przepisy, ale banki często za odpowiednią cenę przymykały oczy. Pieniądze obracano w komfortowe mieszkania warte wiele milionów, a nawet w jeszcze droższe inwestycje komercyjne. Właścicielami dziesiątków tysięcy nieruchomości w samym Londynie były zagraniczne firmy zarejestrowane w takich miejscach jak Jersey, Guernsey i Brytyjskie Wyspy Dziewicze – szczególnie lubiano te ostatnie, ponieważ nie było tam obowiązku rejestrowania w urzędach danych właścicieli. Każdy z rajów podatkowych miał własny charakter: Liberia specjalizowała się w akcjach na okaziciela, zapewniających całkowitą anonimowość; założenie firmy na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych było szybką i prostą czynnością, co tłumaczyło, dlaczego wyspiarskie terytorium zamieszkałe przez dwadzieścia pięć tysięcy ludzi jest siedzibą około ośmiuset tysięcy zarejestrowanych przedsiębiorstw.

– Sumy, o których mówimy, mogłyby cię przyprawić o zawrót głowy – powiedziała na koniec Graham, a po przeszukaniu internetu Fox nie mógł nie przyznać jej racji.

W porównaniu z tym procederem gangsterzy w rodzaju Darryla Christiego i Joego Starka byli amatorami. Anthony Brough wchodził w konszachty z najgorszymi z najgorszych. I coś go spłoszyło.

Coś, co niemal na pewno miało związek ze zniknięciem z pierwotnej sumy około dziesięciu milionów funtów.

– Czyli Brough skubnął te dziesięć milionów i dał nogę? – spytał Fox. – Zostawiając na linii ognia swojego dobrego kumpla Darryla Christiego?

– Istnieje taka możliwość – przyznała Graham.

– Co wiemy o Głuszenie? Jest w Wielkiej Brytanii?

– Prawdopodobnie ma inne fałszywe nazwiska i paszporty, o których nie wiemy. Służby imigracyjne zostały powiadomione, żeby zachować czujność na lotniskach. – Graham wzruszyła ramionami.

Siedząc teraz za biurkiem, Fox zastanawiał się nad dalszym działaniem. Christie chciał informacji o Głuszenie i Fox mógł mu przekazać wszystko, co wiedział. Albo nie spieszyć się i poczekać, aż Głuszenko rozprawi się z Christiem, w wyniku czego długi Jude mogłyby się stać historią. Wahał się, czy powiedzieć Graham o siostrze i groźbie Christiego, postanowił jednak to przemilczeć. Jeszcze nie teraz. Chyba że to będzie absolutnie konieczne.

– Nad czym tak dumasz? – spytał go Alvin James, wchodząc do biura.

– Byłbyś mocno rozczarowany, gdybym ci powiedział – odparł Fox, przyklejając do twarzy uśmiech. – Stało się coś, o czym muszę wiedzieć?

James zsunął z ramion płaszcz i powiesił.

– Przesłuchanie Roddy'ego Cape'a i Dandy'ego Reynoldsa – odparł i zobaczył skonsternowaną minę Foxa. – Dwóch gówniarzy, którzy tamtego wieczoru byli z Calem Christiem – wyjaśnił.

– Rozumiem.

– Nie możemy dopuścić do tego, żeby śledztwo utknęło w miejscu. Trzeba utrzymać tempo. – James klasnął w dłoń i zatarł je.

Fox miał wrażenie, że próbuje w ten sposób sam dodać sobie animuszu.

– Zajrzy do nas dzisiaj inspektor Clarke? – spytał od niechcenia.

– Być może. Miałaś rację, Malcolm, ona jest fantastyczna.

– Zabrała cię wczoraj do jakiejś miłej restauracji?

– Indyjskiej. Tylko nie pytaj, na jakiej ulicy... to miasto ciągle jest dla mnie zagadką. – James umilkł. – A ty miałaś co robić?

– Tak, mną się nie przejmuj.

James w roztargnieniu skinął głową, usiadł przy biurku i włączył laptop. Fox udał, że też zabiera się do pracy, a w rzeczywistości sprawdzał najnowsze ceny domów w swojej dzielnicy. Po rozwodzie spłacił część hipoteki należącą do byłej żony. Gdyby sprzedał dom, mógłby pokryć długi siostry. Minus polegał na tym, że musiałby potem coś wynająć albo zaciągnąć nowy kredyt na coś znacznie mniejszego i być może w mniej porządnej części miasta.

Jeszcze nie teraz, powtórzył sobie. Chyba że to będzie absolutnie konieczne...

Zamknął stronę z ofertami sprzedaży nieruchomości i zaczął szukać informacji o Anthonym Broughu. Chociaż znał już jego ostatnie wyczyny, chciał sięgnąć trochę dalej w przeszłość. Szybko dotarł do tragicznych wakacji na Wielkim Kajmanie, kiedy w basenie utonął najlepszy przyjaciel Brougha, Julian Greene, który wcześniej uraczył się koktajlem alkoholowo-narkotykowym. Jego śmierć wywarła trwałe wpływy na siostrę Brougha, Francescę. Krótko potem dziewczyna trafiła do szpitala,

ponieważ od samookaleceń przeszła do próby samobójczej. Miejscowa gazeta na Wielkim Kajmanie starała się jak najbardziej dyplomatycznie relacjonować tę serię wydarzeń, ale londyński „Daily Mail” był znacznie mniej powściągliwy i sugerował wręcz tuszowanie niewygodnych faktów. Czy Greene był sam, czy na basenie byli wówczas inni? Nie zauważyli, że tonie, nie próbowali go ratować? Czy przed wezwaniem karetki usunięto z miejsca zdarzenia narkotyki i zainscenizowano wypadek? Adwokat Broughów, który został rzecznikiem rodziny, twierdził, że „ci niewinni młodzi ludzie” byli w szoku, i oskarżał media o „sięganie po niesmaczne i niskie metody, które jedynie przeszkadzają rodzinie w przechodzeniu przez proces żałoby”.

Fox bez większych nadziei wysłał do gazety z Wielkiego Kajmanu mail z pytaniem, czy ktoś z redakcji przypomina sobie tamto utonięcie. Niemał natychmiast dostał odpowiedź z nazwiskiem oraz numerem telefonu emerytowanego dziennikarza, Wilbura Bennetta. Fox przeprosił Jamesa i wyszedł z biura na parking, żeby zadzwonić.

– Jem śniadanie – warknął na powitanie mężczyzna.

– Pan Wilbur Bennett? Nazywam się Malcolm Fox. Jestem detektywem szkockiej policji. Przepraszam, że niepokoję pana o tak wczesnej porze...

– Naprawdę jest pan gliną?

– O ile mi wiadomo.

– Kiedy pracowałem w Londynie, często udawaliśmy gliniarzy. To był niezły sposób, który otwierał nam różne drzwi.

– Znam kogoś takiego – przyznał Fox. – Ale interesuje mnie pańska praca na Wielkim Kajmanie.

– Czyli tamto utonięcie?

– Jest pan bardzo przenikliwy.

– Napisałem niewiele tekstów ze szkockim wątkiem.

– Do tego zdarzenia doszło w domu należącym do sir Magnusa Brougha, zgadza się?

– Zgadł pan, chociaż miał być właśnie wystawiony na sprzedaż.

– Tak?

– Staruszek krótko przed tym kopnął w kalendarz. Zawsze wydawało mi się podejrzane, że dwoje jego podopiecznych bawiło się na wakacjach tak szybko po pogrzebie. Tak zawsze o nich myślałem, „podopieczni”, jak u Dickensa. Tłumaczyłem sobie, że wyjazd był już zaplanowany wcześniej i pewnie sir Magnus życzyłby sobie, żeby z niego nie rezygnowali.

– Dziwne, dwie śmierci w tak krótkim odstępie czasu.

– Prawda? – Wilbur Bennett przerwał, żeby się czegoś napić, kawy, a może czegoś trochę mocniejszego.

Słuchając jego głosu – aksamitnego i słodkiego jak ciasto – Fox odniósł wrażenie, że jego rozmówca sięga po pierwszego drinka dość wcześnie.

– Skąd nagle to zainteresowanie? – spytał Bennett.

– Bez konkretnego powodu. Mamy sprawę, w której być może na drugim czy trzecim planie pojawia się Anthony Brough.

– Dostał pan zadanie przekopania jego przeszłości? Hm... nie znałem go za dobrze, ale coś mi się w nim nie podobało. Strasznie zarozumiały... to poczucie wyższości i uprzywilejowania. Pewnie dlatego „Mail” poświęcił mu numer, to znaczy zamierzał, ale prawnicy zaczęli groźnie warczeć.

– Przekazywał im pan jakieś cenne szczegóły, panie Bennett?

– Chodzi panu o „Mail”?

– Przed wyjazdem na Kajmany pracował pan w Londynie. Domyślam się, że zostały panu jakieś kontakty z tych czasów.

– Hm... niewykluczone, że ma pan rację. Wie pan co? Może będę udawał, że mam dla pana jakąś pikantną historię, ale opowiem ją panu tylko osobiście, co pan na to? Przyleciałby pan tu na parę dni...

– Niezwykle kusząca propozycja, ale musimy dbać o kieszeń podatnika.

Bennett prychnął.

– My tu nie mamy takich skrupułów!

– Rozumiem, co ma pan na myśli. Jesteście rajem podatkowym jak Wyspy Dziewicze, prawda?

– Tak jest.

– Czyli zapewne do waszych brzegów nieraz przyływały brudne pieniądze.

– Na Karaibach zawsze roiło się od piratów – zadudnił głęboki głos Bennetta. – Ale wracając do tamtego basenu...

– Tak?

– Śledztwo, jeżeli można to tak nazwać, w ogóle nie dotknęło sedna sprawy. Służba usłyszała podniesione głosy. W późniejszym przesłuchaniu zmieniła wersję. Ten biedny gnojek, który się utopił, miał w żyłach sporo alkoholu i kokainy, ale nie na tyle, żeby zważyło go to z nóg. Kąpiel powinna go nawet ocucić. Miał też dziwne ślady na ramionach, ale nikt nie raczył tego wyjaśniać. Z tego, co udało mi się ustalić, od kilku miesięcy podkochiwał się w siostrze Brougha. I kiedy umarł, dziewczyna się załamała.

– Kto znalazł ciało?

– Ona i jej brat. Podobno byli w środku i oglądali film z resztą towarzystwa. Dopiero po jakimś czasie zorientowali się, że nie ma z nimi Greene’a. Znaleźli go unoszącego się na powierzchni basenu. Kiedy przyjechali medycy i policja, nigdzie na wierzchu nie było żadnych prochów. Gdy sekcja wykazała obecność kokainy w organizmie, młodzi Broughowie oświadczyli, że nie mieli pojęcia, że coś brał... typowa bajeczka. I tu niespodzianka: jedynym miejscem w domu, gdzie coś znaleziono, była sypialnia Greene’a. W szufladzie szafki nocnej leżała sobie torebka białego proszku, z której nawet nie zdjęto odcisków palców.

– Ma pan dobrą pamięć, panie Bennett.

– Tylko dlatego, że całe to śledztwo było farszą. Kiedy człowiek mieszka tak długo jak ja w takim miejscu, widzi, komu coś uchodzi na sucho, a komu nie. Czasem robi mi się od tego niedobrze.

– Twierdzi pan, że Julian Greene został zamordowany?

– Twierdę, że to nie ma najmniejszego znaczenia, czy było tak, czy inaczej... nikogo to wtedy nie obchodziło i dzisiaj też nie obchodzi. Ale warto się zastanowić, dlaczego zaraz potem Francesce odbiło. Taka w tym była przekonująca, że zdaniem części z nas zasługiwała na Oscara. Mógłbym się założyć, że wciąż żyje, a nawet ma się świetnie.

– Owszem, żyje – przytaknął Fox. – Ale wiem tylko tyle.

– Chciała się spotkać z egzorcystą. Słyszał pan o tym?

– Nie.

– Tak powiedziała, kiedy zrobili jej płukanie żołądka. Za pieniądze można dużo kupić, ale nie zawsze kupi się tę jedyną rzecz, której się pragnie. Myśli pan, że mógłbym napisać o tym poradnik?

– *Medytacja dla milionerów*? – podsunął Fox.

– To chyba dobry trop, kolego! Zaraz idę odkurzyć maszynę do pisania, chyba że mogę panu czymś jeszcze służyć...

– Powiedzmy, że śmierć Juliana Greene’a to nie był wypadek. Kogo by pan obstawiał?

– Rodzice młodych Broughów zginęli w wypadku samochodowym i od tej chwili rodzeństwo było nierozłączne, a jedynych wskazówek moralnych mógł im udzielić ten zachłanny stary pierdziel, który na nieszczęście tych dzieciaków był ich dziadkiem. – Bennett milczał, zastanawiając się przez chwilę. – Jedno albo drugie, a może oboje. Jak mówię, to nie ma znaczenia. Żadnego znaczenia...

ANN STREET WIELU UWAŻAŁO za ulicę z najpiękniejszą zabudową szeregową w mieście. Dwa rzędy stylowych georgiańskich budynków, schowane między Queensferry Road a Stockbridge, rozdzielała wąska jezdnia zbudowana z tradycyjnej kostki brukowej. Ogródki przed domami były nienagannie utrzymane, czarny metal balustrad lśnił, latarnie nawiązywały do znacznie wytworniejszej epoki. Dom Anthony’ego Brougha stał bliżej końca ulicy i wyglądał mniej imponująco od tych w środkowej części. Rebus otworzył furtkę, stanął przed drzwiami i wcisnął dzwonek. Nikt nie otwierał, więc zajrzał do środka przez otwór na listy. Zobaczył korytarz i kamienne schody. Wyprostował się, podszedł do okna i zajrzał do nowoczesnie urządzonego salonu z telewizorem i kanapą... i właściwie prawie niczym więcej. Wrócił na chodnik i zastanawiał się, co robić, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch – w domu naprzeciwko w oknie drgnęła firanka. Ach, Edynburg. Oczywiście, że drgnęła firanka. Sąsiedzi lubili wiedzieć, co się dzieje; dla niektórych była to pasja życia.

Rebus przeszedł na drugą stronę ulicy i kiedy znalazł się w połowie ścieżki do wejścia, drzwi domu wolno się uchyliły. Stała w nich kobieta po siedemdziesiątce, przygarbiona, ale ubrana z nienaganną elegancją.

– Nie ma go? – spytała melodyjnym głosem.

– Na to wygląda.

– Od dłuższego czasu go nie widziałam.

– Właśnie dlatego trochę się martwię – poinformował ją Rebus. – Jego sekretarka twierdzi, że minął już ponad tydzień...

Sąsiadka zamyśliła się.

– Tak, przypuszczam, że tyle – powiedziała w końcu.

– Ktoś tu przychodzi?

– Nikogo nie widziałam.

– Dobrze pani zna pana Brougha?

– Czasem przystajemy, żeby porozmawiać o tym i owym...

– I ostatni raz widziała go pani ponad tydzień temu?

– Tak przypuszczam. – Zmarszczyła czoło, próbując liczyć dni.

– Czy wydawał się zdenerwowany?

– A kto się nie denerwuje? Przecież wystarczy włączyć wiadomości... – Zadrzała w niezwykle dystyngowany sposób.

Rebus wyciągnął do niej wizytówkę. Jedną z wizytówek Malcolma Foxa, które zabrał z centrum operacyjnego. Czarnym długopisem wykreślił z niej jego numer telefonu i adres mailowy i wpisał numer własnej komórki.

– Detektyw inspektor – przeczytała kobieta. – Ale on żyje, prawda?

– Z pewnością, proszę pani.

– Francesca i Alison chyba odchodzą od zmysłów.

– Alison?

– Opiekunka Franceski. – Sąsiadka zaraz się jednak poprawiła: – Nie, jej asystentka. Woli, żeby tak ją nazywać.

– Czyli zna pani siostrę pana Brougha?

Sąsiadka wyprostowała się, zaskoczona, że w ogóle pyta.

– Oczywiście – odparła. Ruchem głowy wskazała na budynek za plecami Rebusa. – Przecież tam mieszka.

Rebus odwrócił się, by spojrzeć na budynek.

– Tam?! – upewnił się.

– W mieszkaniu z wyjściem do ogrodu, w suterenie tuż pod domem. Schodzi się po schodkach i...

Ale Rebus już ruszył w tym kierunku. Rzeczywiście, po prawej od furtki, przez którą wchodziło się do domu, była w ogrodzeniu druga, mniejsza, a za nią kręte kamienne schodki prowadzące na zadbane taras. Rebus zauważył to wcześniej, ale uznał, że należy do odrębnej posesji. W oknach po obu stronach zielonych drewnianych drzwi zainstalowano kraty, w czym nie było nic niezwykłego, w mieście wiele mieszkań z ogrodem miało takie zabezpieczenia.

„Z wyjściem do ogrodu” – gdy kilkadziesiąt lat temu Rebus szukał mieszkania w mieście, zdziwiło go to określenie. Dlaczego nie po prostu „w suterenie”? Przecież o to tak naprawdę chodziło. Tyle że „ogród” w nazwie sugerował, że razem z mieszkaniem dostajesz ogród i te mieszkania rzeczywiście często miały bezpośrednie wyjście do ogrodu za budynkiem. Obejrzał kilka, a potem zdecydował się na drugie piętro w kamienicy w Marchmont. Powód? Nie miał ochoty zajmować się ogrodnictwem.

Drzwi otworzyła wysoka, dobrze zbudowana kobieta tuż po trzydziestce, o jasnych włosach ściągniętych w kok, z którego wymysknęło się jedno pasmo i opadało za lewym uchem.

– Tak? – powiedziała.

Rebus podał jej następną z podebranych wizytówek.

– Detektyw inspektor Fox – przedstawił się, gdy wzięła od niego wizytówkę i uważnie przeczytała.

– Chodzi o włamanie?

– Włamanie?

– Niedawno doszło do całej serii. – Przyjrzała mu się uważnie. – Na pewno pan wie.

– Przyszędłem w sprawie Anthony’ego Brougha. Pani jest Alison?

– Skąd pan wie?

– Od jednej z sąsiadek – przyznał z uśmiechem Rebus.

– Aha. – Też próbowała się uśmiechnąć.

– Zapewne wiadomo pani, że pana Brougha od jakiegoś czasu nie widziano. Jego sekretarka niepokoi się o jego bezpieczeństwo.

Alison zamyśliła się.

– Rozumiem – powiedziała po chwili.

– Szukała go w domu, domyślam się, że z panią też rozmawiała?

– Mówi pan o Molly? Tak, rozmawiała. Ale to nic nadzwyczajnego, Anthony często urządza sobie małe wypadki.

Rebus patrzył ponad jej ramieniem na długi i ciemny korytarz. Na jego końcu wisiała gruba aksamitna zasłona, za którą prawdopodobnie kryły się schody prowadzące na górę.

- Czy jest Francesca? Mogłbym z nią porozmawiać, pani...?
- Warbody. Tak, jest w domu.
- Jest pani jej asystentką?
- Zgadza się.
- Przypuszczam, że martwi się o brata?
- Francesca bierze lekarstwa. Czas nie liczy się dla niej tak jak dla niektórych.

Rebus znowu próbował się uśmiechnąć.

- Pozwoli mi pani zamienić z nią parę słów?
- Nie widziała go.
- Od kiedy?
- Od ośmiu, może dziesięciu dni.
- Nie dzwonili do siebie, nie pisali?
- Wydaje mi się, że wiedziałabym o tym.
- I mówi pani, że to w jego stylu?
- Właśnie tak powiedziałam.
- Z kim rozmawiasz? – Wąty, niemal eteryczny głos dobiegł zza którychś drzwi. Rebus dostrzegł tylko kształt głowy.

- Z nikim! – zawołała Warbody.
- Jestem z policji – oznajmił Rebus. – Właśnie pytałem o pani brata.

Warbody spojrzała na niego spode łba, ale nie zwracała na nią uwagi. Francesca Brough szła w stronę dziennego światła na palcach, niemal jak tancerka. Miała też sylwetkę tancerki, tyle że odzianą w grube czarne legginsy i jasnobezowy sweter z naciągniętymi na dłonie rękawami. Gdy dotarła do drzwi, jeden z rękawów miała w ustach. Spod ostrzyżonych byle jak włosów połyskiwała upiornie blada skóra. Kobieta bezkrwistymi wargami ssała wełnę swetra; materiał był sfilcowany, jakby to był jej stały rytuał.

- Dzień dobry – przywitała Rebusa stłumionym głosem.
- Dzień dobry – powtórzył jak echo.
- Inspektor przyszedł, bo Anthony znowu gdzieś wyparował – wyjaśniła Warbody.
- Często to robi – powiedziała Francesca, gdy asystentka delikatnie odsunęła jej dłoń od ust.
- Właśnie to panu tłumaczę.
- A ostatni raz widziała go pani...?

Pytanie najwyraźniej wprawiło Francescę w niepokój. Popatrzyła na Warbody, czekając na pomoc.

- Osiem, dziesięć dni temu – odpowiedziała asystentka.
- Osiem, dziesięć dni temu – powtórzyła Francesca.
- Przypuszczam, że były panie na górze, żeby sprawdzić?

Kobiety spojrzały na Rebusa.

- Możecie się przecież dostać do domu? – nie rezygnował.
- Tak, możemy – potwierdziła cicho Francesca.
- Moglibyśmy w takim razie tam zajrzeć? – poprosił.
- Nie ma go – oświadczyła Warbody. – Usłyszałybyśmy, gdyby był.

Francesca sięgnęła do haka na ścianie. Zdjęła dwa klucze, prosty do wpuszczanego zamka i drugi do zamka yale.

– Proszę.

Rebus patrzył na Warbody.

– Drzwi są chyba za tą zasłoną, prawda? – Pokazał na koniec korytarza.

– Zamknięte na klucz z drugiej strony.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Anthony lubi prywatność – odparła i po chwili dodała: – Nie spodoba mu się, że zaprowadziłyśmy tam kogoś obcego.

– Ja mu nie pisnę słowa, jeżeli panie mu nie powiecie. – Rebus mrugnął do Franceski.

Zachichotała, przysłaniając dłońmi usta.

– W takim razie chodźmy. – Warbody westchnęła z rezygnacją.

Wspięli się po schodach na poziom ulicy i weszli przez główną furtkę. Trzeba było użyć obu kluczy. Na ścianie za drzwiami wejściowymi był panel alarmu, ale Warbody znała kod.

Rebus pochylał się, by podnieść z podłogi garść korespondencji.

– Niech pan położy na reszcie poczty – poradziła Warbody. Na stoliku w korytarzu zebrał się już pokaźny plik przesyłek. Rebus przejrzał je. – Dobrze się pan bawi? – spytała lodowatym tonem asystentka.

Francesca bezszelestnie skrzyła do pokoju z telewizorem, ale parę sekund później wyszła i ruszyła w głąb korytarza. Warbody poszła za nią, a Rebus zamykał pochód. Wkroczyli do dobudowanego skrzydła domu. Mieściła się w nim jasna kuchnia z rozsuwanymi przeszkłonymi drzwiami, które prowadziły na taras i schodki do ogrodu. Na małym stoliku na zewnątrz stała popielniczka i kieliszek do wina. W kuchni panował nienaganny porządek.

– Czy pan Brough ma kogoś do sprzątania?

– Przychodzi w każdą środę – potwierdziła Warbody.

– Czyli ten kieliszek oznacza...

– Że ktoś musi z nią zamienić parę słów o jej obowiązkach.

Przerwali rozmowę i patrzyli, jak Francesca odkręca kran nad zlewem, zakręca, po czym powtarza to samo od początku. Warbody podeszła do niej i położyła dłoń na jej plecach: wystarczy. Ręce Franceski opadły, a na jej twarzy pojawił się wyraz skruchy.

– Możemy wejść na górę? – spytał Rebus.

– Tak, chodźmy! – Francesca wypadła z kuchni i wbiegła na piętro, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Dwie sypialnie i duży gabinet. Okna sypialni wychodziły na Ann Street, gabinet znajdował się w głębi, na tyłach budynku. W korytarzu na górze Rebus szukał śladów świadczących o tym, że są jeszcze wyższe piętra, ale wyglądało na to, że widział już wszystko.

– Zamierzał wyremontować strych – powiedziała Warbody, jak gdyby czytała mu w myślach. – Ale jeszcze się do tego nie zabrał.

– Gdy byliśmy dziećmi, uwielbialiśmy strychy – wyrwało się Francesce.

– Nie widzę automatycznej sekretarki – stwierdził Rebus, rozglądając się po korytarzu.

– Nawet nie ma telefonu. Anthony uznał, że go nie potrzebuje.

– Dzwoniłyście pod numer jego komórki? Wysyłałyście mu esemesy?
– Parę razy – przyznała Warbody. – Nie dlatego, że się martwimy, ale chcieliśmy zapytać, czy nie zjadłby z nami albo nie wybrał się do miasta.

– I wciąż nie dziwi się pani, że nie odpowiedział?

– Może akurat rozbijał bank w Monte Carlo. – Warbody wzruszyła ramionami.

– Albo obzerał się w Caledonian – dodała Francesca. – Lubi tam chodzić do restauracji.

– Z jakiegoś szczególnego powodu? – zaciekawiał się Rebus.

– Ma blisko z biura – wtrąciła Warbody.

– Poza tym ona została tam zamordowana – dodała Francesca.

– Mówi pani o Marii Turquand?

Młoda kobieta otworzyła szeroko oczy.

– Wie pan o niej?

– Interesuję się dawnymi sprawami. Pani brat też się interesuje?

– Panie inspektorze. – Warbody wcisnęła się między Rebusa a swoją podopieczną. – Pomogłybyśmy panu, gdybyśmy umiały, ale naprawdę nic nie możemy zrobić. – Zauważyła, że Francesca zbiega po schodach, więc ruszyła za nią.

Gdy Rebus dotarł na parter, czekały na niego przy drzwiach.

– Bardzo dziękuję za pomoc – zwrócił się do Warbody. Wyjął telefon. – Dałem pani namiary na siebie, ale czy mógłbym prosić o numer pani telefonu?

– Po co?

– Na wypadek gdybym chciał się skontaktować. Nie będę musiał stawiać się osobiście.

Argument przemówił jej do rozsądku, więc wyrecytowała numer, a Rebus wpisał go do telefonu.

– Jeszcze raz dziękuję – dorzucił.

Gdy kobiety skierowały się do swojej kryjówki, firanka w oknie naprzeciwko znowu drgnęła. Rebus zawałał Warbody i ta po chwili wahania podeszła do niego.

– Rozumiem, że pan Brough płaci pani pensję?

Pokręciła głową.

– Pracuję dla Franceski. Sir Magnus zadbał, żeby nie musiała się martwić o finanse.

– Dostała połowę majątku?

– Niezupełnie, ale tyle, ile jej brat. A w przeciwieństwie do brata nie ma skłonności do hazardu.

– Anthony jest hazardzistą?

– A nie do tego sprowadza się to całe inwestowanie? Nie ma zysku bez ryzyka.

– Zapewne. – Podziękował jej skinieniem głowy i patrzył, jak schodzi do suterenu i zamyka za sobą drzwi. Wracając do samochodu, zobaczył, że tuż za nim zaparkował inny. Wysiadł z niego Malcolm Fox.

– Coś takiego! Ty tutaj? – wycedził.

– Tęgie głowy myślą jednakowo, Malcolm.

– Czyli nie ma go w domu?

– Ale jest jego siostra.

– Tak?

– Mieszka w suterenie i opiekuje się nią kobieta o nazwisku Warbody.

– Jak się miewa?

– Siostra? Buja w cholernych obłokach.

– Właśnie rozmawiałem o niej z...

Ale Rebus przerwał mu gestem.

– Pogadajmy o tym w moim gabinecie. – Ruchem głowy wskazał na saaba. – Najpierw muszę gdzieś szybko zadzwonić.

Gdy wsiedli i zamknęli drzwi, Rebus wybrał numer Molly Sewell, przedstawił się i powiedział, że ma do niej jedno krótkie pytanie. Włączył głośnik, żeby Fox mógł ją słyszeć.

– Słucham – odpowiedziała.

– Mówiła pani, że była u szefa w domu i wrzuciła mu wiadomość przez otwór na listy w drzwiach. Właśnie tam byłem i nie widziałem żadnego liściku.

– Może niedokładnie pan szukał.

– Szukałem dokładnie – oświadczył Rebus.

– W takim razie ktoś musiał go zabrać, na przykład sprzątaczką.

– Albo Alison Warbody – dodał Rebus i słuchał ciszy, która zapadła w telefonie. – Dlaczego nie wspomniała mi pani, że tuż pod domem brata mieszka Francesca Brough?

– Nie chciałam, żeby ją pan niepokoił. Widział się pan z nią?

– Tak.

– Wobec tego nie uszło pańskiej uwadze, że jest niezwykle delikatna.

– Udało mi się spędzić z nią dziesięć minut i jej nie pokruszyć.

– Co za bezduszna uwaga!

– W szkole policyjnej miałem dość słabe oceny z wrażliwości. Ale to nie pani będzie decydować, co nam wolno...

– John – wtrącił Fox.

Rebus urwał i spojrzał na niego.

– Już się rozłączyła – wyjaśnił Fox.

Rebus przyjrzał się ekranowi telefonu i zaklął pod nosem.

– W takim razie twoja kolej – powiedział i rozparł się za kierownicą.

Fox zrelacjonował mu rozmowę z Wilburem Bennettem. Rebus przez dłuższą chwilę analizował to, co usłyszał, po czym wolno pokręcił głową.

– Oryginalna ta rodzinka – podsumował.

– Sądziś, że chronią Anthony'ego – stwierdził Fox.

– A ty nie sądziś?

Fox pokiwał głową.

– Powiem ci więcej: wiem dlaczego.

Rebus lekko zwrócił się w jego stronę.

– Mów. – Znowu jednak coś przyszło mu na myśl i jeszcze raz stuknął w ekran telefonu, nie wyłączając głośnika.

– Halo?

– Pani Warbody, tu znowu inspektor Fox – powiedział. Odwrócił głowę, żeby nie widzieć spojrzenia, które Fox na pewno mu posłał. – Zapomniałem panią spytać o jedną rzecz. Pani Sewell twierdzi, że wrzuciła list przez otwór w drzwiach pana...

– Ja go podniosłam.

– Pani?

– Tak.

– Ach, to w porządku. Dziękuję.

W telefonie zapadła cisza i Rebus obrócił głowę, by zmierzyć się ze wzrokiem Foxa.

– Buchnąłeś mi parę wizytówek – rzucił Fox.

– Oczywiście. Czasem ludzie muszą myśleć, że rozmawiają z gliniarzem.

– Ale nie rozmawiają, John, a podawanie się za funkcjonariusza policji jest przestępstwem.

– Znam facetów, którzy przez całą służbę nie robili nic innego, tylko podawali się za gliniarzy.

– To nie ma nic do rzeczy.

– Rzecz w tym... Co o tym sądzisz? – Machnął telefonem przed nosem Foxa.

– O czym?

– Nie uważasz, że mówiła jak osoba, której ktoś, kto wiedział, że zadam to pytanie, kazał tak odpowiedzieć?

– Być może. Ale wracając do tego, co próbowałem ci powiedzieć wcześniej...

– Do czego?

– Wiem, o co tu chodzi. Może nie wszystko, ale sporo.

Rebus utkwiał w nim spojrzenie.

– Wiesz?

– Chcesz, żebym cię wtajemniczył?

– Zamieniam się w słuch.

Piętnaście minut później Rebus z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy pokręcił głową i głośno westchnął.

– O to mu chodziło, kiedy wspomniał o Rosjaninie – mruknął.

– Kto?

– Cafferty. Poradził mi, żebym szukał Rosjanina. Myślałem, że to ma coś wspólnego ze sprawą Turquand, a tymczasem...

– Głuszenko jest Ukraińcem.

– Ale nazwisko brzmi z rosyjska, sam to powiedziałeś. Cafferty miał prawie stuprocentowo dokładne informacje. Ciekawe jednak, skąd w ogóle tyle się dowiedział? Przecież chyba nie od Christiego ani Brougha, co?

– Może miasto ciągle z nim rozmawia – zasugerował Fox.

– Możesz mieć rację. – Rebus pokiwał głową. – Albo czegoś nie zauważamy. Czy Darryl Christie zrobił na tobie wrażenie człowieka, który siedzi na dziesięciu milionach funtów?

– Nie bardzo wiem, jak taki ktoś może wyglądać.

– Czegoś nie zauważamy – powtórzył Rebus. Potem uśmiechnął się pocieszająco do Foxa. – Ale dzięki tobie, Malcolm, jesteśmy bliżej prawdy niż wcześniej.

Na telefon Foxa przyszedł esemes.

– Odnotowano moją nieobecność – oznajmił.

– Gang Jamesa?

– Owszem.

- Jak idzie śledztwo?
- Wydaje mi się, że idzie nam jak po grudzie. Naprawdę sądzisz, że tu chodzi o Marię Turquand?
- Powiedziałbym, że to pewniak tej goniwki.
- Szkoda, że nie przekonałeś do tego detektywa komisarza Jamesa.
- Nie mam takich umiejętności interpersonalnych jak ty.
- Chcesz, żebym go dalej zachęcał?
- Każdym kijem i marchewką, jakie wpadną ci w rękę.
- Problem w tym, że nie wiem, czy masz rację – przyznał Fox. – Chyba nie tym razem.
- Sprawiasz mi ból, Malcolm. Wiesz, że masz przed sobą bardzo chorego człowieka? Na dodatek dzisiaj są moje urodziny...
- Miałaś urodziny trzy miesiące temu. Siobhan i ja zabraliśmy cię do miasta, pamiętasz?
- Zapomniałem – odparł Rebus ze zbolaną miną. – No dobra, lepiej idź częstować ciastkami swoich kolegów z centrum operacyjnego. Są tacy, którzy naprawdę mają coś do roboty.
- Na przykład?
- Chyba będzie lepiej, jeżeli się nie dowiesz.
- Chyba będzie lepiej, jeżeli nie będziesz więcej się pode mnie podszywał. – Fox wyciągnął do niego rękę. – Oddaj mi te wizytówki.
- Wszystkie wykorzystałem.
- Kłamiesz.
- Klnę się na cień na moim płucu.
- Chryste, John, nie żartuj sobie z tego. Dostałeś już jakąś wiadomość? Twarz Rebusa odrobinę złagodniała.
- Nie – odparł.
- I ciągle nikomu nie powiedziałeś?
- Tylko tobie.
- Fox skinął głową i otworzył drzwi.
- Hej – zatrzymał go jeszcze Rebus. – A ty powiedziałeś mi wszystko?
- Wszystko?
- O Christem i Broughu.
- Nie, nie wszystko.
- Zuch chłopak. – Rebus rozpromienił się w uśmiechu. – Wreszcie zaczynasz się uczyć. Malcolm Fox wbrew sobie odpowiedział mu uśmiechem.

ROZDZIAŁ 19

SIOBHAN CLARKE CZUŁA DO siebie wstręt dlatego, że czekała na ten telefon. Poprzedniego wieczoru Alvin James powiedział jej przy kolacji, że chciałby ją mieć w swoim zespole śledczym. To była tylko kwestia zawiadomienia, kogo trzeba, łącznie z jej szefem. Rano już trzy razy znalazła pretekst, żeby odwiedzić Page'a w jego klitce, bo myślała, że może jeszcze nie przekazał jej wiadomości.

Ale nie było żadnej wiadomości.

Powinna przypomnieć o tym Alwinowi? Może sympatycznym esemesem z pytaniem o postępy w dochodzeniu?

Nie jesteś w takiej potrzebie, dziewczyno, powiedziała sobie, ale obawiała się, że jednak jest.

Trwały poszukiwania Crawa Shanda, ale zapał stygł. Laura Smith wrzuciła informację do internetu i ponowiła ją kilka razy, lecz bez skutku. Clarke wysłała jej wiadomość z podziękowaniem. Christine Esson zauważyła, że gdyby ktoś chciał mu zrobić krzywdę, ciało na pewno zostałoby już odnalezione. Clarke nie miała takiej pewności – było mnóstwo miejsc, w których można ukryć zwłoki, na przykład różne dzikie zakątki godzinę drogi od miasta. Shand nie korzystał ze swojej komórki i nie odwiedził żadnego bankomatu. Nie namierzyły go kamery monitoringu w całym centrum Edynburga. Znalezione i przesłuchano jego znajomych, też bez rezultatu. Tymczasem Esson i Ogilvie pokazali zdjęcia Shanda Darrylowi Christiemu, a ten tylko pokręcił głową i to samo zrobił, gdy odtworzyli mu nagranie z głosem. Zdjęcia nie mówiły też nic sąsiadom Christiego – nikt nie widział Shanda w okolicy jego domu.

Telefon Clarke leżał na biurku i dręczył ją uporczywą ciszą. Esson pracowała przy komputerze, a Ronnie Ogilvie odebrał telefon, wolną ręką gładząc mizerne wąsy. Clarke przysunęła sobie jakieś papiery, lecz nie mogła się skupić. Wstała i włożyła płaszcz. Christine Esson posłała jej pytające spojrzenie. Clarke zignorowała ją i ruszyła do drzwi.

Sznur pojazdów sunął niemrawo w stronę centrum miasta, a ona bębniła palcami w takt muzyki w radiu. Po wysłuchaniu dwóch piosenek i jednego serwisu wiadomości skrzyła w Cowgate i zaparkowała przy służbowym wejściu do Devil's Dram. Z wozu dostawczego wyładowywano pudła z jedzeniem, więc przecisnęła się między nimi i weszła do środka. Darryl Christie tym razem był na dole i dyskutował o czymś z Hodgesem. Stali za oświetlonym barem, a przedmiotem ich rozmowy były chyba aromatyzowane giny.

– O, idzie nasz ekspert – rzucił Christie na jej widok.

– Nigdy nie daje pani za wygraną? – Hodges popatrzył na nią spod przymrużonych powiek.

Christie nie zwracał na niego uwagi.

– Usiądź, będziesz naszym królikiem doświadczalnym. Podobno ten rabarbarowo-imbirowy jest nawet smaczny.

– Nigdy nie przyjmuję darmowych drinków.

– Tylko w czasie happy hours, co? – odparł Christie. – Przy okazji, zdjęliśmy ze ściany twój piękny portret. Harry uznał, że klientela może tego nie wytrzymać. – Nachylił się nad barem, opierając dłonie o blat. – Nawiasem mówiąc, to nie było zbyt miłe, żeby robić nalot na mój dom podczas mojej nieobecności.

– Mówiłeś mi, że wyprowadziłeś stamtąd rodzinę. Ciekawa jestem, dlaczego zmieniłeś zdanie.

– Chodzi o Crawa Shanda? Dalej myślisz, że to ja zabrałem go z areny? – Christie zdobył się na nikły uśmiech. – Jak często mam ci powtarzać, że się mylisz?

– Jeżeli ten, kto na ciebie napadł, nie siedzi w areszcie, to dlaczego zachowujesz się tak, jakby nic ci już nie groziło?

– Dlaczego sądzisz, że nie podjąłem środków ostrożności?

– Jakich niby środków ostrożności, panie Christie?

Cmoknął z dezaprobatą.

– No więc ci powiem. Moja mama była wściekła. Uważa, że przymykałem oko na wysoki Cala. W jego wieku robiłem znacznie gorsze rzeczy, ale przynajmniej wysłałem z nim przyzwoitkę. – Christie skupił wzrok na Hodgesie, który zaczął zdradzać oznaki niepokoju. – Chociaż na gówno się to zdało. Przyzwoitka jest po to, żeby cały czas miała oko na wszystko.

– Zostałem z tyłu, żeby zadzwonić, Darryl. Przecież wiesz. Nawet na chwilę nie straciłem ich z oczu, słowo daję.

Christie ścisnął jego ramię, lecz znowu patrzył na Clarke.

– Pewnie powoli już zamykacie śledztwo, nie? Inne sprawy na tapecie i tak dalej?

– Nie zamkniemy, dopóki nie pojawi się Craw. Nie zapominaj, że usłyszał zarzut napaści, i to napaści na ciebie. Prokurator nie jest zachwycony, kiedy znika główny podejrzany.

– W takim razie życzę owocnych poszukiwań. A ten gin... – W blasku lamp umieszczonych pod barem połowa twarzy Christiego była pogrążona w cieniu, a druga połowa podświetlona, więc wyglądał, jakby nosił halloweenową maskę. – Na pewno nie dasz się skusić?

– Na pewno – odparła Clarke, po czym odwróciła się i odeszła.

PRZESŁUCHANIA KUMPLI CALA Christiego nie doprowadziły do niczego i w centrum operacyjnym panował minorowy nastrój.

– Może pora trochę bardziej serio potraktować teorię Rebusa – zasugerował Fox.

– Wobec tego pokaż mi podejrzanego – rzucił ostrym tonem Alvin James, nawet nie kryjąc irytacji. – Powiedz mi, który z tych emerytów potrafiłby obezwładnić kulturystę i wrzucić go do zatoki.

– Mówimy o ludziach, którzy mają sporo zbędnej gotówki – przypomniał mu spokojnie Fox. – Bruce Collier, John Turquand, Peter Attwood... prawdopodobnie każdy z nich mógłby sięgnąć głębiej do kieszeni, żeby komuś zapłacić.

– Komu zapłacić, Malcolm? Daj mi listę zawodowych kilerów w Edynburgu.

Fox uniósł rękę.

– Tak tylko mówię.

– Ale co mówisz?

– Może nie zbadaliśmy tej możliwości tak dokładnie, jak było można. Kiedy dochodzi się do ściany, najlepiej wrzucić wsteczny i poszukać innej drogi.

James posłał mu piorunujące spojrzenie. Pozostali członkowie zespołu odwracali wzrok, udając obojętność – Glancey pocierał sobie kark, a Sharpe uważnie przyglądał się odrobinie kurzu, którą właśnie stał z biurka palcem wskazującym.

– Rzeczywiście cofniemy się, ale do samego początku – oznajmił w końcu James. – Raport z oględzin miejsca zdarzenia, sekcji zwłok, lista osób powiązanych z ofiarą. Uzupełnimy luki na osi czasu i jeszcze raz sprawdzimy nagrania i billingi. Przypominam wam: ten człowiek przez większą część życia był gliniarzem. Musimy dać z siebie wszystko, jesteście mu to winni. Jasne?

Zza biurka rozległy się pomruki aprobaty. James zerwał się na nogi i wyszedł na środek pokoju, by rozdzielić zadania. Pięć minut później Fox siedział nad billingami telefonów Chathama – stacjonarnego i komórkowego – oraz wydrukiem połączeń z budki, z której skorzystał po rozmowie z Rebusem. Gdy Rebus umówił się z nim na śniadanie następnego ranka i go pożegnał, Chatham zadzwonił z komórki do swojego pracodawcy, Kenny'ego Arnotta. W zeznaniu Arnott stwierdził, że Chatham chciał porozmawiać o godzinach pracy w następnym tygodniu. Nie, nie wydawał się zdenerwowany ani wzburzony. Mówił tak samo jak zawsze. Nie, nie było nic dziwnego w telefonie od pracownika o dziesiątej wieczorem. W tych godzinach pracowali bramkarze, więc ich szef na ogół się do nich dostosowywał.

Rozmowa trwała trochę powyżej trzech minut.

Zaraz po jej zakończeniu Chatham poprosił kolegę, żeby go zastąpił, i poszedł do budki telefonicznej; tym razem zadzwonił do trzech innych barów w mieście: Templeton's, Wrigley i Pirate. Żaden z tych lokali nie korzystał z usług bramkarzy zatrudnionych przez Arnotta, ale, jak powiedział sam Arnott, Chatham mógł szukać zajęcia na własną rękę. Nikt z personelu w żadnym z trzech barów niczego nie pamiętał. Nic dziwnego: nie były to najporządniejsze lokale pod słońcem, wszystkie miały kiedyś problemy z komisją udzielającą koncesji na sprzedaż alkoholu, więc nie darzyły szczególną sympatią miejscowej policji. Co do pytania, dlaczego skorzystał z budki zamiast z własnej komórki... nikt nie miał na to gotowej odpowiedzi. Kolega, który stanął na bramce za niego na czas tych rozmów, nie miał pojęcia. Nie wiedział też Kenny Arnott. Anne Briggs podsunęła Foxowi myśl, że padła mu bateria. Tak, możliwe. Ale rozglądał się za nowym zajęciem o dziesiątej wieczorem, gdy w pubach panował największy ruch i żaden menedżer nie mógł mu poświęcić więcej niż minutę, dwie?

Templeton's: dziewięćdziesiąt pięć sekund.

Wrigley: dwie minuty pięć sekund.

Pirate: czterdzieści pięć sekund.

Później wrócił na stanowisko i stał na bramce do końca zmiany, czyli do północy. Tego wieczoru nigdzie więcej nie dzwonił ani do nikogo nie pisał esemesów, aż do następnego ranka, gdy po spotkaniu z Rebusem w kawiarni wysłał wiadomości do Maxine Dromgoole. A później... już zupełnie nic.

– Jak idzie, Malcolm? – Alvin James stał przed jego biurkiem z miną, jakby wypił o jedno espresso za dużo.

– Nic nowego – przyznał Fox.

James wrócił na środek biura.

– Ludzie, dajcie mi coś, cokolwiek! Podobno jesteśmy świetni w te klocki, tylko dlatego tu jesteśmy. Jeżeli będę musiał zameldować naczelnikowi, że możemy mu pokazać tylko wielkie ucho od śledzia, to będzie nasz koniec. Ktoś wrzucił go do wody! Ktoś widział! Whisky... Została kupiona na miejscu? Sprawdźcie sklepy i supermarkety. Ściągnijcie nagrania z monitoringu wzdłuż tego odcinka

Forth... Sprawcy musieli skorzystać z jakiegoś środka transportu. – Klasnął w dłonie jak trener piłkarski w przerwie meczu decydującego o spadku do niższej ligi.

Fox zobaczył, że Gancey i Briggs prostują plecy, demonstrując entuzjazm. Wallace Sharpe nie zdradzał takiego zapału. Ale to na jego barki, jako specjalisty od obserwacji, miało spaść oglądanie wielu godzin nagrań z kamer. Mark Oldfield stał na posterunku przy czajniku, czekając, aż zagotuje się woda. James dostrzegł go i pokręcił głową.

– Nie, nie, nie, Mark. Zrobicie sobie przerwę na herbatę, kiedy wam pozwolę, nie wcześniej. Pora, żebyście tym razem sobie na nią zapracowali. Wracaj za biurko, synu. Czekam na nazwiska, przemyślenia, na coś, co można z pożytkiem wykorzystać.

Fox miał na ekranie oś czasu. Chatham opuścił dom, nie wytłumaczywszy się ani słowem przed swoją partnerką, a Dromgoole poinformował, że tego dnia się nie spotkają. Co więc robił? Zostawił samochód na swoim stałym miejscu. Liz Dolan powiedziała policji, że często jeździł autobusem, lecz nie było żadnych śladów, by tego popołudnia korzystał z komunikacji miejskiej. Gdyby został porwany na ulicy, musiałyby się znaleźć paru świadków. Może więc pojechał gdzieś z własnej woli, jednym z tysięcy samochodów widocznych w kamerach monitoringu obejmującego całe miasto?

Niech to szlag! „Szukanie igły w stogu siana” to mało powiedziane. Nic dziwnego, że Wallace Sharpe był taki przybity.

Fox usłyszał wibrowanie telefonu. Rebus. Przycisnął komórkę do ucha.

– Zaczekaj chwileczkę – powiedział i ruszył na korytarz.

Alvin James spojrział na niego z nadzieją, którą Fox odebrał mu, kręcąc głową.

– Czym mogę ci służyć, John? – spytał, opierając się o jedną z oliwkowych ścian.

– Drobiazgiem.

– Nie zamierzam ci dawać więcej wizytówek.

– Wizytówki tu nie pomogą. Ten bydlak już wie, że nie jestem gliną.

– Dlatego mam ci towarzyszyć?

– Otóż to.

– Kto to jest? Czego od niego chcemy?

– Podoba mi się ta liczba mnoga, Malcolm. A odpowiadając na twoje pytanie: jest legendą. Naprawdę myślę, że to spotkanie cię zelektryzuje.

Fox zerknął na zegarek.

– Gdzie i kiedy?

– Może być zaraz.

– Zaskoczyłeś mnie.

– Chyba że odrywam cię od czegoś bardzo pilnego...

Fox westchnął.

– Niekoniecznie. Dobra, podaj mi adres.

– Czekam na zewnątrz.

– No jasne – rzucił Fox i zakończył rozmowę.

Nie zadał sobie nawet trudu, by wrócić i poinformować Jamesa, że wychodzi, czy wziąć płaszcz. Rebus zaparkował naprzeciwko posterunku, blokując inne pojazdy, i kiedy tylko Fox wsiadł, wcisnął gaz.

– No więc dokąd jedziemy?

– Na Rutland Square.

– Do Bruce’a Colliera?

– Wypada, żebym ci go przedstawił – odparł Rebus. – Przecież poznałeś już większość głównych bohaterów.

– Podrzuciłem myśl Alwinowi Jamesowi: że jeden z nich zapłacił za zlikwidowanie Raba Chathama.

– I co on na to?

– Nie okazał wielkiego entuzjazmu.

– A mojego nie budzi jego przenikliwość.

– Ty za to zawsze przenikliwie oceniasz sytuację.

– Czasem najlepiej wychodzi mi to po fakcie – dodał z uśmiechem Rebus.

– James kazał nam sprawdzać jeszcze raz to samo, od początku.

– Typowe dla śledztwa, które zmierza donikąd.

– Właśnie. Co Collier będzie nam miał do powiedzenia?

– Zobaczysz. – Rebus patrzył, jak Fox opuszcza szybę i głęboko oddycha. – Za dużo czasu przy biurku, Malcolm, człowiek może się zastać.

– W końcu ustaliliśmy, dokąd Chatham dzwonił z budki telefonicznej. Do trzech pubów. Jego pracodawca przypuszcza, że szukał dodatkowej pracy. Ale o tej porze? Nie jestem taki pewien. Poza tym to były krótkie rozmowy, żadna nie trwała dłużej niż trzy minuty.

– Co ci to właściwie mówi?

– Skorzystał z budki, bo nie chciał, żeby ktokolwiek mógł to sprawdzić.

Rebus pokiwał głową.

– Logiczne.

– Zrobił to zaraz po rozmowie z tobą, kiedy wspomniałeś o sprawie Turquand.

– Aha.

– Powiedział ci, że zaraz po pracy wraca do domu, prawda?

– Mówił, że nasza pogawędka musi poczekać do rana.

– Ale według jego partnerki upłynęły prawie dwie godziny po tym, jak skończył pracę, kiedy usłyszała odgłos zamykanych drzwi.

– Do których pubów dzwonił?

– Templeton’s, Wrigley i Pirate.

– Hm... każdemu z nich przydałby się bramkarz.

– Czuję, że je znasz.

– Templeton’s jest w stronę Gilmerton Road, Wrigley w Northfield, a Pirate zaraz w bok od Cowgate.

– Możesz mi o nich coś powiedzieć?

– Bardzo dobre miejsca na zakupy przedświąteczne. Każdemu ze stałych bywalców możesz wręczyć listę potrzebnych rzeczy, a godzinę później przyniosą ci wszystko za bardzo przystępną cenę.

– Po włamaniu do czyjegoś domu?

– Powiedzmy, że występują w roli Świętego Antymikołaja. Niewiele takich miejsc zostało w mieście. – Rebus się zamyślił. – Czyli najpierw rozmawia z szefem, a potem zaczyna dzwonić.

– Do lokali, które raczej nie przypadłyby do gustu klienteli takiego rodzaju jak Turquand, Attwood i Collier.

– Racja. Nie sądzę, żeby w którymkolwiek z tych lokali była muzyka na żywo, więc możemy wykluczyć też Dougiego Vaughana. – Rebus umilkł na chwilę. – Wiesz, że tamtego dnia był tam Cafferty?

– Gdzie? W hotelu?

Rebus skinął głową.

– I bar tego typu mógłby mu się podobać. Sam kiedyś miał parę lokali podobnego autoramentu. Swoją drogą, Darryl Christie też był właścicielem takich przybytków, zanim zajął się czymś lepszym...

Zabrzączał telefon i Fox zerknął na ekran. O wilku mowa – esemes od Christiego. *Nie zapominaj, zegar tyka.* Wysłał odpowiedź złożoną z trzech słów – *Zajmę się tym* – po czym wyłączył telefon.

Rebus skierował saaba w stronę Princes Street, po czym zignorował zakaz wjazdu i sunął ulicą, z której wolno było korzystać tylko autobusom, tramwajom i taksówkom.

– Przeciskanie się przez George Street to makabra – wyjaśnił. – Ile średnio mandatów zbierasz miesięcznie?

– Chodzi o sprawę, nad którą pracuje policja, dlatego liczę na twoje wsparcie, Malcolm.

Skręcili ostro w lewo w Lothian Road, potem niemal natychmiast w prawo, minęli hotel Waldorf Caledonian i zatrzymali się przed domem Colliera.

– Tam stoi jego porsche. – Rebus pokazał na szereg samochodów zaparkowanych po drugiej stronie ulicy.

– Bardzo ładne – rzucił Fox.

Rebus sięgnął na tylne siedzenie, wziął stamtąd czerwoną foliową torbę, wysiadł i ruszył do drzwi. Fox podążył za nim. Rebus zadzwonił i czekał.

Otworzył im Bruce Collier, mrużąc oczy w dziennym świetle. Był nieogolony i wyglądał, jakby właśnie spał w czarnym T-shircie i szarych joggerach.

– Tylko nie ty – warknął.

– Proszę pokazać mi legitymację, inspektorze – powiedział Rebus.

Fox wyjął dokument, ale Collier nie raczył nawet rzucić na niego okiem.

– To powinno być zabronione prawem – jęknął tylko.

– Czy prawo może zabraniać prawa? – Rebus udał, że głęboko się nad tym zastanawia. – Ciekawa myśl. Możemy wejść? Wystarczy do korytarza, długo nie zabawimy.

– W takim razie załatwmy to szybko. – Collier wpuścił ich do mieszkania, zamknął drzwi i przyglądał dłonią włosy. Rebus ostentacyjnie pociągnął nosem.

– Piękny aromat, prawda? Mówię o trawce.

Muzyk założył ręce na piersi i czekał.

– Bruce? – dobiegł z góry kobiecy głos.

– Za dwie minuty! – zawołał Collier.

– Sądziłem, że pańska żona jest w Indiach, panie Collier?

– Mówcie, o co chodzi – odburknął.

– Kiedyś w Edynburgu działał rodzaj religijnej policji. W bardziej surowych czasach. Nazywała się „policja nocna”. Miała dbać o moralność, gdy w mieście gasły światła.

– Fascynujące.

Rebus utkwiał w nim wzrok.

– W dniu, w którym zamordowano Marię Turquand, do pańskiego apartamentu dostarczone zamówiony towar. Zapewne podobny do tego, którego zapach tu wyczuwam, plus trochę kokainy i nie wiadomo czego jeszcze.

– Doprawdy?

– Człowiek, który to doręczył, nazywał się Morris Gerald Cafferty. Został ważnym graczem, bez dwóch zdań najważniejszym w tych stronach. Pamięta go pan?

– Nie.

– Nazwisko nic panu nie mówi? Tamtego wieczoru umieścił go pan na liście gości koncertu.

– Nie bardzo wiem, do czego pan zmierza ani dlaczego tylko pan mówi, skoro nie jest pan nawet gliniarzem!

– Pan Rebus współpracuje z Policją Szkocji, proszę pana – wycedził Fox. – Radzę panu odpowiadać na wszystkie jego pytania.

Collier nadął policzki i głośno wypuścił powietrze. Najwyraźniej kurczowo trzymał się trybu życia, z którym powinien pożegnać się już co najmniej dziesięć lat temu, i wyglądał na zmęczonego.

– W każdym razie chodzi o następującą rzecz – kontynuował Rebus. – Miał pan przy sobie za mało pieniędzy, żeby zapłacić Cafferty’emu, a pańskiego menedżera nigdzie nie można było znaleźć, więc opróżnił pan kieszenie Dougiemu Vaughanowi, kiedy ten spał w pana sypialni.

– Co z tego?

– Zastanawiam się, czy przypadkiem nie zauważył pan klucza do pokoju Vince’a Brady’ego. Pan Vaughan twierdzi, że go zgubił.

– Pyta pan, czy go zabrałem? Nie, nie zabrałem.

– Czy mógł go podebrać Cafferty?

– W ogóle nie podszedł do łóżka.

– Czyli jednak pan go pamięta?

– Być może.

– Kiedy podawał mu pan pieniądze, klucz nie mógł utkwić między banknotami?

– Próbuje pan wręcić w to tego gangstera Cafferty’ego? O to chodzi? Klucz się zapodział, i tyle. A teraz, jeżeli panowie pozwolą... – Collier otworzył już drzwi i wskazał ręką świat za progiem.

– Pomyślałem sobie, że się panu spodoba. – Rebus pokazał mu czerwoną torbę. Widniał na niej czarny nadruk *I Found It At Bruce’s*.

– Pamiętam ten sklep – powiedział Collier. – Parę razy podpisywałem tam płyty. Na Rose Street, tak?

Rebus otworzył torbę i wyjął pierwszy album Blacksmith. Muzyk patrzył przez chwilę na płytę.

– Naprawdę pan myśli, że dam panu autograf?

Rebus pokręcił głową.

– Chciałem tylko pokazać, że kiedyś, w pomroce dziejów, byłem prawdziwym fanem. – Udał, że uważnie ogląda kopertę płyty. Krawędzie były wytarte, jeden róg przypalony papierosem. – Trochę przypomina mi pana, najlepsze lata ma za sobą.

Fox wyszedł z mieszkania za Rebusem, a potem drzwi się zatrzasnęły.

– Niezły tekst – powiedział z podziwem.

– Byłoby jeszcze lepiej, gdyby nikt nie mógł tego samego powiedzieć o mnie. – Rebus stłumił kaszel i wrzucił do ust gumę do żucia.

- Co teraz? Wracamy do Leith?
 - Jeżeli chcesz.
 - Jaka jest alternatywa?
 - Dałeś mi do myślenia o tych wszystkich telefonach Chathama – przyznał Rebus.
 - No i?
 - No i mam ochotę pogadać z Kennym Arnottem.
 - Będzie z tobą rozmawiał, kiedy nie pokażesz mu legitymacji?
 - Nie wiem.
- Fox udał, że się waha.
- Chyba będzie lepiej, jeżeli z tobą pojedę – powiedział po chwili.
 - Skoro nalegasz...
- Gdy wsiadali do saaba, Rebus rzucił torbę na tylne siedzenie.
- Fajnie grali? – spytał Fox.
 - Badziewie – odparł Rebus i uruchomił silnik.

ROZDZIAŁ 20

– WIEMY, CZY TEN ARNOTT MA jakieś powiązania z Caffertym albo Christiem? – zapytał w drodze Rebus.

– Rab Chatham pracował kilka wieczorów w Devil’s Dram – odparł Fox. – Dlaczego Christie nie postawił na bramce własnej ochrony? To nie byłoby bardziej logiczne?

Rebus rozważał to przez chwilę.

– Darryl jest nowym gatunkiem gangstera. Kupuje to, czego mu potrzeba, na tak długo, na ile potrzeba. Za armię etatowych goryli słono się płaci. Poza tym nigdy nie wiadomo, kiedy któryś z nich będzie o tobie za dużo wiedział i sprzeda cię konkurencji.

– Albo zaczniesz knuć spisek przeciwko tobie.

– Na przykład – zgodził się Rebus. – W dawnych czasach Cafferty otaczał się adiutantami. Jeden z nich... nazywał się Weasel... okazał się dla niego poważnym kłopotem. Na zachodzie ludzie tacy jak Joe Stark lubią się pokazywać w obstawie silnych byczków, to im przypomina, jacy są potężni i ważni. Nasz Darryl nie ma takich skłonności. Podejrzewam, że uważa się za zwykłego biznesmena świadczącego ludziom usługi, których potrzebują.

– Narkotyki, hazard, pożyczki na ryzykownych warunkach...

– I dużo więcej. – Rebus zatrzymał saaba przed zaniedbanym ceglany budynek niedaleko parku Pilrig.

– To klub boksinerski – zauważył Fox.

– Wziąłeś ze sobą rękawice? – spytał Rebus, odpiął pas i wysiadł.

Drzwi do Klubu Kenny’ego były otwarte, więc weszli do sali pełnej gwaru, ruchu i oparów męskiego potu. Na ringu odbywał się sparing dwóch zawodników wagi ciężkiej, których ramiona, klatki piersiowe i plecy gęsto pokrywały tatuaże. W innych miejscach ktoś intensywnie korzystał z worków treningowych, a przed dużym lustrem ćwiczył na skakance ociekający potem muskularny chłopak. Na drugim końcu sali zobaczyli hantle, sztangi i dwa ergometry wioślarskie. Trzej mężczyźni, obserwujący walkę na ringu, prowadzili rozmowę złożoną niemal wyłącznie z przekleństw.

– Na pewno wasze matki są bardzo dumne – powiedział Rebus, zwracając na siebie ich uwagę. Wepchnął ręce do kieszeni i szeroko rozstawił nogi.

– Chyba zaśmierdziła mi psami – odezwał się jeden z trójki mężczyzn, patrząc na niego spod łba. – Nie czujecie?

– Nos cię nie zawodzi – odparł Rebus. – Zresztą z kształtu jest imponujący. Jak potem wyglądał tamten, który ci to zrobił?

Mężczyzna chciał ruszyć w jego stronę, ale powstrzymała go dłoń na ramieniu. Należała do faceta stojącego obok, który zrobił kilka kroków w kierunku Rebusa. Miał ciemne kędzierzawe włosy i usianą piegami okrągłą twarz. Jego oczy wcale nie spoglądały nieprzyjaźnie.

– Tamten drugi wyglądał tak, jakby Tam w ogóle nie tknął go rękawicą – odparł. – A potem wygrał jeszcze kilka walk i zarobił trochę kasy.

– A pan był jego menedżerem? – domyślił się Rebus.

Mężczyzna wzruszył ramionami i wyciągnął rękę.

– Kenny Arnott.

Rebus uściśnął mu dłoń.

– Nazywam się Rebus. A to detektyw inspektor Fox. Można pogadać?

– Byłem już przesłuchiwany w sprawie Raba – zauważył Arnott.

– Mamy parę uzupełniających pytań. Jest tu jakieś bardziej prywatne miejsce?

– Mój gabinet – odparł Arnott. Zaprowadził ich do drzwi i wyszli na ulicę, gdzie zapalił papierosa i wydmuchał dym w górę.

– To pana gabinet? – spytał Rebus.

Właściciel klubu skinął głową i czekał z błyskiem w oczach.

– Nie wypadł pan jeszcze z branży?

Arnott spojrział na Rebusa.

– Zależy, jaką branżę ma pan na myśli.

– Menedżerowanie bokserom.

– Mam pod opieką zawodnika MMA. Pewnie właśnie go widzieliście.

– Ten, co uwijał się ze skakanką? Chudzielec, same mięśnie.

– Tak. Donny Applecross.

– Dobry?

– Będzie dobry. – Arnott uniósł papierosa. – Kiedy go skończę, wracam do środka.

– Zastanawia nas wieczorny telefon Chathama do pana dzień przed jego śmiercią – powiedział Rebus. – Stał na bramce przed barem przy Lothian Road. Rozmawiałem z nim tuż przed dziesiątą, a gdy tylko odszedłem, zadzwonił do pana.

– Już to wyjaśniałem – odparł Arnott z nieco urażoną miną. – To była służbowa rozmowa, o planie pracy na przyszły tydzień.

– Nie padło w niej moje nazwisko?

– Niech mi pan przypomni.

– John Rebus. Wcześniej pytałem pana Chathama o zabójstwo Marii Turquand.

– Pierwsze słyszę.

– Ale zna pan tę sprawę, prawda?

Arnott pokręcił głową.

– Kiedy zatrudniał pan Raba Chathama, wiedział pan, że pracował w dochodzeniówce? – spytał Rebus.

– Pewnie.

– Nigdy nie mówił o sprawach, nad którymi pracował?

– Nie.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Może opowiadał coś innym bramkarzom, ich musi pan zapytać. Miałem z nim bezpośredni kontakt tylko przy okazji wstępnej rozmowy o pracę. Potem przede wszystkim przez telefon i esemesy.

– Jaki był jako bramkarz? – spytał Fox.

– Sumienny.

– To znaczy?

– Zawsze przychodził do pracy. Bardzo się przykładał, gdy było trzeba. – Arnott znowu pokazał papierosa. – Jeszcze dwa sztachy i kończymy.

Rebus wierzchem dłoni wytrącił mu z ręki papierosa, tak że poleciał na ziemię. Arnott nie zareagował, ale iskierki w jego oczach zgasły i twarz mu pociemniała.

– To jest śledztwo w sprawie zabójstwa – poinformował go Rebus. – Nie mierzymy go długością pieprzonych fajek.

Arnott po chwili namysłu skinął głową.

– Był jednym z waszych, rozumie. Ale nie zapominajcie, że był też jednym z moich i gdybym wiedział coś, co mogłoby wam pomóc... – Wzruszył ramionami.

– Rozmawiał z panem – powiedział cicho Rebus. – A zaraz potem poszedł do budki telefonicznej i zadzwonił do trzech pubów: Templeton's, Wrigley i Pirate. O co chodziło, panie Arnott?

– Już to tłumaczyłem gliniarzom, może szukał dodatkowej roboty.

– Tamte puby nie mają ochrony?

– O ile mi wiadomo, mają, dzięki mojemu konkurentowi.

– Mówi pan o Andrew Goodmianie? Czyli według pana teorii Rab Chatham szukał pracy u Goodmana? Wydaje się to panu prawdopodobne? Nie powinien raczej rozmawiać z Goodmanem, zamiast dzwonić bezpośrednio do pubów? Rozumie pan, że to dla nas bardzo nieprzekonujące.

– W takim razie może szukał kogoś, z kim chciał się spotkać po pracy.

Jeśli tak, to musiał znaleźć tę osobę w Pirate, ostatnim barze, do którego dzwonił, pomyślał Rebus. Nie był to raczej lokal, jaki odwiedzałyby Chatham czy jego znajomi. Stałą klientelę stanowiły męty, podejrzane typy. Motłoch...

– Cholera jasna – mruknął Rebus.

– Co jest? – spytał Fox. Ale Rebus już maszerował w kierunku saaba.

– Nie ma o czym mówić, panowie! – zawołał do ich pleców Kenny Arnott. – Miło, że wpadliście...

– Co jest? – powtórzył Fox, wsiadając do samochodu.

– Wiesz, kto mógł pić w takiej mordowni jak Pirate?

– Kto?

– Craw Shand.

– No i?

– No i muszę trochę pomyśleć, co wymaga wyciszenia ciebie. Z góry cię za to przepraszam.

– Wyciszenia?

Rebus wyciągnął dłoń w stronę odtwarzacza i wcisnął przycisk. Z głośników buchnęła muzyka, wypełniając cały samochód, a Rebus wduśił pedał gazu. Gdyby Fox choć trochę znał się na muzyce, może rozpoznałby brzmienie tej gitary.

Rory Gallagher, *Kickback City*...

CAFFERTY PRZYGLĄDAŁ SIĘ z rogu ulicy, jak odjeżdżają, i patrzył dalej, gdy Kenny Arnott otwierał drzwi swojego klubu. Sala najwyraźniej była pełna ludzi, ale to nic. Wiedział, że Arnott zostanie aż do zamknięcia. Może nawet będzie całkiem sam...

– KTOŚ MA ZDJĘCIE GŁUSZENKI, Nazarczuka czy jak on się nazywa? – zapytała Siobhan Clarke.

Siedziała z Rebusem i Foxem w pubie Oxford, przy narożnym stoliku w głębi sali na pierwszym piętrze. Na dole tętnił wieczorny ruch, ale w pozostałej części lokalu jeszcze panował spokój. Rebus sączył małe piwo IPA. Właśnie napisał do Deborah Quant, by zaproponować jej wyjście na kolację, ale natychmiast przysłała odpowiedź, że musi iść na jakieś oficjalne przyjęcie, a w ogóle jak tam jego POChP?

Pięknie, cacy, wstukał i wcisnął WYŚLIJ.

Jego prywatny wąż kusiciel znów zajrzał z zewnątrz przez okno i zastukał w szybę, pokazując mu pełną paczkę papierosów. Rebus odsunął firankę, żeby odpowiedzieć mu wulgarnym gestem.

– Ja w każdym razie nie widziałem – odpowiedział Fox na pytanie Clarke. – Jest parę małych wiarygodnych fotek paszportowych, ale z różnymi fryzurami, na niektórych zdjęciach ma okulary, na innych nie.

– Nie rozumiem – rzuciła. – Jeżeli ten zbir chce dopaść Darryla, dlaczego Darryl w ogóle się nie przejmuje?

– Może myśli, że go pilnujemy – zauważył Rebus. – Wychodzi taniej niż zatrudnienie ochrony.

– Jeszcze jedno: nie powinniśmy wydać komunikatu o poszukiwaniu Anthony’ego Brougha? Facet zwiął z pieniężkami mafii. Jak długo, waszym zdaniem, uda mu się ukrywać?

– Alan McFarlane w Londynie sprawdza, czy korzystał z paszportu – powiedział Fox. – Możliwe, że jest już na jakiejś karaibskiej plaży.

– W kraju, z którym nie ma umowy o ekstradycji – dodał Rebus, jeszcze raz unosząc szklankę. Wcześniej dostał ataku kaszlu, ale wyszedł do toalety z inhalatorem. Wilgotna koszula lepiła mu się do pleców, ale poza tym czuł się całkiem nieźle, do tego stopnia, że zaczynał myśleć o drugim małym piwie.

– Czyli ucieka z całą kasą, wystawiając do wiatru Darryla – skwitowała Clarke, a Fox pokiwał głową. – A tu pojawia się zły Ukrainiec, dysząc żądzą zemsty... Gdyby Cafferty wiedział, byłby wniebowzięty.

– Duży Ger wie – wtrącił Rebus. – Przynajmniej część. Tyle że Ukrainka bierze za Rosjanina.

– Skąd wie?

– Bardzo dobre pytanie – przyznał Rebus. – Może powinniśmy go zapytać.

– Myślisz, że jest w to jakoś zamieszany? – odezwał się Fox z łokciami opartymi na stole.

– Zawsze istnieje taka możliwość.

– Zapłacił za napaść na Darryla?

Rebus zastanowił się nad tym.

– Mamy zdjęcia Crawa Shanda i Raba Chathama?

– W centrum operacyjnym – odparł Fox.

– Powinniśmy tam pojechać. – Rebus zerknął na zegarek. – Przypuszczam, że już skończyli pracę. Mimo to lepiej będzie, jeżeli zaczekam z Siobhan na zewnątrz.

– A jak już wezmę zdjęcia, to co potem?

Rebus spojrzął na niego.

– Oczywiście złożymy wizytę w gnieździe rozpusty.

– Oczywiście – przytaknął Fox, patrząc, jak Rebus i Clarke osuszają swoje szklanki.

NAZWA PIRATE WZIĘŁA SIĘ stąd, że w latach sześćdziesiątych lokal został przejęty przez niejakiego Johnny'ego Kydda*. Tak w każdym razie brzmiała jedna z wersji. Innymi Rebus raczył swoich pasażerów w drodze do Cowgate.

– Byłeś kiedyś w Devil's Dram? – przerwała mu w pewnym momencie Clarke.

– Łomot zamiast muzyki i masowe obściskiwanie? To nie moja bajka. – Zerknął na nią. – Ale wiem, że niedawno była tam Deb. I następnego dnia miała kaca.

– Darryl Christie prowadzi lokal jak w *Chłopcach z ferajny*. Ma na górze swój stolik i dogląda wszystkiego pańskim okiem.

– Być może już niedługo – odezwał się Fox. – Skarbówka ocenia, że klub kosztuje go więcej, niż przynosi zysków. Tak samo jak hotel.

– Mogłeś mi coś powiedzieć – poskarżyła się Clarke.

– Dowiedziałem się dopiero dzisiaj rano.

– Mimo wszystko.

– Przecież teraz ci mówię.

– Byłam w jego hotelu i widziałam, że jest tam remont, a to musi kosztować parę funtów.

– Firma budowlana powinna chyba poprosić o zapłatę z góry – zauważył Fox.

– No to o co chodzi? – spytał Rebus. – Przecież musi na czymś zarabiać.

– Na bukmacherce i zakładach online – odparł Fox. – I podpira tym całą resztę.

– Czy Darryl nie kontroluje połowy rynku narkotyków w mieście? – odezwała się Clarke.

– To niekoniecznie leży w kompetencjach HMRC.

– Niedawno czytałem w gazecie, że szkocka straż graniczna odniosła parę sukcesów – dodał Rebus. – Przechwycono duże dostawy, zanim dotarły do miejsc przeznaczenia.

– Czyli towaru może być mniej?

Rebus skinął głową.

– Nie ma towaru, nie ma pieniędzy.

– To może wyjaśniać, dlaczego tak chętnie wszedł w konszachty z Anthonym Broughiem. Dziesięć milionów na pół...

– ...na pewno ustawiłoby Darryla.

– Ciągłe nie dostał swojej połowy, prawda? – spytała Clarke.

– Gdyby dostał, czemu nie miałyby ich oddać Głusence? – odpowiedział Fox.

– Czyli Brough ulotnił się z całą kwotą.

– Ktoś wie – odezwał się cicho Rebus. – Jego sekretarka, siostra, jej opiekunka...

– Oczywiście jest jeszcze inna możliwość – wtrąciła Clarke. – Być może to Głusenko ma Brougha.

Po tych słowach w samochodzie zapadła cisza. Wreszcie Fox odchrząknął.

– Pamiętacie tego przyjaciela Anthony'ego, który utonął w basenie sir Magnusa? – Popatrzył na Clarke. – Rozmawiałem z dziennikarzem z Wielkiego Kajmanu, który twierdzi, że nie wyklucza przestępstwa.

– Ile rzeczy jeszcze przed nami ukrywasz? – odparowała Clarke.

– Przecież ta nie ma bezpośredniego związku z Darrylem Christiem ani Crawem Shandem, prawda? Clarke wysunęła dolną wargę.

– A ja myślałam, że jesteśmy kumplami.

– Pamiętajcie, dzieci – rzucił zza kierownicy Rebus. – Nie rzucamy w siebie zabawkami.

– Łatwo mówić emerytowi.

Clarke i Fox uśmiechnęli się do siebie, gdy Rebus wysunął dolną wargę.

Pirate znajdował się na początku Blair Street, tuż przed skrzyżowaniem z Cowgate. Rebus zaparkował na podwójnej żółtej linii i wysiedli. Do baru schodziło się po kilku stopniach, a wewnątrz zalatywało pleśnią, która musiała porastać jego ściany już kilka wieków temu. Główna sala miała sklepiony sufit, który podobnie jak ściany był z gołego kamienia. Większość barów w okolicy została zmodernizowana, ale nie Pirate. Oprawione reprodukcje – żaglowce z całego świata – wisiały przekrzywione i pokryte brudnym nalotem. Podłoga już zawsze miała się lepić od rozlanego na niej alkoholu. Samotny barman podejmował jedynych dwóch klientów tak serdecznie, że obaj siedzieli w ponurym milczeniu, a wejście nowych jeszcze bardziej zepsuło mu nastrój.

– Słucham? – warknął.

– Butelkę waszego najlepszego szampana – oznajmił Rebus.

– Jak chcecie bąbelki, to mamy cydr i lagera.

– Jeden i drugi to świetne zamienniki. – Rebus pokazał dwa zdjęcia. – Zechce pan rzucić okiem?

– Po co?

– Bo grzecznie proszę... na razie.

Barman zmierzył go wściekłym spojrzeniem, ale postanowił przynajmniej zerknąć na portrety.

– Nie znam.

– A to niespodzianka.

– Zamawiacie coś czy dacie mi spokój?

– Nie wiedziałem, że wszedłem na plan teleturnieju. – Rebus obrócił zdjęcia w stronę dwóch klientów siedzących przy piwie. – Pomóżcie.

Obaj pokręcili głową.

– Craw Shand – nie rezygnował. – Czasem przychodzi się tu napić, kiedy nie przesiaduje w Templeton's albo Wrigley. W takich miejscach czuje się jak u siebie. – Znowu popatrzył na barmana. – Nawiasem mówiąc, jego dom to parszywa nora.

– Wynocha stąd, wszyscy troje.

– Może powinien pan wezwać policję.

– Właśnie, gdzie wasze legitymacje?

Fox sięgnął do kieszeni, ale Rebus go powstrzymał.

– Nie spełniamy zachcianek takich palantów – wyjaśnił, po czym zwrócił się do dwóch piwoszy: – Lepiej zajrzyjcie na TripAdvisor i przeczytajcie nasze oceny tego lokalu. Dziękuję za pomoc, panowie...

Zaprowadził Foxa i Clarke do drzwi, otworzył je i puścił ich przodem.

– Legendarny urok osobisty Johna Rebusa – powiedziała Clarke. – Nigdy nie zawodzi.

– Zaczekajcie – poradził Rebus. Wsunął ręce do kieszeni i wyglądał tak, jakby nie zamierzał się stąd ruszać.

– Na co czekamy?

– Na dowód, że intuicja mnie nie myli.

Dziesięć sekund później drzwi za ich plecami otworzyły się i ukazał się w nich jeden z dwóch klientów. Rebus skinął mu głową, a mężczyzna uniósł dłoń z papierosem, pytając, czy ma ogień. Rebus wyjął z kieszeni pudełko zapalek.

– Niech pan je zatrzyma – powiedział.

– Bardzo uprzejme z pana strony.

Rebus odwrócił się do Foxa.

– Masz przy sobie dwie dychy?

Fox zmarszczył brwi i sięgnął do prawej kieszeni spodni. Rebus wyciągnął mu z dłoni banknot i podał mężczyźnie, a ten wyszczerzył w uśmiechu żółte zęby. Zapalił papierosa i przyssał się do niego jak niemowlę do butelki.

– Crawa nie było tu od paru dni – powiedział, wypuszczając dym z ust. – Sukinsyn też mi wisi.

– Dlaczego? – zdziwił się Rebus.

– Zadzwoń telefon, a Alfie właśnie zmieniał becзки, więc odebrałem. Jakiś facet szukał Crawa. – Mężczyzna obejrzał się na drzwi, by sprawdzić, czy są dobrze zamknięte. – Powiedział, że nie pożałuje, jak zostanie w barze do północy.

– Przekazał mu pan tę wiadomość?

Palacz kiwnął głową.

– Craw powiedział, że postawi mi drinka, jak tylko będzie miał trochę wolnej gotówki.

– Przypuszczam, że nie został pan, żeby zaczekać?

– Nie, nie. O północy już idę lulu.

– Ten człowiek, który dzwonił... Przedstawił się?

– Nie bardzo pamiętam. – Mężczyzna schował zapalnik i wyjął paczkę papierosów, by poczęstować Rebusa.

– Dziękuję.

– Nie pali pan?

– Staram się rzucić. Bardzo mi pan pomógł, uwalniając mnie od tych zapalek. – Rebus poklepał go po ramieniu i odwrócił się, by ruszyć do samochodu.

Mężczyzna podsunął papierosy Clarke i Foxowi, ale pokręcili głowami i też poszli.

Gdy wsiedli do saaba, Rebus w zamyśleniu oglądał obie fotografie.

– No dobra – odezwał się Fox. – Przeczucie cię nie myliło, Rab Chatham spotkał się z Crawem Shandem.

– Czyli to Chatham pobił Christiego? – wtrąciła Clarke. – A Christie w odwecie kazał go zabić?

– Nie bardzo trzyma się to kupy, co? – przyznał Rebus.

– Ktoś musiał to zorganizować i zapłacić Chathamowi, żeby to zrobił – powiedział Fox. – Kiedy poszedłeś do niego pod barem, przestraszył się. Chciał, żeby ktoś inny nadstawił za to karku, a znał reputację Crawa.

– Ale Darryl nie zadowoliliby się samym Chathamem – dorzuciła Clarke. – Na pewno chciał wiedzieć, kto naprawdę za tym stał. Chatham umarł, zanim zdążył mu powiedzieć?

– Nie było śladów tortur – powiedział Fox. – Tylko whisky, a potem utonął.

– Myślałem, że to ma coś wspólnego ze sprawą Turquand – odezwał się cicho Rebus. – Cały czas szedłem fałszywym tropem... No i macie mój nos gliniarza.

– Pogadamy jeszcze raz z Arnottem? – zaproponował Fox. – Na pewno jest w to wplątany. Parę minut po rozmowie z nim Chatham poszedł do budki telefonicznej.

– Może rano – zgodził się Rebus. – Teraz chyba wszystkim nam przyda się trochę odpoczynku. Mnie na pewno, nie jestem już taki kozak jak wy, młokosy.

- Coś do jedzenia dobrze nam zrobi – powiedział Fox.
- Też się na to piszę – dodała Clarke.
- Lepiej będzie, jeżeli ty postawisz, Siobhan – poradził jej Rebus. – Malcolm jest już dwie dychy do tyłu.
- Aha, dzięki – mruknął Fox.
- Bądźmy sprawiedliwi. Wybierzcie restaurację, a ja was podrzucę – zaproponował Rebus. – Taniej niż taksówka.
- Nie idziesz z nami?
- Dbam o linię, nie pamiętasz? – Poklepał się po brzuchu.
- Zaczynam się martwić – rzuciła Clarke i odwróciła się do Foxa, by sprawdzić, czy się z nią zgadza. Ale on patrzył przez szybę, unikając jej wzroku. – John, co się dzieje? – spytała cicho.
- Nie dzisiaj, Siobhan – poprosił równie cicho Rebus. – Nie dzisiaj.

KENNY ARNOTT ZACZAŁ GASIĆ światła. Donny Applecross wyszedł ostatni. Taka postawa podobała się Arnottowi. Chłopak miał dobre nastawienie – nastawienie, skupienie i kondycję. Jeżeli nic złego mu się nie stanie, powinien wytrzymać parę lat walk w klatkach. Nie był tak cwany jak niektórzy i musiał nabrać trochę masy, ale nad tym mogli popracować.

Na zewnątrz zapadł już zmierzch, ulubiona pora dnia Arnotta, kiedy zmieniał się z właściciela klubu w specja od ochrony. Dzisiaj miał na bramkach czternastu ludzi. Byłoby piętnastu, gdyby Rab nie był taki głupi. Lepiej jednak nie rozpamiętywać – tak zawsze powtarzała mama Arnotta, kiedy przychodziła jakaś zła wiadomość, wszystko jedno, z bliska czy z drugiego końca świata. Lepiej nie rozpamiętywać. Miał ochotę na przejażdżkę po mieście, żeby pogadać z paroma swoimi ludźmi i przypomnieć im, że o nich dba. Ale w mieszkaniu czekała jego dziewczyna. Mieszkanie było nowe, Anna też. Nakupił jej już za dużo ubrań i za dużo perfum. Co jeszcze miał zrobić? Zaslugiwała na to i zawsze była wdzięczna. Nie był pewien co do jej koleżanek. Były głośne i zawsze gadały o rzeczach, których nie rozumiał – o piosenkarzach, aktorach, serialach i celebrytach. Ale w końcu Anna była dwa razy młodsza od niego. Nic dziwnego, że czasem nie wiedział, o co chodzi. A jedna czy dwie z jej psiapsiółek... nie miały nic przeciwko temu.

Zostawił ostatnią górną świetlówkę i zabrał się do włączania alarmu. Wprawdzie niewiele można stąd było ukraść, ale ci z ubezpieczenia nalegali. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Czyżby Donny albo ktoś inny czegoś zapomniał? Przecież by nie pukali. Może znowu ci gliniarze? Jedyne sposob, żeby sprawdzić...

W drzwiach zarysowała się potężna sylwetka na tle pomarańczowego blasku latarni. Ręka gwałtownie opadła, a Arnett zatoczył się do tyłu od uderzenia młotkiem w czaszkę. Wzrok mu się zamglił, ugięły się pod nim kolana. Gdy dźwigał się na nogi, młotek uderzył jeszcze raz. Dłonie w rękawiczkach. Czarny płaszcz przed kolana. Nad nim okrążyła głowa, rozchylone usta, obnażone zęby. Arnett uniósł ręce w geście kapitulacji. Kopnięte drzwi trzasnęły. Czuł, jak po czole spływa mu strużka krwi. Zamrugał, by usunąć ją z oczu.

- Wiesz, kim jestem? – zapytał wielkolud głosem, który brzmiał jak ziemia zasypująca dół.
- Tak.
- To powiedz, jak się nazywam.
- Duży Ger Cafferty.

– A wiesz, co to jest? – Cafferty sięgnął do kieszeni i rozsywał jej zawartość na podłodze przed Arnottem.

– Gwoździe – wychrypiął Arnott.

– Ścisłej mówiąc, sześciocalowe gwoździe.

– Czego pan chce?

– Chcę się od ciebie dowiedzieć, dlaczego jeden z twoich pracowników szeptał чуłe słówka do ucha mojego przyjaciela.

– O czym pan mówi?

Cafferty zrobił zawiedzioną minę, stojąc nad skuloną postacią. Arnott nie mógł spojrzeć mu w oczy, więc próbował ocierać krew rękawem kurtki.

– Jeżeli chcesz, żebyśmy to załatwili w mniej przyjemny sposób, proszę bardzo. Tak czy inaczej, wszystko wyśpiewasz.

– Przysięgam na Boga, nic nie wiem.

– Nie wiedziałem, że jesteś taki pobożny, Kenny. – Cafferty zdejmował płaszcz. – Ale skoro tak, to mam dla ciebie dobrą radę. Pora zacząć się modlić...

* Johnny Kidd & the Pirates – angielski zespół rockandrollowy, popularny w latach 60.

DZIEŃ ÓSMY

ROZDZIAŁ 21

OBUDZONY PRZEZ BRILLA, który domagał się spaceru, gdy tylko na niebie pojawiły się pierwsze przebłyski światła, Rebus z braku innego zajęcia postanowił pojechać do Klubu Kenny'ego. Nie był pewien, o której godzinie go otwierają, ale gdy dotarł na miejsce, zobaczył dwie karetki zaparkowane pod budynkiem i otwarte na oścież drzwi klubu. Przeklinając pod nosem, zatrzymał samochód za drugą karetką i wysiadł.

W sali dwoje ratowników w zielonych kombinezonach klęczało po bokach leżącej na brzuchu postaci, a trzeci stał obok zdenerwowanego młodego człowieka. Rebus odgrzebał z pamięci jego nazwisko – Donny Applecross, zawodnik MMA, protegowany właściciela klubu. Kiedy wszedł w głąb sali, w leżącej postaci rozpoznał Kenny'ego Arnotta. Miał rozłożone ręce, a głowę częściowo osłoniętą polistyrenowym stabilizatorem. Dłonie były odwrócone wnętrzami do góry, a między palcami i pod spodem zebrały się kałuże krwi.

– Czy to jest to, co podejrzewam? – zapytał Rebus.

Ratowniczką najbliżej niego odwróciła głowę.

– Przepraszam, kim pan jest?

– Jestem z policji. Byliśmy tu wczoraj, żeby zadać panu Arnottowi kilka pytań.

Arnott dostał zastrzyk przeciwbólowy. Miał szkliste oczy, spomiędzy splekanych warg wydobywały się ciche jęki.

– Czekacie na konsultację z lekarzem czy na miejscowego stolarza? – spytał Rebus.

Niewykorzystane gwoździe leżały rozrzucone na podłodze. Rebus schylił się, podniósł jeden z nich i pokazał Applecrossowi.

– Co tu się stało, synu?

– Właśnie mówiłem. Kenny dał mi klucz. Często przychodzię potrenować rano. A on... – Zerknął na Arnotta. – Leżał tak, kiedy wszedłem.

– Drzwi były zamknięte?

Applecross pokręcił głową.

– Nie na klucz.

Rebus odwrócił się do ratowniczkii.

– Wyjdzie z tego?

– Dostał cios w głowę. Widać ślady na skroniach.

– To był młotek, tak? – domyślił się Rebus.

– Być może – przyznała. – A jeżeli chodzi o pańskie pytanie, to czekamy na radę, jak mamy go stąd zabrać.

– Ktoś dzwonił na policję?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Przecież dlatego pan tu jest, prawda?

Rebus wyjął telefon i wysłał esemesa do Siobhan Clarke.

– Już jedzie – poinformował ratowniczkę, po czym, zwracając się do Applecrossa, spytał: – O której godzinie mógł zamykać klub?

– Wpół do dziewiątej, o dziewiątej. Wszedłem koło ósmej.

– Byłeś ostatni?

Młody człowiek skinął głową, zaciskając pięści.

– Byłoby zupełnie inaczej, gdybym został.

– Skąd miałeś wiedzieć. – Rebus umilkł na moment. – Chyba że chcesz mi coś powiedzieć.

– Co?

– Na początek: kto mógłby zrobić coś takiego tak szanowanemu i prawemu człowiekowi jak Kenny?

Arnott mamrotał coś i ratowniczka, która przy nim klęczała, nachyliła się, by zrozumieć słowa.

– Mówi, że to był wypadek – oznajmiła.

– Oczywiście, że tak – rzucił Rebus, patrząc na młodego boksera. – Bo gdyby było inaczej, poczułbyś się w obowiązku zareagować i coś mogłoby ci się stać. A Kenny nie chce, żeby coś ci się stało. – Odwrócił się i schylił tak, że jego twarz znalazła się tuż nad Arnottem. – Podaj mi nazwisko, Kenny. Nazwisko, twarz, rysopis.

Arnott zacisnęła oczy i nabrał powietrza.

– To był wypadek! – ryknął, niemal płacząc z wysiłku.

Rebus wyprostował się.

– Twojemu szefowi wydaje się, że jest nie w ciemię bity, że się tak wyrażę – zwrócił się do chłopaka. – Ale dobrze, że taki z niego twardziel...

Usiadł w samochodzie i żując gumę, słuchał radia, dopóki nie pojawiła się astra Clarke. Przed nią przyjechał wóz strażacki i furgonetka z nazwą firmy stolarskiej na boku. Rebus wyjaśnił sytuację, wchodząc z powrotem do budynku w towarzystwie Clarke, która miała zaczerwienione oczy. Applecross już zdążył się przebrać w szorty i koszulkę i teraz boso i z owijkami na dłoniach udawał, że za cierpienia jego menedżera odpowiada wiszący przed nim worek treningowy.

– To się nazywa oddanie – zauważył Rebus.

Clarke skupiła uwagę na scenie, której bohaterem był Kenny Arnott.

– Był tu całą noc? – spytała.

– Na to wygląda.

– Nie wydzierał się na całe gardło?

– W te okolice zapuszcza się niewielu pieszych, zresztą hałasy dochodzące z klubu bokserskiego to nic nadzwyczajnego.

Chyba uznała wyjaśnienie za wystarczające. Stolarz, który ułożył przed sobą narzędzia, prowadził ożywioną dyskusję ze strażakiem o tym, jaką część podłogi trzeba przepiłować.

– Ale nawet wtedy, jeżeli gwóźdź wszedł w legar, też trzeba go będzie wyciąć – dodał.

Mężczyzna wydawał się całkiem spokojny, choć Rebus wątpił, czy często trafiała mu się podobna praca.

– W takim razie do roboty – powiedziała ratowniczka. Jedna karetka odjechała do innego wezwania i z pacjentem zostali tylko ona i jej kolega.

- Czy on coś poczuje? – zapytał strażaka ratownik.
- Zaraz się przekonamy.
- W takim razie może najpierw jeszcze jedna dawka morfiny...

Clarke odwróciła się i z rękami skrzyżowanymi na piersi odeszła w stronę ringu. Rebus ruszył za nią.

- Kto to zrobił? – spytała półgłosem. – Darryl Christie?
- Nie sądzę, żeby to było w jego stylu. Natomiast Cafferty...

Popatrzyła na niego.

- Czego mógł od niego chcieć?
- Tego samego co my, informacji.
- Ale skąd wiedział? O Arnotcie, Chathamie i całej reszcie?
- Ma Crawa Shanda – odparł Rebus.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym pokiwała głową.

- Pogadajmy z nim.
- Już to przerabialiśmy – przypomniał jej Rebus. – Wiesz, jaki jest Cafferty...

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie możesz iść sam, John. Ostatecznie jesteś cywilem.
- Tak naprawdę nie. Poza tym przede mną się otworzy.

Jej wzrok stał się bardziej świdrujący.

- Zawsze zastanawiam się, dlaczego tak jest.

– Bo lubi, jak poświęcam mu uwagę, i cholernie dobrze wie, że prawie na pewno nic mu nie mogę zrobić. Chce mi stale przypominać, że on tu rządzi, nie ty ani ja, ani ktokolwiek inny.

Clarke przez dłuższą chwilę milczała, a potem znowu skinęła głową.

- Dobrze. Ale potem wszystko mi powtórzysz, zgoda?

– Zgoda – odparł Rebus i skierował się do drzwi, gdy tymczasem preraźliwy wżg elektrycznej piły starał się zagłuszyć miarowy głuchy łomot, z jakim Donny Applecross okładał pięściami i stopami worek treningowy.

CAFFERTY NIE ODBIERAŁ. Rebus wysłał więc esemesa, a potem pojechał do kawiarni przy Forrest Road, ale Dużego Gera tam nie było. Wcisnął dzwonek mieszkania w Quartermile, lecz bez skutku, więc wrócił do kawiarni, zamówił kubek kawy i usiadł przy ulubionym stoliku Cafferty’ego, by zaczekać. Na krześle obok ktoś zostawił gazetę; Rebus przewracał strony, ściskając w drugiej ręce komórkę. Esemes przyszedł dopiero po dwudziestu minutach.

Innym razem.

Rebus natychmiast odpisał, tłukąc kciukami w ekran. *Poszedłeś późno spać przez Kenny’ego Arnotta? Gdzie zamelinowałaś Crawa?*

Dwie minuty później: *Craw jest na wakacjach, w pensjonacie, ze sporym kieszonkowym.*

Rebus ułożył następną wiadomość – *Usłyszałeś od niego to, co chciałeś? To cię zaprowadziło do szefa Raba Chathama?* – i wcisnął WYŚLIJ.

Czekał dwie minuty, pięć, osiem. Gdy wypił kawę, wyszedł na ulicę, trzymając przed oczami ekran telefonu. Dziesięć minut, dwanaście... Otworzył saaba, wszedł i zauważył, że dostał mandat. Wysiadł,

wyjął go zza wycieraczki i rzucił na fotel pasażera.

Wciąż cisza.

Gdzie jesteś?

Nic.

Co kombinujesz?

Bez odpowiedzi.

To jest Ukrainiec, nie Rosjanin.

Telefon dał sygnał, że nadchodzi wiadomość. Rebus odebrał i przeczytał.

Dlaczego myślisz, że o tym nie wiem? Nie chciałem, żeby było ci AŻ TAK łatwo.

Znowu wprawił palce w ruch.

Spotkajmy się.

WYŚLIJ.

Czekał.

Przyszedł esemes.

Ma szczęście, że go nie zabiłem.

Kto? Arnott? Christie? Craw?

Wszyscy mają szczęście, nawet ty. Wtedy nie miałeś urodzin, prawda?

Przecież tak naprawdę nie dałeś mi prezentu.

Szkoda, że nie widziałeś żądz w swoich oczach. To miłe zobaczyć prawdziwą ikrę u takiego starego piernika jak ty.

Też się wal. Pogadajmy. Twarzą w twarz.

Dlaczego?

Kciuki mnie rozbolały od stukania. I nie wierzę, że nie chcesz triumfować na moich oczach.

Czasy triumfowania mam dawno za sobą.

Ani trochę w to nie wierzę. Spotkajmy się.

Pomyślę o tym.

To musi być teraz.

Znowu czekał, choć tym razem wiedział, że na próżno. Cafferty był zajęтым człowiekiem, miał na głowie wiele spraw, a Rebus był tylko maleńkim pionkiem w grze, w której uczestniczył.

Uczestniczył? Nie, on ją kontrolował jak krupier, z ręką na podrasowanym kole ruletki przed ustawioną partią, który wie, że ostatecznie i tak wygra kasyno.

Rebus pojechał przez miasto na Great Junction Street i zatrzymał się przed Klondyke Alley. Niedaleko stąd znajdowała się kawiarenka, w której jadł z Rabem Chathamem kanapkę z bekonem. Czy były inspektor wiedział o tym, co się dzieje piętro wyżej? Rebus zajrzał w brudne okna mieszkań w kamienicy. Podjął decyzję, wysiadł i zamknął samochód. Domofon miał pięć przycisków, więc nacisnął je wszystkie po kolei. Jak się spodziewał, rozległ się brzęczyk informujący go, że zamek drzwi wejściowych został odblokowany. Wszedł do ciemnego korytarza prowadzącego do krętych kamiennych schodów.

Mieszkanie, o które mu chodziło, było na pierwszym piętrze. Zobaczył dwoje drzwi. Jedne zdobila tabliczka z nazwiskiem *Haddon*. Drugie były anonimowe. Rebus przycisnął do nich ucho, a potem uchylił kłapkę otworu na listy, by zajrzeć do środka. Mieszkanie wydawało się puste. Lekko zapukał w drewno, zastanawiając się, czy zainteresuje się nim sąsiad, który go wpuścił. Nie słyszał jednak

odgłosu otwieranych drzwi. Nacisnął klamkę. Wyglądało na to, że jedynym zabezpieczeniem mieszkania jest zamek yale. Rebus napał na drzwi ramieniem, ale bez powodzenia. Spróbował jeszcze raz, po czym cofnął się, uniósł prawą nogę i uderzył w drewno podeszwą. Ból przeszył mu biodro, więc zmienił nogę i zaatakował drugą stopą. Coś trzasnęło. Po drugiej próbie drzwi trochę się uchyliły. Masując sobie udo, wpełchnął je jeszcze dalej.

Problemem była poczta. Jej warstwa grubości paru centymetrów przykrywała dywan w przedpokoju. Rebus przecisnął się przez szparę w drzwiach i pochylił się, by podnieść kilka kopert. Trzymając je w lewej ręce, sprawdził mieszkanie. W sypialni nie było łóżka, w salonie mebli, szuflady w kuchni ziały pustkami. Sądząc z wyglądu toalety, ktoś korzystał z niej wiele tygodni temu i nie raczył spuścić wody. Rebus wrócił do przedpokoju, kucał i przejrzał korespondencję. Były to przede wszystkim ulotki reklamowe i kilka kartek z informacją, że pracownik odczytujący liczniki nie mógł się dostać do środka. Większość kopert była biała albo brązowa. Większość miała celofanowe okienka. Przesyłki biznesowe adresowane do dziesiątek firm, o których Rebus nigdy nie słyszał. Otworzył jedną. Była to oferta *zaawansowanych usług ze specjalną zniżką dla Państwa start-upu*. Przypuszczał, że w innych znajdzie podobne propozycje.

Przeszedł do salonu i stanął pośrodku pomieszczenia. Na ścianach były ślady po obrazach, które zdjął poprzedni właściciel lub lokator. Z rogu jedynego okna wystawał kabel gotowy do podłączenia do telewizora. Na jednej z odrapanych listew przy podłodze zobaczył gniazdko telefoniczne, ale telefonu nie było. Podobnie jak firmy, które korzystały z tego adresu, mieszkanie było po prostu wydmuszką. Ale z drugiej strony, czego się spodziewał: że na kanapie będzie siedział rozparty Anthony Brough, popijając mōeta?

Hm... byłoby miło.

– Zadzwoniłem na policję – dobiegł głos z półpiętra. Zanim Rebus dotarł do drzwi, sąsiad wycofał się do swojego mieszkania. Rebus podszedł i zapukał. Usłyszał grzechot zakładanego łańcucha, po czym drzwi uchyliły się na pięć centymetrów. Nad łańcuchem ujrzał oczy za okularami. Nieogolony mężczyzna wyglądał na zmęczonego; był w siatkowym podkoszulku i dresowych spodniach. Prawdopodobnie bezrobotny.

– Nie ma potrzeby, proszę pana – powiedział Rebus, starając się przybrać ton profesjonalisty.

– I tak już to zrobiłem.

– Wie pan, od kiedy to mieszkanie stoi puste?

– Odkąd się tu wprowadziłem.

– Ktoś tu w ogóle przychodzi?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Policja jest już w drodze – uznał za stosowne dopowiedzieć.

– Ja jestem z policji – wyjaśnił Rebus.

– Naprawdę? – Mężczyzna wyraźnie nie wierzył w ani jedno słowo.

– Nigdy pan niczego nie widział ani nie słyszał? Nikt nie wchodził, nie wychodził?

– Niczego. – Powoli zamykał drzwi.

– W takim razie pójdę. Dziękuję za pomoc. Zawsze można odwołać to wezwanie, jeżeli pan zechce...

Ale usłyszał szcęk zamykanych drzwi i chrobot przekręcanego na wszelki wypadek klucza.

Rebus nie wiedział, ile ma czasu. Minimum dziesięć minut, maksimum czterdzieści pięć. Ale czy był sens tu zostawać? Jeszcze raz szybko przejrzał koperty, sprawdzając, czy coś rzuci mu się w oczy. Przecież w ostatniej sprawie, nad którą pracował, kluczową i przeoczoną wskazówką okazało się menu restauracji sprzedającej dania na wynos. Tu jednak nie czekała żadna niespodzianka. Powlókł się na parter, otworzył drzwi i wyszedł na chodnik. Z Klondyke Alley wyłonił się klient, wyjmując paczkę papierosów z wewnętrznej kieszeni.

– Masz ognia, kolego? – zagadnął Rebusa.

Ten poklepał się po kieszeniach, lecz przypomniał sobie, że oddał pudełko zapalek.

– Niestety – odparł. Ale palacz podchodził już do innego przechodnia.

Rebus wstąpił do Klondyke Alley i rozejrzał się. Przysiadł na stołku przed automatem stojącym najbliżej drzwi i wrzucił funta. Kiedyś lubił hazard – obstawianie wyścigów konnych, a nawet od czasu do czasu zdarzało mu się odwiedzać kasyno. Nie przepadał za jednorękimi bandytami. Mimo to od razu mu się udało, zgarnął wygraną i postanowił spróbować jeszcze raz. Na ulicy zatrzymał się radiowóz. Bez kogutów i syren – patrol nie traktował wezwania zbyt poważnie. Rebus nie ruszył się z miejsca, choć stracił funta i dodatkowe trzy, które wygrał. Przy innym automacie siedziała kobieta. Widział jej plecy i połowę twarzy. Podniósł się i stanął obok niej.

– Dzień dobry – powiedział.

– Odwal się.

– Jesteś Jude?

Odwróciła się, by mu się przyjrzeć.

– Znamy się?

– Poznałem cię na pogrzebie waszego taty. Jestem kolegą Malcolm.

Jude Fox przewróciła oczami.

– Malcolm cię przysłał?

Rebus nie odpowiedział.

– Zawsze potrafi mnie zaskoczyć – stwierdziła. – Masz mnie przestrzec? Każesz mi wracać do domu, żebym gapiła się na przedpołudniowe talk-show? Przecież wie, że z domu też mogę grać, prawda? No przecież wie?

– Malcolm chce tylko twojego dobra, Jude – odparł wolno Rebus, starając się połączyć w całość słowa, które z siebie wyrzucała.

– Wszyscy chcą tylko mojego dobra: Malcolm, Darryl Christie, wszyscy! – Wrzuciła do maszyny następną garść monet.

– Ile jesteś mu winna? – spytał Rebus, gdy pojął prawdę.

Posłała mu pochmurne spojrzenie.

– Malky ci nie mówił?

– Powiedział tylko, że dużo – zalefował Rebus.

– Każda suma jest duża, kiedy masz niewiele, nie? – Uruchomiła automat, a potem głęboko nabrała powietrza i wypuściła je, próbując się uspokoić. Kiedy się odezwała, w skupieniu obserwowała obracające się walce. – Tylko mi nie mów, że mój brat nie odłożył takich pieniędzy. Ale czy wyciągnie z kłopotów siostrę? Akurat! Bo co z tego będzie miał? To jest wymiana, Malcolm Fox zawsze musi coś z tego mieć. – Zamilkła i odwróciła się, żeby jeszcze raz przyjrzeć się Rebusowi. – Pamiętam cię. Byłeś w kościele, ale już nie na stypie. Malcolm rozmawiał o tobie z tą...

– Z Siobhan Clarke?

– Właśnie. Mówił, że próbował wyrzucić cię z policji. A teraz nagle jesteście kumplami? Jak Boga kocham, nie rozumiem tego świata, w ogóle nie rozumiem...

– Darryl Christie wie, że jesteś spokrewniona z Malcolmem?

Zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Rozumiem, że tak. A Malcolm wie, że on wie?

Znieruchomiała z dłonią nad rzędami błyskających przycisków. Patrzyła na automat, ale jakby go nie widziała.

– Idź i powiedz mu, że spełniam tu swój obowiązek, sam mnie o to prosił. Cholera, to wszystko przez niego... – W jej oczach zalśniły łzy.

– Musisz się wziąć w garść, Jude.

– Przyganiał kocioł garnkowi. – Pociągnęła nosem, znowu mierząc go wzrokiem, ale Rebus już szedł do wyjścia.

Zadzwonił z samochodu, dopiero gdy oddalił się o pół kilometra od Klondyke Alley i ruch zwolnił przed skrzyżowaniem. Fox odebrał prawie natychmiast.

– Siobhan mi powiedziała – zaczął. – Jest w szpitalu i czeka na...

– Wiem o Jude – przerwał mu Rebus. – Ile jest winna Christiemu?

Cisza w słuchawce się przedłużała.

– Dwadzieścia siedem, a licznik dalej bije.

– Czego za to od ciebie chce?

– To znaczy?

– Nie picuj picerowi, Malcolm. Jeżeli ma coś, czego może użyć przeciwko tobie, to na pewno to zrobi.

– Chciał, żebym przekazał mu wszystko, co skarbowka ma na Głuszenkę. Nie martw się, poszedłem z tym prosto do Gartcosh. Zastanawiamy się, jak to zgrabnie załatwić.

Rebus myślał przez chwilę.

– Niemożliwe, żebyś powiedział im, że twoja siostra jest u niego zadłużona. Wtedy musieliby odsunąć cię od sprawy.

– To prawda – przyznał w końcu Fox.

– Czyli kiedy mówisz, że zastanawiacie się, jak to zgrabnie załatwić...

– No dobra, mam na myśli siebie. Tylko siebie... chyba że zamierzasz mnie sypanąć.

– Kiedy Christie ma kogoś w garści, już nie puszcza.

– Zorganizuję te pieniądze. Tylko muszę najpierw sprzedać dom. Do tego czasu będę się z nim bawił w kotka i myszkę.

– Jesteś pewien, że to on jest myszką, Malcolm? – Fox nie odpowiedział. – Ile czasu ci dał?

– Dwa dni.

– A zaczął odliczać...

– Dwa dni temu.

– Dwa dni na to, żebyś dostarczył mu informacji o Ukraińcu albo zapłacił dwadzieścia siedem tysięcy? Powodzenia.

– Jaki masz dzienny limit?

– W bankomacie? Dwie stówki.

– Szkoda.

Rebus uśmiechnął się wbrew woli.

– Jezu, Malcolm, jak na takiego ostrożnego gościa pakujesz się w straszne kłopoty.

– Lubię myśleć, że uczę się od najlepszych. A w ogóle skąd się dowiedziałeś?

– Byłem w mieszkaniu nad Klondyke Alley. Zajrzałem tam, a Jude pomyślała, że to ty mnie przysłałeś.

– Była w Klondyke Alley?

– Tak.

– Dlaczego to zrobiła?

– To znaczy?

– Christie o niej wie. Mało prawdopodobne, żeby pozwolił komuś pracować przy automatach, kiedy ona tam siedzi.

– Może to jej pomysł na pokutę – podsunął Rebus.

– Aha, może. – Fox westchnął ciężko. – Znalazłeś coś w tym mieszkaniu?

– Brough i Głuszenko pili herbatę i grali w karty.

Fox prychnął.

– Siobhan mówi, że chciałeś pogadać z Caffertym – powiedział.

– Na razie mi się nie udało.

– Tracisz swój dar perswazji?

– Może musi odpocząć po wczorajszym wysiłku.

– Twoim zdaniem Arnott będzie mówił?

– Nie ma szans.

– Jak myślisz, co powiedział Cafferty’emu?

– Sądząc z tego, że jeszcze żyje, jestem prawie na sto procent pewien, że wszystko.

– Czyli ile dokładnie?

– Chatham dostał tę robotę od Arnotta. Kiedy się zorientował, komu spuścił łomot, trochę się zdenerwował. Na wszelki wypadek wrobił w to Crawa...

– Arnott musi wiedzieć, kim jest prawdziwy zleceniodawca. Teraz wie to również Cafferty. Co wyklucza Cafferty’ego, ale nikogo więcej. – Fox zawahał się. – Joe Stark?

– Też przyszedł mi do głowy. Tylko że Joe ma swoich ludzi, więc czemu miałyby ich nie użyć?

– Bo Darryl od początku wiedziałby, kto ich nasłał – domyślił się Fox.

– Być może...

– Nie jesteś przekonany, co?

– Twój dar perswazji osiągnął dzisiaj poziom mojego. Słuchaj, jeżeli Christie zadzwoni albo będzie chciał się z tobą spotkać...

– Pewnie będzie to nagrywać, żeby wykorzystać później. Nie jestem aż takim tępakiem, John.

– Miło mi to słyszeć. Pogadamy później, dobra?

– Tymczasem pozdrów ode mnie Siobhan.

– Skąd wiedziałeś, że się z nią spotkam?

– Jesteś do bólu przewidywalny, John.

– Wolę określenie „metodyczny”.

– Powiesz jej o Jude i Christem?

– Jeżeli nie chcesz, nie powiem.

– Będę ci wdzięczny.

W słuchawce zapadła cisza. Rebus położył telefon na fotelu pasażera i podkręcił muzykę. Trzy samochody przed nim znowu zapaliło się czerwone światło.

ROZDZIAŁ 22

SIOBHAN CLARKE STAŁA W korytarzu Szpitala Królewskiego z telefonem przy uchu, gdy z daleka poznała zbliżającego się Rebusa.

– Utykasz – powiedziała.

– Mylisz się, tak naprawdę chodzę jak John Wayne.

– John Wayne utykał?

– Ścisłej rzecz biorąc, chodził rozkołysanym krokiem.

– Czyli nie zrobiłeś sobie nic złego, wyważając kopniakiem drzwi? – Pomachała telefonem. – Wysłano patrol na Great Junction Street. Ktoś włamał się do pewnego znanego nam mieszkania. Sąsiad opisał intruza jako mocno zbudowanego mężczyznę po sześćdziesiątce, mówiącego z miejscowym akcentem. – Umilkła. – No i co tam znalazłeś?

– Gówno – przyznał Rebus. – Co z Kennym Arnottem?

– Jest w sali obok. Mówią, że z tego wyjdzie, chociaż może nie odzyskać pełnej sprawności żadnej ręki.

– W takim razie ma szczęście, że nie jest pianistą.

– Ciągłe jest pod wpływem środków uspokajających, mówi się też o operacji, jeżeli chirurdzy dojdą do wniosku, że mu pomoże.

– Czyli nic nie mówi?

– Od czasu do czasu parę słów.

– Czy wśród tych słów jest „wypadek”?

– Jak się domyśliłeś?

– Co teraz?

– Chcę się spotkać z Alvinem Jamesem. Trzeba go przekonać, że tak naprawdę to nie są dwie sprawy, ale jedna.

– Chociaż nie mamy żadnego twardego dowodu. Może będzie lepiej, jeśli przy tym będę?

– Właśnie się waham... A będziesz miły?

– Jestem do usług, Siobhan. – Rebus patrzył, jak dwaj sanitariusze pchają łóżko na kółkach z kimś podłączonym do kroplówki. – Jezu, jak ja nie znoszę szpitali.

– Miałeś ostatnio jakieś doświadczenia? Jako pacjent? – Czekwała na odpowiedź, wiedząc, że jej nie usłyszy, a potem zerknęła na odebraną wiadomość. – James może się ze mną spotkać za pół godziny. Powinam już lecieć.

– Ktoś jest tam z Arnottem?

– Odwiedził go ten młody bokser. I za chwilę ma mnie zastąpić Christine Esson. – Obejrzała się przez ramię. – O wilku mowa.

– Przepraszam za spóźnienie – przywitała ich Esson. – Po drodze kupiłam jeszcze butelkę wody i jakiś magazyn do czytania.

– Leży tam – wskazała Clarke. – Łóżko numer trzy. Jest u niego Donny Applecross. Trenuje w klubie Arnotta. Gdybyś chciała pogadać, raczej na to nie licz.

Esson skinęła głową i weszła do sali. Rebus patrzył na Clarke.

– To co, jestem zaproszony czy nie?

– Naprawdę obiecujesz, że nie będziesz denerwować Jamesa?

– Słowo.

Clarke westchnęła głośno.

– No dobra, chodźmy...

– CZY TY MASZ W głowie pieprzoną sieczkę? – spytał Jamesa Rebus.

Stał przed detektywem komisarzem, mając obok siebie Clarke. James siedział odchyłony na oparciu krzesła ze stopą na krawędzi biurka. Jego zespół, łącznie z Foxem, przyglądał się i przysłuchiwał rozmowie. Clarke poświęciła całe dziesięć minut na streszczenie wszystkiego, co udało im się ustalić i co podejrzewali. Na koniec, po kilku sekundach namysłu, James oświadczył, że nie jest taki pewien, na co Rebus otworzył usta i zadał to pytanie.

– John... – ostrzegła go Clarke.

– No bo jeżeli nie widzisz związku, to nie jesteś lepszy od Tommy’ego – brnęł Rebus.

James zmarszczył czoło.

– Tommy’ego?

– Nie znasz The Who? Tommy, głuchy, niemy i ślepy.

– Nie sądzę, żeby któraś z tych cech odnosiła się do mnie – odparł spokojnie James. – Ale jako detektyw polegam na wykrytych dowodach, a nie dostałem od was ani jednego.

– Może trzeba zewrzeć szyki i parę wykryć?

– Na pewno przesłuchamy Arnotta, kiedy będzie w stanie zeznawać. – James zerknął do notatek, które zrobił w trakcie prezentacji Clarke. – I Cafferty’ego, chociaż nie widzę u was nadziei, że któryś z nich cokolwiek powie. W każdym razie fakt pozostaje faktem: nie mamy żadnego dowodu na to, że Robert Chatham napadł na Darryla Christiego i że dlatego zginął. Możemy zapytać Christiego, czy ma alibi na noc śmierci Chathama. Sądząc z tego, co powiedziałaś, będzie miał alibi, i to żelazne. – Przeniósł wzrok z Clarke na Rebusa i z powrotem. – Sama wiesz, Siobhan, co powiedziałyby prokuratorka, gdybym do niej z tym poszedł.

Clarke skinęła głową, zmuszona się z nim zgodzić.

– W porządku, to mało przekonujące – wtrącił Fox. – Ale to nie znaczy, że nieprawdziwe. John ma rację, kiedy mówi, że powinniśmy pogrzebać głębiej.

– Nie tak dawno twój przyjaciel John mówił, że to wszystko ma związek z zabójstwem z lat siedemdziesiątych – przypomniał mu James. – Na dowód tego masz na biurku teczkę, Malcolm. Boję się myśleć, ile godzin zmarnowałaś na przeglądanie tych akt, do tego lekturę książki tej kobiety i wyprawę do St Andrews i Perthshire, żeby szukać wiatru w polu.

– Tym razem się nie mylę – zjeżył się Rebus. – Siobhan to wie, Malcolm to wie.

– Część z nas nie uległa twojemu urokowi tak jak oni – zauważył James. Potarł policzek. – Jednak trzeba przyznać, że nie posuwamy się w żadną inną stronę...

– To mogłoby postawić śledztwo na nogi – powiedział z naciskiem Fox.

James spojrział na niego.

– Wrzucamy wsteczny, bo dotarliśmy do ściany, co, Malcolm?

Clarke wyprostowała się – udało się go przekonać.

– Dobra – ciągnął. – Ustalmy nową strategię, zaczynając od napadu w klubie: sąsiedzi, miejscowy monitoring, cokolwiek da się zdobyć. – James wstał i krążył po pokoju, przystając na moment przy każdym biurku. – Czy to był nowy młotek? Porozmawiajmy ze sklepami budowlanymi i dla majsterkowiczów. Co się stało z tą bronią? Napastnik pozbył się jej w pobliżu? Gwoździe... jeżeli będziemy mieli szczęście, kupił wszystko jednocześnie. To nie było włamanie, więc może ktoś widział nieznanego, który kręcił się w okolicy. Mógł zwrzeć do jakiegoś sklepiku, zaparkować na ulicy na tak długo, że zwróciło to uwagę przechodniów. – Przystanął i utkwiał wzrok w Clarke. – O czymś zapomniałem?

– Musimy się przekonać, czy Arnott zacznie mówić. Dobrze byłoby mieć na niego jakiegoś haka.

James skinął głową.

– Czyli przyjrzymy się interesom, które prowadzi, sprawdzimy, czy czegoś nie ukrywa. Znajomi, współpracownicy, według stałej procedury. – Wrócił za biurko, przysunął sobie notatnik i otworzył na czystej stronie. – Potrzebuję pięciu minut, żeby ustalić, w jakiej kolejności to zrobimy i kto dostanie jakie zadanie. – Mówiąc to, już pisał. – Nie wiem, czy zauważyliście, ale w tym pokoju jest osoba postronna. Może ktoś z was wyprowadzić ją z budynku?

Rebus popatrzył na czubek głowy Alvina Jamesa.

– Ta twoja gadka jest gównem warta.

– Moim zdaniem na nic więcej nie zasługujesz – odparł James, nie unosząc wzroku.

Glancey i Oldfield podnieśli się, gotowi wywlec Rebusa na ulicę, ale Clarke położyła dłoń na jego przedramieniu.

– Chodź, John – powiedziała. – Odprowadzę cię do wyjścia.

Przez moment Rebus ani drgnął, ale potem ruszył za nią na korytarz i zszedł w dół po schodach.

– W każdym razie osiągnęliśmy cel, o który nam chodziło – przypomniała mu, gdy znaleźli się na parterze.

– Brawo my.

– Ale musisz mu przyznać, że nieźle motywuje zespół.

– Nie, ty to musisz przyznać: to twój szef, nie mój.

– Jeżeli chodzi o ścisłość, moim szefem też nie jest.

– Właśnie oddałaś mu swoją sprawę, Siobhan.

– Chyba masz rację. – Wyszła z Rebusem na ulicę. – Co teraz zamierzasz? – spytała.

– Mam psa, którego muszę wyprowadzić.

– A potem? Zrobisz sobie okład z lodem na biodro?

– Nie jest tak źle.

– Tylko ciało mówi ci co innego?

– Aha, ciągle gada. Chciałbym, żeby wreszcie się zamknęło. Wracasz na górę?

– Chyba tak.

– W takim razie nie zatrzymuję. Tylko przekaz coś ode mnie Jamesowi.

– Co?

– Że widziałem w życiu więcej kutasów niż wenerolog, ale z niego jest naprawdę rzadki okaz.

– Mogę to trochę inaczej sformułować?

– Wolałbym, żebyś powtórzyła słowo w słowo. – Rebus spojrział na drugą stronę ulicy, gdzie zaparkował saabę. – Skoro mowa o kutasach... – Przeszedł przez jezdnię i wyszarpnął mandat zza wycieraczki. – Zebrałem już prawie komplet! – zawołał do Clarke, machając kartką. Wsiadł, dołączył mandat do kolekcji w schowku i uruchomił silnik. Jeżeli Hank Marvin rzeczywiście doprowadzi do jego śmierci, będzie mógł przynajmniej powiedzieć, że podstępem uniemożliwił miastu ściągnięcie z niego haraczu...

REBUS POJECHAŁ PROSTO do szpitala i poinformował Christine Esson, że może zrobić sobie przerwę.

– Na czyje polecenie? – spytała.

– Potrzebuję tylko pięciu minut. Mogłabyś skoczyć do toalety czy coś w tym rodzaju.

– Też się cieszę, że cię widzę, John.

– Przepraszam, zapominam o dobrych manierach. Co u ciebie, Christine? Ty i Ronnie ciągle jesteście razem?

– Już niedługo, jeżeli nie zgoli tych wąsów.

– Zdawało mi się, że styl na zarośniętego jest modny. Chcesz, żebym coś mu rzucił mimochodem?

– Myślisz, że nie próbowałam?

– Mógłbym go przytrzymać, a ty podejdiesz z brzytwą, co ty na to?

Uśmiechnęła się, po czym położyła czasopismo na podłodze i wstała.

– Pięć minut?

– Najwyżej. – Rebus spojrział na postać w łóżku. Prześcieradło było podciągnięte pod brodę, ale ręce zostały na wierzchu, umieszczone w ramie z szyn i klamer, by zabandażowane dłonie wisiły w powietrzu, wolne od jakiegokolwiek ucisku. Chociaż miał zamknięte oczy, Rebus nie mógł się oprzeć wrażeniu, że nie śpi. – Mówił coś?

– Odkąd przyszedłam, nic. Jego gość krótko potem poszedł.

– Donny Applecross?

Esson skinęła głową.

– Pielęgniarka spytała pana Arnotta, czy chce pić. Przechylił głowę i napiła go przez słomkę. – Esson pokazała na plastikowy kubek stojący na szafce przy łóżku.

– Idź, rozprostuj nogi – rzucił Rebus.

Patrzył, jak policjantka bierze torbę i wychodzi. Sala była pełna, ale żaden z mężczyzn nie wydawał się w najmniejszym stopniu zainteresowany swoim otoczeniem. Dwaj spali, jeden z rozchyłonymi ustami, z których wydobywało się ciche pochrapywanie. Inny w słuchawkach oglądał coś na niewielkim telewizorze. Każde łóżko miało podobny ekran, ale za taki przywilej należało zapłacić. Ciekawe, czy ten luksus był droższy od tutejszego parkingu, ale to byłoby nierealne.

Rebus nawet nie usiadł. Podszedł do łóżka z drugiej strony i nalał trochę wody z dzbanka do plastikowego kubka.

– Chcesz pić? – zapytał.

Nie usłyszał odpowiedzi. Zajrzał do karty pacjenta, usiłując z niej coś rozszyfrować. Do lewego przedramienia Arnotta podłączono kroplówkę. Zwykle wenflon umieszcza się na wierzchu dłoni, lecz

Rebus zdawał sobie sprawę, że w przypadku tego konkretnego pacjenta to nie wchodziło w grę.

– Nie masz rodziny, Kenny? Żadnych kumpli poza tym swoim młodym bokserem? Szkoda. Ale całkiem niezłe wyglądasz. – Rebus zrobił pauzę. – Prawdę mówiąc, wyglądasz na tyle dobrze, że mógłbym cię pocałować. – Nachylił się, rzucając cień na twarz Arnotta. Kiedy ich usta znalazły się parę centymetrów od siebie, Arnott nagle otworzył oczy. Rebus uśmiechnął się i wyprostował. – Chyba udało mi się przyciągnąć twoją uwagę. No więc posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Chcemy dopaść Cafferty’ego w twoim imieniu, z twoją pomocą albo bez niej. Tak czy inaczej, pomyśli, że wszystko nam powiedziałaś, więc lepiej módl się, żebyśmy zebrali wystarczająco mocne dowody, które pozwolą go przymknąć na dłużej. Byłoby znacznie łatwiej, gdybyś opowiedział nam chociaż troszeczkę, co się stało. A jeżeli choćby szepniesz słowo „wypadek”, przysięgam, że będę ścisłką te bandażę, aż się porzygasz. – Znowu zrobił pauzę. – Powiedziałem swoje.

Obszedł łóżko i przestawił krzesło, odwracając je w stronę pacjenta. Potem powoli usiadł. Arnott mrugał. Miał wyraźnie wilgotne oczy i skupiał wzrok na światłach na suficie.

- Nie jesteś gliną – odezwał się wreszcie, tak cicho, że Rebus ledwie go usłyszał.
- Zgadza się, Kenny.
- No to kim jesteś?
- Jednym z najdawniejszych wrogów Cafferty’ego, a to dla ciebie dobra wiadomość.
- Nie mogę ci pomóc. Zabiłby mnie.
- Ale jemu opowiedziałaś wszystko? Jeśli tak, kiwnij tylko głową.

Po chwili oczekiwania Rebus zobaczył, że Arnott lekko porusza brodą w dół i w górę.

– Wiesz, kto zlecił napaść na Darryla Christiego – ciągnął Rebus. – Klient zwrócił się do ciebie, żebyś kogoś znalazł. Wybrałeś Raba Chathama, podałeś mu adres i nic więcej. Gdy Chatham dowiedział się, że to był Darryl, trochę się spietrał, postanowił się zabezpieczyć i wykorzystał do tego Crawa Shanda, bo wiedział, że Craw chętnie, z wdzięcznym sercem, weźmie na siebie winę, a Chathama nie osiągnie mściwa ręka Darryla. Jeżeli dotąd wszystko się zgadza, byłoby miło, gdybyś jeszcze raz kiwnął głową.

Broda wykonała ten sam ruch co poprzednio.

– Dziękuję – rzucił Rebus. – Czyli zostaje nam tylko pytanie kto i dlaczego. „Dlaczego” nie wydaje się już takie trudne, chyba powoli dochodzimy do odpowiedzi. Nazwisko, Kenny, wystarczy jedno małe nazwisko, żebyśmy mogli oskarżyć Cafferty’ego, oczywiście przy założeniu, że ten, którego wymienisz, kazał załatwić Raba Chathama... Nie myślę się, przyjmując to założenie?

Arnott zamknął oczy i po policzku w stronę ucha spłynęła łza.

– On by mnie zabił – powtórzył drżącym głosem. Dygotał na całym ciele i Rebus skierował wzrok na wskazania monitora umieszczonego obok kropłówki.

– W porządku, Kenny?

Arnott zaciskał zęby, a jego twarz z wolna przybierała barwę buraka. Rebus wstał z krzesła i nachylił się nad łóżkiem. Usłyszał nierówny, coraz szybszy oddech.

– Mam kogoś wezwać? Za bardzo cię boli? – Rozejrzał się za pielęgniarką, ale żadnej nie było w pobliżu.

Cyfrowy monitor pokazywał coraz większe liczby. Nagle Arnott wyprężył się w konwulsjach, krzywiąc twarz.

– Siostrz!!! – wrzasnął Rebus.

Natychmiast zmaterializowały się dwie pielęgniarki i nie zwracając uwagi na Rebusa, stanęły po obu stronach łóżka, by ocenić sytuację. Błyskawicznie wymieniały między sobą słowa, a Rebus wycofał się, zostawiając im całą potrzebną przestrzeń. Wyczuł czyjąś obecność za plecami, a gdy się odwrócił, zobaczył Christine Esson, która szeroko otwartymi oczami patrzyła ponad jego ramieniem.

Do łóżka zbliżało się coraz więcej personelu. Zasunięto zasłony. Śpiący pacjenci obudzili się i obserwowali akcję. Mężczyzna z telewizorem zdjął słuchawkę i wyciągnął szyję.

- Chryste, John – syknęła Esson.
- Nic nie zrobiłem.
- Przecież zrobiłeś.
- Tylko mówiłem, a on słuchał, a potem...

Wtoczono jakiś aparat na kółkach. Rebus dostrzegł przymocowane do niego łyżki elektrod. Ktoś inny przyniósł strzykawkę i fiolkę przezroczystego płynu. Jedna z pielęgniarek zasuwiała zasłonki wokół pozostałych łóżek, kończąc widowisko. Wskazała na Rebusa i Esson.

- Proszę, żeby państwo stąd wyszli. W tej chwili.

Wycofali się na korytarz i odsunęli kilka kroków w głąb, by ustąpić miejsca biegnącym medykom.

- Co mam powiedzieć Siobhan? – spytała Esson, patrząc w stronę sali.
- Prawdę – poradził Rebus.
- Czyli wspomnieć o tobie?
- Chyba tak.

– Za to, że dałam ci te pięć cholernych minut, wyrwie mi głowę z płucami.

– Może musiałaś pójść do toalety. Wykorzystałem okazję i zakradłem się do sali.

Esson wlepiała w niego wzrok.

– Czyżbyśmy wymyślali historijkę?

– Chyba tak – zgodził się Rebus. – Jak twoim zdaniem brzmi?

– Moim zdaniem ratujesz mi głowę z płucami. – Esson zajrzała do sali zza dyżurki pielęgniarek. – Może nic mu nie będzie, co? – powiedziała z nutą nadziei w głosie.

- Na pewno – odparł Rebus, słysząc, jak lekarz z elektrodami w dłoniach rzucił krótkie:
- Uwaga!

GDY DO CENTRUM OPERACYJNEGO dotarła wiadomość o śmierci Kenny’ego Arnotta, na całe piętnaście sekund zapadła drętwą cisza. Fox przerwał ją pytaniem:

- Co teraz?
- Pracujemy dalej – odparł James.
- Czy to tortury doprowadziły do zatrzymania akcji serca? – zapytała Anne Briggs.
- Trzeba zaczekać na sekcję.

– Wtedy mielibyśmy umyślne zabójstwo – dodała Siobhan Clarke. To ona przekazała pozostałym wiadomość po tym, jak wyszła na korytarz, by odebrać telefon od Christine Esson. Nadal stała w drzwiach z komórką w dłoni. Przemilczała tylko jeden szczegół: obecność Johna Rebusa w szpitalnej sali i nieobecność funkcjonariuszki z wydziału dochodzeniowego.

– A to oznacza, że koniecznie trzeba zdwoić wysiłki – powiedział James. – Sean, jak wygląda sytuacja z marketami budowlanymi i sklepami dla majsterkowiczów?

– Największe już załatwione. Personel sprawdza nagrania z kamer, a nawet paragony.

– To może trochę potrwać.

Glancey skinął głową.

– Biorę się za czwarty sklep budowlany na liście.

– Dobra robota. Wallace?

– Za chwilę zaczynamy chodzić po domach. – W biurze zapadła cisza, żeby mogli usłyszeć głos Sharpe’a. – Musieliśmy najpierw zebrać ludzi. Kilku zostało, więc złożymy z nich zespół poszukiwawczy, dopóki nie zorganizują większego wsparcia. Jadę tam za jakieś dziesięć minut.

– Dzięki – powiedział James. – A u ciebie, Anne?

– Wytropić kolegów i znajomych ofiary jest trochę trudniej. Przydałby się nakaz rewizji na dom i firmę, sprawdzenie, czy w jego komputerze są jakieś namiary.

– Załatwię to. – James odwrócił się do Marka Oldfielda, który właśnie nastawiał czajnik. – Możesz pomóc przy chodzeniu po ludziach?

– Jasne – odparł Oldfield, bez większego powodzenia próbując wykrzesać z siebie entuzjazm.

– Gdzieś po drodze pewnie będzie kawiarnia – zakpił Fox.

– A ty, Malcolm? – wtrącił James. – Cały czas masz zajęcie?

– Pewnie.

– Chcesz złożyć wnioski o te nakazy?

Fox skinął głową, a Alvin James zaczął klaskać, patrząc na swój zespół.

– Dobra, wobec tego do roboty. Zmieniło się przestępstwo, ale nie śledztwo. – Odwrócił się do Clarke. – Znasz tę patologkę, prawda? Dowiedz się, kiedy w najbliższym czasie może zrobić sekcję.

– Najprościej będzie spytać ją osobiście. Jeżeli jest w prosektorium, ma wyłączony telefon.

– W takim razie zajmij się tym.

Omijając wzrokiem Foxa, wymknęła się z biura. Idąc do samochodu, zadzwoniła do Rebusa i mocno przycisnęła telefon do ucha.

– Tak myślałem, że się odezwiesz – mruknął.

– Co się stało?

– Właśnie z nim rozmawiałem.

Clarke wsiadła do wozu, przełączyła telefon na głośnik i równocześnie przekręcając kluczyk w stacyjce, zapinała pas.

– A wcześniej przekradłeś się na salę, kiedy Christine była w toalecie?

– Nie możesz jej za to obwiniać.

– Wcale jej nie obwiniam. – Clarke upewniła się, czy nic nie nadjeżdża, i ruszyła. – To na ciebie jestem wściekła.

– Powiedziałem mu tylko, że ruszamy na Cafferty’ego, wszystko jedno, z jego pomocą albo bez niej.

– No i?

– Powiedział, że gdyby coś zdradził, on by go zabił.

– Kto by go zabił?

– Co?

– Kto by go zabił? – powtórzyła. – Cafferty?

– No oczywiście. – Ale w głosie Rebusa nie było pewności. – Jak James sobie z tym radzi?

- Bardzo fachowo. Z miejsca rozdzielił wszystkim zadania.
- Z wyjątkiem ciebie?
- Właśnie jadę do kostnicy.
- Pogonić Deb, żeby w przyspieszonym trybie przeprowadziła sekcję? Uważasz, że jest szansa na oskarżenie Dużego Gera o umyślne zabójstwo?
- Wiem tyle co ty. Gdzie teraz jesteś?
- Pięć minut drogi od Cowgate.
- Jedziesz spotkać się z Deborah? – spytała Clarke.
- Taki miałem plan... tęgie głowy i tak dalej.
- John... żebyśmy mieli choć cień szansy na złapanie Cafferty'ego, wszystko musi się odbyć ściśle według zasad.
- Pełna zgoda.
- Nie jesteś funkcjonariuszem policji.
- Nie wiem, dlaczego wszyscy sądzą, że należy mi o tym stale przypominać. Kiedy będziesz na miejscu?
- Za dziesięć, dwanaście minut.
- Czekam na parkingu.
- Zapadła cisza i Clarke zjechała na przeciwny pas ruchu, żeby wyprzedzić autobus.

– CZTERNAŚCIE MINUT – powiedział Rebus, ostentacyjnie patrząc na zegarek.

Clarke zaparkowała obok saaba. Zobaczyła służbowe czarne furgonetki, ale nigdzie nie zauważyła samochodu Deborah Quant.

– Nie ma jej – potwierdził Rebus. – Już pytałem. Ma zajęcia na uniwersytecie. Ale powinna wrócić za jakąś godzinę. Moglibyśmy skoczyć na kawę.

– Dokąd?

– Caffè Nero przy księgarni Blackwell's – zaproponował.

Pokręciła głową.

– Mówiłam serio. Pomyśl, jak byś się czuł, gdybyśmy postawili Cafferty'ego przed sądem i wszystko posypałoby się przez głupie uchybienie formalne.

– Ja miałbym być tym uchybieniem? – Rebus pokiwał głową. – Ty wiesz najlepiej, Siobhan. Mnie zawsze bardziej zależało na wyniku niż na metodach, które do niego prowadziły.

– Właśnie dlatego po drodze parę razy przegrałeś.

– Nie mogę tak po prostu tego zostawić.

– Nawet na jeden dzień?

Rebus wolno pokręcił głową, na próżno próbując zrobić skruszoną minę. Clarke wyděła policzki i uważnie przyglądała się asfaltowi, po którym szurała podeszwą.

– Jesteś pewna co do kawy? – zapytał.

– Deborah przyjedzie tu po wykładzie?

– Prawie na pewno.

– Idziemy pieszo do tej kawiarni?

– Widziałas stromiznę, jaką trzeba pokonać? – odparł Rebus.

– Moim wozem czy twoim?

– W moim jest więcej miejsca.

Spojrzała na saaba.

– Nie można też wykluczyć, że nie da rady tam wjechać. – Zabrząca jej telefon. – James – poinformowała Rebusa i odebrała. – Tak, Alvin?

– Jesteś u profesor Quant?

– Jeszcze jej nie ma. – Clarke umilkła na moment. – Masz w głosie...

– Chyba dopisało nam szczęście – wyrzucił z siebie James. – To się musiało w końcu stać.

– Tak?

– Zostajesz tam czy chcesz się do nas przyłączyć?

– Będę za czternaście minut – odpowiedziała i zakończyła połączenie.

JAMES I JEGO ZESPÓŁ szykowali się do przedstawienia sprawy prawnicze z prokuratury okręgowej. Zastępczyni prokuratora nazywała się Shona MacBryer. Znała Clarke, więc przywitały się skinieniem głowy, gdy Siobhan weszła do biura. Fox i Oldfield rozdzielali kubki. Ktoś szarpnął się na zaparzaczkę i porządną kawę, do której były ciastka Duchy Originals. Dla MacBryer wszystko, co najlepsze, zwłaszcza gdy zamierzali ją przekonać, że mają sprawę zapiętą na ostatni guzik i potrzebują tylko jej aprobaty, by aresztować sprawcę.

– Sklep budowlany przy Leith Walk – powiedział James. Siedział na biurku, dokładnie na wprost krzesła MacBryer, z dłońmi na rozsuniętych kolanach, tak że jego krocze znalazło się na poziomie jej oczu, z czego zapewne nie zdawał sobie sprawy, ale zastępczyni prokuratora skrzywiła się z niesmakiem. – Właściciel twierdzi, że wczoraj po południu przyszedł klient, dobrze ubrany, po sześćdziesiątce, z ogoloną głową. Zwalisty facet, w czarnym płaszczu przed kolana i czarnych skórzanych rękawiczkach. Nie kręcił się po sklepie, dobrze wiedział, czego chce: dwa duże młotki stolarskie i tuzin sześciocalowych gwoździ, tyle samo, ile zabezpieczyliśmy w klubie bokserkim. No więc sierżant Glancey wysłał właścicielowi sklepu zdjęcie Morrisa Geralda Cafferty’ego, a on na to, że to na pewno ten sam człowiek.

MacBryer włączyła iPada, żeby notować.

– Łatwiej byłoby mi przy biurku – zauważyła.

– Niech pani zajmie miejsce Malcolma.

Podziękowała i przesiadła się na krzesło Foxa, a James przesunął na bok jego papiery, usiadł za swoim biurkiem i zamierzał kontynuować relację, ale MacBryer uniosła palec, żeby mu przerwać.

– Chciałabym spytać dla jasności: z właścicielem sklepu na razie rozmawiano tylko telefonicznie?

– Sierżant Sharpe pojechał po niego, powinni niedługo tu być.

– Czyli człowiek, który mógł być lub nie panem Caffertym, kupił dwa młotki i trochę gwoździ.

Mamy raport z kryminalistyki?

– Jeszcze nie – przyznał James.

– Skoro miał rękawiczki...

Ze zrozumieniem skinął głową.

– Ale na miejscu zdarzenia mogły być ślady DNA – powiedział. – Technicy dokładnie zebrali wszystko z podłogi, każdy okruch i drobinę.

– Co może dowodzić, że Cafferty odwiedził budynek, ale nie potwierdzi jego obecności w czasie, kiedy doszło do napaści.

– A gdybyśmy przeprowadzili okazanie?

MacBryer uniosła wzrok znad tabletu.

– Identyfikacja w wyniku okazania powie nam tylko tyle, że kupił młotek i gwoździe.

– Nie dalej niż pięć czy dziesięć minut spacerkiem od klubu bokserskiego. – James spojrzął na Foxa. – Gdzie mieszka Cafferty?

– Kiedyś mieszkał w Merchiston... – Fox odszukał wzrokiem Clarke.

– W Quartermile – oznajmiła. – Kawał drogi od Leith Walk.

– Czy w sklepie są kamery? – spytała MacBryer.

– Nie – odparł Glancey.

– Nazwisko właściciela?

– Joseph Beddoes.

– Sprawiał wrażenie osoby w pełni świadomej?

– Moim zdaniem to wiarygodny świadek.

MacBryer spojrziała na Jamesa nieruchomym wzrokiem.

– Wyciąga pan taki wniosek na podstawie jednej rozmowy telefonicznej?

– Jesteśmy pewni, że to Cafferty – przerwał jej. Przesunął krzesło, by siedzieć dokładnie na wprost MacBryer, przed którą stał kubek nietkniętej kawy i ciastko.

– Do tego, by akt oskarżenia okazał się skuteczny, trzeba odrobinę więcej, panie komisarzu. Pan Cafferty nie jest osobą nieznaną prokuraturze. Sześć poprzednich spraw przegraliśmy. Przydałoby się znalezienie narzędzia przestępstwa.

– Nasi ludzie przeczesują całą dzielnicę.

– Na ubraniu mogłyby być ślady krwi – dodała MacBryer.

– Jeśli tak – odezwał się Fox – to Cafferty już na pewno się go pozbył. Nie jest amatorem.

– Wiadomo, że nawet zawodowcy czasem popełniają błąd – zauważyła MacBryer. Przerwała notowanie. – Cafferty zasłoni się adwokatem, tego możecie być pewni. Jeżeli zarzut opiera się na jednym świadku i ani jednym dowodzie rzeczowym... – Nie musiała kończyć zdania. – Przypuszczam, że przesłuchacie pana Cafferty'ego?

– Przesłuchamy.

– A jeśli zaprzeczy, że miał w tym jakikolwiek udział, czego z pewnością można się spodziewać?

– Będziemy dalej zbierać dowody.

MacBryer w zamyśleniu pokiwała głową.

– Nic nam więcej nie pozostaje i mam szczerą nadzieję, panie komisarzu, że na następnym spotkaniu przedstawi mi pan coś więcej. Bo to, co dzisiaj usłyszałam, to o wiele za mało. – Zamknęła iPa da i wstała, szukając wzrokiem torebki.

Fox podał ją zastępczyni prokuratora, a ta wykonała parę pożegnalnych gestów i wyszła z biura, zabierając ze sobą cały tlen.

Fox wrócił na krzesło i zaczął układać swoje rzeczy. Clarke stała w drzwiach, patrząc, jak James garbi się za biurkiem.

– Po to ją zaprosiliście? – spytała.

James pokręcił głową.

– I tak miała przyjść, na wstępną naradę dotyczącą tego, czy śmierć Arnotta zmienia sytuację. – Wziął ciastko, po czym je odłożył. – Po prostu pomyślałem...

– MacBryer wie, co robi, i nieraz stawiała do pojedynku z Caffertym. Nie wystarczy słowa jednego właściciela sklepu...

– To już zrozumiałem! – James posłał jej piorunujące spojrzenie. – Przepraszam, pani inspektor, jesteśmy trochę zajęci.

– Malcolm też miał do czynienia z Caffertym. Jeżeli ma coś do powiedzenia, warto posłuchać.

James burknął coś pod nosem, skupiając uwagę na ekranie laptopa. Fox podziękował jej półuśmiechem i lekkim ruchem głowy wskazał na korytarz. Clarke opuściła biuro, zeszła po schodach i przystanęła na dole, by sprawdzić w telefonie, czy nie ma nowych wiadomości. Chciała pomóc Jamesowi i reszcie, chciała, żeby oskarżono Cafferty'ego o tę napaść. Choćby dlatego, że byłby to mądry prezent dla Rebusa.

Fox zjawił się dopiero po paru minutach. Otworzył drzwi wyjściowe i wyszli na ulicę.

– To moja wina – powiedział. – Mocno naciskałem, że to na pewno Cafferty. Przekonał ich rysopis, a kiedy tak szybko dostali potwierdzenie, na chwilę przestali logicznie myśleć.

– Ale już im przeszło i wrócili do sprawdzonych sposobów?

– Wolnych i metodycznych. – Rozległ się sygnał telefonu Foxa. Zerknął na esemesa i zacisnął szczęki.

– Co jest?

– Nic.

– Coś się stało, Malcolm?

– Nie.

– Przypomnij mi, żebym kiedyś zagrała z tobą w pokera.

– Dlaczego?

– Bo uszy ci poczerwieniały i nie potrafisz mi spojrzeć w oczy.

– Sheila Graham mówiła mi, że mam pokerową twarz.

– Okłamała cię. No więc jak? Powiesz mi, co się stało?

– Nic się nie stało.

– Jak chcesz... Ale człowiekowi lżej na duszy, kiedy może komuś...

Fox z roz targnieniem skinął głową.

– Lepiej wróć na górę.

– Zaraz! Co z Johnem? Wszystko z nim w porządku?

– Dlaczego miałoby nie być?

Spojrzała uważnie, próbując wyczytać prawdę z jego oczu, zmieniła jednak zdanie.

– Pogadamy później?

– Jasne. – Już otwierał drzwi.

– To na razie – powiedziała Clarke, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Wchodząc po schodach, Fox jeszcze raz zerknął na ekran telefonu.

Tik-tak.

Oczywiście esemes od Darryla Christiego. Fox skontaktował się już z prawnikiem, specjalistą od nieruchomości, który w południe miał obejrzeć z zewnątrz dom i jeszcze tego samego dnia podać mu wstępną wycenę. Tak czy inaczej, Jude nic się nie stanie.

On też przeżyje.

ROZDZIAŁ 23

PO ULICACH WEST PILTON przez piętnaście, może dwadzieścia minut kręcił się oszołomiony nagi mężczyzna. Zrobiono mu zdjęcia telefonami i umieszczono je w internecie, a jednej młodej osobie udało się nawet pstryknąć z nim selfie. Kiedy jednak zbliżył się do szkoły podstawowej – była akurat przerwa i dzieci brykały po boisku – wszczęto alarm i wezwano policję. Mundurowi z radiowozu zdołali przeciąć mu drogę, zanim dotarł do terenu szkoły, i narzucili na niego koc. Miał splątane i zlepione włosy, cuchnął potem i kałem. Wystawały mu żebra, nie potrafił sklecić składnego zdania. Nie wiedząc, co z nim począć, policjanci odstawili go na posterunek w Drylaw, by martwili się nim inni. Czekał go zarzut publicznego obnażania się, gdy tylko zostaną ustalone jego personalia.

Niebawem je poznali. Pewien dentysta, zaglądając w południe na Twittera, zobaczył kilka zdjęć i rozpoznał na nich człowieka, z którym grywał w tenisa, dopóki się z nim nie pokłócił. Zadzwoił na policję i zidentyfikował ekshibcjonistę jako Anthony’ego Brougha. W tym czasie zatrzymany zdążył już wziąć prysznic i otrzymał jakieś ubranie. Wezwany lekarz orzekł, że dygoczący i bełkoczący mężczyzna jest pod wpływem jakiegoś narkotyku.

– Pewnie wziął coś, czego nie powinien.

Przepisał mu zastrzyk, po czym mężczyzna wrócił do celi, dostał kanapkę oraz kubek herbaty i udało mu się utrzymać je w żołądku przez prawie minutę.

Na Twitterze, dzięki któremu ustalono tożsamość Brougha, dentysta zamieścił parę swoich przemyśleń. W końcu Brough roztrwonił sporo jego oszczędności, więc uznał to za coś w rodzaju zemsty.

Christine Esson poinformowała o tym Siobhan Clarke, a ta zadzwoniła do Malcolma Foxa.

– Dokąd go odstawimy? – spytała.

– Może na Gayfield Square? – zaproponował Fox.

– Dobra.

Następnie Fox zadzwonił na posterunek w Drylaw i rozmawiał z sierżantem, od którego dowiedział się, że Brough mamrocze coś o porwaniu.

– Gdzie go zauważono? – zapytał Fox.

– Lepiej ode mnie wiedzą social media – odparł sierżant.

Fox sprawdził więc Facebooka i Twittera i znalazł informację o Ferry Road Avenue. Jeszcze raz zadzwonił do sierżanta i poprosił o wysłanie tam funkcjonariuszy, by sprawdzili, czy na tej ulicy lub w jej pobliżu jest jakieś miejsce, gdzie mógł być przetrzymywany.

– Nie wydaje się panu, że on nam wciska kit? Że się naćpał, a kiedy oprzytomnieje, wyskoczy z pierwszą wymówką, jaka mu przyjdzie do głowy?

– Niewykluczone.

– Albo wyrzucili go z samochodu?

– Proszę się tam jednak rozejrzeć.

W słuchawce rozległo się ciężkie westchnienie i sierżant rozłączył się bez słowa.

Na Gayfield Square wezwano drugiego lekarza, który czekał na przyjazd Brougha. Fox i Clarke patrzyli, jak mundurowi wprowadzają go do prowizorycznego gabinetu. Wkrótce poznali diagnozę: trzeba zabrać Anthony'ego Brougha do szpitala. Był niedożywiony, a narkotykowy koktajl, który mu podano – dożylnie i doustnie – mógł mieć skutki uboczne. Należało zbadać krew. Później mogła się okazać konieczna ocena psychiatryczna.

– Musimy z nim porozmawiać – nalegał Fox, ale lekarz pokręcił głową.

– Nie teraz. I na pewno nie przez jakiś czas. Chyba znalazłem dla niego łóżko w Western General.

– Świetnie, następny szpital – zauważyła Clarke, patrząc na Foxa.

W automacie w korytarzu kupili batony i napoje, po czym oparli się plecami o ścianę.

– Głuszenko miał go, ale wypuścił? – zaczął Fox.

– Gdybyś był baronem ukraińskiej mafii, wybrałbyś sobie West Pilton na miejsce do odpoczynku?

– Może nie. Ale jeden z jego ludzi już tak. Z drugiej strony, sierżant, z którym rozmawiałem, przypuszcza, że Brougha mogli tam podrzucić.

– Jeśli tak, to nasuwa się pytanie: dlaczego? Jeżeli naprawdę został porwany, dlaczego go wypuścili?

– Może dostali to, czego od niego chcieli.

– Masz na myśli zaginione pieniądze? – Clarke pokiwała głową, dopuszczając taką możliwość.

– Albo rzeczywiście po prostu zabalował. Słyszałaś kiedyś o szkockim podróżniku Mungo Parku? Wszedł do dżungli z dziesiątkami tragarzy, którzy dźwigali mnóstwo kufrów. Parę miesięcy później wszedł, ślaniając się na nogach, w samym cylindrze.

– To nie może być prawda.

– Pamiętam, że gdzieś o tym czytałem. – Fox zerknął na zegarek. – Co chcesz zrobić?

– Nie ma sensu tu tkwić.

– Moglibyśmy pojechać do szpitala, zanim zacznie się popołudniowy ruch.

– Albo? – Clarke zmięła opakowanie po batonie i wrzuciła do kosza.

– Albo dołączyć do poszukiwań w West Pilton, bo to prawie po drodze.

– Czyim wozem?

– Wszystko jedno.

– W takim razie moim.

– Tylko łagodnie, Siobhan. Nie mam już takich stalowych nerwów jak dawniej.

– Właśnie dlatego przez całą drogę będziemy słuchać Ninja Horse.

– To jakaś bajka?

– Zespół heavymetalowy.

– Jeszcze jedno... Kiedy powiemy Johnowi?

Clarke zastanowiła się nad tym.

– Może jeszcze nie teraz.

– A siostrze Brougha i jej asystentce?

– Też.

– Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Chcesz mieć tłum ludzi przy jego łóżku?
- Słusznie.
- Poza tym – dodała Clarke, zbierając się do wyjścia – John poczuł już chyba dzisiaj oddech kostuchy...

REBUS WPADŁ NA POSTERUNEK w Leith akurat w tym momencie, gdy na przesłuchanie przyjechał Cafferty w towarzystwie swojego adwokata, chudego jak szkielet Crawforda Leacha, który miał na sobie trzyczęściowy garnitur w prążki i czarne buty, zaglansowane prawie na śmierć. Był po czterdzieście, resztki włosów na niemal zupełnie łysej głowie zaczesywał do tyłu, odsłaniając czoło i uszy. Nosił okulary w stylu Johna Lennona, a na jego policzkach zawsze zostawało parę kępek zarostu, choć reszta twarzy była gładko ogolona.

Rebus mył właśnie ręce, gdy otworzyły się drzwi i do toalety wkroczył Cafferty, kierując się do pisuaru.

- A więc dostałeś moją wiadomość? – spytał Rebus.
- Co ci chodzi po głowie, John?
- To było głupie. Głupie i przesadnie dramatyczne.
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.
- Myślałem, że wyrosłeś z takich indywidualnych akcji. Okazuje się, że niewiele wiem.

Kiedy Rebus wycierał ręce w papierowy ręcznik, Cafferty stanął obok niego przy umywalce. Patrzyli na swoje odbicia w lustrze.

- Zabiłeś kogoś kiedyś, John?
- Tylko wtedy, gdy nie miałem innego wyjścia.
- Czy to nie jest trochę nudne?
- Zostawiłeś go, żeby umarł czy przeżył?
- Co jest? Podpieli ci mikrofon? – Cafferty nachylił się bliżej lustra, by przyjrzeć się uważnie własnej twarzy. – Zresztą i tak już prawie wszystko załatwione. Grałeś kiedyś w brydża?
- Nie.
- Ja też nie, ale znam zasady. Jest taki moment, kiedy kończy się licytacja i potem niewiele już można zmienić. Czasem w czasie rozgrywki zdarza się jakaś niespodzianka, ale najtrudniejsze zostało już zrobione. – Cafferty się uśmiechnął. – Właściciel sklepu... Nic więcej nie mają?

– Skąd mam wiedzieć?

– Są jak dzieci, które grają w wojnę. Ty i ja jesteśmy przyzwyczajeni do poważnych gier dla dorosłych.

Zastanawiając się, dlaczego jego klient tak długo nie wraca, Leach zajął do toalety i skrzywił się niezadowolony, gdy zobaczył, że ten ma towarzystwo.

– Nie martw się, Crawford – uspokoił go Cafferty. – Porównywaliśmy tylko nasze męskości. – Puścił oko do Rebusa, po czym ruszył za adwokatem do pokoju przesłuchań.

Rebus wszedł do pomieszczenia centrum operacyjnego, gdzie Briggs i Oldfield udawali bardzo zapracowanych, choć w rzeczywistości dąsali się, że nie zostali wybrani do partnerowania Alwinowi Jamesowi.

- Wziął ze sobą Siobhan? – zdziwił się Rebus.
- Nie ma jej.

– A Fox?

– Też go nie ma. Z Jamesem siedzi Sean. Wallace jest ciągle zajęty przeszukiwaniem dzielnic i pukaniem do sąsiadów.

– Podoba mi się to nowe wyposażenie – powiedział Rebus, oglądając zaparacz łokowy, po czym wziął ostatnie w paczce ciastko Duchy Originals.

– Przyszedł pan w jakiejś konkretnej sprawie? – spytała Briggs.

– Naprawdę nigdzie mi się nie spieszy. – Posłał jej promienny uśmiech.

– Alvin miał dopilnować, żeby recepcja pana nie wpuszczała.

– Pewnie wyleciało mu z głowy. Jakieś wieści z klubu bokserskiego?

– Technicy nie znaleźli niczego sensacyjnego – przyznał Oldfield. – Bez narzędzia przestępstwa mamy zgrzyz.

– Tego bym nie powiedział – pocieszył go Rebus. – Macie człowieka, który sprzedał Cafferty’emu młotek. Jeżeli Cafferty nie będzie mógł pokazać wam tego młotka, to będzie wyglądać podejrzanie. A jeżeli pokaże...

– Ale nie pokaże.

– Nie pokaże – zgodził się Rebus.

– Podejrzenia to nie dowody – stwierdziła Briggs.

– Zdaje się, że mieliście okazję wysłuchać prokuratorskich mądrości. Trudno w to uwierzyć, ale oni nie zawsze wiedzą najlepiej. – Rebus odgryzł następny kawałek ciastka. Zawędrował do biurka Focha, usiadł przy nim i rzucił okiem na papiery.

– Alvin się wścieknie, jak tu pana zobaczy.

– Duży Ger za niczym tak nie przepada jak za długą rozmową – wyjaśnił Rebus. – A ponieważ jego adwokat bierze trzycyfrowe kwoty za godzinę, też nie zależy mu na pośpiechu.

– Podobno zna pan Cafferty’ego aż za dobrze.

Rebus spojrział w oczy Briggs.

– Biorąc pod uwagę moje zdrowie, tak, to pewnie prawda.

– Zaglądałam do jego akt. Zdaje się, że pierwszy raz użył młotka.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Chyba teraz tego żałuje – odezwał się w końcu. – Mija sklep i myśli: czemu nie? Przecież czegoś potrzebował. Kenny Arnott to niełatwy przeciwnik, młodszy od niego o dwadzieścia lat. – Wzruszył ramionami. – Poza tym młotek i gwoździe to oldskul... Może Duży Ger pomyślał, że Arnott to doceni.

– Doceni?! – Briggs wyraźnie zbulwersowała ta sugestia.

– Trudno mi to wytłumaczyć. – Mimo to Rebus właśnie zamierzał spróbować, gdy w drzwiach zjawił się Alvin James z miną jak chmura gradowa. – Właśnie wychodziłem – zapewnił go Rebus.

– Chce rozmawiać z tobą. Nic mi nie powie, dopóki do niego nie pójdziesz.

– A to pech.

– Jak cholera. Mówi, że pięć minut. Potem możemy wrócić i zadawać mu pytania. – James wycełował palec w pierś Rebusa. – Powtórzysz mi każde słowo, które od niego usłyszysz, zrozumiano?

– Będziecie nagrywać?

James pokręcił głową.

– Pięć minut. – Rozczapierzył palce jednej ręki. – Żebyś się za bardzo nie rozgościł...

Rebus zapukał i wszedł do pokoju przesłuchań, a Cafferty w tym momencie kazał Crawfordowi Leachowi iść rozprostować nogi.

– Nie sądzę, żeby to było rozsądne – wycedził prawnik.

– Wypieprzaj stąd, Crawford. Nie wiem... idź i spróbuj się porządnie ogolić.

Cafferty patrzył, jak adwokat wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi. Stał przed nim duży kubek herbaty, ale nic więcej. Magnetofon i kamera były wyłączone. Rebus usiadł na krześle, które prawdopodobnie zajmował przed chwilą Alvin James, po drugiej stronie stołu. Cafferty oglądał uważnie pomieszczenie, jakby zastanawiał się nad wynajmem.

– Bywało się w niejednym takim, co, John?

– Tak, w niejednym.

– Caw twierdzi, że raz go poturbowaleś... przy okazji sprawy Biblijnego Johna. To prawda?

– To było w Craigmillar.

– Wtedy panowały inne zasady. Ale wiesz co? – Cafferty wypiął pierś. – Czuję się, jakbym łapał drugi oddech.

– Dlaczego?

– Bo karta idzie mi dokładnie tak, jak powinna, i na razie mam tyle punktów przewagi, że czuję się wręcz zakłopotany. – Zarechotał, bębniąc palcami w kubek.

– Komisarz James dał mi tylko pięć minut – uprzedził go Rebus. – Wystarczy ci na szczerą i wyczerpującą spowiedź?

– Po prostu pomyślałem... być może nigdy więcej się już nie zobaczymy, w każdym razie nie w takim miejscu. Skoro jesteś już emerytem i tak dalej... Przechodzi ci ten kaszel? Jasne, że nie. We mnie wstępuje nowe życie, a wszyscy dookoła się rozsypują.

– Niektórym w tym pomogłeś. – Rebus umilkł. – Nie zamierzasz im nic powiedzieć, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– A mnie?

– Tobie?

– Chyba na coś zasługuję.

– Znowu masz urodziny? Dałem ci Głuszenkę, nie wystarczy?

– Nie dałeś mi Głuszenki, bąknąłeś tylko coś o Rosjaninie. Ale wiedziałeś o nim od samego początku, prawda? To jest ta karta, którą masz w rękawie.

– Niezły z ciebie numer, John. Na pewno już ci to mówiłem. To towarzystwo tutaj nie zasługuje na ciebie.

– Przecież to całkiem niezli gliniarze.

Cafferty prychnął.

– To o wiele za mało.

– Popeliłeś błąd, dałeś się zidentyfikować.

– Ale czy to naprawdę byłem ja? Sklepikarz po siedemdziesiątce, który nosi okulary jak denka butelek? Sam wiesz, że nikt nie stanie przed sądem na podstawie takiego zeznania.

– Prosił cię o ubranie?

– Mogę im je dać. Wygląda dokładnie tak samo jak to, które miałem na sobie wczoraj.

– Co zrobiłeś z młotkiem? Co powiedział ci Arnott?

Cafferty posłał mu lekki, niemal smutny uśmiech.

– Głuszenko jest blisko, John. Bardzo blisko. A kiedy tu będzie... koniec gry.

Otworzyły się drzwi. Stali w nich Alvin James i Sean Glancey, a między ich ramionami ukazała się głowa Leacha.

– Czas minął – oświadczył bojowym tonem James.

Rebus już stał.

– Chciał tylko powspominać dawne czasy – wyjaśnił. – Pięć minut mojego życia bezpowrotnie straconych.

– W takim razie wypieprzaj stąd w podskokach i pozwól spróbować profesjonalistom – powiedział James.

Wychodząc z pokoju, Rebus zerknął na Cafferty'ego, ale on utkwiał wzrok w Jamesie i szykował się do dalszego ciągu rozgrywki.

CLARKE I FOX DOTARLI na miejsce w samą porę, by się dowiedzieć: ulicę dalej od miejsca, w którym pierwszy raz widziano Anthony'ego Brougha, stał szeregowy dom. Okna były zasłonięte, ale drzwi wejściowe uchylone. Dwaj mundurowi, którzy weszli do środka, byli raczej pewni. Stali na progu, gdy Clarke i Fox podeszli. Clarke otworzyła legitymację.

– Detektyw inspektor Clarke. Mówcie.

– Sypialnia na parterze, z tyłu domu, obok kuchni. Zamek zamocowany na zewnątrz drzwi, ale kłódka leży na dywanie w przedpokoju. W pokoju cuchnie. Okno zabite naглуcho. W środku łóżko połowe, wiadro do sikania i butelka, chyba z wodą. I to mniej więcej wszystko.

– Pod drzwiami sterta ubrań – dorzucił jego kolega. – Garnitur, koszula, buty.

Clarke zajrzała do środka przez uchylone drzwi.

– To jakiś squat?

– W kuchni jest jedzenie, a na górze materac ze śpiworem, plus inne ubrania w dwóch workach na śmieci.

– W łazience szczoteczka do zębów i maszynka do golenia – powiedział pierwszy z mundurowych.

– Ktoś inny był w środku? – spytał Fox.

– Tylko my.

– Dotykaliście czegoś?

– Nie jesteśmy tacy głupi. – Twarz posterunkowego odrobinę stężała.

– Chcę wiedzieć, kto tu mieszka – oświadczyła Clarke. Na chodniku zebrała się niewielka grupa gapiów, przede wszystkim dzieciaków na rowerach. – Spytajcie sąsiadów z obu stron. Potem sprawdzimy papiery. Gdzieś w szufladzie muszą być jakieś rachunki.

– W urzędzie miasta będą dane osoby, która co roku buli podatek – zauważył Fox.

Clarke znów przyjrzała się wnętrzu, po czym przestąpiła próg. Fox miał jednak niepewną minę.

– Miejsce zdarzenia to sypialnia, Malcolm – uspokoiła go Clarke. – A właśnie... – Wyjęła telefon i wstukała numer szefa techników.

– Siobhan – powołał ją Haj Atwal. – Czyżbyś znowu miała zamiar zasilić naszą kasę?

Podawała mu adres.

– Nie chodzi o nic okropnego – uspokoiła go. – Przetrzymano tu porwanego. Ale trzeba rzucić okiem na to pomieszczenie.

– Za pół godziny? – zaproponował.

– Ktoś tu będzie czekał. – Clarke rozłączyła się i spojrzała na Foxa. – Idziemy?

Ruszył za nią wąskim korytarzem. W powietrzu unosił się cierpki zapach wymiotów. Przystanęli przed drzwiami sypialni. Skobel i wrzęciadź wyglądały na tanie i marne, a kłódka była mała i błyszcząca.

– Jak nowa – zauważył Fox.

Nie wchodząc do pokoju, zobaczyli, że wygląda dokładnie tak, jak opisał go policjant. Na gołych otynkowanych ścianach nie było nic. Całe niewielkie okno zasłaniała przybita sklejka. Pod przewróconym na bok łóżkiem połowym leżał jeden koc. Wiadro i butelka z wodą. W połowie drogi między łóżkiem a wiadrem na wytartym dywanie zobaczyli skorupę z zaschniętych wymiocin. Fox zwrócił uwagę na zwinięte w kłębek ubrania u swoich stóp. Trącił je czubkiem buta i z kieszeni marynarki wyśliznął się portfel. Ze swojej kieszeni wyjął długopis, kucnął i otworzył nim portfel. Karty kredytowe, debetowe, prawo jazdy. Zakrywając chustką opuszki palców, delikatnie wysunął prawo jazdy na tyle, by mogli się przekonać na własne oczy, że jego właścicielem jest Anthony Brough.

Clarke spojrzała na dokument i skinęła głową. Fox skierował wzrok na mosiężną kłódkę. Była otwarta, ale bez kluczyka.

– Myślisz, że to gapiostwo porywacza? – zastanawiała się na głos Clarke.

– Na to wygląda.

Przeszli do kuchni. Obok zlewu stała popielniczka pełna resztek skrętów. Clarke wysunęła parę szuflad, lecz nie znalazła w nich żadnych rachunków ani innej korespondencji. Fox otworzył dwie szafki zawieszane jedna obok drugiej nad blatem po drugiej stronie kuchni.

– O proszę – rzucił.

Clarke odwróciła się i ujrzała torebki z białym proszkiem; torebki pełne zielonych liści i pączków; torebki z tabletkami rozmaitej wielkości i kolorów; fiołki i buteleczki z gumowymi korkami, wypełnione przezroczystym płynem, najwyraźniej przeznaczonym do wstrzykiwania. Fox studiował opis jednej z nich.

– Chyba potrzebny będzie weterynarz, żeby nam powiedział, jakie to ma działanie.

– Zgodzisz się ze mną, że raczej nie mamy do czynienia z ilością na własny użytek, Malcolm?

Fox dostrzegł coś na podłodze w ciemnym kącie.

– Co ci to przypomina? – zapytał.

– Kluczyk do kłódki. Upuszczony przez porywacza.

– Nie mógł go znaleźć, a wolał nie zatrząskiwac kłódki, bo mógłby potem jej nie otworzyć, więc postanowił zaryzykować. – Fox pokiwał głową.

W drzwiach stał starszy z mundurowych.

– Lokator nazywa się Eddie Bates. Nigdy nie sprawiał kłopotów, ale odwiedza go mnóstwo ludzi o każdej porze dnia i nocy.

– Mieszka tu ktoś jeszcze?

– Tylko on.

– Sprawdźcie, czy go znamy. Potrzebny będzie rysopis. Może koleś wyskoczył na chwilę z domu i niedługo wróci.

– Wyślemy ludzi, żeby go znaleźli?

Clarke zastanawiała się przez chwilę.

– Przyczaimy się – zdecydowała. – Przymknijmy drzwi i zaczekamy. – Zaprowadziła Foxa i posterunkowego do wejścia. – Trzeba zabrać stąd mundurowych i radiowoz, niech się trzymają w bezpiecznej odległości. – Miała już telefon przy uchu. – Haj – powiedziała, gdy szef zespołu techników odebrał – wstrzymaj się na razie. Powiem ci, kiedy będziesz mógł przyjechać.

– Jaki masz plan? – spytał Fox, gdy szli ścieżką w stronę ulicy.

– Ty i ja siedzimy w samochodzie i nie spuszczaemy z oczu drzwi.

– Naprawdę myślisz, że ten Bates tylko „wyskoczył na chwilę”? Od ucieczki Brougħa minęły co najmniej dwie godziny. Żeby zostawiać porwanego na tak długo...

– Być może przypuszczał, że nafaszerował Brougħa prochami do nieprzytomności. Sam wziął ze dwie działki albo wypalił skręta, wrzucił coś na ruszt... – Zauważyła wzrok Foxa. – No to mów: co ty byś zrobił?

– Rozkleiłbym ulotki z rysopisem na dworcach autobusowych i kolejowych. Jeżeli był już w domu i zobaczył, że Brougħ zwiął, prawdopodobnie będzie chciał się stąd ulotnić.

– Nie zabierając nic z kuchni? Towar w tych szafkach jest pewnie wart parę tysięcy.

– Racja – przyznał Fox.

Przestawili samochód na koniec ulicy. Po zniknięciu mundurowych i radiowozów gapie też się rozeszli. W ciągu paru minut w okolicy zapanował spokój. Clarke zadzwoniła do Christine Esson i podała jej nazwisko i adres Batesa.

– Znajdź wszystko, co się da. Na Facebooku, Twitterze i Instagramie. Idealnie, gdybyś trafiła na jakieś świeże zdjęcie.

– Zrobi się.

– Diler prochów naprawdę wrzucałby zdjęcia do internetu? – zapytał Fox, gdy skończyła rozmowę.

– Wszyscy wrzucają.

– Ja nie.

– Bo jesteś dziwadłem, Malcolm.

– A ci, którzy ujawniają swoją prywatność zupełnie obcym ludziom, są absolutnie normalni?

– Dziwne, nie?

Fox pokręcił głową. Usłyszał dźwięk swojego telefonu i zerknął na ekran.

Tik-tak.

– Znowu twoja cicha wielbicielka? – zainteresowała się Clarke.

– To Darryl Christie.

– O co mu chodzi?

– Chce, żebym skorzystał z baz danych w Gartcosh i wytropił Głuszenkę.

– Dlaczego miałbyś to dla niego zrobić?

– Bo moja siostra jest mu winna pieniądze.

– Jakim cudem?

– Długi hazardowe.

– Ale tego nie zrobisz?

– Bawię się z nim w kotka i myszkę.

– Nie możesz po prostu spłacić tego długu?

– Musiałbym sprzedać dom. Rozważam to.

– Cholera jasna, Malcolm. Mogę ci pożyczyć, jeżeli to coś da...

Fox pokręcił głową.

– Nie mogę tego zrobić, Siobhan.

– Twój szef wie?

– Oczywiście.

– A mnie mówisz dopiero teraz, bo...

– Żeby zabić czas.

– Skoro już jesteś w nastroju do gadania, to co wiesz o stanie zdrowia Johna?

– Dlaczego miałyby mi mówić o swoim zdrowiu?

– Po prostu mam wrażenie, że jestem jedyną osobą, która nic nie wie.

– Na pewno nic mu nie dolega.

– A ty, Malcolm? Tobie nic nie dolega?

– Żałuję, że to nie ty dostałaś ten awans do Gartcosh. Mnie podobało się tam, gdzie byłem. –

Urwał. – I brakuje mi tamtych czasów, kiedy spotykaliśmy się tak często.

Clarke przez chwilę milczała, a potem wyciągnęła rękę i ścisnęła mu dłoń.

– Dzięki.

– I przykro ci, że tak zareagowałaś, kiedy dostałem ten przydział?

Puściła jego rękę.

– Nie psujmy tego, co?

Spojrzeni na siebie i oboje się uśmiechnęli.

Fox dostrzegł coś w lusterku bocznym.

– Uwaga – ostrzegł Clarke. Chodnikiem włókł się jakiś mężczyzna, dźwigając w jednej ręce torbę pełną zakupów. Stawiał kroki z ostrożnością mocno wstawionego człowieka, który bardzo stara się nie dać tego po sobie poznać.

– Picie w biały dzień to cudowna rzecz – zauważyła Clarke, gdy facet minął samochód, nie zauważając ich. Trzymał w ustach skręta i kaszłał. Przerzedzone jasne włosy, wypłowiałe dżinsy i kurtka do kompletu, sfatygowane brązowe buty robocze. Wyglądał, jakby nagły podmuch wiatru mógł go przewrócić. Przystanął przy właściwej furtce i otworzył ją kolanem. – To on – rzuciła Clarke. – Zaczekajmy, aż wejdzie do środka.

Mężczyzna otwierał drzwi kluczem. Udało mu się dopiero po kilku próbach. Zamknął drzwi za sobą i zniknął w środku.

– No dobra. – Clarke wysiadła z samochodu.

Gdy byli tuż przed progiem, drzwi gwałtownie się otworzyły. Facet, który właśnie rzucił torbę z zakupami, wyglądał, jakby szok nagle go otrzeźwił. Na widok dwóch postaci próbował z powrotem zatrasnąć drzwi, ale Fox pchnął je ramieniem, przewracając go na podłogę.

– Nic nie zrobiłem! – wyrzucił z siebie mężczyzna i zaczął gramolić się na nogi.

– Mamy coś, co panu zginęło, panie Bates – powiedziała Clarke. – Chcemy zamienić z panem dwa słowa na ten temat...

ROZDZIAŁ 24

ZE SZPITALA WESTERN GENERAL nadeszła wiadomość, że Anthony Brough śpi. Pobrano mu krew i trwała analiza próbek. Przypuszczano, że wieczorem pacjent się obudzi i będzie mógł rozmawiać. Mając to na uwadze, Clarke i Fox wrócili do komisariatu przy Gayfield Square. Christine Esson wręczyła im kopię kartoteki Batesa. Historia jego drobnych przestępstw sięgała czasów szkolnych i obejmowała cztery odsiadki. Ale do jego ostatniego konfliktu z prawem doszło prawie trzy lata temu i nic nie wskazywało, że wspiął się o kilka szczebli do pozycji dilerza hurtownika. Clarke podała wydruki Foxowi, by je przeczytał, a sama przyjrzała się Ronniemu Ogilviemu. Siedział przy biurku i pracował na komputerze, ale coś jej...

– Pozbyłeś się wąsów – stwierdziła.

Pogładził górną wargę.

– Tak – przyznał, a Esson powstrzymała uśmiech.

– W ciągu dwóch godzin, kiedy mnie nie było – nie mogła uwierzyć Clarke.

– Tak mi nagle przyszło do głowy.

Fox skończył lekturę i położył raport na jej biurku.

– Co robimy, zanim przyjdzie adwokat? – spytał.

Esson odebrała telefon i zakryła dłonią mikrofon.

– Właśnie zgłosił się w recepcji – poinformowała ich.

– Jesteś gotowy? – spytała Foka Clarke.

– I zwarty. – Zapiął marynarkę.

Adwokat wyglądał na przepracowanego i pod jasnoniebieskim krawatem miał rozpięty górny guzik koszuli. Okulary w czarnej oprawce bez przerwy zsuwały mu się z nosa. Clarke przywitała go skinieniem głowy i włożyła dwie kasety do magnetofonu, a Fox sprawdził, czy działa kamera.

– Mój klient...

Clarke przerwała mu, żeby oficjalnie się przedstawić. Dodała, że w przesłuchaniu będzie również uczestniczył detektyw inspektor Malcolm Fox. Zamilkła i czekała.

– Nazywam się Alan Tranter i reprezentuję pana Edwarda Batesa – powiedział adwokat, segregując jakieś papiery.

– A pan... ? – Clarke wbiła wzrok w jego klienta.

– Eddie Bates – wymamrotał. – Nikt nie nazywa mnie Edwardem.

– Dopilnuję, żeby strażnicy wzięli to pod uwagę – obiecała Clarke. – Mam na myśli osoby, które będą pana pilnować, gdy będzie pan przebywał w naszym areszcie.

– Jak brzmi zarzut?

– Nielegalne pozbawienie wolności. Nie jestem pewna, czy możemy to nazwać wprowadzeniem, bo chyba nikt nie otrzymał żądania okupu. Ale wystarczy nielegalne pozbawienie wolności. Oznacza

przetrzymanywanie osoby wbrew jej woli i jest przestępstwem. Ale gdy dodamy do tego współudział w dystrybucji narkotyków...

– Nic nie wiem o narkotykach.

– Zostały zabrane z pańskiej kuchni do naszego laboratorium przy Howden Hall. Zostaną zważone, policzone, zidentyfikowane. Na opakowaniach zostaną ujawnione odciski palców. Pobierzemy też odciski od pana, panie Bates.

– Powtarzam, ktoś musiał je tam podrzucić.

– Tuż pod pańskim nosem? I bez pana wiedzy? Może tak samo wsadzili do tego pokoju Anthony'ego Brougha, a pan nie zauważył błyszczącej kłódki ani zapachu gówna i rzygowin? Nie należy pan do dociekliwych osób, panie Bates.

– Czy ten ton jest naprawdę konieczny, pani inspektor? – włączył się Tranter.

– Pański klient ma mały kłopot, panie mecenasie. Proszę się postarać, żeby to dotarło do jego świadomości. Jeżeli znajdziemy jego odciski palców na wiadrze, butelce z wodą, metalowych krawędziach łóżka polowego...

– Nie mówiąc o samej kłodce – wtrącił Fox.

– Nie mają państwo jeszcze tych odcisków, zgadza się? – spytał adwokat.

– Technicy kryminalistyki właśnie w tym momencie zabezpieczają ślady. – Clarke znowu skierowała wzrok na Batesa. – Uprzedzam pana, że są bardzo dobrymi fachowcami.

Tranter zajrzał do notatek.

– Ten Anthony Brough coś powiedział? Czy to możliwe, żeby przebywał w tym domu z własnej woli? Wiem od mojego klienta, że pan Brough nie jest osobą o nieskazitelnym charakterze... – Urwał, gdy napotkał wzrok Clarke.

– To znaczy? – spytała.

– Mój klient w przeszłości dostarczył panu Broughowi niewielką ilość pewnych substancji psychoaktywnych.

– Jaką dokładnie ilość?

– Gdyby sprawa miała się rozstrzygnąć przed sądem, będę mógł odpowiedzieć na to pytanie. Pan Brough pracuje w sektorze bankowo-finansowym, tak? Są państwo pewni, że postawienie zarzutu mojemu klientowi leży w dobrze pojętym interesie pana Brougha? Chodzi mi o to, czy on będzie tego zdania?

– Jego zdanie nie ma znaczenia. To my będziemy wносить oskarżenie.

W pokoju na dłuższą chwilę zapadła cisza, w której było słychać tylko płytki oddech Batesa.

Fox odchrząknął i rozpiął guzik marynarki.

– Jeżeli rzeczywiście sprzedał pan towar Broughowi – zwrócił się do Batesa – to będzie mógł pana zidentyfikować, gdy pokażemy mu zdjęcie. Będzie znał pana nazwisko?

Bates spojrział na swoje dłonie zaciśnięte na krawędzi stołu.

– Nie sprzedałem mu bezpośrednio – wymamrotał.

– W takim razie komu?

– Proszę posłuchać – wtrącił prawnik. – To z pewnością może być dokładnie zbadane, gdy mój klient...

– Jego sekretarce – wypalił Eddie Bates.

Fox i Clarke wymienili spojrzenia.

– Proszę podać jej nazwisko, a wtedy być może uwierzę – powiedział Fox.

– Sewell – odparł śmiało Bates. – Molly Sewell.

– NIE MA TAKIEJ RECEPCJI, której nie potrafisz ominąć? – spytała Clarke, patrząc, jak Rebus kroczy korytarzem w jej stronę. Piła letnią herbatę i zdołała wmusić w siebie połowę kanapki z bekonem, sałatą i pomidorem. Chleb był wilgotny i mało apetyczny, a pomidor smakował, jakby był lekko musujący.

– Jestem odwrotnością bohaterów *Wielkiej ucieczki* – oznajmił Rebus. – Co to za historia z Anthonym Broughiem?

Clarke wlepiła w niego oczy.

– Mam swoje źródła, Siobhan.

– Przypuszczam, że źródła w kręgach zbliżonych do śledztwa. – Zerknęła przez otwarte drzwi w stronę biurka, przy którym siedziała Christine Esson, unikając jej wzroku. Na dźwięk głosów Fox wyszedł z biura. Też jadł kanapkę, choć najwyraźniej jej nie ubywało.

– Przepraszam, że przeszkadzam wam w lunchu – powiedział Rebus. – A może wczesnej kolacji? – Udał, że zerka na zegarek.

– Brough był faszzerowany narkotykami i siedział pod kluczem – zaczęła Clarke. – Pilnował go diler, niejaki Eddie Bates. Znasz go?

– Nazwisko brzmi znajomo. – Rebus zmarszczył brwi.

– Twierdzi, że Brough tylko go odwiedzał. Gdybym miała mnóstwo kasy i chciała zabalować, raczej nie wybrałabym takiego adresu, ale on tak twierdzi.

– Kto? Brough czy Bates?

– Bates. – Clarke wrzuciła resztę kanapki do kosza i otrzepała okruszki z rąk. – Brough jest ciągle półprzytomny i pompują go witaminami. Niedługo z nim pogadamy.

– Zawiadomiono Francescę?

Skinęła głową.

– I Molly Sewell – dodała.

– Czego mi nie mówicie?

– Według Batesa Sewell była pośredniczką. Złożyła zamówienie dla szefa i przekazała kasę.

– Rozumiem.

– Tylko że to się nie klei. Brough nie trafił na żadną imprezę. Siedział zamknięty, nagi, w pokoju z oknem zabitym sklejką, sikał i srał do wiadra. Był prawie zagłodzony na śmierć i naszprycowany Bóg wie czym.

– Ludzie różnie kombinują – zauważył Rebus, na co Clarke pokręciła głową. – Czyli sądzisz, że Bates zwietrzył okazję zarobienia większych pieniędzy w formie okupu za Brougha? Widzieliśmy jakieś żądanie?

– My nie. A ty?

– Informacji tego rodzaju nie trzymałbym dla siebie.

– John, właśnie taki rodzaj informacji trzymałbyś dla siebie.

– Mówię prawdę. – Rebus zamilkł na chwilę, a potem spytał: – Ten Bates to typ porywacza?

– Nie wiedziałam, że istnieje coś takiego jak typ porywacza – zjeżyła się Clarke.

– Moim zdaniem Bates nie wygląda na porywacza. – Fox wystąpił w roli rozjemcy. – Po pierwsze, jest mało rozgarnięty. Porwanie wymaga precyzyjnego umysłu.

- W takim razie dlaczego porwał Brougha? – odparowała Clarke i skrzyżowała ręce na piersi.
 - Może sam Brough nam powie – zasugerował Rebus. – Kiedy zamierzacie złożyć mu wizytę?
 - Niedługo. Rozumiem, że upominasz się o zaproszenie?
 - Nie odważyłbym się na taką bezczelność. Ale skoro sama proponujesz...
- Telefon Foxa zasygnalizował nadejście esemesa.
- Christie? – spytali chórem Rebus i Clarke, po czym spojrzeli na siebie.
 - Tym razem dla odmiany nie – wyprowadził ich z błędu Fox. – Alvin James zastanawia się, czemu nie siedzę za biurkiem.
 - Powiedz mu, że zajmujesz się sprawami Gartcosh – poradził Rebus.
 - Przecież właśnie tak jest. – Fox stukał palcami w ekran.
 - Jeszcze jedno – dorzucił Rebus. – Bez względu na to, czym wozem pojedziemy, nie mogę siedzieć z tyłu. Robi mi się niedobrze.
 - Przy założeniu, że w ogóle pozwolimy ci jechać z nami – odparła Clarke.
 - Lepszy mile widziany gość niż intruz, który pcha się drzwiami i oknami.
 - Zapominasz o swoich ostatnich wyczynach w szpitalu?
 - Tym razem będzie inaczej, Siobhan, zaufaj mi...

PRZY ŁÓŻKU ANTHONY’EGO Brougha zebrała się spora grupa. Gdy Francesca zobaczyła wchodzącego do sali Rebusa, podbiegła do niego jak przejęte dziecko, ścisnęła jego dłoń i wspięła się na palce, przysuwając usta do jego ucha.

- Mój brat to prawdziwy diabeł, wiedział pan?
- Miała lekko podciągnięte rękawy. Rebus dostrzegł stare blizny.
- Podeszła do nich Alison Warbody i opuściła jej rękawy.
- Zachowuj się przyzwoicie – zagruchała. – Pamiętaj, co mówiłam.
- Francesca pozwoliła się zaprowadzić z powrotem do łóżka Anthony’ego, przy którym stała Molly Sewell. Pokazała Rebusa bratu, który siedział z głową podpartą trzema poduszkami.
- To policjant – wyrecytowała. – Bardzo zainteresowany Marią Turquand.
- Anthony Brough patrzył na Warbody.
- Możesz jej dać diazepam czy coś w tym rodzaju? – spytał.
 - Och, jasne – odparła. – Psychotropy to właśnie to, czego jej potrzeba.
- Przy łóżku stanęli Clarke i Fox i przedstawili się.
- Chwileczkę. – Warbody pokazała na Rebusa. – To ten pan twierdził, że nazywa się Fox.
- Clarke posłała Rebusowi zjadliwe spojrzenie.
- Nazywa się John Rebus – poinformowała opiekunkę, po czym powiedziała do Brougha: – Wygląda pan znacznie lepiej.
 - Ale głowę mam ciągle pełną waty – odparł. – Chociaż waty uzbrojonej w młot pneumatyczny. – Miał głęboki, dźwięczny głos jak szkocki arystokrata. Jego twarz odzyskała trochę kolorów, na policzki wrócił naturalny rumieniec, a faliste rudoblonde włosy były uczesane, prawdopodobnie przez pielęgniarkę. Niepewnie przejechał po nich ręką, jakby próbował nadać im inny kształt. – Pewnie macie mnóstwo pytań – zwrócił się do wszystkich. – Bo ja owszem. Ale na razie mam w głowie mętlik, więc wybaczone, jeżeli nie będę umiał odpowiedzieć.

– Przede wszystkim interesuje nas – odezwała się Clarke – czy był pan tam z własnej woli.

– Nawet nie wiem, gdzie byłem. To wszystko przypomina jakiś straszny sen. Bieganie nago po ulicach... takie coś zdarza się w koszmarnych snach, prawda?

– Był pan w West Pilton, w domu należącym do człowieka, który nazywa się Eddie Bates.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

Clarke odwróciła się od Brougha.

– A pani, pani Sewell?

– Co? – Sekretarka była wyraźnie zaskoczona. – Nie mam pojęcia.

Francesca zaczęła powtarzać pod nosem nazwisko Batesa, nadając mu miarowy rytm.

– Co to w ogóle ma wspólnego z Marią Turquand? – zapytał jej brat.

Clarke pokręciła głową.

– Nie przyszliśmy do pana w tej sprawie, panie Brough.

Ale on patrzył na Rebusa, jakby ten rozbudził w nim ciekawość. Nagle zamknął oczy i zacisnął zęby z bólu.

– Szkoda, że nie dali mi więcej tych cholernych tabletek. – Skubnął górę szpitalnej piżamy. – I okropnie się pocę. Tu jest gorąco jak w piecu.

– W rozpalonym piecu! – palnęła jego siostra, otwierając szeroko oczy, i zaczęła chichotać.

Brough znowu zatrzymał wzrok na Warbody.

– Alison, wprawdzie jestem wdzięczny za troskę, ale czy nie powinnaś już zabrać mojej siostry do domu?

– Nie lubię szpitali – wyjaśniła Francesca każdemu, kto zechciał słuchać.

– Nikt nie lubi – odpowiedział jej brat.

– Chciała cię zobaczyć – poinformowała go Warbody.

Francesca zrobiła zdziwioną minę.

– Naprawdę?

– Przecież wiesz.

– Pewnie tak. – Francesca nienaturalnie wzruszyła ramionami.

– Moglibyśmy porozmawiać? – Clarke skierowała to pytanie do Molly Sewell. – Na osobności?

– Nie możemy z tym poczekać?

– Tylko pięć minut. Pan Brough nigdzie się nie wybiera.

Clarke ruszyła do drzwi pierwsza, Fox zamykał pochód, a pośrodku, chcąc nie chcąc, szła Sewell.

– O co chodzi? – spytał Rebusa Brough.

– Pozwoli pan, że usiądę? Nie jestem już taki młody jak niektórzy z was. – Rebus usadowił się na jedynym krześle.

– Tak, pan jest stary – oświadczyła Francesca. – Naprawdę bardzo stary. Czy niedługo pan umrze?

– Francesca! – Warbody złapała ją za rękę i potrząsnęła.

– Zabierz ją na spacer – poprosił Brough. – Do jakiegoś sklepu albo na dwór, na świeże powietrze.

– Dobrze. – Opiekunka mocno chwyciła dłoń Franceski. – Ale za jakiś czas wrócimy.

– Nie mogę się doczekać. – Brough posłał siostrze całusa, a ta zrobiła unik, jakby nie chciała, by ją trafił. Śpiewała, kiedy Warbody wyprowadzała ją z sali.

– Wymaga mnóstwo uwagi – zauważył ze współczuciem Rebus. – Zakładam, że za wszystko pan płaci?

– To warte swojej ceny.

– Dziwne, słyszałem, że pańska siostra płaci za opiekę z własnej kieszeni. Sir Magnus dużo jej zostawił. Dobrze zrobiła, że nie powierzyła panu tych pieniędzy, żeby je pan zainwestował, co?

Brough utkwiał w Rebusie ciężkie spojrzenie.

– Naprawdę nic nie mogę panu powiedzieć.

– Nie może pan czy pan nie chce?

– Nie mogę.

– Co pan pamięta z tego, co działo się, zanim ocknął się pan w tym pokoju?

– Ile dni tam spędziłem?

– Prawdopodobnie trochę ponad tydzień.

Brough oparł głowę na poduszkach i wbił wzrok w sufit.

– Byłem w domu. Robiłem to co zwykle wieczorem.

– Czyli?

– Trochę whisky, parę kresek koki. Albo coś na uspokojenie... jeżeli mam ochotę na dłuższą drzemkę. – Brough myślał przez chwilę. – Zaczęło mi się trochę kręcić w głowie, a potem zorientowałem się, że dygoczę na cholernej podłodze w czyimś domu. – Przymrużył oczy. – Dlaczego pana koledzy zabrali stąd Molly?

– Chcą zapytać, czy nie pojawiło się żądanie okupu.

– Myśli pan, że o to chodziło? Porwanie dla pieniędzy?

– A pan jak myśli, panie Brough?

– Naprawdę nie mam pojęcia.

– Ale musiało panu przyjść do głowy...

– Co? – Brough obrócił się twarzą do Rebusa.

– Że za drzwiami czeka Głuszenko i zaraz poderżnie panu gardło. – Rebus czekał na jakąś odpowiedź.

Brough poruszył ustami, ale nie padło z nich żadne słowo.

– Widzi pan, my o wszystkim wiemy – ciągnął Rebus. Wstał z krzesła i pochylił się nad łóżkiem, przyciskając dłoń do materaca. – Chyba nie zamierza mi się pan tu przekreślić? Zdarzyło mi się to niedawno. Drugi raz stawałby mnie w trudnym położeniu...

– Kim jest ten Głuszenko?

– Człowiek, któremu ukradł pan miliony. Mieszkanie nad Klondyke Alley? Pański kumpel Darryl Christie? Spółki SLP przerzucające pieniądze po całym świecie, żeby tylko nie zobaczyły ich służby skarbowe? Nagle pojawia się wielka kasa z Ukrainy. Pańskie inwestycje szorują po dnie, klienci nie są z pana zadowoleni, więc podbiera pan trochę z tych pieniędzy, zanim puści je pan dalej. Ale ubytek zostaje zauważony i Głuszenko jest wściekły. Zamierza złożyć wizytę panu i Darrylowi. Wtedy ulatnia się pan, zostawiając Darryla na lodzie. – Rebus zrobił pauzę. – Czy na razie wszystko się zgadza?

Brough nadal milczał.

– Ach, tak, a pańscy biedni inwestorzy koniec końców nie zobaczyli ani pensa z tej kasy, prawda? Zatrzymał pan wszystko dla siebie i Darryla.

– Nieprawda. – Brough wolno pokręcił głową. – Chciałem oddać im ich część, zacząłem załatwiać niezbędne transfery. Ale pieniądze zniknęły.

– Co pan ma na myśli?

– Po prostu zniknęły!

– Christie? – domyślił się Rebus.

– A kto?

– Wie pan, że ktoś go napadł pod domem?

– Bardzo dobrze. Mam nadzieję, że go poważnie uszkodził.

– Przypuszczam, że nie na pańskie polecenie?

– Żałuję, że nie wpadłem na ten pomysł. – W kącikach ust Brougħa zaśniły kropelki śliny.

– Czy Głuszenko naprawdę istnieje?

Brough znowu przymrużył oczy.

– Oczywiście.

– Poznał go pan? Rozmawiał pan z nim? Nie jest jakimś strasznydłem wymyślonym po to, żeby wszyscy trzęśli przed nim portkami? A zwłaszcza Darryl Christie?

– To żywy człowiek.

– W takim razie można powiedzieć, że to ironia losu, prawda? Kiedy siedział pan w zamknięciu, był pan bezpieczny. Ale kiedy udało się panu uciec... – Rebus nie dokończył zdania. Zauważył, że w głowie jego rozmówcy mimo bólu gorączkowo kłębią się myśli.

– Może mi pan pomóc? – odezwał się Brough głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

– Pomóc? Jak?

– Potrzebuję dwóch rzeczy: wolności i bezpieczeństwa.

– Wspaniałe cele do osiągnięcia – skwitował Rebus.

– Dostanie pan coś w zamian.

– Doprawdy? Chce pan, żeby część tych nieistniejących pieniędzy trafiła do kieszeni byłego gliniarza, bo na to zasłużył?

– Może jest pan typem człowieka, któremu bardziej zależy na zamknięciu sprawy niż na forsie.

– Chyba zawsze musi być ten pierwszy raz.

Brough zwilżył językiem wargi.

– Wiem, kto ją zabił – powiedział.

– Kogo? – spytał Rebus, choć już wiedział, czyje nazwisko usłyszy.

– Marię Turquand.

W HOLU ZNALEŻLI TRZY krzesła. Panował tu duży ruch, lecz większość personelu i odwiedzających rozmawiała przez telefon, więc nikt nie zwracał uwagi na Clarke, Foa i Molly Sewell. Prawdopodobnie wyglądali jak zmartwiona rodzina jednego z pacjentów szpitala. Fox przesunął krzesło, by znaleźli się bliżej siebie. Sewell błędziła wzrokiem po całym holu, byle nie patrzeć na dwoje detektywów.

– Musimy panią o coś spytać – zaczęła cicho Clarke. – I musi pani wreszcie być z nami szczerą. – Zamilkła. – Popatrz na mnie, Molly. – Młoda kobieta spełniła prośbę. – Zapytam jeszcze raz: czy coś ci mówi nazwisko Bates... Eddie Bates?

– Nie.

– Jeżeli pani kłamie, może pani mieć poważne kłopoty – wtrącił Fox. – Rozumie pani?

– Bo Eddie Bates najwyraźniej cię zna – dodała Clarke. – Mówi, że sprzedał ci narkotyki przeznaczone dla Anthony’ego Brougha. Twierdzisz, że to kłamstwo?

– Na pewno. – Sewell patrzyła na Francescę i jej opiekunkę, które minęły ich, trzymając się za ręce, i wyszły z budynku.

– Tworzą niezły duet – zauważył Fox.

– Alison to dla mnie prawdziwa bohaterka. Nie każdy miałby tyle cierpliwości co ona.

– Francesca na pewno wymaga mnóstwa uwagi.

– Ale to nie jej wina. – W głosie Sewell zabrzmiał chłód. – Za duży ładunek tragedii, za dużo narkotyków...

– A propos – przerwała jej Clarke. – Wróćmy do Eddiego Batesa. Powiedzmy, że zabralibyśmy cię na komisariat przy Gayfield Square i posadzili z nim w jednym pokoju...

Sewell przygryzła wargę. Znowu wędrowała wzrokiem po całym holu.

– Być może go znam – przyznała.

– I na pewno nie dostałaś żadnego żądania okupu? Żadnej wiadomości?

Sekretarka Brougha spojrzała Clarke w oczy.

– Chce pani powiedzieć, że Eddie porwał Anthony’ego?

– Chcę powiedzieć, że twój szef siedział zamknięty w domu Eddiego Batesa. Wiesz, gdzie to jest? – Sewell pokręciła głową. – A czy Anthony mógł znać ten adres?

– Nigdy się nie spotkali.

– Ale Bates wiedział, dla kogo są narkotyki?

Sewell zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią, po czym skinęła głową.

– Czasem przychodził do biura.

– A do domu Anthony’ego?

Znowu pokręciła głową.

– Zwykle spotykaliśmy się na ulicy przed biurem. Eddie mówił, że to się dobrze składa, bo po drugiej stronie ulicy ma innego klienta.

– Bruce’a Colliera? – domyślił się Fox.

Sewell tylko wzruszyła ramionami.

– Eddie mógł jednak znaleźć adres Anthony’ego – rozważała głośno. – Dzisiaj nic nie jest niemożliwe.

– W takim razie ustalmy jasno: twój szef nie znał ani źródła pochodzenia narkotyków, ani adresu Batesa?

– Przypuszczacie, że wyczerpał mu się zapas, strasznie potrzebował działki i sam do niego poszedł? – Sewell zamyśliła się. – Hm... może i tak.

– Tyle że właśnie powiedziała nam pani, że szef nie miał pojęcia, kto jest dostawcą – przypomniał jej Fox.

– Mógł znaleźć numer Eddiego na moim biurku.

– Jak to wyglądało? Anthony poprosił, żeby znalazła mu pani dilerka, a pani po prostu spełniła polecenie?

Sewell wzruszyła ramionami.

– Tak robi każda dobra asystentka.
– Jak to pani właściwie zrobiła? Zajrzała do książki telefonicznej?
– W weekendy chodziłam do klubów. Spytałam znajomego, on spytał kogoś innego i ten ktoś podał mi numer telefonu.

- To były jakieś konkretne kluby? – spytała Clarke.
- Ringo’s. – Przez chwilę szukała w pamięci. – Może Devil’s Dram. To takie ważne?
- Prawdopodobnie nie. Jak długo znasz Batesa?
- Parę lat.
- Wiesz może, jak twój szef wcześniej organizował sobie towar?
- Od kogoś, kto trafił za kratki.

Clarke zerknęła na Foxa, by sprawdzić, czy ma jeszcze jakieś pytania. Z namysłem pocierał brodę.

- Eddie rzeczywiście powiedział, że porwał Anthony’ego dla pieniędzy? – spytała Sewell.
- Jeszcze nie odtworzyliśmy całego przebiegu wypadków – przyznała Clarke.
- Będę miała kłopoty?
- Za zorganizowanie szefowi narkotyków? – Clarke zastanowiła się nad tym. – Być może.
- Pójdę do więzienia?
- Nie sądzę, chociaż na pewno bardzo poprawiłabyś swoją sytuację, gdybyś powiedziała nam wszystko, o czym powinniśmy wiedzieć.

Sewell wzruszyła ramionami.

- Nic mi nie przychodzi do głowy. Mogę już wrócić na górę?

Clarke wyjęła z kieszeni notes i jej podała.

- Napisz tu swój adres i parę numerów kontaktowych. Będziemy musieli znowu porozmawiać, żeby mieć oficjalny zapis twojej wersji wydarzeń.

Sewell pochyliła się, opierając notes na kolanie. Kiedy skończyła, Clarke wzięła go od niej i sprawdziła, czy odczyta jej pismo.

- Mogę już iść?

Clarke skinęła głową i Sewell natychmiast zerwała się z miejsca. Fox wstał i odstawił krzesło.

- Co teraz? – zapytał.

– Chyba jeszcze raz pogadamy z Eddiem Batesem. Musisz zawiadomić Gartcosh o Broughu?

- Chyba powinienem. Zadać mu jeszcze jakieś pytania?

– Gdy tylko sytuacja trochę się uspokoi.

– Właśnie sobie uświadomiłem, że zostawiliśmy Johna sam na sam z pacjentem. Nie wiem, czy to rozsądne.

– Sam go spytaj. – Clarke wskazała na postać idącą zamaszystym krokiem przez hol. Pomachała i Rebus ją zauważył. Szttywno skinął jej głową i pokazał na migi, że później zadzwoni, po czym zniknął za automatycznymi drzwiami.

- O co tu chodzi? – zdziwił się Fox.

– Chyba ktoś będzie miał kłopoty – odparła Clarke. – Już dawno nie widziałam u niego takiego wzroku...

ROZDZIAŁ 25

NIKT NIE OTWIERAŁ, WIĘC Rebus nacisnął dzwonek jeszcze raz. Słońce już zachodziło i wszędzie rozbrzmiewał ptasi śpiew. Wprawdzie nie dostrzegł żadnych ptaków, ale były tu, choć w większości niewidoczne. Sięgnął do metalowej kołatki i zastukał.

– Tak, tak, tak – dobiegł głos zza drzwi. – Przez to moje biodro trochę to musi potrwać. – Kiedy drzwi się otworzyły, John Turquand dopiero po paru sekundach poznał stojącego przed nim mężczyznę. – Był pan u mnie przedwczoraj – powiedział.

– Zgadza się. Mogę wejść?

– To raczej nie jest najlepsza pora.

– Och, cholerna szkoda, prawda? – Rebus wyminął go, wkroczył do holu i skierował się do biblioteki. Zanim gospodarz tam dotarł, zdążył nalać sobie małą szklaneczkę whisky i wychylić. – Miałem daleko z Edynburga.

– Wydaje się pan wzburzony. – Turquand był ubrany tak samo jak podczas poprzedniej wizyty Rebusa, od której się również nie golił.

– Niech pan siada – rozkazał Rebus i sam też usiadł.

Stolik do brydza nadal czekał, aż ktoś przy nim zagra. Rebus wziął talię i tasował ją, przyglądając się udręce, z jaką Turquand człapała w stronę krzesła naprzeciwko niego i sadowił się na nim.

– Peter Attwood był pana znajomym... dobrym znajomym. Kiedy zaczął sypiać z Marią, musiało to pana rozwścieczyć.

– Hm... owszem, byłem wściekły, kiedy się dowiedziałem.

– A to się stało krótko przed jej śmiercią, prawda? Wbrew tej bajeczce, którą pan opowiedział.

– Ma pan zamiar mnie o coś oskarżyć? Czy przy tej rozmowie nie powinien być obecny adwokat?

– To był pomysł sir Magnusa – ciągnął Rebus. – Martwił się, że romanse Marii odbijają się na pańskiej pracy. Szykował się do przejścia Banku Królewskiego i chciał, żeby poświęcił się pan temu zadaniu bez reszty. Kazał panu rozmówić się z żoną. A pan starał się to zrobić: śledził ją pan, wiedział, który pokój ma w Caley. Próbował pan nawet dzwonić do tego pokoju, ale stchórzył. Sir Magnus był jednak nieugięty, należało coś zrobić. Zagroził, że jeśli pan z nią nie porozmawia, sam to zrobi. No więc zebrał się pan w sobie, poszedł do hotelu, stanął pod jej drzwiami i zapukał. Kiedy otworzyła, spodziewała się zobaczyć Petera Attwooda. Nie wiedziała, że postanowił z nią zerwać.

– Proszę, niech pan przestanie. – Turquandowi drżała górna warga.

– Zobaczył pan wyraz jej twarzy, radosnej, rozpromienionej szczęściem, bo zaraz miała wpaść w objęcia kochanka. Na pana nigdy tak nie patrzyła, dlatego doprowadziło to pana do szału. Wepchnął ją pan do pokoju i zacisnął ręce na jej szyi.

– Nie...

– Zdusił pan w niej życie.

Turquand ukrył twarz w dłoniach z łokciami opartymi na stoliku. Rebus mówił, nie przerywając tasowania kart.

– Zapewne uznano by to za zabójstwo w afekcie... chociaż to raczej ona kierowała się w życiu afektem, że tak powiem. Po wszystkim wrócił pan do swojego szefa i wyznał mu prawdę. Uspokoił pana, zapewnił, że wszystko będzie dobrze i że jest gotów dać panu alibi: potwierdzić, że całe popołudnie spędził pan u niego. Oczywiście został pan podejrzanym, ale jednym z wielu. Ostatecznie nawet policja przestała się tym interesować. Mógł pan spokojnie zbijać i wydawać swoje miliony.

– Skąd pan to wie? Kto panu powiedział?

Rebus odłożył talię kart na stół.

– Sir Magnus na łożu śmierci zwierzył się swoim wnukom. Chciał dać im radę na resztę życia.

Turquand spojrział na niego spomiędzy palców.

– Jaką?

– Że ludziom pewnego rodzaju uchodzi na sucho wszystko, łącznie z zabójstwem. Formował wnuki na swoje podobieństwo, tak w każdym razie sądził. Chciał, żeby były twarde, bezwzględne, wyrachowane, żeby miały wszystkie te cechy, które zapewniają sukces w biznesie, a może nawet w całym życiu.

– To straszne – wykrztusił Turquand.

– Pański szef był strasznym człowiekiem. Na pewno przejął to od niego Anthony. Zawsze miał pana w garści. Dlatego z takim zapałem wsparł pan jego firmę inwestycyjną. Dlatego zmusił pana do włożenia tylu pieniędzy w to przedsięwzięcie. – Rebus zamilkł na chwilę. – I dlatego może pan tylko bezsilnie patrzeć, jak wszystko pan traci. Rozglądam się tu i wie pan, co widzę? Więzienie. Całkiem ładne i miłe, ale od śmierci Marii tkwi pan za kratami. Dlatego nie ożenił się pan drugi raz. Odsiaduje pan dożywocie, panie Turquand, pod strażą rodziny Broughów.

Starzec opuścił ręce i odchylił się na oparcie drewnianego krzesła, tak że jęknęło w proteście.

– Musi być jakiś powód, dla którego Anthony to panu powiedział.

– Jest w szpitalu, dochodzi do siebie po porwaniu. Nie może udowodnić, że to pan za tym stał, że dokonał pan długo odkładanej zemsty, ale wie, że pod względem finansowym jest pan wydmuszką. Może uznał pan, że może go poddać torturom, bo i tak nie ma pan nic do stracenia.

– Porwanie? Pierwszy raz o tym słyszę, niech mi pan wierzy!

– Wiem, że pierwszy raz – powiedział cicho Rebus i wstał.

– Czyli... co teraz będzie?

– Mógłby pan pójść na pierwszy lepszy posterunek policji i do wszystkiego się przyznać. Być może dzięki Maxine Dromgoole podpisałby pan nawet kontrakt na książkę. Zyskałby pan sławę, a to chyba lepsze niż nic.

– A jeżeli się na to nie zdecyduje? – Turquand przyciskał dłonie do zielonego sukna na stoliku.

– Gdyby chciał pan puścić farbę, panie Turquand, zrobiliby pan to wiele lat temu, choćby po to, żeby uwolnić się od Anthony'ego. Teraz to właściwie nie ma sensu, skoro kiesa jest już pusta, prawda? Nic już nie naprawi szkód wyrządzonych przez Broughów.

– Nie zamierza mnie pan aresztować?

– Nie jestem policjantem. Poza tym przy braku dowodów mielibyśmy pańskie słowo przeciwko słowu Anthony'ego. A wyznania na łożu śmierci raczej nie mają wielkiej wagi w sądzie.

– Tak – zgodził się Turquand. – Przecież sir Magnus mógł wymyślić tę historię. Ostatni raz zabawił się z wnukami. – Próbował dźwignąć się na nogi i spojrzął na Rebusa, licząc na jego pomoc, ale się jej nie doczekał.

Stali naprzeciw siebie.

– Ale pan i ja znamy prawdę – powiedział Rebus.

– Znamy. – Turquand zamilkł. – Czy Anthony dojdzie do siebie po tych przejściach?

– Jest już na najlepszej drodze do zdrowia.

– Przykro mi to słyszeć. – Powłócząc nogami, Turquand ruszył za Rebusem, który szedł w stronę holu. – Wie pan, naprawdę na swój sposób ją kochałem. Ale Marii to nigdy nie wystarczyło.

– Chce mi pan teraz powiedzieć, że sama się o to prosiła? Szkoda sobie język strzępić.

– Próbowałem tylko... – Niedokończone zdanie zamarło na ustach starca.

Rebus przystanął za progiem, patrząc na zamykające się wolno drzwi. Wciągnął nosem chłodne powietrze. Ściółka z liści i wilgotna od rosy trawa. Ptaki jeszcze śpiewały, ale było ich mniej niż przedtem. Fox miał rację, pomyślał – whisky w karafce rzeczywiście była tania. Rebus cofnął się o dwa kroki, rozpiął spodnie i zaczął oddawać mocz. Po dziesięciu sekundach uchyliły się drzwi. Zapewne Turquand czekał na odgłos odjeżdżającego saaba. Spojrzął ze zgrozą na strumień moczu, który odbijał się od progu i opryskiwał drzwi.

– Czeka mnie długa droga do Edynburga – wyjaśnił Rebus, zapinając rozpiorek.

CLARKE I FOX POSZLI na wczesną kolację do Giuliano's przy Union Place. Po drugiej stronie ulicy otworzyły się drzwi teatru Playhouse. Wystawiano jakiś musical i najbardziej zapaleni teatromani już przygotowywali się do pokazania biletów przy wejściu. Inni przed spektaklem raczyli się pizzą przy stolikach obok dwójga detektywów, w tym grupka pełnych wigoru kobiet w średnim wieku, z których każda miała zarzucone na ramiona różowe boa. Zamawiano następne butelki czerwonego wina, tymczasem Clarke i Fox czekali na jedzenie.

– Co powiedzieli w Gartcosh? – zapytała Clarke.

– Tak jak nas, bardzo interesują ich dwie rzeczy: kto zlecił porwanie i co się stanie teraz, kiedy Brough jest już wolny.

– Przypuszczają, że Bates nie działał sam?

– Przekonałem ich, że to mało prawdopodobne.

– Naprawdę wiedzą o długu Jude?

– Pracowałbym dalej nad tą sprawą, gdyby wiedzieli?

Clarke wypła łyk toniku.

– Więc następne pytanie brzmi: czy powinieneś pracować nad tą sprawą? Przy konflikcie interesów...

– Widziałas, żebym w jakimś momencie śledztwa wkładał kij w szprychy?

Clarke wzruszyła ramionami.

– Prokuratura może mieć inne zdanie.

– Prokuratura nie patrzy na świat naszymi oczami.

– Mówisz jak pewien dobrze nam znany emerytowany glina. – Clarke rozejrzała się niecierpliwie, wypatrując kelnera.

– Przysłali mnie tu z powodu napaści na Darryla Christiego – powiedział Fox. – Gartcosh chciało sprawdzić, czy wiąże się z jego interesami z Anthonym Broughiem, który od początku był głównym celem. Ale po śmierci Roberta Chathama zmienił się punkt ciężkości. Teraz okazuje się, że te dwie sprawy od początku się ze sobą łączyły.

– I drażni ich, że Brough pozostaje poza zasięgiem? – zastanawiała się głośno Clarke. Zadzwoił jej telefon. – To ten były glina, o którym rozmawialiśmy – zwróciła się do Foxa i odebrała.

Sądząc po odgłosach w tle, Rebus jechał samochodem.

– Byliście drugi raz u Brougha? – zapytał, nie mając ochoty na gadki wstępne.

– Jeszcze nie. Wzięliśmy ponownie na warsztat Batesa, a potem odstawiliśmy go do celi, żeby skruszał.

– Powinniście jechać do szpitala.

– Dlaczego?

– Bo Brough się boi. Chyba będzie chciał mówić.

– O spółkach SLP? – Clarke spojrzała w oczy Foxa.

– O wszystkim, jeżeli tylko zapewnimy go, że uratujemy mu skórę.

– Chyba niczego mu nie obiecywałeś?

– Co mógłbym mu obiecać?

– Wątpię, czy to by cię powstrzymało. – Clarke odchyliła się na oparcie krzesła, bo kelner stawiał przed nią porcję gnocchi.

– On trafi do więzienia, Siobhan. Może nie za to, za co powinien, ale dobrze wie, że pójdzie siedzieć. To tylko kwestia klasy zakładu karnego i długości wyroku.

– Przy założeniu, że wcześniej nie dopadnie go Głuszenko.

– Oczywiście.

Przez chwilę słuchała ciszy.

– Co masz na myśli, mówiąc: „nie za to, za co powinien”?

– Brough jest zabójcą. Drugim, którego spotkałem w ciągu dwóch godzin i któremu uszło to na sucho.

– Co?!

– Wy tłumaczę później.

– Gdzie teraz jesteś?

– Na razie jadę.

– Ale dokąd?

– Jest z tobą Malcolm?

– Tak.

– Indyjska czy włoska?

– Włoska.

– Szkoda, że mnie tam nie ma.

– Mamy wolne miejsce przy stoliku.

– Może spotkamy się później na drinka w Oxford, po tym jak już odwiedzicie Brougha.

– Co mamy mu powiedzieć?

– Niech Malcolm skonsultuje to ze swoimi przyjaciółmi ze skarbówki. Pytajcie o te brudne pieniądze, które wyparowały... o dni spędzone w West Pilton... Brough pewnie się pozbiera, ale na

razie jest w marnym stanie i nie ma pojęcia, co robić. Wasze zadanie polega na wskazaniu mu właściwej drogi.

- Przydałaby się mapa.
- Nie potrzebujesz mapy, Siobhan.
- O której w Oxford?
- Może o dziesiątej?
- O tej porze jestem już w łóżku, ale spróbuję.
- To do zobaczenia.

Rozłączył się. Clarke streściła Foxowi przebieg rozmowy. Zanim skończyła, już wbił do telefonu numer Sheili Graham. Gdy z nią rozmawiał, znowu odezwał się telefon Clarke. Podniosła go do ucha.

- Tak, Christine?
- Jestem w połowie drogi do domu, ale właśnie dostałam wiadomość z komisariatu – powiedziała Esson. – Próbowali się do ciebie dodzwonić, ale było zajęte.
- Co jest?
- Chodzi o twój przyjaciela, Eddiego Batesa. Podobno chce mówić.
- Przecież niedawno skończyliśmy przesłuchanie.
- Widocznie pomyślnie przeszliście casting. Chce, żebyście wrócili.
- Właśnie miałam jechać pogadać z Anthonyem Broughiem.
- Może rzucisz monetą? Domyślam się, że Malcolm zabrał cię do Giuliano's, a o ile pamiętam, to dwie minuty spacerkiem od Gayfield Square...

Clarke skończyła rozmowę i dała znak Foxowi.

- Chwileczkę – taktownie rzucił do telefonu Fox, po czym przysłonił mikrofon.
- Najpierw musimy wpaść do Batesa – uprzedziła go Clarke. Na pytający wzrok Foxa odpowiedziała wzruszeniem ramion i odsunęła od siebie nietkniętą kolację.

– ALAN MCFARLANE SPECJALNIE przyjedzie z Londynu – poinformował ją Fox, gdy po wejściu do komisariatu skręcili do pokoju przesłuchań.

Clarke zadzwoniła wcześniej, żeby przyprowadzono tam Batesa z aresztu.

- Kiedy? – spytała.
- Chyba jutro rano. Dzisiaj już za późno na samolot.
- Miejmy nadzieję, że Brough jest jeszcze spanikowany.
- Potem nic nas nie powstrzyma przed złożeniem mu wizyty – oznajmił Fox.
- Straszny z ciebie gorliwiec! Dalej próbujesz zrobić dobre wrażenie?
- Na kim?
- Na każdym, kto to zauważy. – Clarke uśmiechnęła się, dając mu do zrozumienia, że to żart, po czym otworzyła drzwi pokoju przesłuchań.

Z zatrzymanym czekało na nich dwóch mundurowych. Dała im znak, że mogą wyjść. Bates zachowywał się niespokojnie; pocierał ręce i drapał się po nich.

- Jesteś na głodzie? – domyślił się Fox. – Porządny diler nigdy nie bierze.
- Czasem opłaca się być towarzyskim – odparł Bates.

Clarke usiadła naprzeciwko niego, Fox stanął w pobliżu. Obok siedzącego Batesa wydawał się wielki i groźny i właśnie o to chodziło.

– Podsumujmy – zaczęła Clarke. – Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, czyli... hm... jakieś siedemdziesiąt pięć minut temu, trzymałeś się swojej wersji. My z kolei przedstawiliśmy ci prawdziwy obraz twojej sytuacji, która wygląda tak, że na bardzo długo trafisz do pudła za nielegalne pozbawienie wolności i handel narkotykami. – Urwała. – Czekamy na twojego adwokata?

– Nie potrzebuję adwokata. Chcę się dogadać.

– Każdy czegoś chce, Eddie. – Fox skrzyżował ręce na piersi.

– To wszystko, co powiedziałem... Myślałem, że tak trzeba. Mam swój honor.

– Nie jesteś kapusiem.

– Właśnie! Ale przychodzi taki moment, kiedy każdy musi ratować własną skórę, nie?

– Z mojej strony pełna zgoda.

Bates przeniósł wzrok z Clarke na Foxa i z powrotem, bijąc się z myślami. Nadął policzki, wolno wypuścił powietrze i skupił wzrok na odrapanym blacie.

– To Molly – odezwał się wreszcie.

– Molly Sewell?

Skinął głową.

– Wszystko zorganizowała, powiedziała mi nawet, który pokój mam wykorzystać i jak go przygotować. Jakby od jakiegoś czasu to planowała.

– Molly chciała, żebyś uwięził jej szefa? Zdradziła ci dlaczego? – Clarke starała się ukryć niedowierzanie.

Bates pokręcił głową.

– Dosypała mu czegoś do whisky. Weszła do jego domu i sprawdziła, czy już śpi jak zabity. Potem wynieśliśmy go do jej samochodu i przywieźliśmy do mnie.

– I nikt was nie widział?

– Wyglądało to tak, jakbyśmy pomagali zalanemu kumpłowi.

– Jak się dostała do jego domu? – spytał Fox.

– Co?

– Drzwi nie były zamknięte?

– Pewnie tak. Albo miała klucz.

– Jak długo miałeś go trzymać u siebie?

– Niewiele dłużej, może jeszcze jeden dzień.

– I nie wiesz po co?

– Nie powiedziała. To znaczy domyślałem się, że tak naprawdę chodzi o kasę. To ma sens, jak na to popatrzeć: porwać własnego szefa, zapłacić okup, a potem go wypuścić.

– Przecież nikt nie żądał żadnych pieniędzy.

Bates znowu spojrzął na Clarke.

– W takim razie nie mam pojęcia, o co chodziło. Sami musicie ją spytać. Jeżeli o mnie chodzi, to była tylko przysługa.

– Zdajesz sobie sprawę, że to brzmi tak, jakbyś wciskał nam jeden kit za drugim? – powiedziała Clarke. – Odrzucamy jedną bujdę, to wymyślasz jeszcze dziwniejszą?

Tylko wzruszył ramionami.

– Jak Boga Kocham, to szczerą prawdą... i mam nadzieję, że będziecie o tym pamiętać.

– Och, na pewno będziemy. Współdziałaliśmy w porwaniu i przetrzymywanie ofiary dla nieistniejącego okupu. – Clarke odwróciła się do Foxa. – Co o tym myślisz?

– Chyba to samo co ty. Masz adres i numer Sewell, spytajmy jej.

Clarke skinęła głową, patrząc na Eddiego Batesa.

– Będziesz miał czas, żeby wykombinować następną brednię. Może teraz spróbuj z kosmitami?

Wyszła z pokoju razem z Foxem i dała znak czekającym policjantom, że mogą zabrać zatrzymanego z powrotem do aresztu. Oboje patrzyli na niego, gdy mundurowi go odprowadzali. Potem Clarke wyjęła z kieszeni notes, w którym były namiary Molly Sewell. Najpierw zadzwoniła pod numer domowy. Słuchawkę podniósł ktoś z amerykańskim akcentem.

– Czy jest Molly? – spytała Clarke.

– Chyba wybrała pani zły numer.

Odczytała go głośno z notesu.

– Zgadza się, ale nie ma tu żadnej Molly, chyba że jeden z moich współlokatorów miał wczoraj fartowny wieczór...

Clarke przeprosiła, rozłączyła się i wstukała numer komórki. Natychmiast odezwał się automat.

„Nie ma takiego numeru”.

Spróbowała jeszcze raz, z tym samym skutkiem. Fox kiwał głową.

– Jedziemy – rzucił.

Dotarli pod zapisany adres w ciągu dziesięciu minut. Duncan Street łączyła Ratcliffe Terrace z Minto Street. Ulica była jednokierunkowa, więc Clarke musiała trzy razy skrócić w prawo, by zwołać i poszukać numeru dwadzieścia osiem. Po jednej stronie ciągnął się rząd georgiańskich domów szeregowych z imponującymi portykami. Po drugiej były gabinety dentystyczne i stacja diagnostyczna.

– Kończy się na dwadzieścia cztery – zauważył Fox, gdy dotarli do skrzyżowania z Minto Street. Zamiast znowu objeżdżać wszystkie budynki, Clarke wrzuciła wsteczny i zaparkowała na wolnym miejscu. Podała Foxowi notes. – Na pewno dwadzieścia osiem – potwierdził.

– Daliśmy się nabrać.

Fox kiwnął głową.

– Ale nie do końca. Kamienica obok pubu ma numer dwadzieścia cztery, czyli pub na rogu to może być dwadzieścia sześć. Prawie ten adres, który napisała.

– I co z tego?

– Jeżeli wymyśliła coś na poczekaniu, jakie jest prawdopodobieństwo, że tak niewiele minęła się z prawdą?

– Zna tę ulicę – stwierdziła Clarke.

– Czyli może mieszka tu ktoś, kogo zna...

– Albo sama mieszka w jednym z tych dalszych budynków. – Obróciła się twarzą do Foxa. – Co ty na to, żebyśmy pochodzili po ludziach?

– Jeżeli masz ochotę, to ja też.

Zaczęli od skrzyżowania z Minto Street. Podawali nazwisko i rysopis Sewell. Właścicielom paru domów coś się kojarzyło, ale nie znali nazwisk większości sąsiadów. W okazałym budynku równoległym do przychodni dentystycznej kiedyś mieściło się wydawnictwo, teraz jednak przy wejściu zobaczyli domofon z przyciskami kilkunastu mieszkań. Gdy zadzwonili do pierwszego lokatora, zostali

zaproszeni do środka. Mężczyzna miał trzydzieści kilka lat, nosił okulary i zielony sweter z podwiniętymi rękawami.

– Zgadza się, Molly – powiedział, gdy Clarke wyrecytowała to, co miała wyrecytować. – Mieszka pod szóstką. – Pokazał im nawet, gdzie znaleźć to mieszkanie.

Clarke próbowała pukać, ale nikt nie otwierał. Nie było otworu na listy – całą korespondencję zostawiano i odbierano przy głównym wejściu. Wrócili do sąsiada.

– Kiedy widział ją pan ostatni raz? – spytał go Fox.

– Kilka dni temu. Ale dzisiaj słyszałem, jak zamykają się drzwi... chyba u niej. Na zewnątrz czekała taksówka.

– Taksówka?

– W każdym razie jakiś samochód, ale można się nauczyć rozróżniać ich odgłosy.

Fox podziękował mu skinieniem głowy. Clarke poruszała ustami, rozważając po kolei wszystkie możliwości.

– Bardzo nam pan pomógł – zwrócił się do mężczyzny Fox, dając mu do zrozumienia, że może już iść. Ten lekko skłonił głowę i wrócił do swojego mieszkania.

– Zabrała te pieniądze, prawda? – rozmyślała głośno Clarke. – A kiedy Brough się dowiedział... Nie, to mi nie pasuje... chociaż może zaczął coś podejrzewać.

– W takim razie dlaczego wtedy nie związała?

– Musiała zrzucić na kogoś winę. Może to Brough zamierzał zwiąć.

– Żeby uciec przed Głuszenką? – Fox pokiwał głową.

– Kiedy Głuszenko zjawia się w mieście, Bates wypuszcza Brougha, żeby od razu na siebie wpadli. Tymczasem Sewell oddała się na paluszkach i nikt o tym nie wie.

– Nikt żywy.

Clarke przyjrzała mu się badawczo.

– Co o tym sądzisz?

– Możliwe.

– A prawdopodobne?

– Trzeba mieć mocne nerwy, żeby nie prysnąć zaraz po tym, jak forsa wyparowała, a Brough próbował ustalić, kto ją rąbnął i w jaki sposób.

– Pewnie podejrzewał przede wszystkim Christiego – snuła rozważania Clarke. – Sewell trochę zyskuje na czasie, bo Brough ma na swojej liście jeszcze innych podejrzanych.

– Ale ona też na niej jest.

Clarke skinęła głową.

– Chociaż sam fakt, że została na miejscu...

– Mógł go zmylić.

Umilkli, analizując tę hipotezę jeszcze raz i szukając innych możliwości.

– Znowu zawiadamiamy lotniska, promy i dworce kolejowe? – zaproponował Fox.

– Jak myślisz, dokąd pojechała?

– Z dziesięcioma milionami odłożonymi w jakimś banku? – Fox zastanowił się nad odpowiedzią. – Może do chatki w Center Parcs? – podsunął.

Siobhan Clarke nie mogła powstrzymać śmiechu.

ROZDZIAŁ 26

NA PODJEŹDZIE STAŁ BIAŁY range rover Christiego, a w holu paliło się światło. Rebus zadzwonił do drzwi i czekał, przyglądając się alarmowi i atrapom kamer. Nikt nie otwierał. Jeszcze raz wcisnął przycisk, po czym podszedł do okna salonu. Było zasłonięte, ale u góry między zasłonami była szpara, więc zobaczył, że tu też się świeci.

Ruszył wzdłuż bocznej ściany domu. Włączył się reflektor z czujnikiem ruchu i oświetlił tylne wejście, przy którym po prawej stronie stał częściowo stopiony kubeł na śmieci. Rebus przekreślił gałkę i drzwi otworzyły się do wewnątrz.

– Halo?! – zawołał.

Wszedł i zawołał Christiego po imieniu.

Cisza.

Po prawej zobaczył nowoczesną kuchnię z wyspą pośrodku. Obok zmywarki piętrzyły się talerze, patelnie i garnki.

– Darryl? To ja, Rebus!

Skręcił do holu na parterze. Spojrzał w górę schodów i zobaczył, że na piętrze jest ciemno. Drzwi do salonu były uchylone, więc je pchnął.

– Zapraszamy – usłyszał rozkazujący gardłowy głos.

Na środku pokoju stał mężczyzna w skórzanym płaszczu przed kolana, czarnych dżinsach i kowbojskich butach. Miał ogoloną głowę, ale nosił kozią bródkę. Też czarną. Oczy jak dwa czarne punkciki, haczykowaty nos. Przed trzydziestką albo tuż po? Niezbyt wysoki, chociaż wydawał się potężniejszej postury dzięki zakrzywionemu mieczowi, który trzymał w jednej ręce, i rewolwerowi w drugiej.

Rebus spojrział na Darryla Christiego, który siedział w fotelu przed Głuszenką, obejmując się ramionami, i podrygiwały mu kolana.

– Ładny pokój, Darryl – rzucił Rebus, starając się uspokoić tętno. – Mam rację, że za wystrój odpowiada twoja mama?

– Proszę się przedstawić – zwrócił się do niego Ukrainiec.

– Pracuję w ubezpieczeniach – odparł Rebus. – Przyszedłem podać panu Christiemu wycenę. – Znowu odwrócił się do Christiego. – Rodziny nie ma? – upewnił się.

– Mój gość był na tyle uprzejmy, że zaczekał, aż wyjdą do kina. – W głosie Christiego, w odróżnieniu od tego, co mówiło jego ciało, brzmiał spokój.

– Jesteś policjantem? – spytał Głuszenko.

– Nie.

– Kłamiesz. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Daj mi portfel.

Rebus sięgnął do kieszeni marynarki, a Ukrainiec pokazał mu, żeby robił to jak najwolniej. Rebus wyciągnął do niego portfel.

– Połóż nad kominkiem.

To polecenie również wykonał.

– Teraz weź krzesło i siadaj obok tego sukinsyna.

Ukrainiec patrzył, jak Rebus spełnia polecenie. Potem oparł miecz o kominek, ale kiedy otwierał portfel, wciąż trzymał rewolwer wymierzony między dwóch siedzących mężczyzn. Wypadło kilka wizytówek.

– *Detektyw inspektor Malcolm Fox* – wyrecytował Głuszenko. – *Wydział Dochodzeniowy*. – Zerknął na Rebusa. – Robi wrażenie...

– Podobno.

Głuszenko skinął głową.

– Poproszę jeszcze telefon.

Rebus wyjął go z kieszeni.

– Przesuń w moją stronę po podłodze.

Gdy telefon znalazł się przy nim, Głuszenko zmiażdżył go obcasem. Rebus usłyszał trzask pękającego ekranu. Ukrainiec znowu sięgnął po miecz.

– Jak przemyciłeś to przez kontrolę celną? – zaciekał się Rebus.

– Kupiłem u was. Sprzedają je jako ozdoby, ale udało mi się go naostrzyć.

– Chyba zamierza ściąć mi głowę – wyjaśnił Christie.

– Nie inaczej.

– I zostawi mnie, żeby znalazła mnie mama i chłopcy.

Głuszenko znowu skinął głową.

– Chyba że oddasz mi pieniądze, które ukradłeś.

– Nie mam ich. Nigdy ich nie miałem.

– Moim skromnym zdaniem mówi prawdę – wtrącił Rebus. – Ukradzono je człowiekowi, który ci je ukradł.

– Broughowi? – Głuszenko miał taką minę, jakby chciał splunąć na dźwięk tego nazwiska. – Niewidzialnemu człowiekowi?

– Tak naprawdę właśnie wrócił do krainy żywych – poinformował go Rebus. – Przynajmniej był w niej jeszcze dzisiaj. Ten, kto ukradł twoje pieniądze, faszerował go do nieprzytomności narkotykami.

Ukrainiec utkwiał w nim wzrok.

– Kim ty właściwie jesteś? Skąd tyle wiesz?

Rebus odwrócił się twarzą do Christiego.

– Wiem, że to ty zleciłeś pobicie samego siebie. Zadbaleś nawet o to, żeby Chatham wiedział, że kamery przed domem to atrapy. Przecięte opony i spalony kubeł to też twoja robota. Przypuszczałeś, że zyskasz na czasie i pan Głuszenko może uznać, że nie warto się wtrącać, skoro ktoś taki jak Brough już się za ciebie zabrał. Poza tym liczyłeś, że ściągniesz na siebie uwagę policji, co prawdopodobnie powstrzymałoby mordercze zapędy pana Głuszenki. Ale kiedy Chatham dowiedział się, kim była jego ofiara, i zaczął o tym paplać typom pokroju Crawa Shanda... skontaktowałeś się z człowiekiem, który zorganizował napaść, i kazałeś mu pozbyć się Chathama.

Christie wolno pokręcił głową.

- Kenny Arnott miał tylko nastraszyć Chathama, żeby w przyszłości trzymał głębę na kłódkę.
- Więc co się stało?
- Przedobrzyli. Chatham próbował uciekać, wskoczył do wody. Wcześniej wlał w niego whisky, bo tak miałyby to wyglądać, gdyby faktycznie był do odstrzała.
- Domyślam się, że żaden z ludzi Arnotta nie umiał pływać.
- Jak to mówimy w branży, totalna chujnia.
- Spowiedź skazańca? – Głuszenko przysłuchiwał się temu z wyraźną aprobatą. – Czyli teraz możesz umierać oczyszczony z grzechów?
- Mam stać czy uklęknąć? – zapytał Christie.
- Ten człowiek ma swoją godność – zwrócił się do Rebusa Ukrainiec.
- I nigdy nie miał twoich pieniędzy – przypomniał mu Rebus.
- Ale był współnikiem gościa, który je wziął! A skoro mówisz, że Brough jest w mieście, wkrótce go odwiedzę...

Christie wstał z fotela i założył ręce do tyłu. Rebus nigdy w życiu nie widział spokojniejszego i bardziej opanowanego człowieka.

- Dziesięć milionów z prawie miliarda – powiedział Christie. – To naprawdę ma aż takie znaczenie?
 - Jeżeli ludzie zobaczą, że można mnie oszukać, a ja nic z tym nie robię? Tak, to ma znaczenie.
- Christie przechylił głowę w kierunku siedzącego Rebusa.
- Nie sądzę, żeby chciał mieć świadków – przestrzegł go i przyklęknął.
 - Pomyślałem to samo, Darryl.

Rebus patrzył, jak Głuszenko chowa rewolwer do kieszeni skózanego płaszcza, by chwycić oburącz miecz. Kiedy go unióś, Darryl błyskawicznym ruchem wysunął zza pleców prawą rękę. Pistolet musiał być zatknięty za paskiem. Wycelował w twarz Ukrainca i nacisnął spust.

Pokojem wstrząsnął huk. Na twarz Rebusa bryzgnął ciepły płyn. Przez kłęb dymu było widać krew na ścianie nad kominkiem. Rebus starał się nie patrzeć na obrażenia Głuszenki, który zachwiał się i bezwładnie runął na podłogę, a miecz z brzękiem wylądował obok niego. Christie zerwał się na nogi i wycelował broń w leżącą na brzuchu postać. Rebus został na krześle; wpatrywał się w pistolet, nie chcąc zwracać na siebie uwagi, dopóki Christie nie uświadomił sobie całej sytuacji. Nie spodziewał się jednak słów, które w końcu padły z jego ust.

– Co za bajzel... mama mnie zabije. – Odwrócił się do Rebusa i usiłował przywołać blade uśmiech na ochlapaną krwią twarz. – Chyba trudno byłoby upozorować samobójstwo?

– Raczej trudno – przyznał Rebus. – Ale rozumiem, dlaczego tak spokojnie siedziałeś, naprawdę byłeś ubezpieczony.

– To? – Christie unióś pistolet. – Powinienem podziękować Cafferty’emu. Poradził mi, żebym się zaopatrzył.

– Doprawdy?

Christie przymrużył oczy.

– Myślisz, że chciał, żeby coś takiego się stało?

– Musiał brać pod uwagę taką możliwość.

– Głuszenko zabija mnie albo ja jego, w każdym przypadku wygrywa Cafferty. – Christie zastanowił się nad tym. – Cwany stary sukinsyn – mruknął.

– Mógłbyś z łaski swojej to odłożyć, skoro już skończyłeś? – Rebus pokazał na pistolet.

Christie położył go na półce nad kominkiem i wziął portfel, by oddać go Rebusowi.

– Dobrze byłoby go wytrzeć, inspektorze Fox.

– I zmienić koszulę – dodał Rebus, oglądając swoje ubranie. – Dlaczego od razu go nie zastrzeliłeś?

– Miał mnie na muszce. Wiedziałem, że będę miał najlepszą okazję, kiedy skupi się na mieczu, a ja będę kłęczał, szykując się na spotkanie ze Stwórcą. – Christie zawahał się. – Co teraz będzie?

– Zadzwoń na policję.

– Ja?

Rebus wskazał na szczątki swojego telefonu.

– Mój jest uszkodzony.

– Ale zrobiłem to w obronie własnej.

– Znam adwokatów, którzy mieliby duże szanse przepchnąć taką wersję – zgodził się Rebus.

– I będziesz zeznawał w sądzie na moją korzyść?

– Powiem, co widziałem.

Christie rozważał to przez chwilę.

– Pięć lat z warunkiem po trzech? Siedem i warunek po pięciu?

– Raczej dziesięć z warunkiem po ośmiu – sprostował Rebus. – Sędziowie zwykle krzywo patrzą na użycie broni.

– Czyli wyszedłbym po pięciu latach?

Rebus pokiwał głową, a Christie z powrotem usadowił się w fotelu.

– Będzie mi brakowało domu – wyznał. – No i oczywiście mamy.

– Będzie przyjeżdżać na widzenia. Cal i Joseph też.

– Pewnie, że będą – powiedziała cicho Christie. – Może jednak kupię dawny dom Cafferty’ego i tam ich przeprowadzę. Tu nie będą chcieli mieszkać... – Znowu zamilkł. – Jednak dałem dupy, nie? Wpakowałem się prosto w pułapkę Cafferty’ego...

– Pułapki najczęściej wyglądają jak coś, czego pragniemy – skwitował Rebus.

Christie wpatrywał się w półkę nad kominkiem.

– Zanim po mnie przyjdą, może zdążyłbym go jeszcze odwiedzić.

– Wydaje mi się, że to nie byłoby rozsądne, Darryl. Dwa zabójstwa już nie wyglądają za bardzo na obronę własną.

Christie ostatecznie przyznał mu rację. Na niewielkim stoliku pod oknem stał bezprzewodowy telefon stacjonarny. Rebus podszedł tam i podał mu słuchawkę.

– Ty to zrób – poprosił Christie, zdradzając nagle objawy wyczerpania.

Rebus wstukał numer i czekał. Podszedł do okna i odsłonił je, zastanawiając się, czy strzał nie wyciągnął z domu sąsiadów. Może już zawiadomili policję. Usłyszał za sobą ruch i kiedy się odwrócił, zdążył zobaczyć, że Christie wychodzi z salonu.

– Darryl! – zawołał. Zerknął na półkę nad kominkiem, gdzie nie było pistoletu. W słuchawce odezwał się dyspozytor, pytając, jaką służbę chce wezwać. – Nie teraz – burknął i upuścił telefon. Gdy był w połowie drogi do wyjścia, coś sobie przypomniał. Cofnął się, wyciągnął rewolwer z kieszeni Głuszenki, a kiedy dopadł do drzwi z tyłu domu, range rover szybko wyjeżdżał tyłem z podjazdu, ocierając się o słupek bramy.

Rebus podbiegł do swojego wozu, wsiadł i położył broń na miejscu pasażera, ręką do siebie i lufą w stronę drzwi. Zamierzał zadzwonić w drodze, ale przypomniał sobie, że nie ma telefonu. Przy

pierwszym mijanym pubie wcisnął hamulec i zatrzymał się z piskiem opon. Palacze na chodniku przed wejściem byli nieco skonsternowani, gdy zażądał od nich telefonu. Jedna z kobiet podała mu komórkę.

– Gdzie się pali? – spytała.

Rebus znał na pamięć numer Cafferty’ego. Zgłosiła się automatyczna sekretarka.

– Uciekaj! – wrzasnęła. – Christie jedzie rozwalić ci łeb!

Następny numer: Siobhan.

– Mam wiadomość... – zaczęła.

– Christie właśnie zabił Głuszenkę – przerwał jej Rebus. – A teraz jedzie zrobić to samo z Cafferty’em! – Zamilkł, żeby to do niej dotarło. – Twoja wiadomość może zaczekać?

– Tak.

Rebus rzucił kobiecie telefon.

– Można to uznać za pożar? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź.

Przejeżdżał na każdym czerwonym świetle, zatrzymując się tylko przed przeszkodą nie do pokonania w postaci tramwaju, który jak zwykle dystygownie sunął Princes Street. Wykorzystał tę okazję, by obejrzeć rewolwer. Broń wyglądała na zabytek, ale pociski tkwiące w komorach były lśniące i nowe. Zatrzasnął bębenek i zważył rewolwer w dłoni. Wolny i nieporęczny – nie mógł się równać z pistoletem Christiego.

Rebus miał już wolną drogę. Wcisnął gaz i klakson jednocześnie i pomknął Mound.

Most Jerzego IV... objazd dookoła jednokierunkowej ulicy, potem w Lauriston Place... i w lewo na osiedle Quatermile. Biały range rover stał zaparkowany na podwójnej żółtej linii. Silnik pracował, światła były włączone, a drzwi po stronie kierowcy otwarte na oścież. Rebus zatrzymał się obok i wysiadł. Metalowa furka przed budynkiem Cafferty’ego była otwarta, a drzwi wejściowe zostały ostrzelane, na co wskazywało roztrzaskane przy zamku drewno. Rebus uchylił drzwi czubkiem buta i wszedł. W holu stał umundurowany strażnik, ściskając w dłoni nadajnik radiowy. Na widok rewolweru znieruchomiał.

– Jestem z policji – próbował go uspokoić Rebus. – Zgłosił pan to?

Strażnik skinął głową ze wzrokiem utkwionym w jego zakrwawionej koszuli.

– Naprawdę jestem z policji. Ten człowiek na górze też jest uzbrojony, więc najlepiej niech pan tu zostanie.

Podświetlany panel pokazywał, że winda wjechała na ostatnie piętro. Zamiast czekać, Rebus ruszył po schodach. Przy pokonywaniu kilku ostatnich stopni musiał się wciągać po poręczy, ciężko łapiąc oddech i słysząc łomot własnego serca. Słumił kaszel i otworzył drzwi prowadzące na wspólny korytarz. Na jego końcu znowu użyto pistoletu zamiast klucza. Rebus poczuł znajomy zapach bezdymnego prochu. Pchnął drzwi i wszedł do środka.

– Nie ma go! – wrzasnęła Christie. Krążył po dużym salonie na otwartym planie z pistoletem w opuszczonej ręce. Podchodząc do niego, Rebus schował rewolwer za plecami. – Światła się palą, ale nikogo nie ma – skarżył się dalej Christie. W kuchni na blacie stał kubek herbaty. Rebus dotknął go: jeszcze ciepły. – Powiedziałaś mu, tak?!

– Mój telefon jest rozbity w drobny mak, nie pamiętasz?

– Ale to ty, kurwa! Widzę to po twoich oczach! – Christie wycelował w jego głowę.

– To nie mnie chcesz rozwalić, Darryl – przypomniał mu Rebus. – Ja cię w to nie wpakowałem, pamiętasz?

– W takim razie najpierw zobaczę się z Broughiem, a Dużego Gera zostawię sobie na później.
– Całkiem niezły plan. – Rebus usłyszał zbliżającą się syrenę. – Ale lepiej się pospiesz, bo ktoś chyba słyszał strzały.

Pistolet był nadal wymierzony w głowę Rebusa. Płonące wściekłością oczy Christiego zaczęły z wolna przyciemniać.

– Szczęściar z ciebie, Rebus. Ktoś ci to kiedyś mówił?

– Brough to zupełnie inna historia, pamiętaj. O wiele trudniej bronić przed sądem sprawcę, który zabił z zimną krwią.

– Skurwiel zasłużył sobie na to.

– Rzadko trafia nam się to, na co naprawdę zasługujemy, Darryl.

– Może tym razem to zmienia: najpierw Brough, potem Cafferty. – Christie wycofywał się korytarzem w stronę wyjścia. Nie zauważył, jak powoli i bezgłośnie otworzyły się jakieś drzwi po prawej. Świsnął młotek i obuch trafił go w sklepienie czaszki. Christie drgnął i nacisnął spust. Rebus poczuł przelatujący obok niego pocisk, który roztrzaskał drzwi balkonowe. Ciało Christiego odchyliło się w bok, oparło o ścianę i osunęło po niej na podłogę. Rebus podszedł do niego.

– Schowałeś się w toalecie?

– Nie miałem czasu wymyślić nic innego – wyjaśnił Cafferty.

– Drugi młotek?

Cafferty uniósł narzędzie, by je zademonstrować.

– Właśnie chciałem cię spytać, dlaczego kupiłeś dwa.

– Była promocja – odparł Cafferty. – Nie umiem nie skorzystać z okazji. – Przyglądał się nieruchomej postaci. – Jesteś pewien, że Głuszenko nie żyje?

– Dostał strzał w twarz, z bardzo bliska. – Rebus pokazał na swoją zakrwawioną koszulę.

– To pamiątka po dziadku? – Cafferty miał na myśli rewolwer.

– Nie, broń Ukraińca. Miał też zgrabny ostry miecz. Całe szczęście, że udzielił się Darrylowi tej rady. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie.

– Tego nigdy nikomu nie szczędziłem – odparł Cafferty.

MIESZKANIE REBUSA.

Dawno minęła północ. Po złożeniu zeznania przy Gayfield Square, pobraniu wymazu do badania DNA i odcisków palców oraz wpakowaniu ubrania do worka na śmieci Rebus długo szorował się pod prysznicem, a tymczasem Clarke i Fox siedzieli przy stoliku w salonie i pakowali do ust rybę i frytki, które udało im się ocalić ze smażalni tuż przed jej zamknięciem. Clarke położyła obok siebie telefon, na wypadek gdyby przyszła jakaś wiadomość o Molly Sewell. Wreszcie do pokoju wszedł Rebus, przebrany w czyste rzeczy, wycierając włosy ręcznikiem. Skubnął frytkę z pudełka Foxa.

– Mówiłeś, zdaje się, że nie jesteś głodny?

– Nie jestem – potwierdził Rebus, po czym odsunął krzesło i usiadł. Kopie akt sprawy Turquand zostały przesunięte na brzeg stołu. Popatrzył na nie.

– Cafferty ma sporo na sumieniu – powiedziała Clarke. – To on podsunął Christiemu ten pomysł.

– Z drugiej strony, gdyby tego nie zrobił, rano na stole u Deb zamiast towarzysza Głuszenki leżałby Darryl.

– Z tego, co mówisz, wynika, że identyfikacja twarzy pewnie nie wchodzi w grę.

– Będą potrzebne znaki szczególne albo DNA – odparł Rebus. – Są jakieś wiadomości o Molly Sewell?

– Nic. – Clarke znowu zerknęła na ekran telefonu.

Rebus na chwilę się zamyślił.

– Kiedy czekaliśmy na karetkę i radiowozy, Cafferty wyjawiał mi pewną tajemnicę.

– Jaką?

– Eddie Bates parał się dilerką z błogosławieństwem Cafferty’ego... z błogosławieństwem i poparciem. – Zobaczył, że ma przed sobą dwoje bardzo zaintrygowanych słuchaczy. – Bates wiedział, że Molly Sewell pracuje u kogoś z dużymi pieniędzmi. Powiedział o tym Cafferty’emu, sądząc, że ten mógłby to jakoś spożytkować. No i Cafferty spotkał się z Molly.

– Kiedy?

– Kilka miesięcy temu. Doszedł do wniosku, że dziewczyna będzie dla niego dobrym źródłem informacji.

– Wiedział już, że Brough i Christie są współnikami?

Rebus skinął głową.

– Ale Molly wtajemniczyła go w szczegóły. A potem, gdy poznała Cafferty’ego trochę lepiej, opowiedziała mu o swoim planie. Wiele razy spotykała Francescę i zaprzyjaźniła się z Alison Warbody. Alison wyznała jej, że ma Brougha w głębokiej pogardzie. To z jego winy Francesca jest, jaka jest. Molly gryzła się tym i w końcu postanowiła, że musi coś z tym zrobić.

– Mianowicie musi go obrobić.

– Ale połowę oddać Warbody. Z powodu niskich stóp procentowych i kosztownej opieki Francesce zostało ze spadku ostatnie pół miliona. Można powiedzieć... z zachowaniem wszelkich proporcji... że groziła jej nędza.

– Co zrobił Brough? – zapytał Fox. – To znaczy... co zrobił Francescę?

– Stary sir Magnus na łożu śmierci powiedział im obojgu, że mogą łamać wszelkie zasady, że wszystko ujdzie im na sucho. Anthony miał świeżo w pamięci tę lekcję, gdy w basenie wsadził głowę Juliana Greene’a pod wodę i przytrzymał.

– A Francesca na to patrzyła? – domyśliła się Clarke.

Rebus znowu kiwnął głową.

– Najwyraźniej bratu podobał się jej adorator. To było ponad siły dziewczyny, więc zaczęła szukać zapomnienia.

– Podobno kiedyś chciała sprowadzić egzorcystę – powiedział Fox.

– Raczej dla brata niż dla siebie.

– Wiesz o tym wszystkim od Cafferty’ego? – spytała Clarke.

– Bardziej sam połączyłem to w całość. – Rebus wzruszył ramionami. – Ale nie mam wątpliwości, że to prawda.

– Czyli Warbody dostała swoją działkę?

– Nie mam pojęcia.

– Nie powinniśmy zapytać?

– Pewnie tak.

– Tylko że to mało prawdopodobne, by nam powiedziała.

W salonie znowu zapadła cisza. Przerwał ją Rebus.

– Darryl zwrócił się nawet do Cafferty’ego, żeby pomógł mu szukać Brougha.

– Żeby mógł go potem podsunąć na tacy Głuszeniec?

– Nie. Żeby Głuszenko kapnął się, że Cafferty rozgląda się za Broughiem, i być może doszedł do wniosku, że tych dwóch coś łączy.

– Żeby Ukrainiec zamiast Darryla wziął na cel Dużego Gera?

– Oczywiście Cafferty ani myślał pomagać w poszukiwaniach. Ale bawił się z Darrylem w kotka i myszkę.

– Bawił się w kotka i myszkę z nami wszystkimi – zauważyła Clarke.

Znowu zamilkli. Rebus nachylił się nad stołem.

– Powiedzmy, że znajdziecie i zatrzymacie Molly... Co właściwie na nią macie? Czy Brough zezna, że powodem jego porwania były pieniądze podebrane z konta wypchanego kradzioną forszą, wypraną przez gangsterów?

– To już chyba należy do skarbowki – odparł Fox.

– Szczerze życzę im powodzenia. Ale jeżeli Molly nie puści pary z ust, Brough nie puści pary z ust i Cafferty nie puści pary z ust...

– Zawsze zostaje nam Christie – powiedziała Clarke. – Grozi mu długa odsiadka. Może zdecyduje się na współpracę?

– Naprawdę tak sądzisz?

– Nie bardzo – przyznała. – A Craw Shand?

– Urowadzony przez Cafferty’ego, pozornie przy użyciu siły.

– Czyli mamy jeszcze bardziej przyciskać Darryla Christiego?

Rebus skinął głową.

– Craw właśnie wraca do domu z pensjonatu w Helensburghu, dokąd trafił dzięki swojemu nowemu przyjacielowi.

Fox przeniósł wzrok z Rebusa na Clarke i z powrotem.

– To znaczy, że za kratki trafi tylko Darryl Christie?

– Zapominasz o Eddiem Batesie... ale w zasadzie tak.

– Co to znaczy dla miasta?

– To znaczy, że Duży Ger Cafferty właśnie osiągnął najlepszy wynik w swojej karierze – odparł Rebus.

– Nie ma tego dobrego, co by na złe nie wyszło. – Clarke westchnęła. – Powiemy Alwinowi Jamesowi dzisiaj czy jutro?

Rebus popatrzył na Foxa.

– Kłopoty Jude być może się skończyły, Malcolm. Chociaż jeśli Cafferty zajmie miejsce Darryla... – Wzruszył ramionami. – Zresztą powiedz jej, co chcesz.

– To znaczy?

– Jeżeli uzna, że dług został umorzony, może przemyśli swoje życie, zacznie wszystko od nowa i tak dalej.

Fox pokiwał głową, po czym stuknął palcem w akta sprawy Turquand.

– Szkoda tylko, że ty nie zamknąłeś swojej sprawy, John.

– Aha. – Rebus odchylił się na oparcie krzesła. – Właśnie miałem wam o tym powiedzieć...

DZIEŃ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ 27

GALVIN BRASSERIE.

W porze wczesnej kolacji Rebus i Deborah Quant byli jedynymi gośćmi w swojej części restauracji. Deb zamówiła Krwawą Mary i wychyliła ją trzema haustami.

– Ciężki dzień? – domyślił się Rebus.

– Widziałeś kiedyś człowieka, któremu...? – Urwała. – Przepraszam, zapomniałam, przecież ty przy tym byłeś. Swoją drogą, słyszałam, że podobno byłeś przy łóżku Kenny’ego Arnotta, kiedy umarł?

– Przyznaję się bez bicia.

Udała, że o parę centymetrów odsuwa od niego krzesło.

– To nie jest zaraźliwe – zapewnił ją z uśmiechem.

– Co takiego świętujemy? Jeszcze godzinę temu moje plany kolacji ograniczały się do mikrofalówki i korkociągu. – Zamilkła i spojrzała na niego. – Rumieńce wróciły ci na twarz, wiesz? I widać, że trochę straciłeś na wadze.

– W takim razie jest powód do świętowania. Poza tym mam dla ciebie wiadomość.

– Tak?

– Wbrew temu, czego się spodziewałem, Hank Marvin nie stanowi dla mnie zagrożenia.

Miała zdziwioną minę, ale zamiast wyjaśnić, Rebus po prostu się uśmiechnął.

– Aha, jeszcze jedno... Pamiętasz tę historię, o której ci opowiadałem?

– Tę twoją zagadkę zamkniętego pokoju? Czyżbyś miał nową teorię?

Kelner kręcił się przy ich stoliku, czekając na odebranie zamówienia.

– Powiem ci przy kolacji. – Rebus zerknął na menu. – Chyba zamówię dwa steki.

– Dwa?

– Jeden wezmę do domu dla Brilla.

– Jeżeli stawiasz, proszę bardzo.

Do restauracji weszła następna para i przywitał ją kierownik sali. Rebus poznał Bruce’a Colliera i zastanawiał się, czy towarzysząca mu opalona kobieta w egzotycznym stroju to jego żona, która właśnie wróciła z Indii. Powinien chyba rozwiać niepewność paru osób uwikłanych w tę historię – nie tylko Colliera, ale też Petera Attwooda i Dougiego Vaughana. Przecież zasługiwali na to, by opowiedział im wszystko. Może nawet któryś z nich podejmie jakieś kroki w tej sprawie.

Collier go nie zauważył. Całą uwagę skupiał na swojej partnerce. Deborah Quant skończyła składać zamówienie, więc Rebus poinformował kelnera, czego sobie życzy.

– O czym tak myślisz? – spytała Quant, gdy kelner odszedł.

– Właśnie poznałem utwór, który leci z głośników – odparł. – To *Over the Hill* Johna Martyna.

– No i?

- Nic. Po prostu myślę, że to chyba nie o mnie. Może jeszcze nie mam z górki.
- Nikt nie twierdzi, że masz.
- Ale przed tym wszystkim zacząłem tak myśleć.
- Przed czym?
- Przed wszystkim, co zdarzyło się mniej więcej w ciągu zeszłego tygodnia. Uświadomiłem sobie, że mam różne niezłałatwione sprawy.
- Zawsze są jakieś niezłałatwione sprawy, John.
- Może tak, może nie.
- Sądzisz, że coś da się z tym zrobić?
- Dopóki mam jeszcze w sobie trochę woli walki.
- Mówimy teraz o Caffertym, prawda?
- Dlaczego tak myślisz?
- Najlepsze lata ma już za sobą, przecież sam mi to mówiłeś. I od dawna jest emerytem.
- Gdybyś go teraz zobaczyła, chyba zmieniłabyś zdanie.
- Dlaczego?
- Bo tak się składa... – Rebus dał znak kelnerowi, że chcą zamówić jeszcze jedną kolejkę drinków – że ten stary drań wrócił.

O DZIEWIĄTEJ IMPREZOWICZE PŁYNEŁI przez Grassmarket i Cowgate, wstępując do wybranych pubów i klubów. Cafferty zostawił Crawa Shanda z setką funtów w kieszeni w barze Pirate, dzięki czemu Crawl zyskał nagle wielką popularność wśród bywalców lokalu. Wychodząc w ciemność ulicy, Duży Ger włożył czarne skórzane rękawiczki i pieszo pokonał krótką drogę dzielącą go od Devil's Dram. Drzwi klubu były zamknięte – ani śladu czerwonego dywanu i bramkarzy. Kilku studentów patrzyło na budynek, jakby nie bardzo mogło w to uwierzyć, i w końcu ruszyło na poszukiwania innej sali pełnej hałasu i błyskających świateł.

Cafferty parę razy kopnął w drzwi, po czym ruszył do tylnego wejścia i tam też załomotał. Wreszcie ktoś mu otworzył.

- Nieczynne – warknął mężczyzna.
- Kim jesteś? – spytał ostrym tonem Cafferty.
- A kto pyta?
- Nazywają mnie Dużym Gerem.
- Mężczyzna z trudem przełknął ślinę.
- Jestem Harry.
- Prowadzisz ten klub, Harry?
- Tak naprawdę to nie. Właścicielem jest...
- Wiem, kto kiedyś był właścicielem, i obaj wiemy, że przez jakiś czas nie będzie płacił żadnych rachunków. Ale z tego, co słyszę, ten lokal może być żyłą złota, jeśli tylko pokieruje nim właściwy człowiek, a biznes ma to do siebie, że gdy zamyka się do niego drzwi, kurczy się i znika.
- Tak, ale...
- Odesłałeś wszystkich do domu? Didżeja? Obsługę baru? Szefa kuchni?
- Harry skinął głową.

– To łap za telefon i zaraz ściągnij ich tu z powrotem!

Cafferty przecisnął się obok Harry'ego do środka, przeszedł przez część magazynową i kuchenną i wreszcie wkroczył do właściwej sali klubu. Rozglądał się, zatrzymując wzrok na motywach chochlików, demonów i ogólnego rozpasania, a potem wspiął się na antresolę, rzucił okiem na najbliższą ławę pod ścianą i usiadł. Harry w końcu też dotarł na szczyt schodów.

– Nie widzę, żebyś do kogoś dzwonił, synu – wydał gniewny pomruk Cafferty.

Harry wyszperał z kieszeni telefon i zaczął stukać w ekran. Cafferty rozprostował ramiona wzdłuż oparcia ławy.

– O wpół do jedenastej ten klub ma kipieć życiem. Wtedy siądziesz sobie ze mną i wprowadzisz mnie we wszystkie sekrety.

– Sekrety czego? – Harry uniósł wzrok znad telefonu.

– Imperium twojego dawnego szefa. Przecież to normalna praktyka w każdej dobrej firmie, kiedy są zmiany na górze?

– Tak jest.

– I przynieś mi butelkę whisky single malt, najlepszej, jaką znajdziesz. Pora, żeby to miejsce stało się godne swojej nazwy.

Morris Gerald Cafferty patrzył, jak młody człowiek sprintem zbiega po schodach, a potem zamknął oczy, pozwalając sobie na chwilę relaksu. Przestał zaciskać szczęki, rozluźnił stale spięte ramiona.

Długo trzeba było na to czekać.

Bardzo długo.

– Ale wróciłem – powiedział. – Jestem. I zostaję.